



*Nadmorski  
ogród*

DEBORAH  
LAWRENSEN

O książce

Musimy uważać na przeszłość.

Może wrócić, żeby nas ukąsić...

Francuska wyspa Porquerolles była świadkiem zarówno wielkiego szczęścia, jak i wielkich tragedii. Choć zdaje się, że cała jest skąpana w słońcu, w jednym punkcie na jej mapie czai się mrok...

...W ogrodzie, który mógłby konkurować z Manderley z Rebeki Daphne du Maurier. Miejscu, które łączy ziemię, morze, niebo i latarnię morską. I w którym zbiegną się losy kobiet żyjących w różnych czasach i różnych miejscach.

NADMORSKI OGRÓD

To tam przybywa Ellie – sławna projektantka zieleni. Ma odczarować to miejsce i przywrócić je do życia. Ale nie będzie to proste – na każdym kroku spotyka się z wrogością, a wokół niej zaczynają dziać się coraz dziwniejsze rzeczy. Bo duchy ogrodu nie lubią, kiedy się im przeszkadza...

POLE LAWENDY

W czasie II wojny światowej niewidoma Marthe Lincel zaczyna pracę w perfumiarńi oficjalnie współpracującej z okupantem, a nieoficjalnie będącej centrum lokalnego ruchu oporu. Kiedy dochodzi do tragedii, Marthe musi odkryć w sobie odwagę, o którą by się nie podejrzewała. I siłę, by podjąć decyzje, które odcisną piętno na całej jej przyszłości...

TAJNE ŻYCIE

Tysiąc kilometrów od Prowansji, w Londynie, Iris, oficer brytyjskiego wywiadu, zakochuje się we francuskim agencie. Ten wkrótce znika i pojawiają się wątpliwości, czy na pewno był tym, za kogo się podawał. Po wojnie Iris zamierza za wszelką cenę dowiedzieć się, czy jej ukochany był zdrajcą.

Wątki trzech kobiet spletają się we wzruszającą powieść

o miłości, odwadze, tajemnicy i zbrodni.

DEBORAH  
LAWRENSON

*Nadmorski  
ogród*

Z angielskiego przełożyła  
ANNA ESDEN-TEMPSKA



Wydanie elektroniczne

*Tej autorki*

LATARNIA

NADMORSKI OGRÓD

Tytuł oryginału:

THE SEA GARDEN

Copyright © Deborah Lawrenson 2014

By arrangement with the author

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2017

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: © Diana Debord/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7985-411-0

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em.eu

## Spis treści

### CZEŚĆ I. Morski ogród

1. Przeprawa
2. Domaine
3. Latarnia morska
4. Rewitalizacja
5. Historyk
6. Lot

### CZEŚĆ II. Lawendowe pole

1. Prowansja
2. Leśne fiołki
3. Kwitnące migdałowce
4. Tymianek i figi
5. Cytrusy i pinie
6. Lawenda
7. Skórka pomarańczy i piżmo

### CZEŚĆ III. Tajne życie

1. Orchard Court
2. Narodziny agenta
3. Tangmere
4. Xavier
5. Bignor Manor
6. Wiadomości
7. Co pozostało
8. Nigdy nie dawaj za wygraną
9. Prawie szczęśliwa
10. Śladem zapachu
11. Błękitny pociąg

Epilog

Od autorki

Podziękowania

*Znad brzegu morza wieczny szum  
i dwa są tam strumienie,  
co płyną z fioletowych wzgórz  
wprost w niecierpliwą toń kipieli.  
Tutejsze kwiaty nie nakarmią pszczół,  
brzeg nie przyciąga statków,  
a jednak fale biją wien  
i szemrzą nieustannie  
tęsknotą, która we mnie.*

*William Morris, Ogród nad morzem*

CZEŚĆ I  
Morski ogród



*Niedziela, 2 czerwca 2013 r.*

Wyspa majaczyła w oddali. Smużka lądu na wodzie.

Przeprawa z portu w La Tour Fondue do Porquerolles miała zająć zaledwie kwadrans.

Ellie Brooke wystawiła twarz do słońca, chłonąc jego ciepło. W to późne popołudnie na pokładzie promu, na którym zajęła wygodne miejsce z przodu, poza nią było niewielu pasażerów.

Młody człowiek stał twarzą do niej, plecami do relingu. Zwróciła na niego uwagę ze względu na T-shirt, który miał na sobie. Wywalony język członka grupy heavymetalowej miał być prowokacją, ale w zestawieniu z tym nadrukiem chudy, jasnowłosy właściciel koszulki wydawał się jeszcze bardziej wątpy i niegroźny.

Maszyny zazgrzytały i prom ruszył naprzód w roziskrzone fale, nabierając szybkości wśród słonej morskiej bryzy. Wyspa rysowała się już wyraźnie, gdy chłopak przełożył nogi przez barierkę, rozłożył szeroko ramiona i osunął się w dół po burcie. Stało się to cicho, szybko i niespodziewanie. Nie tylko Ellie zeznała później, że w pierwszej chwili miała wrażenie, jakby to się jej przywidziało. Nie rozległ się żaden plusk spienionej wody przy kadłubie promu.

Być może ich krzyki o parę sekund za późno dotarły do załogi i nie dość szybko wyłączono silniki. Młody człowiek spadł za blisko burty, nie miał szans. Jak stwierdzono później, kiedy tylko znalazł się w wodzie, musiało go wessać pod spód w kierunku obracających się śrub.

Jednak wtedy, w ciszy, która zapadła, gdy silniki stanęły, a prom dryfował, wydawało się całkiem prawdopodobne, że zaraz zostanie wyłowiony. Kaszlący, kulący się ze wstydu, że zawiodły go jego chude jak patyki nogi i ręce i że wyciął tak idiotyczny numer. Ktoś rzucił nawet koło ratunkowe.

Na pokład wylegli pasażerowie siedzący dotąd w części zadaszanej. Wyglądali za burtę, pytali, czemu silniki nie pracują. Trzymali się blisko jeden drugiego, chcieli pomóc, ale jednocześnie bali się przeszkadzać załodze, która wszczęła procedury ratunkowe.

Ellie za słabo znała francuski, by rozumieć dokładnie, co mówiono, ale było jasne, że para w średnim wieku z jazgotliwym pieskiem, mężczyzna z teczką i starsza pani dyskutują ze zgrozą, jak młody człowiek mógł zrobić coś takiego. Szczególnie oburzał się pan z teczką. Mężczyzna w panamie i luźnej białej koszuli trzymał się na uboczu, powstrzymując się od komentarzy.

– Widział pan, co się stało? – spytała go po angielsku w nadziei, że

zrozumie.

– Tak.

– Stał jakby nigdy nic. Nie sprawiał wrażenia, że dzieje się z nim coś złego. A chwilę potem już go nie było.

– Okropne.

– Czy to wypadek, czy...

– Przeszedł przez reling.

Znad wody dobiegały teraz jakieś krzyki, ale nie było to wołanie o pomoc.

– Niech pani nie patrzy – powiedział mężczyzna.

Odwróciła głowę. Jasne, podświetlone słońcem żagle sunęły po szafirowym morzu. Mały samolot zostawiał za sobą białą linię na niebie.

Fale uderzały o burtę. Do szalupy ratunkowej dopłynęła łódź policji. Zaskrzeczały megafony. Opadająca kadencja rozmów na pokładzie świadczyła o tym, że irytacja opóźnieniem zeszła na plan dalszy. Pasażerowie zrozumieli, co się naprawdę stało. Poraził ich pierwotny lęk. Historia stara jak świat, człowiek stracił życie na morzu.

Przypomniała sobie informację, że sto lat wcześniej prom wzywano do powrotu sygnałem dymnym – rozpalano stos żywicznych liści i gałązek przed kawiarnią na końcu półwyspu Presqu'île de Giens. Lubiła wyławiać takie szczegóły, przygotowując się do podróży. Teraz nowoczesna niewidoczna sygnalizacja sprowadziła ratowników w ciągu kilku minut.

Ellie wstała i podeszła do relingu. Nie po raz pierwszy zastanowiła się, po co tu w ogóle przyjechała.

\* \* \*

Po przybyciu na wyspę czekały ją jednak bardziej pilne pytania ze strony szefa zarządu portu i dwóch policjantów, którzy weszli na pokład, kiedy tylko prom dobił do brzegu. Jej pierwsze wrażenia ze słynącej z piękna Porquerolles zakłócił szok i poczucie straty. Z nadmorskiej promenady wabiły przybyszy subtropiki z kołyszącymi się oleandrami i palmami, ale przed zejściem na ląd wszyscy musieli się wylegitymować i podać dane kontaktowe. Czy w tym młodym człowieku dostrzegła coś szczególnego? Wydawał się niespokojny, zdenerwowany? Trudno jej było przyznać, że więcej uwagi poświęciła wulgarnemu nadrukowi na koszulce niż temu, kto ją miał na sobie.

Pokazała porucznikowi Franckowi Meunierowi, gdzie siedziała i gdzie mniej więcej stał tamten młody człowiek.

– Czy krzyczał, kiedy spadał?

Krótko ostrzyżony policjant patrzył przenikliwie. Opanowany, silny. Z bliska widać było, że nie jest aż tak młody, jak się zdawało, kiedy wchodził na pokład. Dobrze mówił po angielsku, choć z mocnym francuskim akcentem.

- Nie. W każdym razie nie słyszałam, żeby coś powiedział.
- Czy się pocił? Może był po narkotykach? Widziała pani jego oczy?
- Byłam za daleko. Nie wiem.

Od białych i srebrzystych masztów łodzi zacumowanych w marinie ciągnącej się aż do miejsca, gdzie zatrzymał się prom, słysząc było pobrzękiwanie metalowych części takielunku na ciepłym wietrze. Nabrzeże robiło wrażenie dużo bardziej egzotycznego niż to, z którego przyłynęli, jakby te dwa miejsca dzieliło o wiele więcej niż ledwie parę kilometrów.

- Gdzie się pani zatrzyma na wyspie?
- W hotelu na Place d'Armes.
- Którym?

Wyciągnęła kartkę z torby przewieszanej przez ramię i podała, niepewna, jak wymówić nazwę.

- L'Oustaou des Palmiers – przeczytał policjant.

Skinęła głową.

- Pani na urlop?
- Nie, w sprawach służbowych.

Zmarszczył brwi, pocierając swojego języka. Musiał strzyc się niedawno.

- Jakich?

– Zajmuję się projektowaniem ogrodów. Mam jutro obejrzeć ogród i poznać ewentualnego klienta.

Gdyby nie zależało jej tak bardzo na wykazaniu, co potrafi, już parę miesięcy temu odrzuciłaby tę karkołomną propozycję. Jest tylu innych architektów krajobrazu, którzy mają lepsze kwalifikacje, by zająć się odrestaurowaniem ogrodu na śródziemnomorskiej wyspie, specjalistów mających doświadczenie w pracy w suchym, gorącym klimacie, na skalistym podłożu, dobrze obeznanych ze specyfiką francuskiej riwiery. Oni wydawaliby się oczywistymi kandydatami. Jednak wiosna w Anglii była tak ponura. Słońce pokazało się na chwilę w marcu, a w kwietniu całkiem się schowało. Tygodnie szarugi i deszczu ciągnęły się nieznośnie. To był naturalny odruch – uciec. Najpierw do Londynu, skąd poleciała dalej, do Hyères. Bliżej ciepła i światła. Oczywiście samo zadanie też ją zaciekało, a warunki zaproszenia były pochlebnie korzystne.

- Kto jest tym klientem?
- Laurent de Fayols. W Domaine de Fayols.

Porucznik Meunier zastanowił się chwilę, po czym przerzucił swoje notatki.

- Kiedy zauważyła pani, że tamten mężczyzna podchodzi do barierki?

Wydawało się, że to trwa wiele godzin, kiedy uwięziona na nieruchomym promie dawała odpowiedzi, które nie mogły nic wyjaśnić ani nikogo uratować. Z doku widziała jasne plaże i niewysokie zielone wzgórza usiane czerwonymi dachami domów. Fort nad przystanią wylaniał się niczym kamienna pięść spośród

drzew. Blask słońca był oślepiający.

Wreszcie pozwolili jej iść. Otarła dłonią czoło i popatrzyła na informacje i mapę przed biurem turystycznym przy przystani. *Średnia temperatura w czerwcu dwadzieścia stopni* – przeczytała. Czerwiec dopiero się zaczynał, dochodziła siódma wieczorem, ale chyba było cieplej. Znużona ruszyła w kierunku Place d'Armes. Kółka jej torby obciążonej laptopem, segregatorem pełnym szkiców i skserowanych materiałów ze starych książek terkotały po bruku.

To był szeroki, pokryty pyłem plac, nad którym dominował kościół w stylu hiszpańskim. Trzy pozostałe strony obsadzono eukaliptusami. Szereg sklepików i restauracji osłonięty był markizami. Powoli, to w ostrym świetle słońca, to w cieniu, obeszła plac, kierując się ku budynkowi na jego odległym krańcu. Wydawało się, że to hotel, ale nie, nie był to Oustaou des Palmiers. Nigdzie nie było go widać. Same wejścia do domów mieszkalnych, galerie, sklepy z pamiątkami, jakiś bar, w którym pewnie później zrobi się tłoczno, a przed którym ćwiczył teraz gitarzysta jazzowy. Brnęła więc dalej, mijając stragany z owocami, pełne arbuźów, jabłek, truskawek, bananów i ananasów, aż dotarła niemal z powrotem w to samo miejsce, skąd zaczęła. I dopiero wtedy zorientowała się, że przegapiła hotel, który znajdował się tuż obok. Szyld schował się pod czerwoną markizą i gęstymi pnączami, ocieniającymi nakryte do kolacji stojące na zewnątrz stoliki.

W środku znajdowała się recepcja wciśnięta w kąt pod schodami.

– Jestem Jean-Luc – przedstawił się młody człowiek, który wyglądał jak student wybierający się na plażę. Luźno puszczona rozpięta koszula odsłaniała gładką nagą pierś. Podał klucze bez zadawania sobie trudu z formalnościami. – Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę przyjść i mnie poszukać.

Na szczęście nie zapytał, jak minęła jej podróż.

– A właśnie, mam tu dla pani wiadomość – rzucił z uśmiechem, rozglądając się po ciasnej przestrzeni za kontuarem. Najwyraźniej nie bardzo pamiętał, gdzie ją odłożył. – O, jest!

Z triumfem podał jej odnalezioną kopertę.

– Dziękuję.

– Zaprowadzę panią na górę.

Złapał jej torbę, jakby to było piórko, i ruszył pędem po schodach.

Pokój prezentował się lepiej, niż to sobie wyobrażała – prosto urządzone, z widokiem na port. Jean-Luc w podskokach, jak to młodzi, bardzo sprawni ludzie, pokazał jej regulowanie klimatyzacji i małą łazienkę. Kiedy wyszedł, otworzyła na oścież okno i stała chwilę, starając się jakoś połączyć to, co się stało, z obrazem zakotwiczonych kołyszących się na wodzie łodzi i białych żagli sunących po falach w oddali. Zdjęła buty i poszła bosą po gołych wypolerowanych deskach podłogi.

Rozejrzała się za otrzymaną kopertą i znalazła ją na toalecie. Zaadresowaną

piórem wiecznym, zamaszystym, ale eleganckim charakterem pisma. Już dawno nie dostała listu pisanego piórem wiecznym. A właściwie w ogóle czegokolwiek pisanego ręcznie. Wszystko to sprawiało, że odnosiła coraz mocniejsze wrażenie, jakby na tej wyspie cofnęła się w czasie. Wyciągnęła kartkę z koperty. Nadal jeszcze lekko drżały jej dłonie.

*Cieszę się bardzo, że dotarła Pani bezpiecznie na miejsce – przeczytała. – Zapraszam jutro rano do Domaine de Fayols. Przyślę kogoś po Panią. Życzę miłego pierwszego wieczoru na naszej cudownej wyspie.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami,*

*Laurent de Fayols*

Dlaczego on to zrobił, ten chłopak w T-shircie? Jakie problemy psychiczne, choroba czy tragedia go do tego skłoniły? Tak cicho, niepostrzeżenie przeszedł przez reling i zniknął. Czy naprawdę zamierzał się zabić, czy tylko chciał zwrócić na siebie uwagę?

Snute w samotności rozważania w hotelowym pokoju nie mogły przynieść ukojenia. Włożyła do torby aparat fotograficzny i wyszła. Od placu odchodziła stara wybetonowana uliczka. Krusząca się nawierzchnia pokrywała pyłem sandały. Ellie spacerowała między sosnami i meksykańskimi cyprysami, dość wysokimi, by stłumić wszelkie dźwięki, które mogłyby tu docierać z zewnątrz.

Nawet w chwilach najczarniejszej rozpacz nigdy nie myślała, żeby się zabić. Nawet w tamtych potwornych tygodniach po śmierci Dana, kiedy próbowała się jakoś uporać ze stratą. Jej praca to było życie – pielęgnowanie roślin i optymizm nierozłącznie związany z planowaniem ogrodów, które dopiero po długim czasie, nawet kilkudziesięciu latach, mogły spełnić zamierzoną wizję. Było jej bardzo ciężko, ale przekształciła rozpacz w determinację. Stała się też niezależna. Nauczyła się polegać na samej sobie. Rzuciła się w wir pracy, inwestując w życie. Ale może inni ludzie nie potrafią odnaleźć w sobie dość siły czy odpowiednika jej bukowych alejek i formowanych pieczołowicie klombów.

Na rozwidleniu stał znak wskazujący drogę na Plage d'Argent. Zapach sosen wzmocniony wilgotnym upałem mieszał się z morską słoną bryzą. Danowi bardzo by się tu podobało. Porquerolles, wyspa dziesięciu fortów. Pracował dla wojska i fascynowało go wszystko, co wiązało się z militariami. Po policzku spłynęła jej łza. Nie ma go już, powiedziała sobie po raz tysięczny. Trzeba pozwolić mu odejść. Tak samo jak sobie samej ruszyć dalej, naprzeciw temu co nieznanne.

Morze łaskotało biały piasek. Stała sama, pogrążona w myślach, a delikatne fale układały na brzegu koronkowe wzory z muszelek.

*Poniedziałek, 3 czerwca*

Wporannym słońcu Place d'Armes ział pustą białą przestrzenią. Jedyne ruch ograniczał się do sklepików i kawiarni pod drzewami. Ellie kupiła sobie w najbliższym kiosku przewodnik i dużą mapę i usiadła na niskim murku w cieniu, by ją rozłożyć. Kiedy nie udało się jej od razu zlokalizować Domaine de Fayols, wpadła w bezsensowną panikę. Ale po chwili znalazła tę posiadłość, zaznaczoną na południowym krańcu wyspy, blisko zatoki i latarni morskiej. Do tej pory musiała wierzyć na słowo Laurentowi de Fayols, że to miejsce w ogóle istnieje, że je tu zastanie.

O dziesiątej czekała pod hotelem. Na wyspie ruch samochodowy nie był dozwolony. Mijali ją głównie ludzie na rowerach – rozchwierutanych, skrzypiących, sfatygowanych pojazdach o niewiadomym przebiegu i historii. Musiały być używane przez niezliczoną rzeszę turystów podczas niezliczonych już wakacji. Jediną alternatywą była bryczka. Ellie patrzyła, jak woźnica zeskakuje z kozła i wbiega do hotelu. Po paru minutach pojawił się z powrotem. Towarzyszył mu Jean-Luc, który pomachał do niej.

– To on zawiezie panią do Domaine de Fayols.

Woźnica podał jej rękę i pomógł usiąść na miejscu obok siebie. Zgrubiała, spracowana dłoń była szorstka w dotyku. Cmoknął i zamruczał coś do starej kobyły, muskając jej bok batem. Ruszyli, kołysząc się wysoko nad drogą. Koła wzbijały pył, który snuł się za podskakującą na wybojach bryczką. Ellie mocno przyciskała do siebie torbę i foldery.

Żadne z nich się nie odezwało. Woźnica patrzył przed siebie. Karłowate wiecznie zielone krzewy wydzielaly mocny zapach żywicy i miodu. Sosnowy las ustępował miejsca spokojnie opadającym na południe winnicom. Ciszę zakłócały jedynie cykady wczesnego lata. Siedząc wysoko na kozle, Ellie rozglądała się dokoła, ciekawa, jakie rośliny w sposób naturalny dobrze się tu rozwijają.

To dzikie, romantyczne okolice – pisał jej Laurent de Fayols. Całą wyspę kupił w prezencie ślubnym dla żony pewien człowiek, który zrobił fortunę na kopalniach srebra w Meksyku. To jeden z trzech skrawków lądu na Morzu Śródziemnym zwanych Złotymi Wyspami, od pomarańczy, cytryn i grejpfrutów, które połyskują jaskrawo w gajach cytrusowych.

Po angielsku niewiele można było znaleźć na temat tego miejsca poza zdawkowymi informacjami, a to, do czego dotarła, zostało napisane dawno temu. Najciekawsza była dziennikarska relacja Adolphe'a Smitha z 1880 roku. Ellie

urzekła uroda jego opisu *najbardziej wysuniętego na południe punktu francuskiej riviery*.

*Wyspę tworzy siedem pasm niezbyt wysokich wzgórz. Pomiędzy nimi leżą doliny, którymi można wędrować osłoniętym od wiatru szlakiem w cieniu pinii. Ich zapach miesza się z aromatem tymianku, mirtu i tamaryszku.*

Wciągnęła głęboko powietrze.

\* \* \*

Zjechali z drogi na trakt wiodący między cyprysami i wkrótce dotarli do podjazdu przed domem. Pośrodku kręgu lawendy rośło wiekowe drzewo oliwne. Po obu stronach domu wartę pełniły wysokie sosny, eukaliptusy i kolejne cyprysy.

– *Ici, la Domaine* – powiedział woźnica.

– *Merci*.

Ellie ujęła jego szorstką dłoń i ostrożnie zsiadła z kozła. Fasada dwupiętrowego, krytego tradycyjną dachówką domu wyłożona była jasną terakotą. Na jej tle odcinały się jaskrawym błękitem okiennice. Z ocynkowanych donic ustawionych na schodach prowadzących do wejścia wznosiły się kule przystrzyżonego bukszpanu.

Właśnie zaczynała się rozglądać, kiedy pojawił się gospodarz. Schodził po niskich stopniach, wyciągając do niej dłoń. Laurent de Fayols był pewnie po sześćdziesiątce, niespecjalnie wysoki, ale szczupły i elegancki, o ciemnych piwnych oczach. Od razu wiedziała, że będą bardzo przekonujące.

– Proszę, proszę, droga pani Brooke, witam! Nareszcie zobaczy pani, o czym mówiliśmy.

Jego entuzjazm nie był udawany. Opalona twarz wyglądała młodo pod markowymi okularami przeciwsłonecznymi, które przesunął na czubek głowy. Pomimo upału miał narzucony na ramiona jaskrawożółty sweter.

– Nie mogę się doczekać.

Poprowadził ją do domu, przez hol i dalej w głąb przez główne pomieszczenia. Kilka chwil ciemności i znaleźli się na szerokim tarasie z jasnego kamienia. Oślepiiona słońcem, zmrużyła oczy i dopiero po chwili ukazała się jej promienna panorama nieba i morza obramowana palmami i piniami o rozłożystych koronach.

Ellie od razu podeszła do balustrady. Płaski teren ścielący się niżej zdołały uporządkowane klomby z oleandrami i kulkami strzyżonego bukszpanu, imitując na południowy sposób pełne świetności pałacowe ogrody. Leżący dalej ogród różany był pierwszym z serii utworzonych na coraz niższych poziomach, połączonych ze sobą cudowną bujnie rozrośniętą glicynią. Gęste szeregi cyprysów przesłaniały dalszy widok, w tym ogród pamięci, któremu miała poświęcić

szczególną uwagę. W sumie roślinność była cudowna, wybujała, choć – z profesjonalnego punktu widzenia – bardzo zaniedbana.

– Potrzeba sporo pracy, *non?* – rzucił Laurent.

Odprężyła się nieco. Przynajmniej nie miał złudzeń. A jego angielski był nawet lepszy, niż zapamiętała z rozmów telefonicznych.

– A teraz napije się pani ze mną kawy? Proszę!

Zmusiła się, żeby oderwać wzrok od przepięknego widoku. Jaskrawe światło podkreślało rysunek podzwrotnikowych kwiatów. Pręciki, żyłki, pulsowanie życiem.

Laurent de Fayols poprowadził ją przez taras za róg domu. Szedł szybkim krokiem niemłodego mężczyzny, który szczyci się dobrą formą.

– Ta strona wychodzi na zachód – wyjaśnił. – Siadujemy tu wieczorami.

Łuszczące się kolumny tworzyły obszerną loggię, kuszący zakątek. Jedną ze ścian porastał jaśmin. Na stole stały dzbanek z kawą, filiżanki i dzbanek wody z lodem, dalej leżała nieporządna sterta gazet, a na nich kilka starych tomów z metalowymi klamrami.

– I nawet stąd widać morze!

Miała wielką chęć w nim popływać, i to zaraz. Ogarniało ją dziecięce podniecenie, kiedy patrzyła na wodę tak czystą, że skały u stóp urwiska przypominały kiście turkusowych kwiatów rosnących na dnie morza.

– Tak, to miejsce zostało idealnie wybrane. Tam w dole to Calanque de l’Indienne. A to książka, o której mówiłem podczas naszej rozmowy telefonicznej.

Z wysiłkiem znów skierowała uwagę na swojego gospodarza. Popchnął w jej kierunku po blacie księgę rozmiarów atlasu geograficznego. Skórzana oprawa była porysowana, ale marmurkowe brzegi stron odznaczały się zadziwiająco świeżą czerwienią i nie nosiły żadnych śladów zniszczeń. Był to album ze zdjęciami ogrodu – oraz tych, którzy go stworzyli. Osoby na fotografiach, stojące obok ciemnych łuków i bujnych krzewów, miały na sobie grube ubrania, jakby wcale nie było tu gorąco i wilgotno. Od czasu do czasu między pustymi kartkami trafiała na ususzone fragmenty roślin, które musiały tu trafić dawno temu. Kwiaty, niegdyś żywe, mocno pachnące i jaskrawe, zostały sprasowane i wyblakły. Jednak kształty zbrązowiałych, kruchych teraz płatków – paciorecznika, agapantu, róży – świadczyły o tym, że były niegdyś jędrne i soczyste.

Przyjęła podaną przez Laurenta kawę w małej filiżance o złożonym brzegu.

– To spore wyzwanie.

– Nie ufałbym komuś, kto by twierdził, że to będzie łatwa praca.

Obszedł stół i stanął obok niej.

– Tu widać ogród zaraz po jego założeniu w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, kiedy postanowiono uczcić w ten sposób pamięć doktora Louisa de Fayols. – Przerzucił kartki na właściwą stronę nożykiem z kości słoniowej. –



A tutaj, kiedy po raz pierwszy zakwitł w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. Choć cyprysy są małe i nie ma jeszcze bukszpanów. Ale już dokładnie widać sposób jego rozplanowania.

To był reprezentacyjny ogród zaprojektowany wokół sadzawki obramowanej kamiennym murkiem, prostokątne oczko wodne, które na fotografii ziało czarną pustką. Przy jego krótszym boku stała rzeźbiona ławeczka we włoskim stylu. Po drugiej stronie dwie porośnięte bluszczem rzeźby. Jedna przedstawiała zapewne Wenus, druga Merkurego, sądząc po skrzydełkach u kostek nóg. W rogach ogrodu umieszczono duże kamienne urny. Nie posadzono jeszcze żadnych kwiatów.

– To typowe dla tego okresu – zauważyła. – Kiedy na riwierze licznie osiadali zamożni obcokrajowcy, powstało wiele wspaniałych ogrodów. Przybysze chcieli tworzyć pod gołym niebem świątynie przepychu i wyobraźni.

– Jest pani bardzo wrażliwa.

Nie po raz pierwszy Laurent de Fayols wspomniał o jej wrażliwości. Odnosiła to w myśli. Czasem, kiedy klienci wspominali o jej zaletach, w gruncie rzeczy mówili o sobie samych.

– Ma pani też wycucie historii – ciągnął. – Szanuje ją pani.

– Jeśli chodzi panu o ogród w Chelsea – rzuciła szybko, zdając sobie w pełni sprawę, że tak właśnie jest – to było coś całkiem innego. Taka współczesna impresja na temat tamtych czasów, nie odtwarzanie ich, rodzaj scenografii, można powiedzieć.

Ogród, który zaprojektowała na słynną wystawę kwiatów w Chelsea w Londynie, zdobył złoty medal. Wychwalany przez media, przyniósł jej więcej zamówień, niż była w stanie przyjąć, i sprowokował mnóstwo nieporozumień.

– Oczywiście. Wie pani, że nie oczekuję, by tutaj zrobiła pani coś podobnego. Przemówiły do mnie drobne elementy tamtego ogrodu wojny. Gramofon. Damska kurtka zawieszona na łopacie wbitej w grządkę warzywną. Pognieciona fotografia żołnierza, pamiątkowa papierośnica.

Już otworzyła usta, by zaprotestować, kiedy ją uprzedził.

– Wiem. To nie projekt ogrodu, ale bardziej... rodzaj teatru. Jednak niech mi pani wierzy, zobaczyłem, że jest pani tą osobą, której szukałem. Młoda, ze świeżymi pomysłami.

– No, to jest sprawa zrozumienia danego okresu, odpowiedniego przygotowania. – Rzeczywiście, lubiła ten aspekt swojej pracy. – Przekopałam się przez dawne źródła dostępne w Bibliotece Narodowej, szukałam jakichś wskazówek, odniesień, ale jest ich bardzo mało. Najlepsze, co znalazłam, to opis oryginalnej roślinności tej wyspy w relacji podróżnika z epoki wiktoriańskiej.

Niewiele z tego wynikało, ale być może to przez *Delphinium requienii*, *Genista linifolia* i *Cistus porquerollensis* dała się zwabić i jest teraz tu, by

dyskutować na temat tego zlecenia.

Zapatrzył się w dal, na ogród, gdzie olbrzymie egzotyczne paprocie drzewiaste, niczym zastygłe zielone fontanny, znaczyły ścieżkę prowadzącą aż na sam brzeg. Nie dałoby się zgadnąć, o czym myślał. Morska bryza poruszyła jaśminowe pnącza. Przez bliskość morza zapach był zniewalający, uderzał do głowy. Słone powietrze zmieszane z piżmową słodyczą. Ellie poczuła nagły przypływ wiary, że wszystko jest możliwe. Odnowienie ogrodu pamięci, odtworzenie roślinnych sklepień i ścian wiecznej zieleni, przywrócenie do życia ogrodu różanego.

Laurent przerzucił jeszcze kilka stron z fotografiami i zatrzymał się przy zdjęciu przedstawiającym przejście wycięte w żywołocie, zwieńczone ogromnym łukiem.

- Niesamowite – wyszeptała Ellie.
- W południowej części ogrodu. Na pierwszej fotografii jeszcze tego nie było.
- Zachowało się do dziś?
- Częściowo... wszystko jest zapuszczone, ale mogę pani pokazać.
- Jestem bardzo ciekawa, co jest po drugiej stronie tego łuku. Przyciąga wzrok i człowiek ma ochotę wejść głębiej.

Postukał się palcem w nos i mrugnął do niej.

- Czyli jest pani zainteresowana?

Uśmiechnęła się, czując, że nawiązuje się pomiędzy nimi nic porozumienia. Taki był cel wstępnych spotkań z klientami – zrozumieć, co dokładnie chcieliby osiągnąć. Projektant ogrodu, jak architekt, powinien wcielać w życie marzenia zleceniodawcy. Żeby tak się stało, potrzebne jest zrozumienie, wyczucie wizji rysującej się w wyobraźni klienta, ale i coś jeszcze, o co nawet trudniej – osobista więź pomiędzy wykonawcą a klientem. To był podstawowy warunek sukcesu każdego projektu. Z kolei brak takiej relacji bardzo często zapowiadał porażkę.

Laurent poprowadził ją z powrotem na główny taras.

- Proszę przodem – powiedział, kiedy dotarli do pierwszej z dwóch kondygnacji szerokich kamiennych schodów prowadzących do reprezentacyjnego ogrodu na dole. Z bliska na przyszyżonych w zygzakowate wzory bukszpanach widać było zbrązowiałe listki, a krzaki nie wydawały się już wcale tak bujne.

W ogrodzie różanym ścieżka wyprowadzała wprost na masę fioletowych, przywędłych już glicynii. Patrząc na to teraz z poziomu ogrodu, Ellie widziała, że formują one tunel prowadzący dalej. Sękate pnącza oplatały długą, w wielu miejscach zbutwiałą drewnianą konstrukcję. Na końcu ścieżki znajdowała się zielona polanka wielkości dużego pokoju, otoczona strzyżonym żywołotem z mirtu. Ze wszystkich stron zwisały białe trąbki brugmansji, rozsiewając wokół lekko kawowy zapach.

- Nigdy jeszcze nie widziałam takiej kompozycji – powiedziała Ellie.
- Moja matka posadziła te byliny wiele lat temu. Księżycowe kwiatki.
- Znane też jako czarcie ziele.
- Albo trąby aniołów. W każdym razie tak mi mówiła.

Każdy ogród otwierał się na kolejny niczym w serii tajemnych komnat. Kamienne schody były tu trochę niebezpieczne, porośnięte bluszczem. Kiedy szli dalej, trafiali na coraz więcej przegniłych od wilgoci liści. Robiło się coraz chłodniej. Nie widać już było żadnych kwiatów.

- A oto i ogród pamięci.

Była to świątynia wiecznie zielonych, ciemnych – prawie czarnych – krzewów, wyrastających wśród rozrzuconych w mało artystycznym nieładzie połamanych kolumn i rzeźb. Postaci Wenus i Merkurego były nadnaturalnej wielkości. Merkury nie miał już skrzydełek, a jego kostki porastał mech.

- Niesamowite... przypomina jakieś greckie lub rzymskie ruiny.
- Doktor był wielbicielem klasyki. Niektóre tutejsze studnie zostały wykopane jeszcze przez Greków, a potem popadły w zapomnienie i zarosły zielenią. Był bardzo dumny z tego, że je odnowił.

Woda w kamiennym basenie przypominała czarne lustro, a kiedy Ellie podeszła bliżej – srebrzyste. Nieruchoma tafla przyciągała jak magnes.

- Niech mi pan opowie coś więcej o doktorze. Był pana ojcem, dziadkiem? Co go sprowadziło na tę wyspę?

– Tak naprawdę był wujem mojego ojca. – Znow zapatrzył się w przestrzeń, jakby wyobrażał sobie tego starego człowieka w jego posiadłości. – Słyszała pani, że Porquerolles ma bogatą przeszłość militarną?

Kiwnęła głową i dodała:

- Wyspa dziesięciu fortów, strategiczny punkt obrony południowego wybrzeża Francji.

– Od wieków była schronieniem dla weteranów i wracających do zdrowia rannych żołnierzy. Podczas wojny krymskiej był tu szpital wojskowy, a przez wiele lat także sierociniec dla dzieci poległych. Sto lat temu pan Fournier, człowiek, który kupił Porquerolles za pieniądze zarobione na kopalni srebra w Meksyku, zapoczątkował wiele tutejszych upraw. Założył pierwszą winnicę. Chciał też jednak działać charytatywnie. Utrzymywał ośrodek dla rekonwalescentów i sprowadził lekarza, który miał się nimi opiekować. Kiedy Fournier zmarł w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, pozostawiając wdowę z siedmiorgiem dzieci, obecność doktora była jej jeszcze bardziej potrzebna. Domaine stanowiła jedno z gospodarstw posiadłości Fournierów, ale pani Fournier przydzieliła je doktorowi i jego rodzinie.

- Czy nadal należy ono do majątku?
- Nie, doktor wykupił je po śmierci Fourniera.

– To wielki dom. Czy doktor miał dużą rodzinę?

– Tylko dwóch synów.

Zawahał się.

– Czyli kuzynów pańskiego ojca... I żaden z nich nie chciał przejąć  
Domaine?

– Obaj zginęli na wojnie.

Ellie zacisnęła powieki.

– To straszne, przepraszam...

Okropne, ale w takich sytuacjach nigdy nie umiała znaleźć odpowiednich słów, nie potrafiła wyrazić uczuć wobec kogoś obcego. Bo co można powiedzieć?

– Ale ten ogród upamiętnia doktora, nie jego synów?

– Tak jest.

– W takim razie kto go założył?

– Mój ojciec. I człowiek, który był tu głównym ogrodnikiem w złotym okresie przed wojną. Obaj na swój sposób chcieli uhonorować przeszłość. Kiedy moi rodzice przejęli posiadłość, była w strasznym stanie. Podczas wojny wyspa znalazła się pod okupacją. Wszyscy miejscowi i Francuzi zostali z niej wydalen. Najpierw przyszli Włosi, potem Niemcy. Nie okazywali poszanowania dla niczego, bynajmniej. Mieszkańcy po powrocie zastali swoje domy splądrowane albo zburzone, meble porąbane na podpałkę. Łodzie zniszczono, krzewy winorośli powyrywano, po drzewach cytrusowych zostały pieńki... Długo trwało, nim udało się naprawić szkody i przywrócić jaką taką normalność.

Ellie przebiegł dreszcz. Nic dziwnego. Stała w głębokim cieniu. Potarła ramiona i przesunęła się trochę, by ogrzać się w miejscu, gdzie zza gęstwiny liści docierała odrobina promieni słonecznych.

– Oto przejście i łuk z tamtego zdjęcia.

Niegdyś musiał być wystrzyżony z wielką precyzją. Teraz cisowy żywopłot w połowie usechł. W miejscu bramy ziała ciemna dziura, niczym wejście do pieczary. Ciemne kolumny cyprysów zdawały się raczej ukrywać coś za sobą, niż pełnić wartość, jak gdzie indziej.

Ellie schyliła głowę i precyzyjnie się między gałęziami.

Teren opadał ku morzu. Pokręcone od wiatru sosny, kruszące się skały i zaskakująco świeża zieleń krzewów i drzew, które czepiały się chciwie każdego skrawka ziemi. Na urwisku po prawej stronie wznosiła się latarnia morska. Teraz Ellie już rozumiała położenie domu. Od południa wychodził na morze, a od południowego zachodu na skalistą zatokę Calanque de l'Indienne.

Ciepło zalało ją niczym strumień gorącej wody. Bezkresny błękit nieba i błyszczące w dole morze były jak kwintesencja światła i przestrzeni. Przez kilka uderzających do głowy sekund poczuła się tak wolna i lekka, jak jeszcze nigdy dotąd.

\* \* \*

Powoli ruszyli z powrotem do domu.

Promienie słońca nie mogły już rozproszyć chłodu, jaki zapanował, kiedy Ellie obejrzała ogród. Tak jakby odkryła jego mroczną stronę, która w nieuchronny sposób rzucała cień na całą posiadłość. A jednak ten dziwny projekt, sposób, w jaki każdy z kolejnych elementów ogrodu przyciągał wzrok, pomysłowość, baśniowa aura i melancholia każdego z zapomnianych ogrodów – wszystko to ją zafascynowało.

Letnia jadalnia ocieniona bujnymi pnączami znajdowała się na końcu tarasu. Długi mur, kryjący za sobą pewnie warzywniak, pociągnięto niedbale żółtawą farbą, w błyszczących czarnych donicach ustawiono rzędem drzewka kumkwatu, malutkie pomarańczowe owoce drżały leciutko wśród ciemnych liści.

Laurent odsunął dla niej krzesło. Stół był nakryty dla dwojga.

Pojawiła się chuda kobieta koło pięćdziesiątki, by im usługiwać. Jej czarne, ściągnięte surowo do tyłu dużą płaską spinką włosy były poprzątkane siwizną.

– Madame Fayols nie dołączy do nas, Jeanne?

– Prosiła, by przeprosić, monsieur.

– Z tego, co pan mówił, zrozumiałam, że pańska żona jest w Paryżu – zdziwiła się Ellie.

– Chodzi o moją matkę.

Zaszczękały cicho naczynia i sztuce.

– Źle się czuje? – spytał po francusku, zwracając się do Jeanne.

– Nie bardziej niż zwykle.

A przynajmniej tyle Ellie pojęła z tej wymiany zdań. Jeanne podała im delikatną tartę z pomidorami i karmelizowaną cebulą, do tego sałatę z lekkim, pikantnym sosem i grillowane szyki raków, po czym odeszła.

– Matka będzie rozczarowana, że nie mogła pani od razu poznać. Ale przecież co się odwlecze, to nie uciecze. A teraz zapraszam do jedzenia! Trochę wina? Wody?

Ellie przystała na mały kieliszek rosé.

Kiedy jedli, jej nastrój znów się poprawił. Czowała, że zaczyna lubić Laurenta i ten jego entuzjizm. Miał w sobie coś z urwisa. Jego żona mieszkała głównie w Paryżu, jak powiedział, swojej duchowej ojczyźnie, krainie pięknych strojów i sztuki, gdzie mogła cieszyć się wyprawami do opery, wsparta na ramieniu młodego towarzysza, i chodzić na lekkie lunche pod kryształowymi żyrandolami. Najwyraźniej ten układ pasował im obojgu. Ellie uznała, że Laurent z kolei na pewno ma swoje powody, dla których wybiera południe.

– Ta posiadłość to moja pasja – powiedział, jakby niepokojąco trafnie czytał w jej myślach. – Jeśli mam kochankę, to właśnie ona.

Wziął mały łyk wina i wytarł usta wykrochmaloną białą serwetką.

– No to... proszę mi powiedzieć, jak jeszcze mogę przekonać panią do przyjęcia tego zlecenia.

– Chciałabym pochodzić sama po ogrodzie po południu. Żeby oswoić się z tym miejscem, zastanowić, co można zrobić nowego, jak podejść do odnowienia tego, co było. I po prostu popatrzeć na roślinność, w cieniu i słońcu, żeby zrozumieć, jak to ze sobą współgra. Potem zrobię trochę wstępnych szkiców. Muszę też przemyśleć sprawę nawodnienia. Zakładam, że coś takiego tam jest albo było w przeszłości. Jakiś system doprowadzania wody. Wszystko da się zrobić, oczywiście, ale przy tego typu przedsięwzięciu musimy zacząć od podstaw i pierwszą inwestycją może być wymiana rur irygacyjnych. Możemy wydać fortunę na całą kolekcję właściwych roślin, ale bez wody stracimy je wszystkie.

Tylko machnął na to ręką.

– Jest tam źródło, które łączy się z kanałem biegnącym pod pierwszym żywopłotem z mirtu. Z tym nigdy nie było problemu. Podeślę kogoś, kto pani pokaże. A teraz muszę wracać do swoich zajęć. Proszę zostać tak długo, jak tylko pani zechce.

\* \* \*

Po pierwsze, dokładnie wszystko obejrzała i zmierzyła. Potem obfotografowała ogród pamięci z każdej strony pod różnymi kątami. Niedaleko domu znalazła drabinę, którą oparła za żywopłotem, by mieć ujęcie całości z góry. Przerzuciła zdjęcia do laptopa i zaczęła robić wstępne szkice na kalce.

Instynktownie uznała, że lepiej zachować podział ogrodu – obmurowane oczko wodne pośrodku, wysokie ściany żywopłotu, rozmieszczenie rzeźb, wielką bramę – a przy tym złagodzić ostre kąty roślinami, które nadałyby nowoczesnej głębi. Ważne, żeby poczekać i zobaczyć, jak zachodzi tam słońce, wejść na wzgórze i popatrzeć w dół, by zdecydować, jakie rośliny i układ kolorów byłyby najbardziej korzystne.

Mijały godziny. Ellie zrobiła szablony do dalszych szkiców, a potem zagubiła się w ogrodzie. Teraz, kiedy była sama i nic nie odwracało jej uwagi, teren wydawał się o wiele większy niż przedtem. Skupiona na pracy, czuła spokój. Czyż jedną z najprzyjemniejszych stron projektowania ogrodów nie jest wprowadzanie porządku do naturalnego chaosu świata? Jeśli tak, to tutaj miała wielkie pole do popisu. Jak zwykle, kiedy klient zostawiał ją samą z jej umiejętnościami, widziała wszystko wyraźniej.

Nagle drgnęła, zaskoczona odgłosem zbliżających się kroków. Ktoś musiał wejść w labirynt zielonych ogrodów. Spodziewając się, że to pracownik, który na polecenie Laurenta pokaże jej źródło wody, z uśmiechem obejrzała się za siebie. Poczekała chwilę.

– Halo, halo! Tu jestem! – zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

Podeszła do szczątków uformowanej z zieleni bramy, zwabiona pięknem widoku – morze, korony pinii, kępy czystków, z tym ich wieczornym zapachem ciepłej ambry. Artystyczna kompozycja z latarnią morską. Stała w ciszy oniemiała z zachwytu i kiedy zaskrzeczał jakiś przelatujący wyżej ptak, obróciła się zbyt gwałtownie.

Poczuła przenikliwy ból. Z głębokiego zadrapania na ramieniu ciekła krew. Rozejrzała się. To jakiś przebijający się przez zieloną bramę bladoróżowy kwiat na zdrewniałej łodydze o paskudnych kolcach.

\* \* \*

Słońce zachodziło za linią drzew, rzucając na ziemię cień przypominający kształtem skrzydło ogromnego ptaka, kiedy wreszcie ruszyła z powrotem do domu. W ciepłe zacisza pierwszego z ogrodów kwiaty brugmansji zaczynały wydzielać już ciężką nocną woń. Delikatny kawowy zapach zmienił się teraz w aromat palonej czekolady i pierwotnych przypraw, przybierając na sile wraz z zapadającym zmierzchem. Ellie poczuła lekkie pieczenie w nosie, jakby powąchała musztardę.

Nie spotkała nikogo. Znajdowała tylko sprzęty ogrodnicze – gumowe węże, drabiny, taczkę, grabie, kłębki sznurka – porozrzucane po drodze niczym ślady naprowadzające poszukiwaczy skarbów.

Na tarasie również nie było żywej duszy. Weszła do mrocznego salonu. Coś mignęło, zwracając jej uwagę na gabloty po lewej stronie. Wyeksponowano w nich rzędy egzotycznych motyli poprzypinanych szpilkami do aksamitnego podłoża. Ich bajecznie kolorowe skrzydła były tak nieruchome i uporządkowane, jak musiały być chaotyczne w swoich trzepotach za życia. Ellie przystanęła przy tych kruchych szczątkach. Ogarnął ją irracjonalny lęk.

Wytłumaczyła sobie, że pewnie to reakcja na wydarzenia na promie. W ostatnich miesiącach jej żaloba i rozpacz zaczęły przechodzić w nieco łagodniejsze stadium. Teraz rana otworzyła się na nowo. Szczerze mówiąc, od początku pobytu na tej wyspie Ellie czuła się jak na skraju załamania nerwowego.

Pod kamiennym gzymsem na metalowej kracie płonął ogień. Kto by rozpałał kominek na początku lata? Ale zorientowała się, że to właśnie refleks płomieni na szklanych gablotach sprawił wrażenie ruchu. Przez dłuższą chwilę stała w odrętwieniu, stropiona swoimi przesadnymi reakcjami, zastanawiając się, gdzie szukać Laurenta. Może wyjść do holu i zawołać?

Po oślepiającym słońcu tego ranka, cieniu w ogrodzie po południu, światło w tym ogromnym pokoju skupiało się na elementach jego wystroju. Przed kominkiem stał fotel, niewielki stolik i antyczna sofa. Dalej fortepian salonowy,

obok lampa. Obraz na ścianie oświetlony wiszącą nad nim świetlówką.

Rozległo się stukanie na kamiennej posadzce.

Ellie drgnęła.

– *Qui est lá?*

W progu stała bardzo stara kobieta, wsparta na lasce. Miała ciężki, świszczący oddech, przypominający szum fal uderzających o brzeg i cofających się.

– To... ja... Ellie Brooke, projektantka ogrodów.

Stukając laską, kobieta ruszyła do fotela przy kominku. Była chuda, na granicy skrajnego wyniszczenia. Nogi, które niosły ją przez pokój i pozwoliły wolniutko opuścić się na siedzenie, przypominały patyczki, jak u czapli. Machnęła dłonią na zaoferowaną przez Ellie pomoc.

Kiedy wreszcie się umościła, oparła o stoliczek laskę o dziwacznej ręczce z zakrzywionego rogu.

– Myślałam, że dawno już pani nie ma – powiedziała kobieta po angielsku.

Poruszały się tylko jej usta, reszta ciała pozostawała nieruchoma jak posąg.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno.

– Przestraszyła mnie pani. Proszę podejść bliżej.

Ellie posłuchała.

– Niech pani będzie tak dobra i zapali to światło.

Na stoliku stała lampa. Ellie sięgnęła pod abażur i znalazła włącznik. Pomiędzy nimi zrobiło się nagle jasno. Ellie patrzyła uważnie na pooraną zmarszczkami twarz, którą miała przed sobą. Namalowane ołówkiem brwi, prawie bez jednego włoska.

– Niech się pani nachyli do światła, żebym panią widziała.

Kobieta zmrużyła oczy. Ellie czuła na sobie badawcze spojrzenie, jakby tamta lustrowała ją centymetr po centymetrze. Oddech, zbyt bliski, był suchy, nasycony pudrem ze słodkawą nutą fiołków, która nie do końca maskowała nieświeży zapach próchnicy. Z trudem powstrzymała odruch, by się cofnąć.

Madame de Fayols, bo bez wątpienia to była właśnie ona, zmierzyła ją surowym wzrokiem, zdawało się już, że coś powie, ale zaraz się rozmyśliła. Zegar głośno tykał, polana w kominku trzaskała.

– Jak teraz wydostanie się pani z wyspy?

– Nie ma takiej potrzeby, zatrzymałam się tutaj, w hotelu.

– To w takim razie jak dotrze pani do miasteczka?

O tym nie pomyślała.

Madame de Fayols wyciągnęła z rękawa szponiasty palec i zadzwoniła malutkim dzwoneczkiem.

Truchtem przybiegła gospodyni. Naradziły się szybko.

– Odwiezie panią mąż Jeanne.



– Czy jest może pan Fayols? Powinam mu podziękować.

– Nie, wyjechał – powiedziała Jeanne.

– Ach tak. W takim razie dobrej nocy – pożegnała się grzecznie Ellie.

W odpowiedzi doczekała się tylko machnięcia ręką. Wychodząc, nie wypatrzyła żadnych śladów obecności Laurenta. Stojąc w drzwiach, zastanawiała się, czy znowu podjedzie po nią bryczka. Ale woźnica, który przywiózł ją tu rano, pojawił się na terkoczącym hałaśliwie quadzie z małą dwuosobową przyczepką.

Wsiadła do niej, witając go miło, ale choć przyjął jej podziękowania, pozostał mrukliwy jak przedtem.

Ryk silnika brutalnie wdzierał się w ciszę wieczoru. Mijali jasne piaszczyste ścieżki, niektóre intrygująco zagłębiające się w piniowy las, inne schodzące aż na brzeg morza. Stopniowo szaroniebieski zarys odległego lądu rozpląwał się w świetle zmierzchu.

\* \* \*

Policjant, który przesłuchiwał ją na promie, siedział przy jednym z wystawionych przed hotelem stolików. Popijał wino i czytał gazetę. Ellie skinęła mu głową, ale kiedy wstał i wskazał jej miejsce obok siebie, zorientowała się, że to na nią właśnie czekał.

– Muszę zadać pani jeszcze kilka pytań w związku z tamtym wypadkiem – powiedział porucznik Meunier bez żadnych wstępów, poza zdawkowym „jak minął dzień”. – Prokurator z portu w Tulonie zażądał dodatkowych informacji.

Była zmęczona, czuła, że powinna wziąć prysznic i przede wszystkim coś zjeść.

– Dobrze – zgodziła się zrezygnowana.

Meunier, świeży jak poranek, przypatrywał się jej bystrym okiem, jak wtedy, kiedy widziała go po raz pierwszy.

– Pewnie z wieczornej gazety zna już pani nazwisko tego człowieka, który poniósł śmierć. To Florian Creys, dziewiętnastoletni student ze Strasburga.

– Nie czytałam gazet.

– Dziennikarz rozmawiał z kilkoma pasażerami promu. Jeden z nich utrzymuje, że młody człowiek mógł zostać zepchnięty.

– Nie sądzę. Stał sam.

– Świadek twierdzi, że obok niego był jakiś mężczyzna w słomkowym kapeluszu.

– Ja to pamiętam inaczej. No ale nie patrzyłam na... tego młodego człowieka przez cały czas.

Porucznik wyprostował się, prężąc muskularne bary.

– A więc to możliwe, że ktoś go popchnął.

– Nie, tego nie mówię. Jestem pewna, że widziałam, jak przechodzi przez

reling na drugą stronę. Wtedy był sam. Chociaż przypuszczam, że wcześniej ktoś mógł stać obok.

– Patrzyła pani na niego w chwili, kiedy przechodził przez reling?

Ellie obracała w palcach wisiołek z łańcuszka na szyi, ale zaraz opanowała się i opuściła dłoń.

– Znajdował się w polu mojego widzenia. Nie wpatrywałam się w niego, ale stanowił część widoku, jaki miałam przed sobą.

– Jest pani tego pewna?

– Na ile można być pewnym czegokolwiek, to tak.

Jednak w tym ogniu pytań obraz, jaki miała w pamięci, nie był już tak jednoznaczny jak przedtem. Uznała jednak za niemądre, by się z tym zdradzić. Lepiej słuchać intuicji, która podpowiadała jej, że się nie myli.

– Czy na pokładzie był jakiś mężczyzna w słomkowym kapeluszu?

– Tak... jeden miał na głowie panamę.

– Czy widziała go pani obok tego chłopaka?

– Nie.

– Nie przypomina sobie pani żadnej takiej chwili?

– Nie.

– Czy rozmawiała pani może z tym mężczyzną w kapeluszu?

– Tak... rzeczywiście.

– O czym?

– Nie pamiętam. Nie, zaraz... Chyba spytałam go, czy widział, co się stało.

Odpowiedział, że tak... widział.

– A potem?

– Poradził, żebym nie patrzyła.

– O co mogło mu chodzić?

– Pomyślałam, że w wodzie musi być coś okropnego. Czego nie chciałabym zobaczyć.

Meunier zanotował.

– Czy wie pani, kim był ten człowiek?

– Widziałam go pierwszy raz w życiu.

– Proszę go opisać.

Spojrzała w dal za policjanta, czując się dziwnie oderwana od tych stolików i krzeseł pod czerwoną markizą i od tego rozległego, pokrytego jasnym pyłem placu, który, jak zdała sobie teraz sprawę, musiał być niegdyś miejscem wojskowych parad. Place d'Armes, przecież to oczywiste.

– Dość wysoki... miał może metr osiemdziesiąt wzrostu... to znaczy, mmm... pewnie był o jakieś piętnaście centymetrów wyższy ode mnie. Ciemne włosy, ciemne oczy, oliwkowa cera. Przystojny. Przed czterdziestką, może nieco starszy, ale mniej więcej w tym wieku.

- Narodowość?
  - Przypuszczam, że Francuz. Nie przesłuchiwał go pan? Zignorował jej pytanie.
  - Czy coś jeszcze w nim zwróciło pani uwagę? Pokręciła głową.
  - Miał na sobie luźną białą koszulę, stylową na swój sposób, o sportowym kroju. To wszystko. Niespecjalnie mu się wtedy przyglądałam. Meunier przesunął w jej stronę po blacie stolika swoją wizytówkę.
  - Gdyby zobaczyła go pani znowu, proszę natychmiast do mnie zadzwonić.
- \* \* \*

Zamierzała zjeść małą kolację i przez resztę wieczoru popracować nad wstępnymi szkicami. Ale kiedy znalazła się na górze w swoim pokoju, położyła się na łóżku kompletnie wyczerpana. Jak ktoś może mówić, że Florian Creys został zepchnięty, skoro ona jest pewna, że stał sam? Dlaczego policja nie przesłuchiwała tamtego mężczyzny w panamie, kiedy jeszcze wszyscy pasażerowie byli na pokładzie? Starła się przypomnieć sobie, czy widziała go po tym, jak powiedział jej, żeby nie wyglądała za burtę. Na myśl o tamtych dochodzących z dołu krzykach przebiegł ją dreszcz. Odwróciła się, jak radził, skupiła wzrok na żagłówkach płynących w oddali, nie całkiem dając radę odegnać od siebie przerażające wizje, które podsuwała wyobraźnia. Nie rozmawiała z nim więcej. Czy nadal był na pokładzie, gdy prom znowu ruszył? Nie potrafiła powiedzieć. Możliwe, że nie.

Ale skoro ktoś twierdzi, że Florian Creys został popchnięty – co jest przecież bzdurą, chyba że kompletnie zawodzi ją pamięć – to czy ten ktoś również powiedział policji, że to zrobił tamten człowiek?

Zamknęła oczy. Próbowwała się uspokoić, ale ogrody też prowokowały pytania. Czy potrafi pracować z Laurentem de Fayols? Czy jest on tak sympatyczny, jak się zdaje, czy ma realistyczne oczekiwania? Dlaczego nie wynajął kogoś z Francji? Gdyby przyjęła zlecenie, czy będzie w stanie kierować podwykonawcami? Czy zdołają zdobyć dla niej odpowiednie rośliny? No i jeszcze to spotkanie z madame de Fayols. Dlaczego w obecności tej starej kobiety, w oświetlonym płomieniami z kominka pokoju, czuła się tak dziwnie niezręcznie?

Wyobraziła sobie tamten ciemny, otoczony cisami ogród i odniosła wrażenie, że zielone ściany zamykają się nad nią. Ufała swojej intuicji, a to wszystko kompletnie wyprowadziło ją z równowagi i czuła narastający niepokój.

W sposób nieunikniony jej myśli powędrowały do Dana, choć bardzo starała się tego wystrzegać. Co można zrobić, kiedy ktoś najbliższy na świecie przestaje być częścią naszego życia? Kiedy o jego nieobecności przypomina każde puste krzesło, zimne miejsce obok nas w łóżku, próżny odruch, by zadzwonić, podzielić się refleksją, widokiem, który mamy przed sobą? Minęły dwa lata, odkąd odszedł,

a jej coraz trudniej było się z tym pogodzić.

Pojawił się w jej życiu przypadkiem, nagle, i znikł z niego równie nagle. Byli razem tylko cztery lata. Zdecydowanie zbyt krótko.

\* \* \*

Nie szukała nikogo takiego jak Dan. Nie wiedziałyby nawet, od czego zacząć, ale kiedy zatrzymał auto – niemal w miejscu – tuż przed jej samochodem, nie miała innego wyjścia, jak też hamować, najlepiej zanim zderzak jej volkswagena wbije się mocniej w bagażnik jego audi. Była już spóźniona na spotkanie. Czekał na nią Ivell, ekspert od rzadkich w Wielkiej Brytanii roślin. Dan wyskoczył z samochodu i rzucił się na pomoc jakiemuś mężczyźnie, który dostał zawału na środku High Street w Chichester.

Patrzyła, jak jednym szarpnięciem odpina kurtkę mężczyzny i zaczyna masaż serca. Wokół zbierała się grupa bezradnych gapiów.

– Wezwijcie pogotowie! – krzyknął.

Ona już trzymała w ręce komórkę.

Kiedy wymieniali dane dotyczące ubezpieczenia, powiedział, że jest lekarzem wojskowym, chirurgiem.

– Zaprogramowany do zdecydowanych akcji – rzuciła, nieudolnie starając się nie flirtować.

Na szczęście, kiedy nadjechali ratownicy, pacjent już odzyskiwał przytomność.

Dan uśmiechnął się.

– W sytuacjach podbramkowych nie za bardzo cackamy się ze sprzętem, powinienem bardziej uważać. Przepraszam.

Zorientowała się, że nie tylko ona patrzy na niego z zachwytem. Blondyn, wysoki, opanowany i pewny siebie.

– Czy mogę postawić pani kawę w ramach przeprosin?

– Byłoby miło... ale, oj, nie mogę. Już i tak jestem spóźniona. Spotkanie zawodowe i...

– To ważne, rozumiem.

Miał na sobie miękką flanelową koszulę w odcieniu chabrów, który, jak dowiedziała się później, był jego ulubionym. W ciemnoniebieskich oczach widać było iskiereczki rozbawienia.

– Ma pan numer mojego telefonu – powiedziała.

Dwa miesiące później wprowadzili się razem do domku pod Arundel.

Obracała pierścionek na palcu. Rubinki i małe perełki. Kupiony w dzielnicy Lanes w Brighton na jej trzydzieste urodziny. Zawsze go nosiła, tak samo jak wisiołek z perłą.

Do dziś nie mogła słuchać wiadomości z Afganistanu, tej upiornej

niekończącej się wyliczanki poległych. Tak strasznie, tak długo się bała, że pewnego dnia usłyszy jego nazwisko. Kiedy afgański pocisk uderzył w podwórko pod szpitalem w Camp Bastion, właśnie schodził z dyżuru, podczas którego operował i uratował życie trojga rannych. Kapitan Dan Wensley, wiecznie w dobrym humorze, co udzielało się innym, z tą swoją niesforną czupryną, niesamowicie niebieskimi oczami, ustami, które zawsze wydawały się gotowe do uśmiechu i potrafiły całować jak żadne inne, z szerokimi barami i sposobem bycia, którym bez słów upewniał wszystkich, że w pełni panuje nad sytuacją i że z nim jest zawsze bezpiecznie. Zginął na miejscu. Tragiczny zbieg okoliczności. Zdarza się, rozdzierając serca bliskich, niszcząc związki, normalne życie. Do tej pory chwilami miała wrażenie, że jest w połowie martwa, zbyt rozdygotana lub odrętwiała, by czuć się normalnie.

\* \* \*

Obudziła się o drugiej w nocy, niezdolna zrozumieć, gdzie jest i dlaczego spała w ubraniu. Coś było nie tak, ale nie mogła sobie przypomnieć co. A potem oprzytomniała i wrócił ten dobrze znany ból serca i paraliżujący strach.

Dan. Chłopak na promie. Ogród. Ogarnęły ją lekkie dreszcze. O szóstej dała spokój próbom, by znowu zasnąć, i wyszła pobiegać. Mijając pustą o tej porze kłitkę recepcji, pomyślała, że drzwi wejściowe mogą być zamknięte. Czy musi kogoś zawołać, żeby je otworzył? Ale poddały się bez trudu, kiedy nacisnęła klamkę.

Powietrze było przyjemnie świeże, gdy ruszała truchtem z mapą w ręce. Na Point de Lequin, dwadzieścia minut na wschód ścieżką wzdłuż wybrzeża, zatrzymała się, pozwalając sercu zwolnić, i rozejrzała się po cieśninie. Wzgórza odległego lądu rysowały się wyraźnie, tak jak może jawić się świat po nocy pełnej koszmarów i przerywanego snu. Gdzieś blisko musiała być Batterie de Lequin, a dalej Fort de l'Alycastre, zbudowane za rządów Richelieu, dwie z dziesięciu warowni, które od wieków broniły przed intruzami skalistego wybrzeża lądu na północy od wyspy.

Pobiegła dalej, przykładając się jeszcze bardziej, by zwiększyć tempo.

*Wtorek, 4 czerwca*

Ellie jadła śniadanie pod czerwoną markizą przed hotelem, starając się rozkoszować chrupkami croissantami z dżemem renklodowym i mocną, aromatyczną kawą.

Po porannym biegu optymistyczniej patrzyła zarówno na siebie, jak i zlecenie. Pięć dni wystarczy, by ocenić ogród, warunki terenu i skalę przedsięwzięcia w Domaine de Fayols oraz przedstawić serię wstępnych szkiców; ale czy to dość czasu, by oszacować Laurenta de Fayols, tego nie była taka pewna.

W powietrzu unosiło się już lekko gorąco. Do torby poza laptopem i papierami wcisnęła kostium kąpielowy i pomaszerowała w kierunku portu do wypożyczalni rowerów. Pojazd, który jej zaproponowano, miał pięć prostych biegów i wygodne wysłużone siodełko. Skinęła głową, zadowolona, że uniezależni się od nieprzewidywalnych środków transportu oferowanych w posiadłości Fayolsów.

Z miasteczka wyjeżdżało się szerokim traktem, mijając znaki prowadzące na plażę, których nie miała jeszcze okazji odwiedzić. Wybrała okrężną drogę, żeby zobaczyć większą część zachodniego wybrzeża wyspy i przypatrzeć się dokładniej położeniu Domaine de Fayols w tutejszym krajobrazie. Piaszczysty żwir chrząścił pod oponami roweru, kiedy jechała drogą wśród zielonych dębów i sosen oraz pinii. Trafiła na *Arbutus unedo*, drzewo truskawkowe, i zjechała z drogi, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Po południowo-zachodniej stronie wyspy z traktu roztaczał się widok na małą zatokę wśród poszarpanych skał. Panował absolutny spokój i cisza. Było jeszcze za wcześnie na hordy turystów i wydawało się, że można się tu uwolnić od całej tej gorączki współczesnego świata, przynajmniej na trochę. Na tej małej odizolowanej wyspie czas jakby przestawał istnieć, miało się wrażenie, że się dryfuje daleko, w oderwaniu od wszystkiego.

Pojechała nabrzeżną ścieżką do Calanque de l'Indienne. Była to bardziej mała zatoczka niż fiord, ze stromym, urwistym brzegiem. Po zachodniej stronie stała latarnia morska, po drugiej spośród drzew i zielonych tarasów ogrodu wylaniał się dom Fayolsów. Ellie zsiadła z roweru. Małe brązowe świerszcze pierzchały na boki, kiedy szła, prowadząc swój pojazd, przez gęste trawy.

W dole, w zatoce, przy końcu stromej ścieżki przycumowano łódź. Turkusowa woda była tak przejrzysta, że widać było zanurzony kadłub nad majaczącymi na dnie bladymi skałami.

Od tej strony wysoki, ciemny żywopłot nikał za drzewami. Te ogrody nadal stanowiły dla niej zagadkę. Nie opuszczało jej wrażenie, że są niewłaściwie zaplanowane i rozmieszczone. Przede wszystkim dlaczego komuś zależało, by zamknąć ogrodami tę szeroką panoramę widokową? To nie miało sensu. Ale może przesadza, za dużo kombinuje. Prawdopodobnie nie ma tu żadnych podtekstów albo celowo projekt został zrobiony wbrew intuicyjnym wyborom. Może dopiero kiedy zacznie rekonstrukcję, wszystko się wyjaśni. Miała tylko wyblakłe fotografie, na których mogła się oprzeć. To było jak patrzenie w zmatowiałe lustro.

Niektóre rzeźbiarskie elementy najwyraźniej odwoływały się do historii, nawiązywały do przeszłości i zamiłowania doktora do antyku. Ale czy nie można było osiągnąć tego w sposób bardziej naturalny, na otwartej przestrzeni, jak przy klasycznych świątyniach budowanych na zboczach otoczonych światłem i powietrzem? Gdyby to zależało od niej i mogła zacząć od początku, pewnie wybrałaby to samo miejsce na skarpie, ale wykorzystałaby warunki i wyeksponowała je w pełnej okazałości. Tymczasem istniejący ogród był ukryty głęboko, jak sekret, który należy chronić.

Zrobiła kilka notatek, szybki szkic łuku, który stanowiłby bardziej obramowanie widoku na morze, niż go przesłaniał, choć nawiązywałby do ciężkiej pierwotnej formy. Kiedy uniosła wzrok, dostrzegła, że z góry, od strony posiadłości, obserwuje ją jakiś mężczyzna.

Mógł to być Laurent, więc pomachała. Nie odpowiedział na jej gest.

\* \* \*

Latarnia morska miała ogromną solidną podstawę. Przypominała komin wyrastający z bunkra. To, co z perspektywy ogrodu pamięci zdawało się mieć lekkie eleganckie proporcje, z bliska okazało się monumentalną konstrukcją.

Ellie popchnęła rower w tym kierunku. Z wysokich drzew skrzeczały ptaki, o których czytała w przewodniku. Ogromne krzaki słynnego w królestwie roślin kopru włoskiego pyszniły się pomponami setek malutkich kwiatków. Strzeliste łodygi tych krewnych cykuty zawierały żywice, które mogły spowodować zatrucie, a nawet padanie bydła. Ale nie było tu żadnych zwierząt.

Obchodząc latarnię, znalazła drzwi. Klamka porzewiała, ale bez trudu dała się otworzyć.

Wewnątrz znajdowało się małe muzeum. A raczej – ponieważ niewiele było gablot, za to na ścianach wisiało sporo oprawionych w ramki fotografii i informacji – prosta izba pamięci przedstawiająca w skrócie historię latarni.

Ellie odruchowo sięgnęła po notes, przyglądając się ścianom w poszukiwaniu widoku na Domaine de Fayols od strony morza.

Największa fotografia została udekorowana francuską flagą i plaketką z datą dwudziestego drugiego sierpnia 1944 roku. Przedstawiała latarnię brudną

i zrujnowaną. Z lewej strony wisiało zdjęcie wielkości plakatu z podpisem w dwóch językach: *Oddziały senegalskie pod wodzą generała Magnana przełamują opór wroga na plaży, by pod osłoną amerykańskich korwet wyzwolić wyspę.* Po prawej znajdowało się kolejne duże zdjęcie. Grupa mieszkańców prowadzona przez Abbé le Cuziat idzie na Place d'Armes. Jak głosił podpis, zebrani spontanicznie zaintonowali Marsylianę. Pieśń rozbrzmiewała mocno w ten bezwietrzny dzień, a niezłomny opat pospieszył na dzwonnice, by wywiesić trójkolorowy sztandar. Było to tuż po wycofaniu się Niemców i wiele domów po lewej stronie placu, podobnie jak piękna rezydencja Fournierów, zwana pałacem, jeszcze się tliło.

Przed tą ekspozycją stał stolik ze szklaną gablotą, w której leżała księga z rzędami dat i liczb, otwarta na zapisach z sierpnia 1944 roku. Para znoszonych rękawic, należąca podobno do Henri Rousseta, latarnika, odznaczonego krzyżem Legii Honorowej za bohaterskie czyny podczas wojny.

Ellie porozglądała się jeszcze kilka minut, ale nie znalazła nic, co nawiązywałoby do posiadłości po drugiej stronie zatoki. Starannie zamknęła za sobą drzwi i powoli podeszła do krawędzi urwiska.

Skaliste, porośnięte krzakami zbocze przypominało leżące w słońcu stare wyleniałe zwierzęta. Światło było tak oślepiające, że o mało nie potknęła się o jakiś wysoki kamień. Popatrzyła pod nogi. Musiał być umieszczony na ścieżce celowo. Z osadzonej w nim cynkowej plakietki wyczytała:

*Angelo, bel Angelo Gabriel*

*Se tu non festi un angelo*

*Non vole resti in Ciel*

*Chanson*

Słońce coraz mocniej przypiekało jej skórę. Kiedy tak patrzyła w dół, nagle ogarnęła ją wielka, rozpiekająca radość, jakby przez moment była bliska odkrycia czegoś ogromnie ważnego, co stale się wymyka. Jednakże to uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło. To pewnie przez wspomnienie wojny, wytłumaczyła sobie, lub śmierć tamtego chłopca, który utonął przy promie. Wszystko prowadziło z powrotem do Dana. Strata i przerażenie były te same, czy wojna szalała na kartach albumu, toczona z rydwanów i skrzydlatych rumaków,



przy strzałach ziarnami granatu przeciwko ciemnym siłom podziemnego świata, czy też kul armatnich z dział okrętów atakujących forty napoleońskie na wyspach, czy toczyła się na upalnych pustynnych terenach afgańskiej prowincji Helmand.

Chciałaby bardzo wierzyć w ciche porozumienie, delikatne znaki, że niektóre dusze nadal żyją, ale nie wierzyła.

Coś kazało jej odwrócić się i spojrzeć w górę na lampę latarni, a wtedy przyszedł jej do głowy słowo: Światło świata. To ją zaskoczyło. Nigdy nie była szczególnie religijna, tym bardziej po śmierci Dana.

Mężczyzna stał nieruchomo, przypatrując się jej.

Dzieliło ich jakieś dziesięć metrów, może mniej. Ręce trzymał wepchnięte głęboko w kieszenie workowatych spodni. Trudno było dostrzec jego twarz w blasku przedpołudniowego słońca. W pierwszej chwili pomyślała, że pewnie ma on coś wspólnego z latarnią i zaraz zapyta, czy chciałaby wspomóc datkiem to urządzone domowym sumptem muzeum. Otworzyła usta, żeby wybąkać nieśmiało *bonjour*, ale tylko uśmiechnęła się blado, bo mężczyzna odwrócił się od niej. Tak jakby kpił sobie z niej, przeprasząc unosząc dłonie. Zrobiło się jej głupio, jakby okazało się, że go niesłusznie o coś podejrzewała.

Spuściła wzrok. Czy to mógł być ten sam człowiek, do którego machała z drugiej strony zatoki? Próbowała przywołać w pamięci tamten obraz, ale na próżno.

Kiedy podniosła głowę, już go nie było.

\* \* \*

– Wczoraj wieczorem przyszedł mi do głowy nowy pomysł. Wpadłem na to, kiedy pani już wyjechała – powiedział Laurent de Fayols. – Co pani myśli o ogrodzie, który byłby zaprojektowany tak, bo go oglądać z powietrza?

Znajdowali się w zastawionej książkami bibliotece, delikatnie oświetlonej i przyjemnie chłodnej po porannym bezlitosnym słońcu nad morzem. Zdjęcia Ellie i szkice ogrodu pamięci leżały rozłożone na stole.

– To byłoby zabawne zadanie, choć o poważnym celu – ciągnął Laurent z wielkim entuzjazmem. – Na pewno słyszała pani o Jacques’u Simonie? Nie? No dobrze, od początku lat dziewięćdziesiątych zajmował się czymś, co nazywano sztuką ziemi. Zakładał na polach uprawy tworzące wzory i obrazy widoczne z powietrza. Te pola zwykle znajdowały się w pobliżu lotnisk, więc oglądano je z lądujących i startujących samolotów.

To było coś tak bardzo innego niż to, o czym dotąd mówili, że kompletnie się pogubiła.

– Myśli pan o tym, żeby tu też zrobić coś takiego?

– Lata tu wiele samolotów wycieczkowych. To mogłoby pomóc w reklamie naszych win.

Ellie zawahała się, niemile zaskoczona. Wykorzystał jej oszołomienie, by wyciągnąć ją z pokoju na taras i na dół do ogrodów.

– Chodźmy, chodźmy! Pokażę pani, co mam na myśli.

Zamiast iść alejką wśród kwitnących glicynii do ogrodu pamięci, poprowadził ją przez sady wśród moreli, brzoskwiń, nektarynek i migdałowców, wyjaśniając jej swoją wizję w drodze do winnicy.

To musi być sprytnie pomyślane, trzeba użyć roślin, które nie zawiodą. Właściwie czemu nie? Jeśli zostanie dobrze wykonane, na pewno przyciągnie uwagę do tych ogrodów i przysporzy popularności zarówno jej, jak i winnicom w Domaine de Fayols. Byłby to wyjątkowy, nowoczesny projekt. Jako zlecenie o wiele bardziej atrakcyjny niż rekonstrukcja tego, co istniało w przeszłości.

– No dobrze... głośno myślę... Jeśli marzy się panu jakiś obraz, chętnie omówię z panem, jak by można coś takiego osiągnąć. To ma być alternatywa dla odnowienia tamtego starego ogrodu?

– Nie, dodatkowe zadanie, oczywiście. Ale nie jestem jeszcze pewien, jak by to miało wyglądać. To bardzo świeży pomysł, rozumie pani.

– No tak.

Kiedy spojrzała w górę, dostrzegła nad sobą mały samolot. Zostawiał na intensywnie niebieskim niebie biały ślad.

– Ogrody zawsze wiązały się z historią i symboliką – mówił dalej Laurent. – Ziemskie raje, dające schronienie przed okrutnym światem zewnętrznym.

– Ma pan rację. To fascynujący aspekt...

– Wiedziałem, że pani to zrozumie!

– Tylko – szukała słów, by wyrazić to w miarę delikatnie – to coś zupełnie nowego... na co nie byłam przygotowana.

Minął zaledwie jeden dzień, a Laurent już wydawał się jednym z tych doprowadzających do szału niezdecydowanych klientów, którzy stale zmieniają zdanie.

– Wierzę w panią, pani Brooke. Nie mam wątpliwości, że osiągnie pani wszystko, co tylko pani zechce. Ale to zadanie nie jest niewykonalne, prawda?

Ellie zadumała się chwilę.

– Oczywiście, to da się zrobić – przyznała, widząc jego optymizm. Niech mu będzie, choć to oznacza sporo dodatkowej pracy. – Mógłby pan opisać, jak pan to sobie wyobraża?

Zaczął sypać pomysłami jak z rękawa. Pokazał jej odmiany winorośli posadzonej w winnicy: *monistel*, *grenache*, *queue-de-renard*, *clairette-pointu*, *cinsault*, *rosé d'Aramon*. zaproponował, żeby popróbowali win; mogłaby przyjrzeć się delikatnym różnicom ich kolorów, na pewno jej się to spodoba.

Ale jeszcze zanim doszli do zabudowań, skreślił nagle w jakąś inną ścieżkę.

– Proszę, chciałbym pokazać pani, co zostało z greckich studni... Ta część

ogrodów otwiera bardzo ciekawe możliwości...

\* \* \*

Tego popołudnia wyjechała z posiadłości z bólem głowy. Za każdym razem, kiedy próbowała porozmawiać na temat odnowienia ogrodu pamięci, Laurent wracał do swojego nowego pomysłu, zareklamowania winnic z powietrza. Wyobrażał sobie rzekę czerwieni i różu, symbolizującą lejące się szerokim strumieniem wino. Ciekawy pomysł, ale Ellie musiała zastanowić się nad tym, jak to osiągnąć w praktyce. Rzeki lawendy już rosły. Ale z jakich roślin można zrobić czerwone fale? Róż, pelargonii, ciemnoczerwonych oleandrów? W najlepszych projektach najważniejsze są wzory i fantazja, ale jednak istnieją granice pomiędzy twórczą wyobraźnią a lekkomyślną fanaberią. A co z pracochłonnym corocznym odnawianiem ogrodu i nietrwałością tego projektu? Nawet rzeka lawendy wytrzyma nie więcej niż jakieś dziesięć lat bez troskliwej opieki.

Na wysuniętym najdalej na północny zachód krańcu wyspy ścieżka schodziła wśród lasu łagodnie w dół ku morzu. Plaża była pusta. Ellie nareszcie mogła popływać. Czowała, jak odżywa w wodzie muskającej jej ręce i nogi niczym satynowa pościel.

Ptaki dziobały coś na brzegu. W pewnej chwili pojawił się tam ktoś, a potem przebiegł pies. Ale kiedy znów się obejrzała, po psie i jego właścicielu nie było już śladu.

Czowała się silna, płynąc do skał przy cyplu. Woda była tak przejrzysta, że Ellie miała wrażenie, jakby odkrywał się przed nią nieznan, pogrążony w ciszy świat podziemnych jaskiń i kwiatów. Zanurkowała, chcąc dotknąć dna. Była już całkiem głęboko, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiła się myśl, że może nigdy nie zdoła wrócić na powierzchnię. Pracowała nogami mocniej, patrząc na swoje blade ręce, jak zbliżają się do konstelacji rozgwiazd, nocnego nieba ponad koralowym ogrodem.

Tępy ból w piersi przybrał na sile. Podwodny świat wokół niej pociemniał. Spanikowała. Jeśli zaraz się nie wynurzy, straci przytomność. Zawróciła w kierunku światła, wierzgając, bijąc pianę, byle szybciej do powierzchni. Kiedy wreszcie wynurzyła twarz, pomyślała: O mało nie utonąłaś.

Szybko podpłynęła do najbliższej skały i chwyciła się jej, spazmatycznie łapiąc powietrze i mrugając. Oczy piekły ją od soli. Co ją napadło? Przecież wszystko było w porządku. Nic się jej nie stało. A jednak ten niejasny niepokój pozostał i utrwalił się w wizji jej ciała na dnie morza, nieruchomej sylwetki z kołyszącymi się wolno, niczym unoszone podwodnymi prądami wodorosty, włosami.

By dowieść sobie, że żyje i ma w sobie mnóstwo sił witalnych, popływała kraulem i na plecach, aż niebo zaczęło płonąć czerwienią zachodzącego słońca.

\* \* \*

W zapadającym mroku sklepy i restauracje otaczały port niczym sznur bursztynowych paciorków. Przy wtórze dzwonek przejeżdżających rowerów powracający z morza żeglarze zeskakiwali z łodzi, witali się i zbierali w grupki, by opowiadać o wiatrach i triumfach minionego dnia.

Ellie podjechała rowerem pod wypożyczalnię.

– Chce go pani znów na jutro? – spytał właściciel.

– Tak, poproszę.

– Przyjemnie się jeździło?

– Bardzo, dziękuję.

Zdała sobie z ulgą sprawę, że znów znalazła się między ludźmi, którzy nie oceniali jej zbyt surowo i z którymi mogła zamienić parę uprzejmych, niezobowiązujących słów. Kiedy dotarła do swojego pokoju w Oustaou, podłączyła laptop do ładowania i sprawdziła, czy ma jakieś wiadomości w telefonie. Było ich kilka. Najpierw oddzwoniła do biura.

Jej współpracowniczka Sara odebrała po drugim dzwonku.

– Nareszcie! Próbowałam się z tobą połączyć i trafiałam stale na pocztę głosową.

Miło było słyszeć głos Sary, wyobrazić sobie, jak podskakują jej rude loki, kiedy próbuje zrobić z sześć rzeczy naraz wolną ręką, nadal siedząc w sąsiadującym ze żłobkiem biurze, tuż pod Chichester.

– Prawie cały dzień byłam z klientem.

– I jak idzie?

– Nooo... Nie jest łatwo, ale miejsce cudowne. Morze, niebo i słońce wszędzie dokoła... niestety poza miejscem, które trzeba odrestaurować. Jest jednak wiele rozwiązań. W sumie może to być coś niebywałego.

– Ale?

– Ale... – Jak mogła to wyjaśnić? – Nie ma żadnego „ale”. Zakres prac, o których mówi klient, jest trochę przytłaczający, nie chodzi tylko o ogród pamięci. Trzeba będzie wiele zrobić w pozostałych, które do niego prowadzą.

Cisza po drugiej stronie połączenia sugerowała, że Sara ma wątpliwości, czy przyjęcie takiego zlecenia jest dobrym pomysłem. Ale przeciwiczyły już wielokrotnie omawianie za i przeciw. To był biznes, wielka okazja, żeby wejść na rynek międzynarodowy.

– Nie musisz zawsze być taka... twarda, wymagająca wobec siebie, Ellie. Możesz przyznać, że to za dużo.

Ellie zawahała się. Ale w końcu zdecydowała, że nie powie swojej współpracownicy o chłopaku z promu; przywoływanie raz jeszcze tego zdarzenia nic nie pomoże.

– Słuchaj, zadzwonię za dzień, dwa i dam ci znać, jak mi idzie. Sporo tu zmiennych decyzji i... nie wiem, atmosfera jest trochę dziwna. To wszystko nie będzie takie proste.

– Co masz na myśli?

– O, nic... chyba tylko jestem zmęczona. Trudno mi zebrać myśli.

– Nic się nie stało? Dobrze się czujesz?

– Tak... Muszę się lepiej rozejrzeć. To może być dla nas wielkie wyzwanie, szansa, żeby się wykazać, ale, oczywiście, muszę mieć pewność, że damy sobie z tym radę.

– Biorąc pod uwagę warunki, może najlepszym rozwiązaniem byłoby przygotowanie projektów i zostawienie wykonania klientowi?

– Może masz rację, jednak jeśli chcemy się tym pochwalić, powinniśmy czuwać nad realizacją. Jestem pewna, że to da się zrobić, ale trzeba wszystko dobrze obmyślić. Może warto rozważyć wynajęcie podwykonawcy lub współpracę przy zakupie roślin i sadzeniu z jakąś solidną tutejszą firmą.

– Chciałabyś, żebym przyjechała? Za kilka dni kończymy zlecenie u Akehurstów. Mogę wsiąść w samolot i jestem.

– Nie, nie warto. Niedługo wracam. Ale mogłabyś zrobić jakieś rozeznanie wśród firm ogrodniczych w Prowansji, do których mogłybyśmy się zwrócić.

– Może jednak przydałoby się...

– Nie, naprawdę, to niepotrzebne dodatkowe koszty... Laurent de Fayols płaci za podróż i pobyt tylko jednej z nas. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, będziemy miały ledwie na pokrycie kosztów, a w dodatku trzeba by było na ten czas zamknąć firmę.

– No, skoro tak sądzisz...

– Pewnie.

\* \* \*

Tego wieczoru nie poszła nigdzie dalej. Zjadła kolację przy jednym ze stolików wystawionych pod czerwoną markizą hotelu. Tym razem porucznik Meunier się nie pojawił. Wsunęła dłoń do kieszeni dzinsów. Nadal tkwiła tam jego wizytówka.

– Taka pani poważna, stale zamyślona – powiedział Jean-Luc, stawiając przed nią talerz prowansalskich przekąsek.

– Może... Jean-Luc, zna pan tu takiego mężczyznę... który nosi kapelusz, panamę, i białą lnianą koszulę? – Już kiedy wypowiadała te słowa, czuła, jakie to głupie. – A zresztą nieważne. Pewnie są tu takich setki. Ja...

– Wcześniej czy później każdego spotka się tutaj.

Uśmiechnął się, jakby wiedział, czemu pyta.

Niech sobie myśli, co chce. Miał jednak rację – Place d'Armes wyraźnie

stanowił bijące serce wyspy. W lepkawym upale mężczyźni grali w bule. Wieczorny tłum składał się przeważnie z rodzin z dziećmi i starszych par. Wszyscy ubierali się bardzo prosto, bez puszenia się. Nieliczne grupki nastolatków zachowywały się spokojnie i grzecznie. Atmosfera jak to na wyspie, w kurorcie żeglarskim. Pełno ludzi zamożnych, ale nieafiszujących się ze swoim bogactwem, burżuazja w dobrym stylu, *bon chic, bon genre*. Bywali tu od kilkudziesięciu lat, spotykali się każdego lata, ich dzieci dorastały razem, spędzając długie dni na świeżym powietrzu.

Kiedy skończyła jeść, przeszła się wśród tego tłumu, rozglądając się uważnie. Przystanęła przy kilku lodziarniach, żeby nie wzbudzać podejrzeń, że tak chodzi w kółko po placu. Mieli niezwykle smaki – lawendowe, lukrecjowe, szarlotkowe, kandyzowanej pomarańczy, gorzkiego karmelu i jakieś zagadkowo niebieskie podpisane *Smerf*. Żadnych nie spróbowała i nie zauważyła nikogo, kto by przypominał mężczyznę, z którym rozmawiała na promie.

*Środa, 5 czerwca*

Następnego dnia pojawiła się w Domaine o dziewiątej rano, w nadziei, że pokaże Laurentowi wstępne szkice ogrodu i że on się na ten temat wypowie.

– Pojechał do Paryża – poinformowała ją Jeanne.

– Ach, tak.

Uśmiech gospodyni był tak wąły jak jej ciało.

– Nie mówił pani?

– Nie.

– Zostawił pani wiadomość.

Na stole w bibliotece leżał słownik botaniczny poświęcony roślinom tego regionu z notatką, znów sporządzoną wiecznym piórem.

*Kolejny pomysł! A gdyby część ogrodu pamięci poświęcić na zioła lecznicze? Doktor eksperymentował z uprawami roślin, które wykorzystywał w leczeniu.*

To wszystko. Żadnego uprzejmego „przepraszam” czy wyjaśnienia nagłego wyjazdu. Podniosła wzrok na smugę światła, w której wirowały drobinki kurzu. W świetle dnia po raz pierwszy zauważyła, jak bardzo zniszczona jest większość mebli, jak spłowiałe są kolory dywanów leżących na wyłożonej kaflami podłodze.

Przyszło jej do głowy, że nie wiadomo, czy naprawdę znajdzie się dość pieniędzy na odnowienie starego ogrodu, nie mówiąc już o pełnych rozmachu planach, do których tak się zapalił Laurent. Patrzyła na odbitkę jednej ze starych, nadgryzionych zębem czasu fotografii z rosnącym rozdrażnieniem. Zdarzało się jej i wcześniej, że dała się zwabić i tylko straciła czas przez czyjeś urojenia i wybujałe ego.

Tym razem natychmiast rozpoznała stukanie o posadzkę. Świszczący falujący dźwięk, wdech i wydech, zapowiadał przybycie madame de Fayols.

– *Bonjour*, madame.

Ta tylko machnęła ręką na jej powitanie, przystanąła chwiejnie, a potem zaczęła zbliżać się do Ellie w sposób nieunikniony niczym osa do wiktuałów na sierpniowym pikniku.

– Po pożarze nie mogłam już mieszkać sama, a w każdym razie tak uznał burmistrz, kiedy przyszedł mnie odwiedzić ze swoim zastępcą i jakąś nieznaną mi kobietą z gminy. Całkiem jakby uważali, że trzeba się mną zajmować niczym dzieckiem. A przecież to był tylko mały ogień, choć pokój strasznie się okopcił.

Zarechotała dziwnie, ubawiona tym określeniem.

– Wyglądało to gorzej, niż było. Para, która się tu sprowadziła, by zapewnić

mi opiekę, pomalowała ściany tanią farbą, ale nie mogłam tam wytrzymać, bo sadze szybko przebiły się przez cienką białą warstwę, więc wyłączyliśmy ten pokój z użytku.

Ellie nie miała pojęcia, co na to powiedzieć.

– I wtedy Laurent postanowił wrócić z Paryża. Musiał, ze względu na mnie, rozumie pani. To był dobry zbieg okoliczności, biorąc pod uwagę jego sytuację. Ale od czasu do czasu musi tam jeździć, żeby dopilnować spraw. Nie możemy oczekiwać, że będzie tu bez przerwy.

– Oczywiście – rzuciła Ellie.

Może i miał dobre chęci.

– Jest hazardzistą, wie pani, jak jego ojciec. Czasem szczęście mu dopisuje, a bywa że... No, nie ma co roztrząsać tego, co było.

Ellie pokręciła głową.

– Jak się jest młodym, dokonuje się wyborów, a przez resztę życia się za nie płaci – kontynuowała madame de Fayols, patrząc równie surowo jak poprzedniego wieczoru. Wskazała na kartkę i otwartą książkę na stole. – O to w tym wszystkim chodzi. I proszę nie zarzucać mi, że nie staram się pomóc, jak tylko potrafię.

Dziwna wypowiedź.

– Pani syn mówił mi o doktorze. Rozumiem, dlaczego chcą państwo zachować ogród poświęcony jego pamięci.

– Wszystko ma swoją cenę.

– Racja... Zabiorę to z sobą, może znajdę tu coś na temat dawnego ukształtowania ogrodu.

Ellie zamknęła książkę, żeby jak najprędzej wydostać się z tego pokoju.

– Niech pani to zrobi – powiedziała madame. – Ale pani dalej nic nie rozumie, co?

– Słucham?

– Nic, nic. Musimy uważać na przeszłość. Może wrócić, żeby nas ukąsić.

– Co pani ma na myśli?

Ale stara kobieta tylko się uśmiechnęła.

\* \* \*

Korytarz z glicynii i zamknięte zielone przestrzenie wydały się jej przyjemnie znajome, kiedy wędrowała w dół do ogrodu pamięci.

Cztery kamienne urny, których nie było tu poprzedniego dnia, ustawiono w rogach basenu. Czy to oryginały? Musi sprawdzić. Laurent pewnie polecił swoim ogrodnikom wydobyć je z magazynu albo przynieść z innej części ogrodów. Posadzono w nich lilie, bez sensu. Nie zapuszczają korzeni. Czysta strata, skoro wszystko tu ma być rekonstruowane. Czy to coś w rodzaju aluzji, by przypomnieć jej o głównym celu tego ogrodu?



Na końcu basenu pojawiła się też ławeczka. Całkiem możliwe, że ta sama co na zdjęciu. Musiała być kiedyś rozbita i została byle jak naprawiona. Kamienny wąż, który niegdyś wił się wzdłuż przedniej krawędzi, stracił głowę, a jedna strona siedziska była wyszczerbiona. Mimo to ławka wydawała się dość solidna i mogła się przydać. Ellie wyciągnęła z torby laptop i szkicownik i usiadła. Czy Laurent de Fayols był na miejscu, czy nie, płacił za tygodniowe konsultacje i na pewno oczekiwał jakichś konkretów za swoje pieniądze.

Kiedy patrzyło się na ścianę zieleni, łatwo było się zagubić w wyobrażeniu tego, co tu niegdyś istniało. Rysowała szybko i robiła notatki na temat roślin i światła.

Zauważyła jakiś ruch po drugiej stronie basenu. Z miejsca, gdzie siedziała, widziała połyskującą srebrem tafłę wody. Jednak skądś pojawiły się na niej małe kręgi. Zaciekawiona, wstała i zajrzała, opierając stopę o kamienny murek. Z tej perspektywy woda wydawała się szara jak cyna. Zobaczyła w niej swoje odbicie. Wyraźne i nieruchome.

Za nią mignęła jakaś męska sylwetka.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Obróciła się gwałtownie.

– Tak? Kto tu jest?

Nikogo nie było.

Zaszokowana, spojrzała znów na swoje odbicie w basenie. Była sama. Ukłękła, opierając się rękami o krawędź murku, żeby się pochylić nad wodą. Nic, tylko spokojne błyszczące czarne lustro. Kiedy się cofała, po powierzchni przemknął cień ptaka.

Nie mogła opanować drżenia. Siedziała chwilę na ziemi, oszołomiona reakcją swojego ciała. Kiedy lęk zelżał i próbowała wyjaśnić sobie logicznie, co jej się przywidziało, nie umiała pozbyć się wrażenia, że ten ktoś, kto jej mignął, przypominał mężczyznę, który podkradł się do niej przy latarni. Wbrew logice jego postać rysowała się jej coraz wyraźniej – butna postawa, luźne ubranie i to, że stał tak nieruchomo, co powodowało dziwne poczucie zagrożenia. Ale nikogo nie było. Jak mogła zobaczyć odbicie kogoś, kogo nie ma?

Czuła mrowienie w plecach. Wyobraźnia poszła w ruch i Ellie nie umiała tego opanować; zdawało się jej, że ktoś ją obserwuje. Ostrożnie popatrzyła w prawo, w lewo. Ale poza skrzypieniem drzew było cicho. Obejrzała się lekko. Nikogo nie dostrzegła. Zza liści przebiło się kilka promieni słońca i zamigotało na trawie.

Wytracona z równowagi, zła na siebie, próbowała skupić się na fotografiach. Patrząc przez szkło powiększające, starała się zidentyfikować rośliny, które mógł mieć na myśli Laurent, mówiąc o ogrodowej aptece.

Poczuła na sobie jakiś cień. Tym razem postać się zdematerializowała. Tęgi jegomość o wydatnym brzuchu, na który wciągnięte były niebieskie robocze

spodnie. Niewątpliwie jeden z pracowników z tej posiadłości.

– *Bonjour, monsieur.*

Wyraźnie bił się z myślami, chcąc pominąć grzeczności, ale w końcu dobre wychowanie wzięło górę.

– *Bonjour, madame.*

– Przyszedł pan pokazać mi źródło wody? – spytała powoli po angielsku. – *La source?*

– *Non.*

Patrzył podejrzliwie na fotografie, jej notatki i piersi.

– *Pourquoi vous êtes ici?*

I zasypał ją potokiem słów, z których większości nie rozumiała. Miał mocny południowy akcent i wygłosił swoją przemowę, nie patrząc jej w oczy. Ale sens do niej dotarł. On i inni ogrodnicy nie mogli pojąć, po co ją tu sprowadzono. Łatwo poradziliby sobie sami z tym co trzeba. A madame nigdy nie chciała odnawiać starego ogrodu; była zadowolona, że dziczeje.

Kiedy tylko się wygadał, odmaszerował, zanim zdołała sformułować jakąkolwiek odpowiedź. Nie był to więc emisariusz wysłany przez Laurenta, ale niewykluczone, że przez jego matkę.

Tak szybko, jak tylko sumienie jej pozwalało, mając wystarczająco dużo notatek i szkiców, by uznać to za przyzwoity dorobek z dnia pracy, Ellie pozbierała swoje rzeczy. Marzyło się jej znalezienie nowej zatoczki na kąpiel i powrót do przyjaznej, swobodnej atmosfery Place d'Armes. Docierała już na szczyt schodów wiodących na taras, gdy pojawiła się Jeanne.

– Madame chciałaby, żeby zjadła pani z nią dziś kolację.

Szukała wymówki, ale miała pustkę w głowie.

– Zaprowadzę panią do pokoju, gdzie może pani wziąć prysznic i się przebrać.

– Przykro mi, ale w co? Mam tylko to, co na sobie.

– Proszę za mną.

Ruszyły po szerokich kamiennych schodach i dalej ciemnym korytarzem. Jeanne otworzyła jakieś drzwi i poszła przodem, by odryglować okiennice. Kiedy zrobiło się jasno, Ellie dostrzegła znajomą torbę stojącą w nogach łóżka.

– A to co, na Boga?

– Madame poprosiła, by zorganizować przewiezienie tu pani rzeczy z hotelu. Uznała, że będzie wygodniej, jeśli zamieszka pani tutaj na resztę pobytu.

– Ale...

– Państwo de Fayols znają wszystkich na wyspie. Nie było z tym żadnych problemów.

Ellie pokręciła głową, wiedząc, że jest na przegranej pozycji.

– Kolacja będzie podana o ósmej. Madame zaprasza o siódmej trzydzieści na

taras na *apéro*.

Meble w pokoju, który przygotowała dla niej Jeanne, były ciemne i ciężkie – duża drewniana szafa i komoda miały misterne rzeźbienia. Podobnie jak masywny, przedstawiający jakąś skomplikowaną scenę zagłówek, który wieńczył łóżko – dwuosobowe, choć niezbyt obszerne, za to bardzo wysokie. Sprawdziła dłonią materac. Był zaskakująco miękki. To ją trochę podniosło na duchu.

Ale teraz musiała jak najszybciej odezwać się do Sary, dać jej znać, gdzie jest. Żeby w ogóle ktoś to wiedział.

Sięgnęła do torby po komórkę. Potem pogrzebała głębiej. Nie było jej tam.

Z bijącym sercem zastanowiła się chwilę. Czy na pewno rano włożyła telefon do torby? Tak, przecież specjalnie sprawdzała. Czy zostawiła gdzieś tę torbę? Nie, miała ją tu stale przy sobie. Czy może postawiła ją gdzieś na chwilę w miasteczku, gdzie z tej okazji mógł skorzystać jakiś złodziej?

Jej torby podróżne stały na podłodze. Wydawały się jednak dziwnie zapadnięte. Rozpięła suwak i zobaczyła, że brakuje chyba z połowy rzeczy. Przysiadła na piętach. Zakręciło się jej w głowie. Wstała i otworzyła szafę. Jej sukienki i czyste spodnie wisiały na wywatowanych, obszytych jedwabiem wieszakach.

W łazience po drugiej stronie korytarza czaiła się ogromna wanna o wywiniętych brzegach; była tu też wyłożona kafelkami kabina prysznicowa z całą skomplikowaną maszyną dźwigni i pokręteł, niemodernizowanych od lat, z których wydobywała się para. Wyciągnęła rękę do kranów, gotowa natychmiast ją cofnąć, gdyby okazały się gorące, ale obłoczek okazał się lodowaty. Zaskoczona, spróbowała puścić ciepłą wodę, ale na próżno. W końcu zrzuciła ubranie, wskoczyła na chwilę pod zimny strumień i dygocząc, szybko się umyła.

\* \* \*

Wskazano jej pokój z boku. Z draperiami z ciężkiego materiału. W dwóch szklanych urnach w kolorze rubinu paliły się świece. Spoczywając na szezlongu niczym odaliska, madame de Fayols skinęła palcem w kierunku karafki stojącej na koronkowej, ręcznie robionej szydełkiem serwetce.

Na ten gest Jeanne zrobiła krok naprzód, nalała amarantowego trunku do ciężkiego kielicha z rżniętego kryształu i podała go Ellie.

– Woda życia nasycona aromatem mirtu – powiedziała stara kobieta. – Spróbuj!

Obserwowała uważnie, jak Ellie podnosi kielich do ust.

– To mirt z naszego ogrodu. Jagody z miodem zalewam tutejszym bimbrem, ale sekretny składnik to kwiat, dodawany w ostatnim dniu. Piękny biały kwiatusek utopiony w purpurze na jeden krótki dzień.

Likier smakował duszonymi śliwkami. Nie był niedobry, ale bardzo mocny.

Uderzył Ellie do głowy po pierwszym łycku.

Jeanne podeszła z lampą naftową, rzucającą światło na szafki i szereg ozdobnych gablot pełnych osobliwości. Ciężkie chińskie antyki inkrustowane masą perłową stały niezgrabnie obok delikatnych szklanych wazonów i fragmentów kości wielorybich, na których misternie wyrzeźbiono sceny morskie.

Starsza pani powiodła wzrokiem za spojrzaniem Ellie.

– Rodzina de Fayols mieszka tu od trzech pokoleń – wyjaśniła. – Doktor był wielkim kolekcjonerem i podróżnikiem. Nie tylko różnych przedmiotów, ale również okazów botanicznych. Czy Laurent mówił pani, że kiedyś był tu ogród z ziołami leczniczymi?

– Tak, wspominał o tym. Świetnie mówi pani po angielsku, madame.

Za każdym razem, kiedy rozmawiały, angielski madame de Fayols wydawał się doskonalszy.

Na ten komplement staruszka parsknęła mało przystojnym jak na damę śmiechem.

– Nie jestem Francuzką, ale Brytyjką. Albo byłam, bardzo dawno temu. Dobrze, że nie powiedziałaś czegoś paskudnego na mój temat Laurentowi, myśląc, że nie rozumiem, ogłuchłam albo brak mi piątej klepki.

– Nie zrobiłabym czegoś takiego – wymamrotała Ellie.

– Nie. Sądzę, że nie.

W jej jaszczurczych oczach błysnęły iskierki rozbawienia, którego powodu najwyraźniej nie miała zamiaru wyjawiać.

Teraz, kiedy Ellie oswoiła się z jej akcentem, wydawał się on nie tyle obcy, co archaiczny. Samogłoski wymawiała jak arystokraci. Rzadko dziś spotykało się coś takiego, chyba że w kinie i w starych kronikach filmowych.

– Laurent jest bardzo dobrym synem. Miał świetną posadę w administracji państwowej. Zrobił dyplom z nauk politycznych na Sorbonie w Paryżu, a potem studiował jeszcze na jednej doskonałej uczelni bardzo cenionej w kręgach francuskiej biurokracji. Jego pierwsza żona rozwiodła się z nim, druga jest dużo młodsza. Zajmuje się sztuką. Jak mogłaby porzucić Paryż dla jakiejś wysepki? Świetne miejsce na wakacje, ale nic poza tym. Ona myśli poważnie o swojej pracy i, co w przypadku kobiety jeszcze ważniejsze, jest traktowana poważnie. Jednak kiedy Laurent przeszedł na emeryturę, coraz bardziej ciągnęło go na wyspę. No i wtedy ja już nie mogłam mieszkać sama.

To nie była całkiem ta sama historia, którą opowiadała tego dnia rano. Poza tym starsza pani wydawała się teraz mówić składniej. Może zażyła jakieś leki, które przywróciły jej jasność umysłu.

– Jak to się stało, że pani...

– Że tu wylądowałam? To długa historia.

Ellie spodziewała się, że musi cierpliwie zamienić się w słuch, ale nagle

wkroczyła Jeanne.

– Tak, teraz możesz mi przynieść telefon – powiedziała madame.

Pojawił się stary aparat, za którym włókł się długi sznur podłączony do tradycyjnego gniazdka. Gospodyni wykręciła numer.

– Laurent... dziewczyna jest tutaj.

Podąła słuchawkę Ellie.

– Halo?

– O, moja droga, naprawdę przepraszam. Niecierpiące zwłoki sprawy służbowe. Nie dało się na to niestety nic poradzić.

– Rozumiem.

Teraz pojnowała, skąd u niego tak świetny angielski.

– Proszę obiecać, że zaczeka pani do mojego powrotu. Jestem pewien, że w Domaine będzie pani wygodnie.

– Kiedy pan wraca?

– Niedługo, za dzień, dwa. Ale musimy przedyskutować plany, zanim pani wyjedzie. Nie da się nic porządnie ustalić, jak się nie ma przed sobą rysunków, prawda?

– Racja – przyznała Ellie.

– No to jesteśmy umówieni.

– Czyli...

– Świetnie. W takim razie widzimy się za parę dni.

Połączenie zostało przerwane, bez pożegnania.

Ellie oddała słuchawkę Jeanne, która czekała tuż obok z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

\* \* \*

Podczas kolacji, do której nakryto na końcu długiego stołu w przytłaczająco pustym pokoju, panowała ponura atmosfera.

Potrawkę z kury nałożono jedynie Ellie. Madame de Fayols nie pozwoliła postawić przed sobą dużego talerza, zgodziła się jednak, by podsunąć jej ten mniejszy, przygotowany z boku nakrycia, ale po powąchaniu potrawy szybkim gestem kazała zabrać od siebie półmisek.

– Jedzenie już mnie nie cieszy – powiedziała. – Ale niech się pani nie krępuje, proszę zaczynać.

Uśmiechnęła się. Albo nie zdawała sobie sprawy z zakłopotania Ellie, albo okrutnie bawiła się jej kosztem. Czy te drobne złośliwości były zamierzone, czy też w sposób naturalny wynikały z osamotnienia sędziwej damy, która była potrójnie wyizolowana ze świata: mieszkała w wielkiej prywatnej posiadłości, na wyspie, z dala od swojej ojczyzny.

Pomimo głodu Ellie starała się jeść tak, jakby i ona miała w pogardzie ten

zwyczaj.

Madame de Fayols sączyła białe wino z kieliszka.

– Wydaje się pani bardzo młoda. Zdaje sobie pani sprawę, że tworzenie ogrodu to praca wymagająca czasu, prawda? Można pojmować naturę, to, jak rośliny rosną, zmieniają się... i całą tę stronę naukową... ale ci, którzy chcą, by ich ogrody przetrwały, muszą też rozumieć przeszłość i wybiegać myślą naprzód.

Ellie powstrzymała się przed odpowiedzią, która cisnęła się jej na usta.

– Jak tu wyglądało, kiedy pani przyjechała?

– To były zapuszczone, surowe okolice.

– Próbuję to sobie wyobrazić... zaniedbane, pozarastane ogrody... Zostały tylko gaje cytrusowe i oliwne, karłowate krzewy, typowy krajobraz prowansalskiego garigu?

– Tak, większość terenu zdziczała. Ale ogrody rozplanowano grubo przed wojną. Żywopłoty trzymały się mocno. Poza tym był ogród roślin leczniczych, ma się rozumieć. Doktor założył go podczas wojny, jak sądzę, kiedy nie można było liczyć na dostawy środków medycznych. No i, oczywiście, istniał warzywnik.

– I to pani z mężem stworzyła ogród upamiętniający doktora?

Starsza dama skinęła głową.

– A co pani o tym myśli?

– To... intrygujące.

– On żyje swoim życiem, ten nasz ogród.

Żując mały kawałek kurczaka, Ellie skinęła głową na znak, że rozumie. Cmy uderzały o szybę przeszklonych drzwi na taras, za którymi majaczył tonący w ciemnościach ogród.

– O, na pewno nie wie pani, co mam na myśli. Ten ogród, odbicie cudzych nieszczęść, wciąga. Trzyma mocno. Nie odpuści, żeby człowiek nie wiem jak próbował się wyrwać.

– Nie bardzo rozumiem...

Czy to była aluzja do Laurenta i jego nagłego wyjazdu?

– Największy szok, jaki może nas spotkać, to kiedy odkrywamy, że ktoś, kogo kochamy, nie jest tym, za kogo go uważaliśmy. Im więcej na to dowodów, tym trudniej patrzeć na niego tak samo jak przedtem. Bez względu na okoliczności, zwykle to drobiazgi nas zdradzają.

Ellie z trudem przełknęła jedzenie. Może wcale nie chodziło o to, żeby coś z tego zrozumiała. Madame de Fayols zdawała się znajdować przewrotną przyjemność w robieniu jej mętliku w głowie.

Pani domu naciągnęła szal, żeby się nim lepiej otulić, jakby było jej zimno.

– Ale pewnie o tym to pani sama dobrze wie, prawda?

Ellie przed szukaniem odpowiedzi uratowało ponowne pojawienie się Jeanne, która przyniosła tacę, postawiła ją ostrożnie i wycofała się z pokoju bez

słowa.

– Filizankę herbaty, pani Brooke?

– Z przyjemnością, tego mi właśnie trzeba. Poproszę.

– Dobra czarna herbata. Ona jedna przypomina mi rodzinne strony.

Wśród ciszy słyhać było jedynie szmer nalewanej z porcelanowego dzbanka herbaty.

Ellie odpłynęła myślami.

– On jest nawiedzony, wie pani.

– Słucham?

– Jest nawiedzony.

– Co takiego?

– Ogród. To tam odbyła się egzekucja, tam go zastrzelili.

– Kogo?

– Dobrego doktora. Laurent nic pani nie mówił?

– Nie, o tym nie wspominał.

– Niech pani powie, czuła pani coś dziwnego w ogrodzie? Jakąs zmianę temperatury? Miała pani wrażenie, że ktoś panią obserwuje?

– Temperatura jest tam zawsze bardzo przyjemna. To przez ten wysoki żywopłot, nawet w lecie.

– Nie odpowiedziała pani na zasadnicze pytanie.

Ellie spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie. No, tyle że... dziś po południu ktoś się tam pojawił.

– Tak?

– Mężczyzna. Przypuszczam, że tu pracuje. Powiedział, że jest ogrodnikiem i że wykonałby tę pracę bez mojej pomocy. No, w każdym razie o to mu chodziło.

– Krępy, w niebieskich drelichach?

– Tak, to on.

Trzęsącą się dłonią madame wyciągnęła papierosa z papierośnicy i zaczęła manewrować cienką zapalniczką. Papieros zwisał z jej wilgotnej dolnej wargi. Dopiero po dłuższej walce udało jej się go zapalić. Wypuściła z ust mały obłoczek dymu.

– To Picolet. Nie dałby sobie z tym rady. Nie jest już taki sprawny.

Zabawne, że mówi to osoba w jej wieku.

Madame zaciągnęła się znowu z teatralnym gestem, który niegdyś mógł wydawać się uwodzicielski.

– Nie chodzi mi o Picoleta. – Wydychała dym, pokaszując chrapliwie. – Albo jest pani wyjątkowo mało spostrzegawcza, albo pani kłamie, pani Brooke. Wie pani dokładnie, o czym mówię.

– Wolalabym nie zgadywać.

– Czy kiedykolwiek czuła pani wokół siebie obecność duchów?

– Niespecjalnie się zastanawiam nad takimi sprawami.

Obłoczek papierosowego dymu snuł się pomiędzy nimi.

– Ach, cóż za pewność. Tyle że wcale nie jest pani tego tak pewna, prawda?

– Nie wierzę w duchy, jeśli o to pani pyta.

– Jednak rozumie pani, co to znaczy, że jakieś miejsce jest nawiedzone. Jaki jest pani stosunek do zjawisk, które według wielu świadczą o obecności duchów?

– Sądzę... że te zjawiska są oznaką problemów psychicznych.

Słyszając wypowiedziane przez siebie słowa, miała wrażenie, że płyną wprost z jej podświadomości. Tak jakby nie miała pojęcia, czy rzeczywiście tak myśli.

– To się zdarza, niepokój, stres... – dodała bez przekonania.

– No tak. Niepokój to na pewno. Ale raczej jako skutek nawiedzenia, a nie przyczyna, oczywiście.

Ellie wpatrzyła się w swoje dłonie trzymające filiżankę. Dziwna rozmowa i dziwne, jak ta kobieta potrafiła przeniknąć jej myśli. Poczowała zakłopotanie i przemożną chęć ucieczki.

– Wiesz, nie od wszystkiego da się uciec.

Ellie zmartwiała. Odstawiła filiżankę i odruchowo wyprostowała się na krześle.

– Na pewno to możliwe, by w ogrodzie wyczuwać nastrój, odczytywać sygnały w nim zapisane. Ogrody można zakładać i obsadzać tak, by tworzyły określoną atmosferę. Tak jak domy mebluje się i urządza zgodnie z konkretnym gustem, budując klimat. Najważniejsze jest wykorzystanie światła i przestrzeni. Tutaj, w ostrym słońcu lata, czerwienie i jaskrawe żółcie są zbyt nachalne... gryzą się ze sobą, niepokoją. Chodzi przede wszystkim o reakcje emocjonalne.

– Zawsze racjonalna panienska, ze swoimi logicznymi wyjaśnieniami.

Ellie była wykończona. W tej pokrętej wymianie zdań ze starszą panią krył się jakiś głębszy sens.

– A co mamy poza tym?

– Czy sądzi pani, że wszystko da się wytłumaczyć?

– No, jeśli chodzi pani o absolutnie wszystko, to nie. Ale tylko dlatego, że nie mamy jeszcze dość wiedzy.

Madame de Fayols uśmiechnęła się dziwnie.

– Przynajmniej co do tego jednego nareszcie jesteśmy zgodne. – Jak ptaszek upiła malutki łyk herbaty. – Od jak dawna interesuje się pani wojną, pani Brooke?

– Jestem... Ogród w Chelsea był zamówieniem od organizacji charytatywnej. Przyszli do mnie z tematem i pewnymi pomysłami. Cały czas pracowałam pod ich kierunkiem.

Stara kobieta ze znużeniem zmierzyła ją wzrokiem.

– Nie jest pani zbyt szczęśliwa, co?

Ellie zdobyła się na swój najbardziej promienny profesjonalny uśmiech.



– Ależ nie, wszystko w porządku. Skąd taka myśl? To bardzo interesujący projekt.

Nastąpiła kolejna dłuższa chwila milczenia.

– Mam na myśli w ogóle. Twoje życie nie ułożyło się całkiem tak, jak chciałaś.

Ellie patrzyła na nią ze zgrozą. Nie miała pewności, czy zdoła nadal zachowywać się grzecznie.

– Odnowienie ogrodu to nie był mój pomysł – oznajmiła z nieco złośliwą satysfakcją starsza pani. Woskowa pomarszczona twarz skrzywiła się z pogardą. – Ale skoro mój syn się uparł, uznałam, że lepiej mieć tu do tego właściwą osobę. Być może popełniłam błąd, wybierając ciebie.

– To pani mnie tu sprowadziła?

– To ja czytam angielskie gazety.

– Do tej pory nie mogę się nadziwić, że tyle osób trafiło na ten artykuł i że mam przez to tyle zamówień.

– Ale to tutaj panią przerasta.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– To jasno widać. Miałam nadzieję, że będzie inaczej, ale... w końcu wszystko to loteria, prawda? A teraz na pewno rozumie pani, że jestem już bardzo zmęczona. Życzę dobrej nocy.

Madame de Fayols z trudem podniosła się z krzesła.

Ellie też wstała, w razie gdyby mogła pomóc, ale wzdrygała się przed dotknięciem staruszki. Miała ochotę spytać: Po co mnie tu ściągnęłaś i w dodatku zmusiłaś do zanocowania, skoro tak mnie nie znosisz? Każde spotkanie z madame zdawało się upewniać ją, że ta kobieta ma jakieś problemy psychiczne. Ellie nie potrafiła tego nazwać, ale wyraźnie coś było nie tak.

– Dobranoc – powiedziała.

\* \* \*

Na górze zajrzała do szuflad. Była pewna, że nie schowała w nich telefonu, ale nie miała pomysłu, gdzie indziej mogłaby go szukać.

Druga szuflada po prawej stronie była nieco cięższa od reszty. Musiała poszarpać nią chwilę, nim dała się wysunąć. W pierwszej chwili nie dotarło do niej, co widzi. Potem aż ją zmroziło, gdy rozpoznała ten kształt.

Ciężki stalowy rewolwer, najwyraźniej bardzo stary. Ellie patrzyła oniemiała na tę broń. Instynktownie wyciągnęła rękę, ale zaraz ją cofnęła. Nie wolno jej go dotykać. Czy on tu leży od zawsze? Czy jest nabity?

Ostrożnie wsunęła z powrotem szufladę i otworzyła tę z lewej strony. Ona także zawierała tylko jedną rzecz – pudełeczko na tabletki z przezroczystym wieczkiem. Wewnątrz była jedna samotna pastylka.

Za oknem, które zostawiła uchylone, by wpuścić trochę świeżego powietrza, rozpościerał się ciemny ogród. Odezwał się jakiś przenikliwy głos, zwierzę albo ptak, ale zaraz ucichł. Ogarnął ją smutek. To smutek, pomyślała, nie szok czy lęk. Jeśli namacalna obecność rewolweru wydała się jej kusząca, nie odkryła nic, czego mogłaby się wstydzić.

Czy to miał być test? Jeśli tak, to tylko świadczył o dziwactwach matki i syna, którzy ją tu sprowadzili. Przypominała sobie słowa madame de Fayols i to wrażenie, że ktoś z niej kpi. Nie jest pani szczęśliwa, prawda?

Czy to aż tak bardzo widać? I co miałyby zrobić, żeby to ukryć? Nie, nie jest szczęśliwa, ale wolno jej przez jakiś czas jeszcze nie być. To w końcu na pewno wreszcie przejdzie. Musi przejść.

\* \* \*

Obudził ją jakiś nieokreślony ból. Przez chwilę nie mogła oddychać. Podniosła dłoń do twarzy i poczuła coś mokrego na ustach i policzku. Sięgnęła do włącznika nocnej lampki i aż jęknęła na widok łóżka. Białą pościel znaczyły ciemnoczerwone plamy.

Na wierzchu prawej dłoni miała ranę, z której sączyła się krew. Zrobiło się jej ciemno przed oczami, nie mogła złapać oddechu, w głowie szumiało. Z trudem się opanowała. Jakimś cudem musiała się skaleczyć. Pewnie uderzyła dłonią w jeden z wystających elementów rzeźbionego wezgowia. Obróciła się, by spojrzeć. To oczywiście, że coś takiego musiało się stać. Figurka kozła o ostrych rogach była w zasięgu jej prawej dłoni.

Powoli, nieco chwiejnie wstała i włożyła rękę pod kran przy umywalce. W torbie miała chusteczki. Przyłożyła kilka na ranę i ciasno zawinęła. Jakiś czas leżała bezsennie w ciemnościach, aż atak paniki nieco odpuścił.

Dopiero rano odważyła się znów zajrzeć do drugiej szuflady. Była pusta. Ellie patrzyła na zakurzone dno, starając się znaleźć jakieś wytłumaczenie. Uznała, że musiało jej się to wszystko przyśnić. Sen był tak sugestywny, że wydał się jej jawą.

Nadal jednak nie mogła znaleźć telefonu.

*Czwartek, 6 czerwca*

Od wielu godzin było już jasno, kiedy wreszcie zdecydowała się zejść na dół. Tam, tuż przy schodach, przystanęła, nasłuchując jakichś odgłosów z kuchni. Kompletna cisza. Przez chwilę miała dziwne wrażenie, że została w domu całkiem sama. Ale zaraz się otrząsnęła. Jeśli w kuchni nikogo nie ma, zrobi sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy.

Przechodząc przez hol, zajrzała do dużego pokoju i popatrzyła na szklane zamknięte drzwi na taras. Dokładnie w tym momencie coś głośno stuknęło o ich gładką powierzchnię. Co za przypadek, że coś takiego zdarzyło się właśnie wtedy, kiedy spojrzała w tym kierunku... Roztrzęsiona podeszła bliżej, żeby zobaczyć, co się stało. Na kafelkach na zewnątrz leżał mały czarny ptaszek. Musiał uderzyć o szybę. Nie wydawał żadnych dźwięków. Stracił przytomność. A może już nie żył.

Ellie odwróciła się.

W kuchni nie zastała nikogo. Na pewno Jeanne niedługo się pojawi. Przecież chyba nie jest aż tak wcześnie. Spojrzała na nadgarstek i zorientowała się, że zostawiła zegarek na górze. W tej chwili usłyszała z oddali, jak zegar wybija godzinę. Siedem... czy osiem razy?

Wróciła do holu, a potem zajrzała do pokoju dziennego, szukając zegara. I wtedy kolejny mały ptak uderzył w okno. To było tak nieoczekiwane i przerażające, zwłaszcza że ciało pierwszego jeszcze drgało. Zrobiło jej się niedobrze.

\* \* \*

Kiedy wyszła na zewnątrz, postanowiła rozproszyć niepokój, skupiając się na pracy. Jeszcze nie widziała ogrodu pamięci o tak wczesnej porze, a powinna. Z notatnikiem w dłoni zaznaczyła sobie rozkład cieni w miejscach do niego prowadzących i kąt padania promieni słonecznych w nim samym.

Siedząc na niskim kamiennym obmurowaniu basenu, szkicowała łuk i widok na latarnię i zatokę.

Najpierw pomyślała, że to śpiewa ptak. Potem, kiedy melodii zaczęły towarzyszyć słowa, że może jeden z ogrodników coś sobie nuci przy pracy. Jednak głos był zdecydowanie zbyt wysoki na męski. W takim razie to pewnie dziecko któregoś z pracowników. Próbowwała zorientować się, skąd dobiega dźwięk, ale nie potrafiła.

Nasłuchiwała jakiegoś ruchu w pobliżu, ale wkrótce znów zapanowała kompletna cisza. Ellie wróciła do rysowania. Raz za razem, w równym rytmie, rzucała okiem znad szkicownika na ogród. I w pewnym momencie, kiedy znów dotknęła ołówkiem kartki, wydało się jej, że chyba coś przed chwilą mignęło w zielonej bramie. Tak jakby jej umysł z opóźnieniem zarejestrował obraz. I do tego niezbyt wyraźnie. Czy pod łukiem ktoś przeszedł? Nie ruszając się z miejsca, uniosła głowę. Była sama. Niegdyś wspaniała i zielona brama szeleściła lekko na wietrze, który odrywał uschnięte listki. Nic poza tym.

Trudno było nie myśleć o wczorajszej rozmowie z madame de Fayols. Instynktownie starała się zignorować sugestie starszej pani na temat zjawisk nadprzyrodzonych, traktując je jako złośliwą grę. Najwyraźniej bawiło ją straszenie Ellie. To było naprawdę żalosne. Powinna współczuć staruszce. I wtedy nagle przyszło jej do głowy, że może to ona sama postradała zmysły. Czy dziwne zdarzenia ostatnich dni nie doprowadziły jej do załamania nerwowego? Jednego była pewna. Musi porozmawiać z Laurentem. Ale nie spędzi tu drugiej nocy, czekając na niego.

\* \* \*

Zrobi to po swojemu. Pojechała rowerem do miasteczka nad zatoką najprostszą drogą. Bojowo skupiała myśli na najbardziej praktycznych sprawach. Zje późne śniadanie z kawą i croissantami, sprawdzi w hotelu, czy ktoś nie znalazł jej komórki. Była zarumieniona z wysiłku, kiedy tak pedałowiała pod wiatr. Niedaleko Place d'Armes zobaczyła budkę telefoniczną i postanowiła od razu skorzystać z okazji. Drżącymi palcami przygotowała kilka monet i wybrała numer paryskiego biura Laurenta de Fayols.

Nie było go tam.

Jęknęła rozczarowana. Zaraz. W swoim pierwszym liście podał jej numer komórki. Ten list powinna mieć gdzieś w torbie. Pogrzebała chwilę. Jest. Dwukrotnie próbowała się dodzwonić, ale za każdym razem włączała się sekretarka. Jak się domyślała, automatyczny komunikat oznajmiał, że abonent jest czasowo niedostępny.

Roztrzęsiona wyszła z budki. Do przyjaznego hotelu na końcu placu było już bardzo blisko spacerkiem, ale cieszyła się, że ma rower, na którym może się wesprzeć. Miała wrażenie, że nogi jej drżą, bardziej niż powinny u kogoś tak sprawnego fizycznie jak ona.

Place d'Armes nie wydawał się już tak gościnną przystanią. Głosy dzieci biegających wśród kurzu dochodziły jakby odbite echem, z oddali. Wróciło to niemiłe poczucie, które ogarnęło ją w Domaine de Fayols – że jest oderwana od wszystkiego, oddzielona od świata mglistą zasłoną.

Słońce paliło już niemiłosiernie, odbierając jej resztki sił. Ale wiedziała, że

potrzebuje bezpieczeństwa wśród tłumu. Ruszyła do gwarnej kawiarni, której stoliki ustawiono pod eukaliptusami. Oparła rower o niski murek, nim usiadła w cieniu.

Frustrujące, że wybrała się aż tak daleko i dała się tak wystrychnąć na dudka. Ale takie rzeczy się zdarzają. Przerzuciła szkicownik. Notatki zdawały się falować, a rysunki przypominały gniewne bazgroły. Ścisnęła nasadę nosa, by złagodzić ból, który zlokalizował się gdzieś za oczami.

Serce jej zamarło, kiedy nagle ktoś odsunął drugie krzesło przy jej stoliku.

– Pani pozwoli, że się przysiądę? – zapytał męski głos.

– Ależ proszę.

To była automatyczna odpowiedź.

Niemal nie uniosła głowy, kiedy zajmował miejsce obok.

– Jest pani sama?

– Tak.

– Nie rozumiem czemu.

Ellie zapatrzyła się na plac i skupiła wzrok na drzewach i kościele, ale ich linie zaczęły się po chwili rozplątywać.

– Przepraszam – powiedział, gdy się nie odzywała.

– Słucham?

Milczał, patrząc na nią. Trudno było dalej unikać go wzrokiem. Ciemne piwne oczy, pionowe zmarszczki między prosto zarysowanymi brwiami. Brunet. Miękkie, opadające w nieładzie włosy, oliwkowa cera wskazująca na romańskie geny, pomyślała, choć proces artykułowania wrażeń zdawał się przerastać jej możliwości. Umysł pracował jakby na zwolnionych obrotach. Właściwie nie była zdolna do sformułowania żadnej racjonalnej myśli.

Opuściła wzrok na filiżankę z kawą.

Był tak blisko, że widziała szwy i fałdy jego białej koszuli. Potem materiał zaczął to odpływać, to przypląwać z powrotem. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Ostatnie, na co miała ochotę, to rozmowa z nieznanym. Z drugiej strony, skoro jest jej słabo, to jakoś lepiej mieć przy sobie kogoś, kogokolwiek.

– Jak się pani podoba na wyspie? – zapytał.

Zamknęła oczy i zacisnęła dłonie, mocno wbijając w ciało paznokcie. Głowa jej pękała, jak przy ciężkim zaziębieniu.

– Źle się pani czuje? Przepraszam. Chce pani, żebym sobie poszedł?

Wydawał się szczerze zatroskany. Starła się pozbierać.

– Nic mi nie jest.

Podświadomość coś jej podszeptowała. Już prawie było to jasne, kiedy znów gdzieś się rozpląnęło. Mężczyzna pachniał tytoniem, słodkawym, wcale nie nieprzyjemnie. Ten zapach unosił się w powietrzu między nimi niczym ślad perfum.

– Mieszka pan tu czy jest tylko na wakacjach? – spytała, ale zabrzmiało to dziwnie pusto.

Był mocno opalony, o pięknej męskiej cerze, gładkiej, pozbawionej zmarszczek.

– Moja rodzina mieszkała tu wiele lat, od pokoleń.

– Pracuje tu pan?

– O... – Uniósł dłonie w geście, jakby chciał powiedzieć „Nie całkiem”.

– W takim razie po drugiej stronie, na lądzie?

– Nie... Spędzam tu prawie cały czas. Jestem... historykiem. Tak pewnie można to określić.

– Rozumiem – powiedziała, choć wcale tak nie było. – Jakiego rodzaju historią pan się zajmuje?

– Historią militarną. Moja specjalność to druga wojna światowa. A pani?

– Architektura zieleni. Teraz robię wstępne projekty dla jednej z tutejszych posiadłości.

Rzucił okiem na kelnera, ale ten, zajęty za barem, wyraźnie go nie zauważył. Nie szkodzi, pomyślała Ellie. Tak naprawdę dobrze było, że nikt im nie przeszkadza.

Świat zwolnił. Zaczynała się odprężyć. Szczerze mówiąc, cudownie było tak siedzieć blisko niego. To bez sensu, ale miała wrażenie, jakby wreszcie znalazła się w domu po długiej podróży. Może to przez tę ciężką atmosferę w Domaine de Fayols. Dopiero teraz, kiedy stamtąd wyjechała, dotarło do niej, jak dziwne i przygnębiające jest to miejsce.

Opowiadał jej o różnych plażach na wyspie, gajach z mandarynkami i grejpfrutami rosnących niegdyś przy ulicy Langoustier, o drzewach sprowadzonych z Sycylii, by stworzyć tutejsze sady cytrusowe.

– To musiało być wspaniałe miejsce do dorastania – wtrąciła, z przyjemnością słuchając jego głosu.

– Na pewno. Podczas długich, upalnych dni wynajdowaliśmy sobie kryjówki w cieniu, budowaliśmy obozy, szałas. Wynurzaliśmy się stamtąd, żeby opychać się brzoskwiniami w sadzie, a potem schodziliśmy ze wzgórz, by brodzić w morzu. Mierzyliśmy czas według położenia słońca, zmęczenia i głodu. Spieczeni, pokryci kurzem wracaliśmy na farmę. Całe lato spędzaliśmy na powietrzu. Jadaliśmy przy długim stole na tarasie wychodzącym na zachód. Co wieczór zachód słońca, co wieczór inna kompozycja ognistych kolorów na niebie.

Opowiadał o tym tak sugestywnie, że mogła to sobie dokładnie wyobrazić.

Miała wrażenie, że wszelkie hałasy i ruch wokół nich zamarty, istniał tylko świat jego opowieści.

– Zimą polowaliśmy, mężczyźni i chłopcy – ciągnął.

Nie lubił za bardzo polowań, ale nauczył się skutecznie posługiwać bronią

palną i nożem. Głównie chodzili na króliki i bażanty. Ale jaki był sens używania amunicji, jeśli stale ryzykowało się, że zbłąkana kula trafi jakieś kłusujące dziecko, a tych w okolicy było zdumiewająco wiele. Lepiej było polować nocą. Łatwiej wtedy wytropić, gdzie kryje się zwierzyna, i zaczekać, podkraść się do bażanta i porwać go wprost z gniazda.

– Zawsze polowało się raczej w świetle księżyca. Nie tylko na zwierzynę łowną. Rybacy podkradali winogrona podczas pełni, żeby robić własne wino, i to był zwyczaj, który wszyscy respektowali. Czasami czuło się w powietrzu *bouillabaisse*, którą gotowali na połowych kuchenkach na skałach pod winnicami.

Oczami wyobraźni widziała to wszystko, mężczyzn z cynowymi miskami, połyskujące srebrzyście rybie łuski i morskie fale. Strome urwiska nad zatoką.

– Jeśli interesuje panią historia, warto ponurkować – powiedział, a jego słowa podstępnie zapisywały się w jej myślach. – Przy porcie są szkoły nurkowania.

– Widziałam, ale nigdy jeszcze nie nurkowałam z akwalungiem.

– Powinna się pani nauczyć. Tu można zobaczyć fantastyczne rzeczy. Zatopione statki i podwodne urwiska. Jest też wrak samolotu leżący na dnie na południowy zachód od latarni. Powinna pani popytać.

– Brzmi ekscytująco.

– Nie musi pani nurkować z butlą, wystarczy maska z rurką. Domaine de Fayols jest bezpośrednio nad plażą Calanque de l'Indienne, równie dobrze można zacząć od tego miejsca. Woda jest tak przejrzysta, że prawie wszędzie wyraźnie widać dno. Ale żeby w pełni z tego skorzystać, potrzebny jest odpowiedni sprzęt. Może mógłbym dać pani...

– Jak się pan nazywa? Nie spytałam wcześniej.

Uśmiechnął się i wstał.

– No, tak... to mała wyspa. Może nasze ścieżki przetną się znowu.

– Być może.

Ellie patrzyła, jak cicho odchodzi w swoich płóciennych butach. Musiało być blisko południa, bo nie rzucał za sobą cienia.

Dokąd szedł? Próbowała sobie wyobrazić jego życie na wyspie. Pewnie żona i dzieci, możliwe, że i kochanka. Niewykluczone, że właśnie teraz miał ją odwiedzić, w domu ukrytym między sosnami, zanim wróci na wieczór do rodziny. Typowy Francuz, nienaganne maniery i pragmatyczne podejście do spraw sercowych.

Podwinięte rękawy i odpięta pod szyją koszula, workowate lniane spodnie i stare espadryle. Kapelusz panama założył, kiedy był już daleko. Zanim wstała, by go dogonić, zniknął.

Dlaczego nie zorientowała się wcześniej? Powinna zatelefonować do porucznika Meuniera. Gdyby nie zgubiła komórki, zadzwoniłaby do niego

natychmiast, prawda?

\* \* \*

– Gdzieś ty się podziewała?

Madame de Fayols wywijiała w powietrzu rzeźbioną rogową rączką laseczki. W przyćmionym świetle źrenice jej się tak rozszerzyły, że utkwione w Ellie oczy przypominały czarne dziury.

– Masz tu coś do zrobienia! Masz tu być, żeby zrozumieć. Książki i fotografie to jedno. Ale resztę trzeba poczuć, dotknąć, chłonąć. A może ty to już poczułaś i tego żałujesz?

Ellie nie odpowiedziała, zdecydowana unikać tego rodzaju pytań.

– Czujesz to. Wiem, że tak.

Głęboki wdech.

– Pojechałam do miasteczka, bo musiałam coś zrobić.

– Przecież jesteś tu po to, żeby pracować!

– I właśnie pracowałam nad planami. Może je pani zobaczyć, jeśli pani sobie życzy, ale musi pani wziąć pod uwagę, że to tylko wstępne pomysły, a nie gotowe projekty.

Kilka niecierpliwych stuknięć laską.

– Tak naprawdę – kontynuowała Ellie – zrobiłam tu jak na razie wszystko, co możliwe. Teraz powinnam dopracować szkice, co zrobię po powrocie do hotelu. Tylko się spakuję i szybciotko się do tego zabieram.

Madame miała taką minę, jakby dostała w twarz.

Ellie znalazła Jeanne w kuchni. Powitanie było nawet chłodniejsze niż zwykle. Ellie w kilku słowach wyjaśniła jej sytuację z komórką, która nie odnalazła się, choć Jean-Luc zapewnił, że popyta o nią wszystkich pracowników hotelu.

– W tej sytuacji jestem zmuszona skorzystać z tutejszego telefonu, by skontaktować się z panem de Fayolsem – stwierdziła.

Gospodyni wskazała jej telefon wiszący na ścianie kuchni. Ellie zadzwoniła, ale komórka Laurenta nadal nie była włączona.

– Czy to są jego numery, kiedy wyjeżdża? – spytała, patrząc na listę przypiętą do ściany. Obok litery L. było wypisanych wiele numerów.

Jeanne skinęła głową.

Jeden telefon, drugi, trzeci, długo nikt nie podnosił, aż wreszcie odezwała się recepcjonistka jakiegoś hotelu. Laurent de Fayols był chwilowo nieobecny.

– Proszę mu przekazać, że mieszkam znowu w Oustaou des Palmiers. To ważne. Nie zapomni pani? Idę na górę po swoje rzeczy.

– Pójdę z panią.

Tak jakby nie ufano jej tu na tyle, by pozwolić poruszać się swobodnie po jakiegokolwiek części domu. Ellie zastanawiała się, co też takiego starsza pani mogła



naopowiadać Jeanne.

Otworzyła drzwi swojego pokoju. Na stoliku leżała przewrócona lampka nocna, była zapalona. Nieliczne kosmetyki Ellie poniewierały się na podłodze. Papiery w nieładzie, niektóre z większych rysunków podarte na drobne kawałki.

– Co do licha... co tu się stało?

Jeanne pokręciła głową.

– Nie zaglądałam tu dzisiaj. Musiała to pani tak zostawić.

– W żadnym wypadku – zaoponowała Ellie.

Po raz drugi tego dnia pociemniało jej w oczach i zrobiło jej się słabo. Pościel na łóżku była skłębiona, jakby ktoś tu przed chwilą spał. Pamiętała, że starannie ją ułożyła z rana, licząc się z tym, że powinna zostawić idealny porządek, bo na pewno Jeanne to sprawdzi.

Jej aparat fotograficzny leżał na komodzie, ale włączony, zużywając baterię. Dziękowała sobie w duchu, że przynajmniej zabrała ze sobą rano do ogrodu laptop z ważnymi dokumentami. Aparat fotograficzny nie został zniszczony, ale wykasowano z niego zdjęcia.

– Ktoś to zrobił – powiedziała do Jeanne.

Odwróciła się, żeby zobaczyć reakcję gospodyni, ale już jej nie było.

Kap, kap. Kap, kap. Potrwało to trochę dłużej niż trzeba, nim do Ellie dotarł ten dźwięk. Tak jakby gdzieś był niedokręcony kran albo prysznic. Ale przecież łazienka znajdowała po drugiej stronie korytarza. Ellie złapała torbę i podeszła do szafy.

Jej rzeczy w środku były całkiem mokre. Pachniały morską wodą.

Kap, kap.

Rozejrzała się po tym obrazie zniszczenia. I trzęsącymi się dłońmi zaczęła upychać ubrania do torby, byle jak. Pootwieriała szuflady i wytrząsnęła z nich wszystko, co do niej należało. Na szczęście nie było tego wiele. Rozejrzała się, czy czegoś nie zapomniała, w irracjonalnej nadziei, że odnajdzie komórkę.

Światło padało na wezglowie łóżka pod dziwnym kątem. I dopiero wtedy dotarło do niej, co przedstawia wyryta w drewnie scena: ogród z bramą uformowaną z liści, w którym odbywały się jakieś pogańskie tańce. Diabelskie rogi sterczały ostro. Poczowała pulsujący ból w skaleczeniu na rękę.

Rzuciła się jak oszalała do drzwi. Przez moment myślała, że mogą być zamknięte, ale klamka puściła bez trudu. Ellie o mało nie spadła ze schodów ze swoim bagażem. Nie czekał na nią wóz zaprzężony w konia, by ją odwieźć. Nie ma rady, trzeba będzie popedałować z torbami, nawet jeśli to oznacza, że powrót potrwa długo.

Na stole przy schodach zobaczyła klepsydrę. Piasek przesypywał się gładko z jednej przejrzystej bańki do drugiej. Kto to postawił i po co?

Trzasnęły drzwi.

– Pani Brooke?

Z pokoju dziennego wyłoniła się madame wsparta na Jeanne.

Ellie poczuła krople potu spływające po karku. Serce jej waliło.

– Nie może pani tak odejść – oznajmiła starsza pani.

– Obawiam się, że muszę.

– I co ja powiem Laurentowi?

– Zostawiłam mu wiadomość. Sama z nim porozmawiam.

– Jeśli teraz pani wyjdzie...

To co? Co się stanie? To będzie koniec francuskiego projektu? Całkiem możliwe. Trzeba się liczyć z utratą okazji do zdobycia renomy i z negatywnymi opiniami. Ale miała też okropne poczucie, że w ten sposób traci coś więcej niż jedno zlecenie, zanim jeszcze spróbowała zająć się nim na poważnie. Miała wrażenie, że dzieje się coś, co wymyka się jej kontroli, ale nie miała pojęcia co. Wzięła kilka głębokich wdechów. Czy tak to wygląda, kiedy następuje załamanie nerwowe? Czy to ją właśnie spotyka? Co za głupota, powiedziała sobie, sama pogarszasz sprawę takimi idiotycznymi myślami.

– Porozmawiam z pani synem, madame. Ale po tym wszystkim... nie sądzę, bym mogła tu pracować.

Po powrocie do Anglii weźmie tydzień wolnego, może dwa. Odpocznie i da sobie czas, by odzyskać równowagę. Ten wypadek na promie, forty i plac wojskowych defilad, rozmowy o wojnie i ogród pamięci... to wszystko spowodowało nerwową reakcję, kryzys, jakkolwiek to nazwać, i rozpacz po stracie Dana wróciła boleśniej niż kiedykolwiek.

– Muszę już iść.

– Jeśli to pani zrobi, zrujnuje sobie pani karierę. Rozgłoszę, że wzięła pani od nas pieniądze i nie była w stanie wykonać pracy.

– Jak dotąd nie otrzymałam żadnego wynagrodzenia.

– Poza biletom lotniczym i pobytem w hotelu. Ten hotel, który musiała pani opuścić i przyjechać tutaj, bo zaniepokoiła nas pani rozrzutność, obciążył nas przerażającymi rachunkami z baru, z którego pani korzystała.

– Przecież to nieprawda!

– Prawda to pierwsza ofiara wojny.

Ellie potrząsnęła głową zdumiona. O czym ona znowu bredzi?

– Co gorsza, rzuciła się pani na mnie.

– Wie pani, że nic takiego nie miało miejsca.

– Ale komu uwierzą francuskie władze? Tylko to się liczy.

– Pokój, w którym nocowałam, został zdemolowany, jak się przed chwilą przekonałam. Mam mokre ubrania – zaczęła Ellie i urwała.

Nie ma sensu się wysilać. Ta kobieta jest niespełna rozumu.

– Skąd mam wiedzieć, czy nie zrobiła pani tego sama?

– Niby po co?

– Chce pani powiedzieć, że ktoś się tu włamał?

– Możliwe. Zginął mi telefon komórkowy, ale to już wczoraj. Bardzo dziwny ten włamywacz, skoro nie ukradł mojego aparatu, tylko usunął zdjęcia, i w dodatku zmoczył mi ubrania morską wodą... Nie wiem, jaką złośliwą grę tu się prowadzi, ale ja się już z tego wypisuję. Mam dość tego szaleństwa!

Madame zakołysała się, jej wyniszczona postać jakby skurczyła się od tej tyrady. Jeanne zmarszczyła brwi i opiekuńczym gestem podtrzymała starszą panią.

– My tego nie zrobiliśmy – powiedziała.

Ellie otworzyła drzwi wejściowe.

Oczywiście roweru nie było tam, gdzie go zostawiła. To było do przewidzenia i idąc w dół po schodach, Ellie pogratulowała sobie, że przynajmniej się tego domyślała. Nie ma się czym przejmować, absolutnie. To tylko jakaś nikczemna gra prowadzona pod dyktando obłąkanej kobiety.

Może iść. Na tej małej wyspie nigdzie nie jest zbyt daleko. Nie oglądając się za siebie, ruszyła naprzód. Torba z laptopem była ciężka. Ellie musiała często przystawać, by zmienić rękę. Kiedy wyszła na główną drogę, zatrzymała się. Niemal miała nadzieję, że pojawi się jakiś pracownik z posiadłości i zaproponuje jej transport. Ale nikt się nie pojawił. Potem liczyła, że może ktoś będzie tędy jechał i zechce ją podwieźć, ale i tego się nie doczekała.

Kiedy z mozołem brnęła w kierunku miasteczka, napięcie w ramionach i nogach trochę odpuściło. Po lewej stronie migotało morze, niczym obsypane pasmami cekinów. Dalej było tak ciemnobłękitne, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała.

Bardzo chciała popływać w Calanque de l'Indienne, ale teraz uznała, że byłoby to nierozsądne. Kiedy jednak ta myśl przyszła jej do głowy, zatęskniła za chłodnym dotykiem wody na skórze, tym cudownym szokiem zanurzania się, unoszenia na falach, z oczami zamkniętymi przed słońcem. Była tak blisko *calanque*.

Odruchowo odstawiła torby i rzuciła się biegiem po stromym brzegu, zwalniając tylko, żeby ominąć skały po drodze. Kilka razy poślizgnęła się na luźnych kamieniach. Była sama. Stojąc na płaskiej skale przesłoniętej do połowy koroną sosny, rozebrała się do bielizny i wskoczyła do wody.

Położyła się na plecach, prawie nieruchomo. Czują się świetnie. Wszystko będzie dobrze. Za szerokim wejściem do zatoki smukłe nowoczesne łodzie pruły po niebieskiej tafli, zostawiając za sobą białe smugi spienionej wody. Zbyt szybkie, zbyt bezduszne, pomyślała. Takie podróże powinno się odbywać powoli, smakując pokonywanie przestrzeni.

Nagle poczuła ucisk w klatce piersiowej, zdawał się zgniatać całe jej ciało. Miała wrażenie, że jest jednocześnie wpychana i ciągnięta w dół. Drzewa na

wysokim brzegu pochylały się nad nią, przesłaniając niebo.

Chyba to były drzewa. Cienie popychały ją w otchłań. Znalazła się pod powierzchnią. Widziała śmigające ławice kolorowych ryb. Ciśnienie w czaszce rosło, w miarę jak woda robiła się coraz chłodniejsza, bardziej niebieska bliżej dna. Coraz niżej, w głąb. Nie zobaczy już nic więcej. Tylko ciemność.

Zdawało się, że zaraz rozsadzi jej głowę. I nagle znów była w świetle. Zęby jej szczękały. Robiło jej się na zmianę to zimno, to gorąco. Zachłystując się, poczuła grunt pod nogami. Tak tu płytko, a jednak się topiła. To oczywiste. Co więc się stało?

Udało się jej, przerażonej, dopłynąć do skały. Podciągnęła się na nią i próbowała uspokoić oddech. Stopniowo dochodziła do siebie, jej ciało zdawało się gorące i ciężkie, kiedy zdołała zebrać siły, by wywlec je z wody.

Musi myśleć racjonalnie. To jedyna droga. Czy zemdląca? Czy to tylko niepokój, rodzaj kolejnego ataku paniki, za drugim razem gorszy? Czy też jest inne wyjaśnienie? Infekcja po zadrapaniu tamtym paskudnym kolcem albo po rozcięciu dłoni o rzeźbienia przy łóżku. A może zatrucie jakąś rośliną... Przypomniała sobie zwisające w wejściu do ogrodów dzwonki brugmansji. W dawnych czasach używały ich czarownice. Te krzewy należą do psiankowatych jak lulek czarny i bielun.

Logiczny tok myśli przywrócił jej równowagę. Mimo to minęło jeszcze trochę czasu, nim była w stanie wziąć torby i ruszyć dalej.

\* \* \*

Na jej zegarku była już dwudziesta. Sama nie wiedziała, jak to możliwe. W Oustaou des Palmiers Jean-Luc wydał się zaskoczony jej przybyciem, choć miała pewność, że uprzedziła go o swoim powrocie. Wolny pokój był bardzo mały. Jednak w obecnej sytuacji wzięłaby nawet klitkę wielkości szafki.

W maciupeńskiej łazience spojrzała w lustro. Z odbicia patrzyła na nią ze zdumieniem wymizerowana twarz o podkutych sińcami oczach. Była brudna, wymazana sadzą na policzkach i dłoniach.

Przyklękła przy łóżku i włączyła laptop, modląc się o mocny sygnał wi-fi. Poszukała chwilę i od razu miała odpowiedzi na niektóre przynajmniej pytania. Brugmansja jest trująca, a kuszący zapach maskuje toksyny halucynogenne. Dezorientacja, omamy, senność to objawy przypadkowego zatrucia. W najgorszym przypadku śpiączka. Pobudzenie i konwulsje też odnotowano. Osłabienie mięśni. Utrata pamięci.

Niektóre źródła donoszą, że nasiona brugmansji wykorzystywali truciciele, inne, że w dawnych czasach używały ich prostytutki, by odurzać klientów, a potem ich okradać.

Większość dyskusji w sieci dotyczyła ryzykownego eksperymentowania

z brugmansją w charakterze narkotyku. Co niepokojące – ale pasujące do jej objawów – stany oszołomienia, omamy mogą nawracać samoistnie jeszcze przez kilka dni.

Ellie przysiadła na piętach. Niewykluczone, że zetknęła się z brugmansją w ogrodzie. Ale nie połknęła nasion, które wywoływały stany wymagające podania antidotum. Zastanawiała się, czy spytać Jean-Luca o jakiegoś lekarza, do którego mogłaby się zgłosić w razie potrzeby. Ale teraz, kiedy znów znalazła się w bezpiecznym hotelowym pokoju i odzyskała pewność siebie, czuła się dużo lepiej. Cokolwiek się stało, było już poza nią. Wypiła cztery szklanki wody, by przepłukać organizm, i zwinęła się w kłębek na łóżku. Bardzo potrzebowała snu.

*Piątek, 7 czerwca*

To była ciężka noc. Ellie ciągle się budziła, czując na przemian mdłości i straszne pragnienie. Przerywany sen przyniósł serię sugestywnych majaków. Z urwiska na skalisty cypel spływała wieża. Na Ellie czekał prom. Tłum napierał na trap, ale ona szukała chłopaka w T-shircie. Stale gubiła bagaże. Mężczyzna stojący przy latarni obserwował ją, lecz ona nadal nie mogła dostrzec jego twarzy. Wreszcie znalazła się na pokładzie, ale po chwili balansowała na relingu nad falami, chodząc po nim jak po linie. Spadała w niebieskim powietrzu, na próżno rozpaczliwie wymachując rękami i próbując latać.

Najwcześniej, jak mogła, zadzwoniła do Sary z recepcji Oustaou des Palmiers.

– Nie wyszło. Przepraszam. Mam samolot powrotny dopiero jutro wieczorem, ale pewnie wyjadę z wyspy i zatrzymam się dziś w jakimś tanim hotelu w Hyères. Zobaczę, zależy, jak się będę czuła.

W Sussex Sara pośpiesznie przełykała śniadanie.

– Coś poszło nie tak?

– Opowiem ci wszystko po przyjeździe. Ale nie trać czasu na kontaktowanie się z tutejszymi firmami od krajobrazu. Aha, i jeszcze zginęła mi komórka, więc nie martw się, jeśli nie odbieram.

– O rety, kiepsko. Jak to się stało?

– Znikła, kiedy byłam u klienta. Może gdzieś ją posiałam, ukradli albo schowali w ramach gry. Nie wiem.

– Jakiej gry?

– Nie pytaj. Opowiem ci, jak wrócę.

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Wszystko w porządku. Tylko... Chcę się z tego wycofać. To nie to, co się nam zdawało.

– Nie ma sprawy... Będę czekała na wiadomości. Odzywaj się. Zadzwon do mnie, jak dotrzesz do Hyères, dobrze? I... Ellie? Nie martw się. Nieważne. To tylko jedno zlecenie.

– Wiem. Ale dzięki.

– Do usłyszenia.

\* \* \*

Ciepła bryza muskała palmy i niosła ciche pobrzękiwanie od strony zacumowanych w marinie łodzi. Tych kilka kilometrów od Domaine de Fayols wyspa była zupełnie innym miejscem; pełna światła i życia napawała ostrożnym optymizmem. Wydawało się, że posiadłość leży o całe lata świetlne stąd, a od wczorajszych zdarzeń dzieli ją wieki. Z ulgą poczuła się znów bardziej normalnie, choć była zmęczona i piekły ją oczy, kiedy szła do przystani sprawdzić, o jakich godzinach odchodzi prom do La Tour Fondue. Może miała rację z brugmansją i te ilości wypitej wody zrobiły już swoje. Z ukłuciem wyrzutów sumienia przypomniła sobie o rowerze. W drodze na prom powinna zajrzeć do wypożyczalni i powiedzieć właścicielowi, że zostawiła rower w Domaine. Niech zatrzyma depozyt za dodatkowy kłopot.

Z tablicy informacyjnej na nabrzeżu wynikało, że promy kursują bardzo często, więc podróż powrotna nie będzie trudniejsza niż złapanie autobusu. Może przyjsć, kiedy zechce. Nie ma się czym martwić.

Zauważyła liczne reklamy rejsów statkiem, katamaranem, wycieczek na inne wyspy. Różne firmy przedstawiały uczciwie konkurencyjne oferty. Sporo szkółek proponowało lekcje nurkowania z akwalungiem. Zdjęcia zatopionych statków przeplatały się z fotografiami ryb subtropikalnych, kusząc potencjalnych kandydatów na wyprawę pod kierunkiem przewodnika.

– Chce pani ponurkować?! – zawołał długowłosy chłopak wyglądający na studenta.

Zalotny ton w jego głosie mieszał się z oznakami rozleniwienia.

Ellie coś sobie przypomniła.

– Nurkujecie nad wrakami?

– Oczywiście. Tu leży dużo statków.

Zdołał wypowiedzieć to niemal lubieżnie.

– A jest jakiś samolot?

Zrobił zdziwioną minę.

– Samolot – powtórzyła.

– Nie... tylko statki.

– A może ktoś inny organizuje tam wycieczki?

– Nie. Tutaj nie ma samolotu.

– Ach tak... Dobrze. *Merci*.

– Nie chce pani ponurkować koło wraku?

– Może innym razem.

Do przystani przybiła łódź rybacka. Dwóch mężczyzn wykladało swoje trofea: kolczaste kraby, jeżowce, krewetki i kalmary, a także mniej egzotyczne, czyli ryby. Było zaskakująco cicho jak na bliskość tętniącego życiem miasteczka, tłocznej marinie, budek z pamiątkami, rybaków, pastelowych zdobionych stiukami budynków, w których mieściły się bary i restauracje z czerwonymi markizami.

Porquerolles to bardzo atrakcyjna miejscowość, bez wątpienia. Ellie zastanawiała się, czy kiedykolwiek tu wróci. W innych okolicznościach byłoby tu cudownie. Teraz, kiedy dni spędzone w Domaine de Fayols odchodziły w niepamięć, potrafiła znów spojrzeć na to obiektywnie. Szczerze mówiąc, zadziwiająco, że więcej kontaktów z potencjalnymi klientami nie okazywało się zwyczajną stratą czasu, skoro miała najczęściej do czynienia z bogatymi, bujającymi w obłokach, potwornie wymagającymi ekscentrykami.

Spacerowała bez celu, tak tylko, żeby się rozruszać i wypróbować siłę mięśni. Ścieżka na wschód prowadziła w górę między kolczastymi krzakami – zwanymi *griffes de sorcières*, szpony wiedźm, jak dowiedziała się z jednego ze słowników botanicznych Laurenta. Kilkaset metrów dalej dostrzegła sękatę sosnę, osmaloną, jakby uratowały się z pożaru lasu.

Niedługo opuści tę wyspę. Może wyjechać, kiedy zechce. Widok wzgórz za Le Lavandou na łądzie naprzeciwko dodawał otuchy. Zdawały się tak blisko, jak po drugiej stronie jeziora. Białe żagle śmigły po błękitach. Patrzyła na nie, myśląc o mężczyźnie w luźnej, targanej wiatrem koszuli. Był taki miły, poważny tam, w kawiarni. Bardzo jej pomógł, kiedy czuła się okropnie.

Szła dalej. I nagle, jakby przywołała go myślą, zobaczyła go przed sobą. To był on albo ktoś bardzo podobny. Stał przy zakręcie w kierunku Cap Medès na szczycie ścieżki. A może to jego widok sprowokował, że o nim pomyślała? Ruszyła biegiem, ale kiedy wynurzyła się spośród kępy dębów ostrolistnych, przepadł gdzieś bez śladu.

Rozczarowanie, jakie poczuła, było całkiem niewspółmierne z tym, co zaszło. Próbowwała znaleźć uzasadnienie. Jako miejscowy mógł jej wiele wyjaśnić. Może są nowe wiadomości o Florianie Creysie, skąd pochodził i dlaczego osunął się z promu na ich oczach. Może nieznamy wie też coś więcej na temat dziwnej rodziny de Fayolsów i ich posiadłości. Co dolega madame i czy na wyspie wiadomo, że to wariatka?

Zresztą, tak czy inaczej, bardzo chciała spotkać się z nim raz jeszcze, pożegnać się i podziękować. Poza Jean-Lukiem z hotelu był tu jedyną osobą, która w ostatnich dniach okazała jej autentyczną życzliwość. Miał w sobie coś, co ją uspokajało.

Zatrzymała się. Co ona wyprawia? Jak może go tak gonić? Czy znów jej odbija? Obróciła się, żeby iść z powrotem do plaży de la Courtade. Odrobina ziemi poleciała z góry, tak jakby coś wyżej ją poruszyło. Uniosła głowę, ale widać było tylko drzewa. Prawie zapominając już, nad czym przed chwilą rozmyślała, zawróciła tą samą drogą, którą przyszła. Jej koszulka na plecach była wilgotna i zimna.

\* \* \*



– Jak tam twoja praca w ogrodzie?

Kiedy doszła do przystani, pojawił się nagle u jej boku. Jego sfatygowane espadryle sunęły bezszelestnie po betonowym nabrzeżu.

– O! To ty. – Z bliska poczuła od niego znów ten aromat staromodnego francuskiego tytoniu. – Ogród... To raczej nie dojdzie do skutku.

– Problemy?

– Raz się wygrywa, raz przegrywa.

– Widziałem cię przy jednej ze szkólek nurkowania.

– Tak.

– Masz zamiar ponurkować?

– Zajrzałam tam tylko przez ciekawość.

Nic na to nie powiedział.

– Pytałam o wrak samolotu, ale nic o nim nie wiedzą.

– Niewielu ludzi wie.

– Ach, tak...

– On tam jest, chociaż większość nie ma o tym pojęcia.

Przypatrywała się, jak pociera dłonią prawe przedramię. Kiedy rękaw podjechał do góry, ukazały się głębokie czerwone blizny.

– Byłeś na promie, kiedy tamten chłopak popełnił samobójstwo, prawda?

– Tak.

– Jeden policjant, porucznik Meunier, chciałby z tobą pomówić. Nadal wszystkich przesłuchują, starają się ustalić, co się dokładnie wydarzyło. Mam gdzieś jego wizytówkę.

– Meunier? Dobrze. Nie ma problemu. Skontaktuję się z nim.

– Ktoś twierdzi, że ten chłopiec został popchnięty. Sądysz, że to możliwe?

– Nie.

Powierzchnię morza wzburzyła przepływająca łódź, zadzwoniły uderzające o maszty elementy takielunku żaglówek stojących w marinie.

– Problem w tym, że im bardziej człowiek chce sobie przypomnieć, co widział, tym więcej ma wątpliwości.

– Zwykle pierwsze wrażenie nie kłamie. – Bawił się ciężką mosiężną zapalniczką, którą wyjął z kieszeni. – I co się stało w Domaine de Fayols?

– Nie biorę tego zlecenia. Dziś stąd wyjeżdżam.

– To dobrze.

– Dobrze? Dlaczego tak mówisz?

– Chciałbym cię o coś poprosić. Przejdiesz się ze mną?

– Nadal nie wiem, jak masz na imię.

– Gabriel.

– A ja Ellie.

\* \* \*

Smukłe pnie drzew wiły się niczym kuta żelazna krata, podtrzymując obłoki liści odcinających się jaskrawą zielenią na tle morza i nieba. Z nadbrzeżnej ścieżki wzgórza na przeciwległym lądzie przypominały pastelowe fioletowobrazowe kopce.

– Jak to się właściwie stało, że trafiłaś do Domaine de Fayols? – spytał Gabriel tonem, który sugerował, że nie jest tu właściwą osobą na właściwym miejscu.

– Dostałam e-mail od Laurenta de Fayols. Słyszał o moich projektach. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon, ustaliliśmy, że przyjadę obejrzyć ogród. Ale potem on wyjechał do Paryża, a madame de Fayols poinformowała mnie, że to ona dowiedziała się o moich dokonaniach i wybrała naszą firmę. Jednak od czasu, kiedy tu przyjechałam, nie robiła nic poza deprecjonowaniem mnie. To było bardzo dziwne. I czemu miałoby służyć?

– Wszyscy wiedzą, jaka ona jest.

– Miło mi to słyszeć.

– To wariatka.

Ellie roześmiała się. Napięcie w jej ramionach zaczęło odpuszczać.

– To diagnoza lekarska... czy tylko tak się mówi?

Nie odpowiedział.

Drzewa wokół rosły coraz gęściej. Brązowe szpilki wyściełające trakt tłumili odgłos ich kroków.

– Czyli ogród pamięci w Domaine de Fayols będzie musiał jeszcze poczekać na odnowę.

– Na pewno kogoś znajdą.

– Mam nadzieję. To ważne, by go zachować. Jest wyjątkowy. Sposób, w jaki łączy ziemię, morze i niebo... i latarnię morską.

– Też tak sędzę. Widok na latarnię to jego integralna część.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza.

– Poszłam tam i odkryłam małe muzeum. Myślałam, że znajdę coś na temat Domaine, ale nie udało mi się na nic takiego trafić.

– Widziałaś księgę ewidencyjną i rękawice latarnika, który pozostał na wyspie podczas okupacji?

– Tak.

– Henri Rousset odmówił wyjazdu, a okupanci go tu potrzebowali. Pozwolili mu zostać, by obsługiwał latarnię jak zawsze. Bardzo dzielny człowiek.

– Widziałam duże zdjęcie z flagą – wtrąciła. – Myślałam, że musi chodzić o coś takiego.

Mimowolnie zadrżała, kiedy powróciło tamto uczucie, jakiego doświadczyła, stojąc przy urwisku i patrząc na latarnię, wrażenie, jakby miała zaraz odkryć coś

bardzo ważnego.

Gabriel umilkł na tak długo, że zastanawiała się, czy w ogóle jeszcze coś powie. Wspinali się według znaków do Fort de l'Alycastre, teraz bezbronego, zamienionego w gołe ruiny przez ptaki i wiatr. Kępy morskich traw zawłaszczyły sobie grube mury niczym triumfujący najeźdźcy.

– Rousset narażał życie, by chronić tysiące alianckich żołnierzy – odezwał się wreszcie Gabriel. – Zanim piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku alianci wylądowali w Saint-Tropez, trzeba było spacyfikować te trzy Złote Wyspy. W decydującej chwili, tuż przed atakiem amfibii, Rousset wyłączył latarnię, by utrudnić Niemcom obronę w nocy. Jednocześnie z innego miejsca na brzegu wysłano promień światła, by wydawało się, że to latarnia Porquerolles.

– Skąd Rousset wiedział, co ma robić?

– Ktoś z ruchu oporu zdołał się tu przedostać i mu powiedział. To było bardzo ryzykowne, ale konieczne. Wywiad aliancki w Marsylii chciał zniszczyć latarnię, jednak podczas bombardowania z powietrza Rousset, dobry człowiek, który został na wyspie i miał oko na Niemców, gotów do działania, byłby skazany na pewną śmierć. Mogłyby też ucierpieć sąsiednie posiadłości.

– Domaine de Fayols – dopowiedziała Ellie. – Zaczynam już rozumieć. Ale jak udało się ruchowi oporu przemycić kogoś na okupowaną wyspę, i to w okolice pod szczególnym nadzorem?

– Wysłali lekki samolot, nocą.

– To musiało być bardzo ryzykowne.

– Rzeczywiście, było.

– I plan się powiódł?

– Częściowo. Cel został osiągnięty. Ale Rousseta pobito do nieprzytomności. Niemcy kopali go w głowę, kiedy zdali sobie sprawę, że ich oszukał. Nigdy w pełni nie wrócił do zdrowia. Nie pamiętał nawet, co się właściwie stało.

Zatrzymali się. W dole rozpościerała się kamienista plaża, na płytkiej wodzie kołysało się kilka małych łodzi. Nawet przestaniając oczy dłonią, Ellie widziała tylko migające jasne i ciemne plamki.

– Ale przecież na wyspie został też ktoś jeszcze – odezwała się. – Lekarz. Louis de Fayols.

– Więc powiedzieli ci o tym.

– Tak. Madame de Fayols wspominała.

– To prawda. Podczas wojny nadal opiekował się rekonwalescentami, głównie włoskimi żołnierzami. Większość to byli biedni młodzi poborowi, którzy nie mieli wiele na sumieniu. Doktor czuł się za nich odpowiedzialny. Kiedy wyspę przejęli naziści, odesłali Włochów do obozów jenieckich, jednak rozumieli, że warto zatrzymać lekarza na wyspie. Miał rozkaz zostać. W gruncie rzeczy był

w areszcie domowym. I tam go zastrzelili. W jego posiadłości, tej nocy, kiedy wylądował samolot.

– Ale skoro alianci byli już tak blisko, nadchodziło wyzwolenie, to po co to zrobili?

Nie odpowiedział.

– Rozumiem, dlaczego zajmujesz się historią wojny. Chcesz wyjaśnić to wszystko.

Z powagą skinął głową.

– Wracasz więc do Londynu? – spytał.

Uśmiechnęła się na to przypuszczenie.

– Będę tam tylko przelotnie, ale mieszkam niedaleko. A dlaczego pytasz?

Gabriel przecesał palcami włosy.

– Czy mogłabyś... coś dla mnie zrobić? Pomóc w moich badaniach?

Wzruszyło ją, że tak niepewnie się do niej zwraca, mężczyzna, któremu poza tym bynajmniej nie brakowało pewności siebie.

– Oczywiście, jeśli tylko jestem w stanie.

– Część potrzebnych mi materiałów znajduje się w Londynie. Ta sprawa dotyczy zarówno Francji, jak i Wielkiej Brytanii. Przyszło mi do głowy, że gdybym wiedział wcześniej, które archiwa są w posiadaniu potrzebnych mi dokumentów, bardzo by mi to ułatwiło zadanie, kiedy przyjadę do Anglii.

– Z chęcią sprawdzę. Tyle chyba potrafię.

To oznaczało, że będą w kontakcie, a może nawet się spotkają. Czują, że uśmiecha się coraz szerzej.

– Żaden kłopot. Powiedz, co chciałbyś wiedzieć.

Znaleźli miejsce w cieniu i usiedli. Ellie notowała, a on mówił. Trudno było się zorientować, czy w jego zainteresowaniu nią jest coś więcej, czy to tylko relacja czysto przyjacielska. Nie dotknęli się, nawet przypadkiem. Kiedy opisał zdarzenia, które były przedmiotem jego badań, i upewnił się, że przekazał jej wszystko, co trzeba, rozmawiali o związkach między ludźmi i o tym, jak wojna potrafi niszczyć miłość. Zdawało się, że rozumie jej potrzebę mówienia o Danie, ale kiedy pozwoliła sobie na zwierzenia, po raz pierwszy poczuła, że może być wolna i spróbować zacząć życie od nowa.

Popołudnie robiło się coraz bardziej upalne. Gabriel oparł się plecami o drzewo i przymknął oczy. Ellie rysowała ukradkiem jego portret, gotowa szybko zamknąć szkicownik, gdyby się tylko poruszył. Nareszcie żyła chwilą, chwytając dzień z optymizmem, który, jak sądziła, już nigdy nie miał jej być dany. Już nie spieszyła się tak bardzo, by wsiąść na prom i opuścić wyspę.

\* \* \*

W hotelu czekały na nią dwie wiadomości. Jedna, żeby zadzwoniła do

Laurenta de Fayols, kiedy tylko wróci. Skorzystała ze stacjonarnego aparatu stojącego w recepcji.

– Co się tu działo podczas mojej nieobecności?

Powiedziałyby mu, ale mówił dalej, nie dopuszczając jej do głosu.

– I zostawiła tu pani swój telefon. Wpadnie pani po niego?

Niechętnie się zgodziła.

Druga wiadomość dotyczyła porucznika Meuniera. Czekał na nią w jadalni. Znużona jego uporem, poszła się z nim zobaczyć. Drzwi były otwarte. Zwalisty policjant, czujny i pewny swojej władzy, stał pod oknem i patrzył na port. Bardzo możliwe, że widział ją z Gabrielem.

Przywitali się oschle.

Miał zamiar spytać, czy widziała mężczyznę w kapeluszu panama. Była tego pewna. W dodatku znał już odpowiedź.

– Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć, co wykazało nasze śledztwo w sprawie okoliczności śmierci Floriana Creysa. To musiał być dla pani niezbyt miły początek pobytu na wyspie, ale może dzięki temu wyjaśnieniu poczuje się pani lepiej. Przyszedłem powiedzieć pani, że Florian Creys cierpiał na depresję i był uzależniony od narkotyków, od kiedy skończył czternaście lat. Miesiąc temu zdiagnozowano u niego schizofrenię. W zeszłym tygodniu wyszedł z kliniki w Strasburgu i wyruszył na południe.

– Czyli... to było samobójstwo?

– Prokurator z Tulonu przyjmuje, że można tak uznać.

Ellie przyjrzała się Meunierowi, jego zmrużonym oczom, barczystym ramionom, przy których pokój robił się ciasny.

– Ale pana to nie zadowala.

Prychnął znacząco.

– Ta wersja jest prawdopodobna.

– Bardzo smutna sprawa.

Jeszcze jedna historia młodego człowieka, który uznał, że nie da sobie rady w tym świecie. Nie pierwsza i nie ostatnia, jak zdawał się sugerować porucznik.

– Mówi pani, że on stał sam, zanim przeszedł przez reling.

– Tak.

– I twierdzi pani, że jeszcze ktoś widział to tak samo jak pani, ale my nie możemy tego człowieka znaleźć.

Wreszcie przechodził do rzeczy.

– Spotkałam go znowu, tego mężczyznę w kapeluszu. Dzisiaj.

– Gdzie?

– Tu, przy przystani.

– Ale nie zadzwoniła pani do mnie.

Westchnęła.

– Nie miałam komórki. Zgubiłam. Podałam mu pańskie nazwisko i powiedziałam, że chce pan z nim mówić. Na pewno się do pana odezwie.

Meunier zastanowił się chwilę.

– Wie pani, jak się nazywa?

– Gabriel. Nazwiska nie podał.

– Nie spytała go pani o nazwisko?

– No, nie... mówił, że jest związany z uniwersytetem w Aix. Zamierzałam go sobie wygooglować – przyznała.

Parsknął tylko na to i pokręcił głową.

– Pan też może go w ten sposób znaleźć – zauważyła.

– I nie wie pani, gdzie mogę go szukać na wyspie?

– Nie... Przykro mi, ja...

– To poważna sprawa. Dotyczy śmierci młodego człowieka. W takich przypadkach musimy mieć pewność, że wszystkie zeznania świadków potwierdzają wysnute wnioski. Rozumie to pani?

Skinęła głową. Pewnie chodziło bardziej o dopełnienie formalności niż o coś innego.

\* \* \*

Wbrew temu, co podpowiadał zdrowy rozsądek, pojechała znów do Domaine de Fayols. Co miała robić? W komórce było tyle ważnych informacji. Wydawało się, że coraz więcej jej życia zapisuje się w tym smartfonie. Jean-Luc zaproponował, że pożyczy jej rower z hotelu.

Tym razem wysiłek fizyczny nie zadziałał kojąco. Ciepło i kolory krajobrazu wyblakły. Atmosfera się zmieniła. Na horyzoncie gromadziły się ciemne chmury, drzewa szeptały na wietrze. Czy to się znowu dzieje? Dlaczego każdy kontakt z Domaine de Fayols wywoływał ten niepokój?

Kiedy tak pedałowiała, dziwnie wcześnie zaczęło się ściemniać. Dom wydał się jeszcze bardziej imponujący, na jego wspaniałej fasadzie rysowały się smugi ostatnich promieni przeświecającego zza chmur słońca. Większość okiennic była zamknięta, a kiedy spojrzała w górę, zatrzasnęła się jeszcze jedna pociągnięta niewidzialną ręką, jakby mieszkańcy chowali się w środku albo zabezpieczali dom przed wyjazdem.

Ellie zsiadła z roweru. Nie miała czasu do stracenia, już parę godzin temu powinna była wsiąść na prom. Wpadnie tylko na chwilę i zaraz pojedzie z powrotem.

Główne drzwi były uchylone. Mimo to zadzwoniła przyciskiem z boku i czekała. Kiedy minęło parę minut i nikt się nie pojawił, popchnęła drzwi i weszła do holu.

– Halo? Laurent?

Gdzieś z głębi domu dobiegała muzyka taneczna z lat czterdziestych. Nagle ucichła. Słysząc było coraz głośniejsze tykanie zegara, ale i ono zaraz zanikło. Za to pod jedną ze ścian holu coś chrobotowało, jakby mysz.

– Halo?

Lekki zapach przypominający kadzidło. Pewnie pastowano tu podłogi, co wskazywało na porządek i szacowność miejsca. Zrobi wszystko jak należy. Byłoby głupio podsuwać de Fayolsom powód do zarzucania jej braku profesjonalizmu. Nie da im tej satysfakcji. Wróciła na ganek, zamknęła za sobą drzwi i jeszcze raz zadzwoniła. Naciskając, policzyła do pięciu, nim odpuściła.

Nadal słyszała dzwonienie w uszach, zagłuszające inne dźwięki.

Po kilku minutach od drugiej strony drzwi rozległo się znajome stukanie o posadzkę. Zbliżyło się i ustało. Ellie zdrętwiała. Stukanie zabrzmiało ponownie. Tym razem się oddalało.

Potrwało jeszcze kilka minut, nim drzwi stanęły otworem.

– *Bonsoir* – powiedziała Jeanne, już nie zadając sobie trudu, by mówić po angielsku. – *Venez avec moi.*

Ellie ruszyła za nią holem.

W wielkim salonie szklane drzwi prowadzące na taras były lekko przymknięte. Paliły się lampy. Na zewnątrz wyższe drzewa nachylały się pod naporem coraz silniejszego wiatru.

Stukanie laseczki odezwało się znowu.

Z tarasu wbiegł do pokoju Laurent.

– O, jest pani! Musiałem się upewnić, czy łódź jest dobrze przycumowana. Lepiej uważać, kiedy zbliża się sztorm.

Ulga na widok opanowanego, całkiem normalnego gospodarza pozwoliła Ellie posłać mu autentyczny uśmiech. Przez chwilę jego sylwetka odcinała się ostro na tle groźnego żółto-szarego nieba. Ruszył w kierunku tacy z drinkami.

– Mogę zaproponować jakiś aperitif?

– Nie, dziękuję.

Mimo to nalał i podał jej kieliszek.

– Kir z naszego własnego rosé.

Pokręciła głową, ale wzięła kieliszek, bo były ważniejsze rzeczy do ustalenia.

– Mój telefon, pan...

– A, tak.

Ale nie zrobił żadnego ruchu, by go przynieść, a tym bardziej nie wyjaśnił, jak to się stało, że jej telefon zaginął. Uniósł kieliszek.

– Porozmawiajmy. Chciałbym przekonać panią do przyjęcia tego zlecenia. Na pewno zechce pani to jeszcze rozważyć, prawda?

Obserwowała go uważnie, trzymając kieliszek, choć nie piła.

– Przepraszam za ten nagły wyjazd do Paryża – kontynuował. – Ale już jestem z powrotem, możemy wrócić do pracy, *non*? Zwłaszcza że przyszło mi do głowy kilka dobrych pomysłów.

– Mój tygodniowy pobyt tutaj dobiegł końca, niestety. Mam zarezerwowany lot na jutro, czekają na mnie zobowiązania, sprawy, którymi muszę się zająć.

– Ale moglibyśmy przynajmniej jeszcze trochę podyskutować.

– Być może.

Ależ człowiek jest kłamliwy, pomyślała.

Stuk-puk, stuk-puk. Serce Ellie zamarło.

– *Maman* – powiedział Laurent.

Madame de Fayols chwiejnie wsparła się na lasce. W świetle świec jej oczy wydawały się pustymi dziurami. Laurent rzucił się, by podtrzymać matkę, i podprowadził ją troskliwie do fotela z wysokim oparciem.

– Wygląda pani tak, jakby się mnie bała, pani Brooke – powiedziała starsza pani, wlepiając wzrok w Ellie. Jej głowa przypominała nagą czaszkę.

– Ależ skąd. Jestem tylko zmęczona, to wszystko.

Zmęczona twoimi gierkami, chciałaby dodać.

– Przecież próbowałam pani powiedzieć, prawda?

Ellie zmusiła się, by stać bez ruchu, choć nogi jej się trzęsły i miała chęć rzucić się do ucieczki. Spojrzała na Laurenta.

– Naprawdę nie mogę dłużej zostać, chciałam tylko zabrać telefon. Gdyby mógł pan...

Ale on nie spieszył się jej ustąpić na oczach matki. Ta zażądała drinka i nalał jej malutki wąski kieliszek purpurowego likieru.

– Byliśmy jak zwierzęta polujące nocą – powiedziała madame, nadal zwracając się do Ellie. – Kierowaliśmy się instynktem. Zawsze miałam świetną intuicję.

Ellie stała skrępowana, nieruchoma niczym słup soli, zastanawiając się, gdzie ostatnio słyszała coś podobnego. Spojrzała na Laurenta, ale wydawał się nieobecny myślami.

– Musieliśmy wyczuwać najmniejsze sygnały – ciągnęła jego matka. – Rzut oka, ukradkowe spojrzenie to nie to samo co obserwacja czy patrzenie nawet. Wszyscy rozszyfrowywaliśmy symbole... te pułapki. Ale każdy z nas widzi inaczej. Kiedy się widziało, że kogoś aresztują, trzeba było udawać, że się go nie zna, że nic nas z nim nie łączy. To była sprawa życia i śmierci. Musieliśmy siedzieć cicho, byliśmy bezradni na tej wsi, gdzie każdy wiatr ma swoje imię, a my swoich nie mogliśmy wyjawiać nawet szeptem. Mieliliśmy nie swoje imiona. Nie swoje życie. Czy ty to potrafisz zrozumieć?

Ellie pokręciła głową. Nie miała pojęcia, o czym mówi ta kobieta.

– Najważniejsze było dochowanie tajemnicy. Pieczętowało to hańbę kłęski



i podtrzymywało nasz lęk o przyszłość. Teraz jestem już dość stara, by pozwolić sobie na cynizm, ale nawet wtedy wiedziałam, że każdy z nas widzi wszystko inaczej, nawet jeśli jesteśmy po tej samej stronie.

Zegar tykał głośno, choć Ellie na próżno szukała go wzrokiem dookoła.

– Martwi mnie pani, pani Brooke. Mam wrażenie, że nie chce pani tego wszystkiego wiedzieć, a powinna pani.

Ellie westchnęła i spojrzała na Laurenta, oczekując pomocy. Ale właśnie przeglądał którąś ze swoich książek. Tak jak wtedy, kiedy szukał konkretnej ilustracji, żeby jej pokazać. Najwyraźniej pochłaniał go jakiś kolejny szalony pomysł. Jeśli chce odzyskać telefon, musi to przerwać.

– Przykro mi, ale...

– On był zdrajcą, a ona mu pomogła. Nienawidzę ich obojga za to, co zrobili. To w człowieku zostaje i zatruwa wszystko, co przychodzi potem.

Piskliwa inwektywa zabrzmiała tak agresywnie, że Laurent wreszcie się ocknął. Podszedł do matki i położył dłoń na jej chudej ręce.

– Brałaś tabletki, *maman*?

– Perfidny Xavier, który zostawił mnie na pastwę losu i zdradził tylu ludzi. Rzucił nas psom na pożarcie!

Madame de Fayols splunęła na podłogę.

– *Maman...*

Kiedy tak zwracał się do matki, Ellie dostrzegła w nim chłopca, którym musiał niegdyś być. Tę żarliwą chęć przypodobania się jej, niezrozumienie i, w końcu, bezsilność.

Weszła Jeanne z tacą. Czy nasłuchiwała pod drzwiami, żeby w odpowiedniej chwili wkroczyć? Czy ten temat był niebezpieczny, wyzwał powstrzymywane z trudem szaleństwo?

Madame de Fayols władcym gestem kazała jej się wynosić. Jej głos stał się charczący, zdumiewająco silny jak na tak filigranową postać.

– Wojna jest brutalna, pani Brooke. Pozbawia ludzi ich człowieczeństwa, pokazuje ich prawdziwy charakter. I dlatego każdy kontakt z Xavierem powinien wydać się podejrzany.

– Madame, *tenez!*

Jeanne wyciągnęła w jej kierunku szklankę z wodą i małą porcelanową miseczkę, w której były ułożone różne tabletki.

Rączka laski poleciała w dół. Szkło rozprysło się na kamiennej posadzce, przy wtórze wściekłego wrzasku starszej pani. Gospodyni wzięła głęboki wdech, ale się nie odezwała. Obróciła się, żeby wymaszerować z pokoju. Pewnie po miotełkę z szufelką.

Laurent pochylił się nad matką, stała się zupełnie niewidoczna za jego plecami.

– Wyjdź. Uciekaj natychmiast – szepnęła Jeanne do Ellie, kiedy ją mijiała.

– Gdzie mój telefon?

– W kuchni.

– To ty go wzięłaś? – spytała zdumiona Ellie.

– Nie! Po co bym coś takiego robiła? Madame powiedziała, że znalazła go w bibliotece.

– Co takiego?

To już było nie do wytrzymania.

– Zaraz go przyniosę.

W nagłym rozbłysku światła – czyżby wreszcie rozpętała się burza? – starający się uspokoić matkę Laurent wydał się drobny i słaby. Po raz pierwszy Ellie pomyślała, że on się bardzo martwi, bardziej, niż to się wydaje. Kiedy uniósł głowę, był blady jak chusta.

– On tu jest! – krzyczała madame.

– Kto taki, *maman*?

– Ty go sprowadziłaś.

Wskazała na Ellie.

– Przyjechałam sama. Po swoją komórkę.

Madame patrzyła gdzieś za nią, na taras.

Coś mignęło za szklanymi drzwiami. Może deszcz, liście albo refleks dalekiej błyskawicy.

– Przecież był dziś ksiądz – zawodziła madame. – Odprawił egzorcyzmy. Mówił, że już nie będzie problemu.

Ten zapach kadzidła w holu. Ellie obejrzała się, prawie gotowa zobaczyć ducha. Wreszcie złapała kontakt wzrokowy z Laurentem. Pokręcił głową. Kolejne rozbłyski światła – na pewno od błyskawic – odbiły się na politurowanym stole. Przez szklane drzwi widać było nocne niebo.

Madame de Fayols miotała się niezdolnie. Zaczęła krzyczeć. Laurent na próżno próbował ją uspokoić. Wreszcie trochę przycichła. Spuściła głowę. Jej kościste palce zaczęły szperać w fałdach spódnicy. Ellie w jednej chwili zrobiło się jej żal. Patrzyła na nią już tylko ze smutkiem. I nagle...

– O, nie, proszę...

Madame de Fayols ledwie była w stanie utrzymać pistolet. Kiwał się w słabym uścisku jej dłoni. Czy to ta sama broń, którą Ellie widziała w szufladzie na górze? Zresztą jakie to ma znaczenie. I tak zaraz ją upuści. Laurent cicho podkradał się od tyłu do jej fotela. Jeszcze kilka sekund i odbierze jej rewolwer.

– Bardzo przepraszam – wydukała Ellie ze ściśniętym gardłem. To wymachiwanie bronią musiało być na pokaz, ale nie miała zamiaru ryzykować. – Ma pani rację. Nie powinnam była tu przychodzić. Najwyraźniej panią zdenerwowałam. Nie chciałam. Przepraszam.

Słowa zabrzmiały płaczliwie, jakby to nie był jej głos.

Żadnej reakcji.

Ellie obserwowała starszą panią. Znów szumiało jej w uszach, mięśnie szykowały się do ucieczki, ale stała jak przymurowana do podłogi, niczym w złym śnie. Przecież chciałam tylko odzyskać swój cholerny telefon, pomyślała.

Grzmot pioruna wstrząsnął całym domem, jakby rozsadził go na pół. Chwilę potem pokój rozświetliła upiorna jasność i broń wypaliła. Ellie zareagowała instynktownie. Rzuciła się naprzód, na taras i w dół po kamiennych stopniach.

Ogród tonął w ciemnościach. Z nieba nie docierało niemal żadne światło. Ani gwiazd, ani księżycy, ukrytych za ciężkimi chmurami. Jednak ciepło dnia czaiło się jeszcze przy ziemi, bardziej intensywne, niż kiedy tu przyszła, przypominało żar, kiedy gdzieś blisko pali się las. Kolejna błyskawica uderzyła w linię drzew.

Ellie skręciła, starając się trzymać ścieżki. Trudno było zdecydować, co robić. Czy to szaleństwo jechać rowerem podczas burzy? Może lepiej pobiec i znaleźć jakąś kryjówkę, żeby przeczekać najgorsze? W górze odezwały się kolejne grzmoty.

Jej stopy nie trafiały już na chrzęszczący żwir, ale odbijały się od miękkiej trawy lub ziemi. Musiała zboczyć ze ścieżki. Jak mogła ją zgubić? Przystanęła. Nic nie widziała.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Wyczuła liście. Gęstą ścianę żywopłotu. Czowała silny, morderczy zapach brugmansji. Biegła wzdłuż ciemnej ściany roślin, próbując po omacku znaleźć drogę. W głowie jej pulsowało. Gdyby tylko potrafiła zorientować się, gdzie jest, mogłaby odszukać dłuższą drogę dookoła domu. Może tak byłoby bezpieczniej.

Coś zaszeleściło przed nią. Zamarła. Kiedy znów się poruszyła, poczuła, że coś tam się dzieje. Nie była sama. Czy ktoś ją śledził?

– Ellie! Zatrzymaj się, wracaj!

Wydawało się, że to woła Laurent.

Rzuciła się do ucieczki, biegła szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Walily pioruny, a może to kolejne strzały? Gnała, dopóki starczyło jej tchu w płucach. Teren stał się spadzisty. Mięśnie osłabły jej tak bardzo, że potykała się, ale pędziła dalej. Ścieżka była coraz bardziej stroma. Gdyby Ellie się zatrzymała, upadłaby. Ale teraz wiedziała już, gdzie jest.

Miała przed sobą morze, wzburzoną czerń Calanque.

Latarnia morska. Czy widzi tam jakieś światło?

Szarpnęło ją do tyłu. Złapali ją! Wyciągnęła ręce, by odepchnąć niewidzialnego napastnika, i trafiła dłońmi na klujące gałęzie. Zaczepiła bluzką o jakieś drzewko albo krzak. Pociągnęła, rozrywając materiał. Ciężko dysząc, zgięła się wpół.

Kiedy się wyprostowała, obróciła się wolno, nie mając niemal odwagi spojrzeć za siebie. Na ile mogła się zorientować, była sama.

Ale po chwili chmury nieco się rozstąpiły, przepuszczając dość światła, by dostrzegła zbliżające się do niej ciemne kształty. Tym razem nie zawróci. Niestrudzenie brnęła dalej, przemoczona do suchej nitki. Chwyciły ją czyjeś dłonie, ślizgały się po jej rękach.

To był Gabriel.

Przyciągnął ją do siebie z wielką czułością.

– Już po wszystkim – zapewnił.

– Madame de Fayols... próbowała mnie zabić!

– Już dobrze, wszystko w porządku... Trzymam cię. Jesteś ze mną.

– Szukałeś mnie? Skąd ty...

Gładził jej włosy ciepłą dłonią, a cały lęk gdzieś się rozplywał.

– No już, cicho, cicho... nie musisz się o nic martwić. Jestem tu. We wszystkim ci pomogę. Już nic ci nie grozi.

I pozwoliła sobie paść mu w ramiona i oprzeć się na nim.

\* \* \*

Zostawiali za sobą ogród nad morzem. Burza się skończyła. Chmury rozstąpiły się, ukazując płonące czerwienią niebo. On trzymał ją za rękę. Szli w blasku zachodzącego słońca. W górze przeleciał samolot, a ona miała wrażenie, że sama też unosi się w powietrzu.

– Teraz nie ma się już co spieszyć – powiedział. – Mamy tyle czasu, ile tylko zechcemy.

Miał rację. Zrozumiała, że przeszłość odchodzi w dal, podobnie jak tęsknota za utraconym mężczyzną i rozpacz, która zamykała drogę przyszłości. Nadal czuła smutek, ale on już jej nie ograniczał.

Teraz wszystko było możliwe, był czas na wszystko, nieskończone pokłady czasu.

Szła więc wolno z Gabrielem, mężczyzną, który rozumiał wagę przeszłości, w kierunku najbardziej na zachód wysuniętego koniuszka wyspy. Ciemne skały czekały, by rzeźbił je wiatr. Malutkie nasiona unosiły się z bryzą, by kiedyś opaść i zapuścić korzenie. Pod falami morza formowały się korale i twardniały perły. W winnicach dojrzewały owoce. Białe trąbki kwitły, a mandarynki i cytryny świeciły niczym kropelki złota w wonnych gajach.

CZEŚĆ II  
Lawendowe pole

*kwiecień 1944 r.*

Niepotrzebne były słowa. Zapach mówił wszystko.

Co tydzień to samo. Dziewczyna wsiadała do autobusu z Digne. Jak inne dziewczętnastolatki, które miały coś do załatwienia. Autobus zatrzymywał się pod platanami w Céreste, a ona wysiadała. Przy ławce, na której stawiała na chwilę swoje kosze, sięgała do torby przewieszanej przez ramię, wyjmowała buteleczkę i perfumowała sobie nadgarstki, starannie, tak by zapach był wyraźny. Nic podejrzanego. Zwykła dbałość o szczegóły, urocza reklama Distillerie Musset, wytwarzającej mydła, wody kolońskie i perfumy. Dziewczyna miała włosy przewiązane niebieską chustką i fartuch we wzory z lawendą, który nosiła, pracując w sklepie. Potem zabierała swoje dwa ciężkie kosze i ruszała dostarczyć zamówienia. Jedno do hotelu, drugie do gabinetu lekarza, trzecie do sklepu przemysłowo-spożywczego. Szła zdecydowanym krokiem, ale zawsze znalazła czas, by przystanąć na parę minut i porozmawiać, jeśli się trafił jeszcze jakiś klient. Potem, już z dużo lżejszymi kosztami, chodziła od domu do domu po miasteczku i jego obrzeżach. W końcu odwiedzała kawiarnię.

Zamawiała mały kieliszek słabego wina i witała się ze stałymi gośćmi lokalu. Trzeba było koniecznie pozdrowić oficerów gestapo i milicji, siedzących przy najlepszych stolikach. Dopijała wino, zbierała się do wyjścia, a potem przystawała na chwilę niezdecydowana przy mężczyźnie czytającym gazetę. Czasami podchodziła do Niemców, by spytać, czy mają jakieś szczególne życzenia, może zależy im na specjalnym prezencie dla dziewczyny. Zawsze obdarzała ich krzepiącym uśmiechem, w którym odbijała się pogodna natura i wstydliva niewinność, a potem znów cofała się do stolika, gdzie siedział tamten mężczyzna z gazetą. Zawsze tam był, trochę niechlujny, pozostawiał ślady brudnych palców na kieliszku. Czasami czytał, czasami patrzył w przestrzeń. Wszyscy wiedzieli, że jest niespełna rozumu. Za dużo pił. Nie odzywała się do niego. Pozwalała, by sam zapach mówił za siebie. Teraz jeszcze mocniejszy na rozgrzanej od marszu skórze. Przyspieszony puls posyłał słodką woń w powietrze pomiędzy nimi. Lawenda: przyjdź na farmę. Róża: Mamy kolejnych ludzi do przerzutu. Tymianek: Dostawa pilnie potrzebna.

Stała przy stoliku, w połowie drogi między barem a drzwiami, zapisując, czego życzą sobie ci, którzy tak bardzo cieszyli się zdobytą władzą. Uśmiechała się miło, choć najchętniej plunęłaby im w twarz.

Rzucała okiem na zegar na ratuszu, żeby sprawdzić dokładną godzinę. Nie

byłoby mądrze wystawać na przystanku zbyt długo, przyciągając wzrok mężczyzn z kawiarni. Dziękowała właścicielowi, po czym przechodziła przez ulicę, by zdążyć na autobus powrotny, gdy wskazówki zegara zbliżały się do trzeciej trzynastki. Wszystko zwyczajnym, spokojnym krokiem.

*1943 rok*

Kiedy wojna zepchnęła Francję w czarną otchłań, ludzie mówili, że wszystko spowił cień, słońce się schowało. Marthe miała wrażenie, że należy do tych bardzo nielicznych osób, które nauczyły się, jak coś takiego przetrwać. Nie widziała okupacji Francji, ale czuła ją niczym parę mięsistych dłoni, które zaciskały się na jej gardle, tamując oddech, sprawiając, że ciało stawało się ciężkie jak kamień. Na nazistowskich flagach zwisających z budynków instytucji publicznych widniał złowrogi półpająk, który przysiadł na tarczy księżycy w pełni odcinającej się na tle rzeki krwi. Widok na pewno nie mniej osobliwy, kiedy się go miało przed oczami, niż kiedy się go sobie wyobrażało. Wypucowane czarne oficerki stukwały po bruku, zawłaszczając ulice, chrapliwe głosy wrzeszczały w języku, którego nikt nie rozumiał. Im więcej Marthe słyszała, tym większej nabierała odwagi. Nie była w gorszej sytuacji od innych, kiedy Niemcy i znenawidzony reżim Vichy obejmowali kontrolę nad południem kraju.

– Plugawe kolaborantki!

Ta obelga podleciała do nich niczym bzyczący owad. Madame Musset i Marthe, trzymając się pod ręce, szły dalej bulwarem des Tilleuls w Manosque. Nie odpowiedziały. Marthe poczuła tylko, jak ramię madame zaciska się trochę mocniej. Przyspieszyły kroku, jednak starsza pani nie próbowała odeprzeć tego oskarżenia. Marthe pozwoliła się prowadzić dalej ulicą aż do sklepu z małą destylarnią perfum i wytwórnią mydła na zapleczu. Tam się zatrzymały. Poranne pobrząkiwanie kluczy poprzedzało ich wejście w uspokajający zapach lawendy. Madame otworzyła sklep, a potem sprawdziła zadania Marthe na ten dzień. Miały jej pomagać dwie dziewczyny. Usiadły do pracy w szopie na zapleczu i szykowały świeżą partię rozmarynowego mydła.

– Czy to prawda, co mówią, że jesteśmy kolaborantkami? – spytała wreszcie Marthe madame, kiedy stały obok siebie w pracowni, kompletując zamówienie na wodę lawendową. Wstyd było przyznać, nawet przed samą sobą, że nigdy nie dopuściła do siebie takiej myśli.

– Robimy to, co dla nas najlepsze.

– Ale skoro gadają...

– Po prostu zapomnij, że coś takiego usłyszałaś.

– Czyli...

– Wszyscy musimy naginać się z wiatrem.

– Ale...



– Dość już tych pytań, mój płatku.

– Niczego w życiu nie należy się bać, należy to tylko zrozumieć. Wie pani, kto tak powiedział? – nie dawała się zbyć Marthe. – Maria Skłodowska-Curie, wielka uczona. Mówili nam o tym nieraz w szkole i zawsze w to wierzyłam.

– I nie mam zamiaru się z tym spierać. A teraz upewnij się, czy korki są dobrze wetknięte. Żeby nic się nie wylało po drodze.

Marthe mocno naciskała kciukiem korki, aż weszły głęboko w szklane szyjki. W końcu, tłumaczyła sobie, odwaga sprowadza się do wiary, wiary w dobroć Mussetów i tego, że wiedzą, co robić, wiary w to, że fale nadal nacierają na południowe wybrzeże, że wiosenne pączki rozwiną się w kwiaty, a owoce dojrzeją.

Podczas wojny Distillerie Musset nie przestała produkować i rozprowadzać głównych linii mydeł, antyseptycznych środków czystości i niewielkich ilości perfum. Na większości terytorium Francji mydło z popiołu drzewnego i gliny było luksusem dostępnym jedynie dla zatrudnionych przy najbrudniejszych robotach. W Prowansji, gdzie nadal tłoczono olej z oliwek, a mydło mogło być wytwarzane z podstawowych miejscowych roślin, wojenna oferta była coraz bogatsza. Władze żądały, by Distillerie Musset nie przerywała działalności, i pozwalały Victorowi Mussetowi negocjować korzystne warunki za dostarczone nadwyżki.

– Jaka jest alternatywa? – mawiał pan Musset. – Bez pracy wszyscy będziemy głodować. Mając towar, przynajmniej możemy go na coś wymienić. Kim bylibyśmy bez pracy? Przypominalibyśmy uschnięte drzewa lub owoce, które spadły, zanim dojrzały. Jeśli nie mamy uszanowania dla ziemi i zbiorów, dla drzew oliwnych, migdałowców i wina, to znaczy, że nie szanujemy samych siebie.

Idąc za ich przykładem w tym względzie, jak we wszystkim innym, Marthe przyjęła dodającą otuchy filozofię prostego życia przy ogromnych polach lawendy u podnóża płaskowyżu Valensole. Opuściła już jeden dom i znalazła nowy, mierząc się zarówno ze swoimi lękami, jak i z okrutną prawdą, że nie były one nieuzasadnione. W tym miejscu, mimo wszystko, utrata wzroku otworzyła przed nią świat, którego mogłaby nigdy nie poznać.

Mussetowie wyraźnie przepadali za Marthe, a ona była im tak bardzo wdzięczna za możliwość zdobywania doświadczenia w Distillerie Musset, że nigdy nie przyszło jej do głowy, by kwestionować cokolwiek, co mówili. Znalazła w nich drugą rodzinę, ufała im bezgranicznie i wierzyła w nich.

\* \* \*

Wojna jeszcze się nie zaczęła, kiedy Marthe Lincel po raz pierwszy odwiedziła wytwórnię perfum. To była wycieczka organizowana przez szkołę dla niewidomych w Manosque. Gdyby ktoś ją kiedyś o to zapytał, bez wahania powiedziałaby, że tamten dzień odmienił całe jej życie.

Miała osiemnaście lat, niedługo miała skończyć szkołę, kiedy ostrożnie zbliżyła się do długiego stołu w mieszalni Distillerie Musset. Dziewczęta, trzymając się za ręce, szły jedna za drugą. Wędrowały zgranym krokiem od szkoły, mijając zapachy ze stajni, przez mury obronne wiekowego, przypominającego kształtem łzę miasta, woń kadzideł z kościoła, na wysadzany drzewami bulwar des Tilleuls. W drzwiach sklepu Distillerie Musset zabrzączał dzwoneczek, a po chwili miały wrażenie, że znalazły się wśród kwitnącej lawendy.

Ten zapach był wszędzie dookoła, unosił się i wypełniał powietrze ciepłymi subtelnymi falami, by po chwili wybuchnąć z ostrą piżmową intensywnością. Niewidome dziewczyny przeszły do następnego pomieszczenia. Zebrały się wokół długiego drewnianego stołu i czekały, co będzie dalej. Powitała je pani Musset. Rozległ się charakterystyczny dźwięk odkorkowywanej buteleczki.

– To czysta esencja lawendy uprawianej na płaskowyżu Valensole – powiedziała madame. – Jest w szklanej buteleczce, którą pošlę w prawo, żeby każda z was mogła powąchać. Czekajcie cierpliwie na swoją kolej.

Potem były inne zapachy. Róża, mimoza i olejek migdałowy. Teraz, kiedy nabrały więcej śmiałości, niektóre dziewczyny zaczęły się wygłupiać. Udawały, że za mocno powąchały i wciągnęły płyn do nosa. Marthe była milcząca i skupiona. Wąchała uważnie. Później podsunęto im różne mieszanki: lawenda z antyseptycznym rozmarynem, pomarańczowo-goździkowy zapach do domu na zimę, likier z nutą jałowca, który sprawił, że Marthe niespodziewanie ogarnęła tęsknota za wioską po drugiej stronie wzgórz na zachodzie, gdzie mieszkała kiedyś z rodzicami i jako dziecko mogła widzieć światło, kolory, wyraźne rysy twarzy, wzgórz i owoce, i kwiaty.

Później, kiedy uczennice przemykały obok madame Musset, każda dziękując ze skinieniem głowy, Marthe bez zastanowienia spytała:

- Czy mogłabym tu jeszcze kiedyś przyjść?
  - Podobało ci się, płatku?
  - Bardzo, proszę pani. Nawet nie potrafię tego wyrazić.
- Kolejne dziewczynki napierały od tyłu. Ciepłe i silne.
- Porozmawiam z twoją nauczycielką.

Koleżanki pociągnęły ją dalej od śpiewnego głosu, którego Marthe mogłaby słuchać od świtu do nocy, a który powiedział jej to, co tak bardzo chciała usłyszeć. Od razu instynktownie zrozumiała, że te słowa nadadzą sens jej światu.

- Do widzenia, mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – rzuciła Marthe.

W drodze powrotnej nie była w stanie rozmawiać. Miała wrażenie, jakby jej zmysły w pełni się otworzyły. Zapachy miasta nie były już dalekim tłem, ale żywymi, skomplikowanymi, cudownymi zagadkami, które trzeba rozwiązać. Aromat wanilii z piekarni mieszał się z zapachem żelaza z kuźni. Kiedy czekały, by przejść jezdnię, wyczuła w powietrzu coś jakby cukier puder i wiosenny las.

Dziecięce głosy zaśpiewały:

– Dziś zbierane! Leśne fiołki, bukiecik za jednego centyma!

Marthe puściła rękę koleżanki i wysupłała centyma z kieszeni.

\* \* \*

Pani Delphine Musset, żona Victora Musseta, właściciela małej destylarni perfum, pełniła funkcję menedżera działu eliksirów. Oznaczało to coś więcej niż wytwarzanie zapachów metodą domową. Komponowała naturalne środki wzmacniające i leki roślinne. W położonym bardziej na południe, mniej uprzemysłowionym regionie uchodziłaby za uzdrowicielkę, pomagającą chorym zielarkę.

Dotrzymała słowa danego Marthe. W następnych miesiącach zorganizowała wszystko tak, by dziewczyna przychodziła do niej raz w tygodniu na kilka godzin po południu. Marthe myła butelki i mieszała składniki na mydła razem z pracownikami w szopie na zapleczu sklepu.

Była obecna, kiedy z gospodarstw dostarczano produkty zapachowe. Trawiastozielone wiosenne zioła i zimowe nalewki z kardamonu i imbiru. A wśród wielu zajęć zawsze znalazł się czas, by porozmawiać o tym, które aromaty dobrze się łączą i dlaczego dodanie jakiegoś składnika może podkreślać właściwości tego drugiego. Im więcej wypytywała, tym więcej pozwalano jej robić. Kiedy nadszedł czas, by opuścić szkołę, Mussetowie byli już pod takim wrażeniem jej nosa do woni, że zaproponowali terminowanie przy wytwarzaniu perfum.

Wybuchła wojna, ale na nieokupowanym południu życie toczyło się swoim trybem. Przez kilka pierwszych lat nauki zawodu Marthe mieszkała w wynajętym pokoju u znajomej pani Musset. Było stamtąd pięć minut spacerem do wytwórni i sklepu, a gospodyni brała Marthe pod ramię i podprowadzała aleją pod platanami do miejsca pracy.

Kiedy madame Musset mówiła, pobrzmiwał w jej słowach prawdziwy akcent południowych gór. Każda samogłoska świadczyła o jej pochodzeniu z tych skalistych stron. Marthe, która знаła jedynie dotyk jej dłoni, wyobrażała sobie panią Musset jako tęgą kobietę, o szerokiej, rumianej twarzy. Minęło parę lat, nim się dowiedziała, że starsza pani jest koścista, a wyraziste rysy nadają jej wygląd bajkowej czarownicy, która może być dobra, ale i bardzo zła.

– Robi wrażenie podstępnej, takiej, co to zastawia pułapki – powiedziała kiedyś Benedicte.

Do czasu, kiedy to usłyszała, Marthe wciągnęła się już na dobre w alchemię perfum i poznała nieograniczone możliwości tej sztuki. Benedicte, jej siostra, miała piętnaście lat i nie widziała wiele poza rodzinną wioską. Od najmłodszych lat uwielbiała czytać. Marthe pamiętała ją pochyloną nad książką z ludowymi baśniami. Groteskowe kolorowe obrazki przedstawiały dzikie stworzenia i jeszcze

bardziej dzikich ludzi o karykaturalnych rysach, dlatego Marthe rozumiała, skąd może się brać to niepokojące skojarzenie.

– To do ciebie niepodobne, żebyś mówiła o kimś takie brzydkie rzeczy – powiedziała siostrze.

– Przecież sama chciałaś, żebym opisywała ci to, czego nie widzisz.

– To prawda, ale...

– Nie jestem złośliwa, staram się jak mogę.

Marthe była jednak w rozterce. Oto Benedicte, zwykle miła i lojalna, ni stąd, ni zowąd opowiada takie rzeczy o Mussetach, jej dobroczyńcach. Przecież to pani Musset dostrzegła w Marthe coś wyjątkowego. Dotrzymała słowa. Oni ją wybrali. Co więcej, dzięki madame życie Marthe nabrało sensu. Otwierała się przed nią przyszłość, o jakiej nie mogłaby nawet marzyć, gdyby nie poszła szczęśliwym trafem na tamtą szkolną wycieczkę do destylarni.

– A pan Musset, co myślisz o nim?

Benedicte zaśmiała się nerwowo.

– On tu rządzi i zachowuje się jak szef.

– Bywa nieco wycofany, kiedy pracuje. I czasami reaguje gwałtownie, kiedy ktoś popełni głupi błąd. „Nie znosi idiotów”, tak mówi madame. Nie od razu mnie zaakceptował. Musiałam się postarać. Ale nie masz pojęcia, jaki jest miły dla rodziny. Szkoda, że nie słyszałaś, jak potrafi żartować i jaki jest czuły dla żony.

Siostra nie musiała jej uświadamiać, że Victor Musset jest potężny jak dąb. Marthe to czuła i słyszała, z jakiej głębi dobywa się jego tubalny głos. Kiedy podsuwała Mussetom swoje pomysły na nowe perfumy, czasem proponował, jak coś poprawić, ale zawsze wylewnie chwalił jej starania. Leciutkie westchnienie madame po powąchaniu mówiło od razu, że się udało. Ale kiedy ciężka ręka pana Musseta obejmowała jej wąskie ramiona, Marthe promieniała z dumy, czuła się gwiazdą. Musiała pilnie pracować na jego uznanie.

– Sam pracuje ciężiej niż ktokolwiek, cały dzień jest w ruchu, krąży pomiędzy polami, linią produkcyjną, sklepem i klientami. Przynajmniej trzy dni w tygodniu spędza w podróży, rozwoząc podstawowe serie mydeł i środków czystości. Mówi, że lubi robić to sam. Uwielbia też jeść, rozmawiać i czytać. Wieczorami czyta eseje Montaigne’a, robi notatki i potem odczytuje je na głos. To bardzo kulturalny człowiek. Powoli obraca strony, skrobie coś ołówkiem. Czuje się, że zastanawia się głęboko.

Z czasem przestało ją peszyć jego towarzystwo. Mussetowie nie mieli dzieci, ale przez ich dom na wzgórzach nad Manosque przewijało się mnóstwo ludzi. Pobyt u Mussetów pod wieloma względami przypominał odwiedzanie rodzinnego gospodarstwa, również dla niej. Oczywiście tęskniła za bliskimi, ale to, czego się uczyła w fabryce perfum, było tak pasjonujące, że niczego nie żałowała i smutek minął.

– Nigdy nie zapomnę, jak pewnego dnia monsieur zawołał mnie ze swojego fotela przed kominkiem, gdzie czytał. „Jest tu kilka słów dla ciebie, mała, od najmądrzejszego człowieka, jakiego znam”, powiedział. Oczywiście chodziło mu o Montaigne’a. „Proste wiosło wydaje się wygięte w wodzie. Liczy się nie tylko to, że coś widzimy, ale jak to widzimy”. I od tamtej pory... no, wiem, że myśli o innych. To bardzo dobry człowiek.

Benedicte ujęła jej dłoń i delikatnie ścisnęła ją palcami.

– Najwyraźniej jesteś tu szczęśliwa. *Maman* i *papa*... oni też będą szczęśliwi, jak im o tym powiem.

– Tak, jestem.

To była prawda. Pomimo wszystko była szczęśliwa. Czasami trudno wyrazić tak elementarne uczucie w słowach. Jak można uchwycić słowem to, co esencja mówi sama przez się?

Po wizytach siostry głowa Marthe była pełna nowych obrazów: pola lawendowe w Valensole, wszystkie subtelne odcienie błękitu i fioletu; zmierzch stapiający je w jedno, barwy destylatu z różnych roślin, kształt i kolor butelek. Coraz lepiej rozumiała otoczenie, w którym poznawała tajniki swojej sztuki. Tak jak odmiany roślin krzyżowano, by tworzyć nowe hybrydy, tak ona zaszczepiała te wizje na obrazach, które pamiętała z dzieciństwa i ożywiała je od nowa.

Jednak w jej wyobraźni dobrotliwa pyzata twarz, którą przydzieliła swojej mentorce, madame Musset, zawsze dominowała nad tą, którą widzieli wszyscy inni. Kiedy się straci wzrok, łatwiej wyczuć, co kryje się pod powierzchnią pozorów.

Madame była szczerą, życzliwą osobą, która się o nią troszczyła. Polubiła ją od pierwszego wejrzenia. „Mój płatku”, nikogo innego tak nie nazywała. Szybkość, z jaką ustawiała dla Marthe podstawowe olejki zapachowe, zawsze w tej samej kolejności i w tym samym miejscu na stole, była cichą zachętą. A jak przemyślnie oznaczała pierwsze eksperymentalne mieszanki Marthe, używając wosku i odciskając w nim litery ze starego zestawu do drukowania – żeby Marthe potrafiła rozpoznać dotykiem, co jest co. Później, kiedy nos i pomysłowość Marthe były coraz doskonalsze, pozwalano jej otwierać małe fiołki bardziej egzotycznych składników kupionych w Marsylii przed wojną – ekstraktu z korzenia irysa, ambry, olejku paczuli – i dodawać kropelkę po kropelce cennych pachnideł do lokalnych zapachów, by nabrały niepowtarzalnego charakteru.

Kiedy wdowa, u której mieszkała Marthe, postanowiła zamknąć dom i przenieść się do Banon do córki i wnuków, ponieważ jej zięć pozostawał w niewoli u Niemców, Marthe wprowadziła się do Mussetów, do wiejskiej posiadłości otoczonej polami lawendy, leżącej w połowie drogi między płaskowyżem a miasteczkiem.

1943 rok

Ciało pasterza znaleziono na stromym zboczu, gdzie kępy lawendy podejmowały ostatnie próby uczepienia się gleby w drodze na szczyt.

Co roku wysoko położonymi łąkami ponad polami lawendy przeprowadzano owce. Mężczyźni w tych stronach nadal przestrzegali dawnych obyczajów – twardzi, o sękatych rękach i surowych twarzach, jakby wyrzeźbiły ich te same wiatry, które szlifowały tutejsze skały.

Jednym z nich był Pineau. Sam pod niebieską warownią nieba prowadził swoje stado od jednej wiekowej kamiennej *borie* do drugiej. Znali go tu wszyscy. Stary Pineau w swoich ubraniach był już częścią tutejszego krajobrazu, kiedy zaczynał się boom na uprawy lawendy związany z rozwojem przemysłu perfumeryjnego, a Mussetowie, podobnie jak inni, zaczęli zabarwiać pasmami fioletu te wzgórza. Znał tu każdy kamień, każde drzewo i sam był wpisany w przyrodę – jak góra, strumień, zwierzęta – żyjąc zgodnie z cyklami pór roku, wędrując samotnie ze swoimi pasącymi się owcami od skalnych nawisów na łąki, z doliny na płaskowyż. Idąc, śpiewał pieśni, które śpiewano od setek lat.

W ten letni dzień w 1943 roku, kiedy jego stado rozproszyło się w leniwe obłoczki po zboczu, uprawiający lawendę od razu zorientowali się, że coś musiało się stać. Na pogórzcu ludzie zawsze mogli polegać na sobie nawzajem. Poszli go szukać.

\* \* \*

Szybkie kroki na ścieżce, chrzęst żwiru pod butami przyniosły tego wieczoru wiadomość na farmę Mussetów. Najpierw ktoś załomotał do drzwi, a po chwili do kuchni wpadł zdyszany Auguste.

– Stary Pineau nie żyje! Dopadli go!

Auguste Baumel był najlepszym dostawcą Mussetów, synem rolnika, który obsadził ogromne połacie płaskowyżu hybrydową lawendą.

Zazgrzytało odsuwane krzesło pana Musseta. Przez chwilę panowała cisza. Potem do akcji wkroczyła madame, stawiając na stole szklanki, nalewając z butelki i prosząc Auguste'a, żeby usiadł.

– Poszedłem z kilkoma innymi, żeby... sprawdzić, co się z nim dzieje. Zabrałem ze sobą mojego kuzyna Thierry'ego – powiedział Auguste.

Thierry prowadził warsztat samochodowy w mieście. Marthe nie rozumiała, na co jego specjalność mogła przydać się na wzgórzach.

Auguste wypił jednym haustem, aż się zakrztusił.

– Spokojnie, chłopie.

Powoli dowiadywali się, co się stało. Wspominając to, Marthe miała wrażenie, że zapomnieli o jej obecności w kącie pokoju. Słuchała uważnie.

W szalasyce pasterza, zbudowanym z układanych jeden na drugim kamieni, gdzie stało tylko krzesło i stół, Auguste i Thierry znaleźli na ziemi porzucony cynowy kubek Pineau. Na zewnątrz, pod samotnym drzewem oliwnym, jego ostatnim posiłkiem raczyły się jeszcze chmary much i żuków. Zaczęli wołać go po imieniu, myśleli, że może jest ranny, nie może się ruszać. Znaleźli go sto metrów dalej. Leżał z twarzą zanurzoną w strumieniu, z którego czerpał wodę do picia i w którym się mył. Czarne ogromne muchy z bzykiem krążyły nad rozkładającym się ciałem.

– Odwróciliśmy go, żeby się upewnić – powiedział Auguste.

– I to...

– Strzał prosto w głowę – wyjaśnił Auguste. – Musieli go dopaść, kiedy mył ręce przed jedzeniem.

Cisza.

Marthe nie śmiała nawet drgnąć, a co dopiero się odezwać. Czuła chłód źródlanej wody wypełniającej nozdrza pasterza, kamyki cisnące mu się do ust z jej prądem. Umierał podwójnie. Od kuli i wody. Przypomniała sobie, jak siostra opisywała jej wzgórza i wzniesienia falujące jak morze. Morze i wzgórza w jej wyobraźni zlewały się w jedno. Marthe nikomu tego nie mówiła, ale prześladował ją lęk przed utonięciem.

Pan Musset chodził w tę i z powrotem, mówiąc równie szybko jak Auguste.

– Każda wymiana to ryzyko. Dla dobra sprawy odsuwamy na bok to, co nas dzieli, ale nie wolno zapominać, że każdy ma swoje priorytety. Nie można dłużej przyjmować, że różni ludzie tak samo widzą jakąś sytuację czy swoje powinności. Naturalny porządek rzeczy został zakłócony, tyle wiadomo.

Nie potrafiła zrozumieć, o co chodzi.

Być może w tym momencie jedno z nich ją zauważyło, kiedy tak siedziała pod oknem, wstrzymując oddech. Tak czy inaczej obaj mężczyźni skierowali się do drzwi i wyszli.

Marthe zdrętwiała. Zastanawiała się, czy madame odezwie się, do nich lub do niej, ale tylko zastukały patelnie i zaszumiała woda płynąca z kranu.

\* \* \*

Szok, że Pineau został zamordowany, połączył się z zapachem smażonej cebuli i czosnku. Obelgi na ulicy – z ziołową wonią rozmarynowego mydła. Pamięć i zapach, tak mocno ze sobą splecione. Niedługo potem u Mussetów zamieszkała Arlette. Przywiozła ze sobą puszkę prawdziwej mielonej kawy. Od lat

pijali tylko gorzki napar z żołądź. Mocny kawowy aromat uderzał do głowy i przypominał utraconą wolność, aż łza się w oku kręciła. Rozmaryn, smażona cebula i kawa. Zbiory lawendy. Ta mieszanka nadawała spójność wspomnieniom Marthe z owych kilku lipcowych tygodni 1943 roku.

Arlette była siostrzenicą pani Musset, córką jej mieszkającej w Lyonie siostry. Jej rodzice prowadzili sklep z tkaninami, ale odkąd Niemcy przekroczyli linię demarkacyjną i zlikwidowali *zone libre*, Lyon uznawano za równie niebezpieczny jak Paryż. Dziewiętnastoletnia Arlette uśmiechała się tak szeroko, że wyczuwało się to w jej sposobie mówienia i wszyscy odwzajemniali uśmiech. Była dzielna i optymistyczna i zamierzała zostać aktorką, choć nie było całkiem jasne, w jaki sposób planuje spełnić to marzenie w Manosque, a nie w wielkim mieście, takim jak Lyon.

Kiedy Marthe pierwszy raz usłyszała jej głos, Arlette śpiewała. Po chwili, kiedy zaczęła rozmawiać, wciąż miała w głosie pełną pewności siebie i radości życia melodyjną harmonię i zdawało się, że słowa lada chwila zastąpi srebrzysty śmiech. Marthe cofnęła się w kąt pokoju, jakby chciała się stać niewidzialna. Bała się wzgardy ze strony tego wesołego głosu. Szykowała się na potępienie jako kukułczy podrzutek w gnieździe.

Ale Arlette zaraz podbiegła do niej.

– Ty na pewno jesteś Marthe! Tak bardzo chciałam cię poznać! Ciocia Delphine przysłała mi trochę twojego cytrynowego balsamu na urodziny i wiesz co, kobiety zatrzymywały mnie na ulicy, żeby spytać, jakie to perfumy!

Marthe ledwie zdołała wyjąkać podziękowanie za ten komplement.

– Muszą cię strasznie palić uszy.

– Słucham?

– Ciocia i wujek tyle o tobie opowiadają, wprost nie mogą się ciebie nachwalić! Uszy na pewno bez przerwy cię palą.

– No... ja... to miło, dziękuję.

Pewnie tak sobie tylko żartuje, upomniała się Marthe.

Jednak w następnych miesiącach Arlette okazała się nie tylko entuzjastyczna, ale i bardzo rozsądna, nie bała się też ciężkiej pracy. Zakasywała rękawy i brała się do produkcji mydeł z innymi, poza tym pomagała w realizacji zleceń i wędrowała z wujem, by zyskać nowych klientów. Na farmie też podejmowała się wszystkich prac.

Przy okazji obie z Marthe bardzo się zaprzyjaźniły. Wojna była straszna, ale zgadzały się co do tego, że nie trzeba się martwić tym, na co nie ma się wpływu.

– Nie można w kółko zastanawiać się, „co by było, gdyby”. Jest, jak jest, i tylko to się liczy – powiedziała Arlette.

– Ja też musiałam do tego dojść, ale to było trudne – przyznała Marthe.

Sama była zaskoczona, że opowiada Arlette, jak ślepla. Jak w miarę



pogarszania się wzroku skupiała się – blisko, z całych sił – na tym, co jeszcze mogła zobaczyć czy czuć, na kwiatach heliotropów na zboczu za oborą, na łąkach, gładkim metalu poręczy pod dłonią, półksiężycach kamiennych stopni wytartych przez wieki, kafelkach na podłodze, na których odcisnęły się ślady psich łap niczym na skamielinach. Przejścia, schody i pomieszczenia jej rodzinnego domu zapisywały się w jej pamięci jako wzór i szablon dla wszystkiego, z czym miała stykać się potem. I wtedy rodzice wysłali ją daleko, do nowego miejsca, którego nigdy nie widziała.

– Opowiedz mi, jak to było. Opowiedz wszystko – prosiła Arlette.

Tego pierwszego lata często leżały wśród traw pod drzewami dzikiej śliwy, zajadając się jędrnymi owocami.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

Ale Arlette czekała cierpliwie, aż Marthe znajdzie właściwe słowa. Bzyczenie pszczoł w tle wzmagało kwaskowo-miodowy smak śliwek, kiedy wysysały do czysta pestki.

I Marthe otworzyła się przed przyjaciółką. Opowiedziała, jak zawieziono ją do Manosque, kiedy miała jedenaście lat. Rodzice tłumaczyli, że zabierają ją do szkoły dla dziewczynek takich jak ona, a potem zostawili ją tam samą, oniemiała z przerażenia, że spełniają się jej najgorsze obawy. W szkole dla niewidomych wszystko wokół niej było obce. Czy jej rodzice mieli w ogóle jakieś pojęcie o tym, jak to jest znaleźć się nagle w kompletnej pustce, wirującej i hałaśliwej?

– Byłaś na nich zła?

– Tak. Przez długi czas. Raz rzuciłam się w dół ze schodów, wściekła, że nie wiem, jak one wyglądają. Miałam nadzieję, że moi rodzice zrozumieją i po mnie przyjadą. Ale nie mieli zamiaru.

– To musiało być okropne.

– Tak, ale co zabawne, od tamtej pory wszystko zaczęło się jakoś układać. Dwie dziewczynki, które znalazły mnie przy schodach i zaprowadziły do dyrektorki, zostały moimi przyjaciółkami. Renée i Elise. Były takie miłe, ale ja, pogrążona w rozpacz, nawet nie zdawałam sobie sprawy z ich istnienia.

– Z przyjaciółmi życie jest lepsze. Zawsze. Z twojego bólu zrodziło się więc coś dobrego.

– Masz rację. Ale to wściekłość na własną sytuację mnie zmobilizowała. Musiałam nauczyć się odczytywać otaczającą mnie nową ciemność, używając wszystkich innych zmysłów. Starłam się rozpoznawać każdy dźwięk, jakbym słuchała orkiestry, żeby rozróżnić, które instrumenty grają i jak. Musiałam interpretować dotyk powietrza na swojej skórze i wyczuwać zmieniające się pory roku. Jeśli wyobrażałam sobie siebie, to jako szczeniaka, który zapuszcza się na nowe tereny i kieruje węchem.

I dlatego, kiedy słuchali wiadomości w radiu lub podczas rozmów

o okupacji, Marthe nie czuła się inna od wszystkich. Słyszała to samo co oni. Nikt z nich nie widział opisywanych zdarzeń. Najbardziej przerażające akty okrucieństwa i nieludzkie barbarzyństwo działo się poza ich polem widzenia, doświadczali ich przez nieobecność, z relacji.

\* \* \*

Tego roku, kiedy jesień zmieniła się w zimę, gromadzili się co wieczór przy radiu, odrzucając rządową propagandę, by wśród trzasków i zakłóceń słuchać zakazanej BBC. Z Londynu patrioci na wygnaniu przysyłali krzepiące biuletyny, donosząc o cofaniu się nazistów i przekazując treść przemówień Churchilla. Napływały kolejne wiadomości, strzępki banalnie brzmiących apeli emigrantów do rodaków zza kanału La Manche – „Francuzi przemawiają do Francuzów”.

W tym czasie podczas kolacji często towarzyszył im Auguste. Zwykle przynosił broszury drukowane przez podziemny ruch oporu i chętnie czytał je na głos.

– *Premier rządu Vichy Pierre Laval tak bardzo chce dogadywać się z Niemcami i posadzić Francję przy stole po prawicy zwycięzcy, że gotów jest poświęcić dla tego celu naszą młodzież. Za uwolnienie jednego więźnia wysyła do pracy w niemieckich fabrykach ośmiu młodych ludzi. Mówię wam, Niemcy na pewno nim gardzą, ale to nic w porównaniu z tym, jak ja gardzę tym draniem. A jeśli chodzi o marszałka Petaina, to już lepiej nie pytajcie mnie o tego niebezpiecznego starego głupca! Co oni, do diabła, wyprawiają! To nie do wiary... nie do wiary! A ludzie nadal myślą, że on uratował kraj przed wielką wojną światową, więc nie powinno się wątpić w jego patriotyzm! Może i kiedyś był patriotą, ale teraz to już na pewno nie.*

Wszyscy przy stole byli co do tego zgodni. Odkąd zaczęła się okupacja i Niemcy przejęli kontrolę nad północną częścią kraju, Petain wmawiał Francuzom, że to pragmatyczne rozwiązanie, że rząd francuski w Vichy chroni obywateli w szerszym pojętym interesie ojczyzny. Jeśli Francja pójdzie na współpracę, twierdził, to wzmocni jej pozycję jako partnera Niemców po zakończeniu wojny.

Butelka brzoskwiniowego likieru zaczęła krążyć wokół stołu. Ostry smak palił gardło Marthe, zdołała upić ledwie parę łyčzków.

Teraz mówiła Arlette.

– Mój ojciec mówi, że są tacy, którzy chcą wierzyć w ich dobre intencje. Sądzi, że witają z otwartymi rękami okupantów, bo bardziej boją się naszych własnych partii, radykałów i komunistów. W gruncie rzeczy, cieszą się, że Niemcy dławią wszelkie zbuntowane frakcje.

– Zawsze zdumiewa mnie, jak różnie można podchodzić do tych samych faktów, jak odmiennie je interpretować – stwierdził z goryczą jej wuj.

Auguste aż się zachnął.

– I co, mamy to czytać, a potem położyć się, żeby sobie po nas przeszli? Musimy robić wszystko, co każą Niemcy, bo Petain działał kiedyś coś dobrego? To bzdura! On i jego pachołki są takimi samymi faszystami jak Niemcy. Widzieliście, jakie plakaty porozlepiali po całym mieście? Uśmiechnięci chłopcy wychylający się z okien pociągu, który wiezie ich do pracy w niemieckich fabrykach. Jak to niewinnie wygląda! Oni to wspólnie spreparowali! Coś ohydneho! A tak przy okazji, chciałbym spytać, co my, u diabła, wyprawiamy, po co sprzedajemy mydła tym łajdakom, którzy nas depczą. Przecież...

– Zgadzam się z twoimi odczuciami co do polityki – przerwał mu pan Musset. – Ale trzeba zatkać nos i robić co trzeba.

– I spać spokojnie snem sprawiedliwych?

– Robimy to, by przetrwać. Rzeczywistość nie jest czarno-biała, czasami to „kolaboranci” zapewniają ludziom bezpieczeństwo. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Urzędnicy pracujący w ratuszu, którzy starają się interweniować, pomagać innym, często muszą się narażać, negocjując i dogadując się z reżimem.

– Czy my też to właśnie robimy?

– Tak. Destylarnia Musset działa, żebyśmy my i wielu innych mieli co jeść.

Na tę wyważoną odpowiedź Auguste znów parsknął oburzony.

– Kiedy mój ojciec po ostatniej wojnie obsadzał lawendą pierwsze pola na płaskowyżu, chciał, żeby żyło się tu lepiej, chciał zapewnić ludziom utrzymanie. Nie robił tego po to, by oddać uprawy starym wrogom.

– Twój świętej pamięci ojciec był wspaniałym człowiekiem i moim serdecznym przyjacielem. Był też dobrym negocjatorem. Nie zapominaj, że tworzyliśmy kiedyś spółkę, jak my teraz. On też uznałby, że należy podejść do tego racjonalnie.

– Na pewno przewracałby się w grobie, gdyby widział, jak starasz się schlebiać komendantowi Baumannowi i jego byczkom.

– To dobry układ. Kim byśmy byli bez pracy?

– Wiesz, że wyzywają nas od obrzydliwych kolaborantów, prawda?

– A niech sobie wyzywają. My jesteśmy uczciwi, mamy swoje ideały w tym świecie złamanych obietnic i pilnujących tylko własnego nosa polityków! Ciężko pracowaliśmy, by zbudować nasz biznes.

– Nie przeczę... Jak mógłbym? Ale jednak! Strasznie mnie to złości!

Auguste bardzo się zmienił. Jakby dzięki okupacji odnalazł coś, czego zawsze pragnął – sens życia. Energia go rozpierała. Jego ruchy powodowały wyraźne, ostre dźwięki – stuknięcie szklanki o stół, zdecydowane kroki, szybki szelest otwieranej gazety. A jeszcze niedawno krążyły słuchy, że wybiera sobie dziewczyny zbyt młode jak na jego wiek. I może to była sprawa braku wiary w swoje możliwości. Ale teraz nabrał pewności siebie, miał jej więcej niż kiedykolwiek. Przyszedł jego czas i zamierzał w pełni to wykorzystać.

– Petain ma osiemdziesiąt siedem lat! Nawet nie zobaczy skutków tego, co nawyprawiał! Nie obchodzi mnie, czy był naszym największym bohaterem w pierwszej wojnie światowej. Teraz zwrócił się przeciwko swojemu narodowi.

Łagodny głos pani Musset sprowadził rozmowę na mniej kontrowersyjny temat.

– A jak tam twoja dziewczyna, Auguste? Czy to nadal aktualne?

Dziewczyna Auguste’a pracowała w sklepie z sukienkami w Céreste. Ładna, według pana i pani Mussetów. Według Arlette – próżna i wyniosła, choć rzeczywiście zawsze elegancko ubrana, podczas gdy większość ludzi w tych czasach rzadko nosiła coś nowego.

– A dlaczego miałbym się już nie spotykać z Christine?

– Tak tylko pytam.

– No to nic się nie zmieniło. Tylko że ostatnio byłem taki zajęty... trzeba było sporo organizować. Ona to rozumie. Wiecie, jak to jest.

– Oczywiście. A teraz, mam nadzieję, że jak zwykle jesteś głodny, mój drogi idealisto. Mamy ciasto orzechowe, wyjątkowo dobre, biorąc pod uwagę, że musiałam zastąpić mielonymi orzechami i marchewką mąkę i cukier. A Victor dziś po południu przyniósł z Reillanne królika, z którego zrobiłam potrawkę.

Wkrótce uspokajająco zaskwierczała smażona na patelni cukinia.

Podczas kolacji Auguste się wyciszył. Marthe wyobrażała go sobie tak, jak opisywała go Benedicte. Stojącego wśród pól, w czarnej kamizelce nałożonej na białą koszulę i odsłaniającego w uśmiechu złoty ząb, który przyciągał uwagę jej siostry. Nadal stosunkowo młody, miał w sobie coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka, zaznaczyła Benedicte. Marthe zawsze wydawał się miły i szczery. Wiele da się wyczytać z tonu głosu, a Auguste, choć niewątpliwie czasami dawał się ponieść emocjom, zwykle był powściągliwy. Miał zdecydowane poglądy i głęboko wszystko przeżywał.

Marthe starała się nie myśleć za dużo o tym, co stało się z krajem, nie chciała pozwolić, by zepsuło jej to obraz, który zachowała w wyobraźni. I za to miała do siebie wielki żal, kiedy przez okoliczne miasteczka, z niszczącą siłą mistrała, przetoczyła się fala wieści na temat pierwszych okrucieństw. Wizja drzewa oliwnego przy kamiennej chacie czy strumienia nad falującym morzem fioletu nie kojarzyła się już ze spokojem. Od śmierci Pineau to była sceneria egzekucji, a pierwsze wiosenne białe kwiaty na drzewach migdałowych pachniały śmiercią. Z drugiej strony doliny łatwo było pomylić sady ze smużkami białej mgły, całunem dla farmera i jego rodziny zabitych strzałem w tył głowy za ukrywanie zbiegłych jeńców.

\* \* \*

Przemoc podchodziła bliżej. Marthe czuła, że rozpada się to, co uznawała za

normalność. W tym roku z tygodnia na tydzień uspokajająca choreografia stóp na płytkach podłogi, zwyczaje i rytm życia rodzinnego, pojawianie się stałych pracowników – wszystko ulegało zmianie.

Marthe niepokoiły nieznanymi kroki i ściszone głosy. W domu i zabudowaniach gospodarczych przesuвано jakieś ciężkie sprzęty. Od wejściowego korytarza docierały świsty, których źródła nie umiała ustalić. Prawie każdego dnia dochodziły nowe dźwięki do rozpoznania.

– Co się dzieje? – spytała panią Musset.

– Nic. Nie zaprzętaj sobie tym głowy, mój płatku. Proszę, wyłuskaj mi ten groszek, bardzo byś mi pomogła.

Groszek do wyłuskania. Mydło do spakowania. Sweter do sprucia, wełna do pozwijania w kłębki. Zawsze znalazło się jakieś drobne zajęcie, żeby się nie nudziła. By nie zadawała pytań i trzymała się z dala od tego, co się działo. Z drżącymi dłońmi Marthe brała się do przydzielonych jej zadań, wyczulona na najdrobniejsze sygnały.

Arlette starała się poprawić nastrój. Pojechała do Lyonu odwiedzić rodzinę na święta Bożego Narodzenia i wróciła z płytami gramofonowymi. Pan Musset je nastawiał i nagle dom ożywał muzyką, z Arlette śpiewającą do wtóru. Jedna piosenka powtarzała się raz za razem – *Douce France* w wykonaniu Charles’a Treneta. *Douce France, cher pays de mon enfance... Je t’ai gardée dans mon coeur.* Marthe zdała sobie sprawę, że nie jest jedyną osobą, której kraina dzieciństwa bezpowrotnie odeszła w przeszłość.

Innym ulubionym utworem było *Boum!* Wesoła piosenka o tym, jak bije serce, gdy się zakochamy. *Boum! La pendule fait tic-tac tic-tac... et la jolie cloche din dan don... mais Boum! Et c’est l’amour qui s’éveille!*

– Masz chłopca, Arlette?

– Nie. Mam kilku!

...*Quand notre coeur fait boum, tout avec lui dit boum...*

– Kochasz się w którymś?

– A skąd! Po prostu chcę się trochę pobawić, bo kiedy wojna się skończy, muszę skupić się na karierze. Zostanę aktorką. Poczekaj tylko, a zobaczysz... To znaczy, oj, przepraszam...

– Nie ma za co. Zobaczą na swój sposób, wiesz przecież. Pierwsza zerwę się z krzesła i będę bić ci brawo, kiedy opadnie kurtyna.

– To będziesz musiała dużo podróżować... do Nicei, Paryża... i Biarritz, i pewnie jeszcze dalej. Do Rzymu! Nowego Jorku! Ani chwili tu nie zostanę, kiedy ta wojna się skończy! Ale będę ci zawsze wysyłać pieniądze i bilety, nie martw się.

– Cudownie!

Łatwo było o optymizm przy Arlette. Nawet namówiła wujka, by pozwolił jej pomagać sobie przy zatrudnianiu nowych pracowników.

– A dlaczego nie miałaby tego robić dziewczyna? Przecież mogłabym postarać się zwiększyć obroty pomimo trudnej sytuacji. Może nawet mnie byłoby... łatwiej przekonać młodych ludzi, żeby zostali tutaj i pracowali dla nas, zamiast wsiadać do pociągu i jechać do Niemiec.

Auguste też zrobił się weselszy. Marthe słuchała, jak rozmawia i żartuje z Arlette, kiedy wybierali się razem do miasta. Podrzucał ją tam czasami starym wozem, którym zwozili ściętą lawendę do suszenia w czasie zbiorów.

– Czy ty przypadkiem nie zakochałaś się w Auguste? – spytała nieśmiało Marthe.

– Nie! No skąd. Jest bardzo miły, ale dla mnie trochę za stary. Bardziej jak starszy brat, można się z nim podroczyć.

Ale może było tam też jakieś zauroczenie.

W rurach zapiszczało, pewnie popłynęła woda. Zatrudnili na polach kilku nowych pracowników, którym madame pozwalała się kąpać w domu. Marthe słyszała ich ciężkie kroki, kiedy wchodzili po wykafelkowanych schodach.

– Oj, przypomniało mi się. Ciocia Delphine prosiła, żebyśmy skończyły pranie kilku prześcieradeł, które namakają – powiedziała Arlette.

Wzięły się pod ręce i wyszły do szopy. Szorując pościel na tarkach, rozmawiały. Pracowały, aż zmarzły im palce, a mokra skóra na ich czubkach zrobiła się pomarszczona niczym wodorosty.

– Jakoś strasznie dużo tych prześcieradeł.

– Nie mylisz się. Jest sporo roboty.

– Ja się nie skarzę – zaznaczyła Marthe.

– Wiem.

– To mi przypomina zajęcia w domu, kiedy pomagałam mamie. Lubię to.

Przez jakiś czas milczały. Słysząc tylko śpiew wieczornych ptaków i wiatr wśród drzew w sadzie.

– Może nie powinnam tego mówić – zaczęła Marthe. – Ale ostatnio mam dziwne wrażenie... coś się zmieniło. Powiesz mi, co tu się dzieje?

Dalej pocierała zimnym prześcieradłem, jakby rytmiczne ruchy mogły rozwiązać jej obawy. Zmiany wywoływały w niej lęk. Jeśli wszystko będzie inaczej, nie będzie umiała się w tym znaleźć, myślała skrycie. W głowie na zawsze zapisał mi się świat mojego dzieciństwa, ale ta wizja może okazać się przestarzała, nieprzystająca do niczego, jak obrazy wyrzeźbione dawno temu na drewnianych matrycach albo utrwalone emalią na starych ornamentach.

– Mamy właśnie kilku nowych pracowników – powiedziała Arlette. – Musimy zapewnić im zakwaterowanie. To wszystko.

– Wiem. Ale...

– Marthe... kochana, słodka moja, lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Proszę! Nie mów czegoś takiego! Słyszysz to od wszystkich, a to nieprawda!

Jednak Arlette nie uległa.

W mieszalni zapachów w Distillerie Musset Marthe zbliżyła szklaną fiolkę do nosa. Destylat fiołka. Powoli wdychała zapach, aż na moment wszystko ograniczyło się do tego pudrowo-słodkawego aromatu. Tego roku w lutym, kiedy dzieciaki znów sprzedawały bukietki leśnych fiołków na rogach ulic, Marthe poprosiła, by przyniosły wszystko, co mają, do wytwórni perfum, i udało się jej uzyskać kilka kropli ekstraktu. Przez kilka następnych miesięcy eksperymentowała z innymi składnikami, by wzmocnić zapach, a teraz poczuła, że dodanie odrobiny aromatycznej esencji z drewna akacjowego pogłębiło charakterystyczną słodycz (która zawsze przypominała jej tamtą pierwszą magiczną wizytę u Mussetów), wydobywając z niej leśne tło i delikatność nieśmiałych fioletowych płatków pojawiających się wraz z pierwszymi słonecznymi promieniami wiosny.

Zastukotały buty Arlette. Schodziła je, krążąc z zamówieniami po okolicznych miasteczkach i wioskach, i szewc obił jej drewnem czubki zelówek i obcasy. Arlette jak zwykle, zamiast się martwić, wykorzystywała to z humorem i teraz postepowała chwilę, żeby oznajmić swoje przybycie przyjaciółce.

– Brawo! Fred Astaire z Hollywood weźmie cię na nową partnerkę! – Marthe zachichotała.

Arlette, przytupując tanecznie, podeszła do wysokich drewnianych szaf stojących przy ścianie.

– Dziękuję paniencie uprzejmie. Zaraz zatańczę na bis, tylko wezmę sobie trochę tej nowej różanej wody toaletowej, którą mieszała panienska w zeszłym tygodniu.

Drzwi szafy skrzypnęły.

– Sporo jej używasz – powiedziała Marthe.

– Bardzo się podoba.

– Cieszę się.

– Jest boska, zapach kwiatów przebija się z niej tak wyraźnie i tym mocniej, im dłużej się go na sobie nosi.

– Prosta, pojedyncza esencja, wzmocniona troszeczkę, ale absolutnie czysta. Z jednego gatunku kwiatów.

– Rzeczywiście.

– Jeśli ją lubisz, to chodź i powąchaj tę. Powiedz, co myślisz.

Arlette powąchała wyciągniętą w jej stronę fiolkę.

– Mmm... fiołki! Nie da się tego pomylić z niczym innym.

– Rzeczywiście to one, pogłębiłam aromat, wykorzystując do ekstraktu zarówno listki, jak i kwiaty, oraz drewno akacjowe. Wyczuwasz cytrynową nutę akacji? Dodałam też trochę pomarańczy i narcyzów, by go zaostrić. A poza tym odrobinka olejku drewna sandałowego, które pomoże rozwijać się zapachowi na skórze i utrwali go.

– Niesamowite. Wiesz, potrzebujemy nowych, mocnych zapachów... wyraźnych, z innych kwiatów...

– Tak?

– ...ten może się świetnie sprawdzić, bo bardzo odróżnia się od reszty z naszych linii.

– Trochę staromodne perfumy, ale romantyczne. Dziewczyny zawsze mówiły, że fiołki to symbol skromności, pokorne małe kwiatki. Czy dziś może się to podobać? Wiesz, pracowałam nad tym ze względów... pewnie głupio sentymentalnych... ale ten zapach poczułam na ulicy po tamtej pierwszej wycieczce do...

Rozległo się niecierpliwe przytupywanie.

– Oj, muszę lecieć! Marthe, jesteś genialna!

– A dokąd...

Ale mówiła już do powietrza. Arlette wywalcowała z mieszalni, zaaferowana swoimi sprawami, podobnie jak Marthe swoim światem.

Jednak fiołkowe perfumy się udały. Będą naprawdę wyjątkowe, kiedy je dopracuje.

\* \* \*

Tego wieczoru w domu na farmie, długo po tym, gdy wszyscy udali się na spoczynek, Marthe usłyszała rozmowę Mussetów. Przystanęła pod kuchnią, zapominając o wodzie, której chciała sobie nalać.

– Ale ona jest w porządku, prawda? – pytał monsieur.

– Chodzi ci o to, czy możemy jej ufać?

– Musimy być bardzo ostrożni.

– Nie jestem pewna. Chciałabym... ale trudno to ocenić. Na pewno...

– To co robić? – rzucił monsieur. – Jeśli coś powiemy...

– Wiem.

– Trzeba obserwować i czekać.

Marthe zrobiło się niedobrze. Jak to możliwe, że ta rodzina jej nie dowierza? Czy wzięli ją do siebie jedynie z litości, jak jakąś beznadziejną ofiarę, której trzeba okazać miłosierdzie? A może, co gorsza, jest dla nich ciężarem? Przecież nie mają powodów wątpić w jej lojalność.

– To wszystko sporo kosztuje – ciągnął monsieur. – A nikt z nas nie ma pieniędzy. Benzyna do ciężarówki, stracone godziny pracy.

Madame coś zamruczała w odpowiedzi.

– Myślałem o sprzedaniu niektórych książek, ale to niewiele da. Lepiej pójdzie zegarek z dewizką mojego ojca.

– Chcesz oddać go do lombardu?

– Nie, to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Trzeba to zrobić po cichu. Znam



kogoś, kto byłby zainteresowany kupnem.

– Kto?

– Inżynier. To zamożny człowiek.

Zapanowała cisza. Tylko stary zegar tykał jak zwykle.

– Nie wolno ci sprzedawać tego zegarka. Ale mogłabym wybrać coś z biżuterii po matce. Nigdy nie noszę bransoletki z nefrytami albo tej broszki z kameą.

– Miło z twojej strony, że proponujesz, lecz niewiele za to dostaniemy.

Kolejna przerwa, po czym westchnienie.

– No to mogę pozbyć się i swojej perły. Oprawa, łańcuszek to złoto dobrej jakości.

– Przecież to był...

– Wiem. Ale nie potrzebuję już żadnych dowodów twojej miłości. Wszystkie te wspólne lata najlepiej mnie o niej przekonały, mój najdroższy, najśladniejszy, kochany.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. W ten sposób oboje pokażemy, jak bardzo nam zależy.

– A może Auguste też mógłby coś dołożyć...

– Jakoś damy radę. Musimy.

Marthe stała jak przyrośnięta do ściany. Euforia z powodu wynalezienia fiołkowych perfum rozplynęła się bez śladu.

W następnych dniach, kiedy na próżno głowiła się, co zrobić, tamte słowa stale do niej wracały, upokarzające jak publicznie wymierzony policzek. Za bardzo się bała, co może powiedzieć madame, gdyby ją o to zagadnęła, milczała więc. Chciała utrzymać pracę u Mussetów tak długo, jak to tylko możliwe. Uświadomiła sobie, że jest wiele postaci ciemności, a najstraszniejsza to ta, która przychodzi, gdy odrzucą nas ci, którzy dotąd byli dla nas największym wsparciem. Marthe borykała się samotnie z tą tajemnicą, czując się tak, jakby toczyła walkę. Nie chciała dać za wygraną, ale nic już nie było takie jak przedtem. Woda ze źródła smakowała gorzko, podczas gdy dawniej zdawała się nasycona aromatem rumianku i mięty. Marthe jadła mało, podczas posiłków nakładała sobie symbolicznie, a potem leżała bezsennie, głodna, noc w noc.

Fiołkowe perfumy były wychwalane pod niebiosa, ale Mussetowie pozwolili jej wyprodukować ich zaledwie odrobinę. Wybuchła wiosna i wróciło ciepło, jednak świat Marthe skurczył się wokół niej. Czowała się bardziej wyizolowana niż kiedykolwiek. A także osamotniona, w najbardziej głębokim sensie, tak jak po przyjeździe do szkoły dla niewidomych. Tyle że teraz było jeszcze gorzej, bo Mussetowie otworzyli przed nią swój magiczny świat i Marthe dobrze wiedziała, co traci. Chciała protestować, ale czuła, że jej jedyną bronią jest zachowanie godności. Będzie pracowała jeszcze ciężiej, żeby udowodnić, że jest coś warta.

\* \* \*

Pozornie nic się nie zmieniło, ale monsieur był stale poza domem. Coraz więcej podróżował, by dostarczać towar, i często zabierał ze sobą Arlette. Auguste też bardziej angażował się w dystrybucję. A madame zdawała się wiecznie bardzo zajęta.

– To tylko wojna, mój płątku – odpowiadała, gdy Marthe pytała, czy wszystko w porządku.

Na kilka tygodni wróciła zima, mróz zabił wszystkie zielone pędy, i ta zmiana pogody wydawała się odbiciem nastrojów w domu na farmie Mussetów. Chłodna mgła spowijająca drzewa owocowe stłumiła śpiew ptaków, głosy brzmiały głucho i ponuro.

*Kwiecień 1944 r.*

Na farmie na wzgórzach ponad Manosque zegar na półce tykał zbyt głośno. Zawsze chodził jakby głośniejsz i wolniej odmierzał czas, gdy czekali na powrót Arlette z autobusowej wyprawy do Céreste, dokąd woziła towar. Dopiero kiedy zazgrzytał zamek w tylnych drzwiach i głos Arlette przełamywał napięcie, tykanie wracało do normy i odzyskiwało powszedni rytm.

Wybiła godzina. Pięć cichych uderzeń w mechanizmie. Pani Musset otworzyła skrzypiące drzwi kredensu i zamknęła. Tak jakby musiała znaleźć sobie coś prozaicznego, zająć czymś ręce. Brzęk szklanek, lejąca się woda. Monsieur pochylił się nad palnikiem i potarł zapałkę. Słabutki niebieski zapach marnego papierosa.

– Zwykle o tej porze jest już z powrotem – powiedziała madame zupełnie niepotrzebnie.

Co tydzień Arlette przywoziła z Céreste opowieści o bucie młodych jasnowłosych żołnierzy pilnujących głównej drogi numer sto przy wjeździe do miasteczka. I o milicjantach wzbijających kurz na ulicach starej dzielnicy, gdy maszerowali, by nękać mieszkańców tamtejszych wąskich kamieniczek.

Milicja była triumfem faszyzmu Vichy, według pana Musseta. Francuzi tworzyli te skorumpowane oddziały paramilitarne z pomocą Niemców. Milicjanci byli jak psy spuszczone ze smyczy, by zwalczać każdą niesubordynację, a szczególnie rosnące wpływy ruchu oporu. Wkrótce stali się okrutnymi specami od egzekucji i deportacji. Znaleźli się wśród nich kryminaliści, którym obiecano darowanie wyroków za lojalną służbę dla rządu. Niektórzy przyłączali się też do ich szeregów z nędzy, w nadziei na regularną pensję i jedzenie. W tym wielu miejscowych, zatrudnianych na godziny. I to oni byli bardziej niebezpieczni niż Niemcy, bo znali język i teren. Po półtora roku haniebne metody milicji nie były lepsze od stosowanych przez nazistów. Dawne stosunki rodzinne i sąsiedzkie zostały zakłócone. Nikt już nie był pewien, komu można ufać.

Wybił kwadrans po.

Kilka sekund później usłyszeli głos Arlette, jeszcze zanim weszła. Głucho pacnął odstawiany na stół wiklinowy kosz. Zapachniał świeży bochenek racjonowanego chleba. Szczękanie filiżanek i talerzy. Szybka krzątanina wprawiająca w ruch powietrze przywróciła normalny rytm.

– Jak poszło? – spytał pan Musset.

– Świetnie – powiedziała Arlette. – Nie ma się czym martwić. Nie robiłam

ani nie mówiłam nic poza tym, co zwykle.

Ścisnęła dłoń Marthe na powitanie. Kiedy się zbliżyła, powietrze zmiękczył zapach wody różanej.

– Co widziałaś? Zauważyłaś, żeby coś się zmieniało? – wypytywał ją niecierpliwie monsieur. – Najmniejsze szczegóły mogą być znaczące, nawet jeśli nie od razu się to rozumie.

Co czwartek czekał w kuchni na powrót Arlette. Zawsze ciekaw jej wrażeń. Tak jakby musiał jak najszybciej upewnić się, że ona jest już w domu, bezpieczna.

– Na pewno pojawiło się więcej mundurowych, wchodzą i wychodzą z ratusza, jakby się do czegoś szykowali – powiedziała Arlette. – Paru nowych w kawiarni. Dwóch młodych mężczyzn, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Jeden gapił się na mnie lubieżnie swoimi małymi świńskimi oczkami.

– Mam nadzieję, że ty...

– Uśmiechałam się słodko, nic więcej. Milicja sprawdzała pasażerów autobusu z Aix, ale nie naszego.

– Podobno przyjedzie więcej żołnierzy. Niemców i tych, których powołują do wojska na wschodzie Europy. Poczytaj gazety. Baumann chełpi się, że podwoi tutejsze siły.

– O, niech Bóg uchowa! – wtrąciła madame.

Zapadło milczenie, które wreszcie przerwała Arlette.

– To wyjaśnia następne zamówienia. Tu jest lista. Dłuższa niż zwykle.

– Zuch dziewczyna. Będą mieli co trzeba – powiedział Musset.

– O tak, dostaną, co im się należy – prychnęła buńczucznie Arlette. – Nienawidzę ich. W wiosce pod Castellet w zeszłym tygodniu w niedzielę rozstrzelali dwie rodziny pod kościołem. Tylko za to, że dostarczyły jedzenie partyzantom. Podobno na wzgórzach za Céreste jest ich z sześciuset. Wszyscy głodni i aż palą się do walki.

– Bywają w gorącej wodzie kąpani. Szybciej coś zrobią, niż pomyślą, choć przyznam, że podziwiam ducha tych młodych ludzi.

Monsieur zaciągnął się głęboko papierosem, po czym zgasił go energicznie. Smolista gorycz zawisła nad stołem. Każdy tydzień przynosił nowe historie o tych, co się podporządkowali, ale też o aktach sabotażu, po których następowały natychmiastowe brutalne represje.

– Coraz więcej ludzi się do nich przyłącza, czują, że sytuacja się zmienia – dodała Arlette.

– Nie daj się zwieść. Pamiętaj, że wróg jest najbardziej niebezpieczny, kiedy czuje się zapędzony w kozi róg.

Nikt się na to nie odezwał.

Madame zaczęła przeglądać zawartość kosza, szeleszcząc papierami. Ponieważ racje żywności zmniejszono, coraz mniej mogli zdobyć za swoje kartki.

Ale i tak było im dużo lepiej niż wielu innym. W końcu mieli sady, owoce, orzechy, oliwki, kurczaki i ziemię, na której mogli uprawiać warzywa. W miastach w dni targowe często nie można było kupić nic poza brukwią, rzepą czy żylastą rąbanką na stoiskach rzeźników.

Madame powąchała jedną z paczek.

– Całkiem niezły ser.

– Wymiana. Dostałam go za kostkę lawendowo-rozmarynowego mydła – wyjaśniła Arlette.

– Świetnie się spisałaś, moja droga.

– A co mówił Inżynier? – zagadnął Musset.

Marthe czuła dłoń przyjaciółki na ramieniu, ale zaraz znów została sama, opuszczona, bo Arlette odeszła, by w ogrodzie dokończyć rozmowę z wujem.

\* \* \*

Kilka dni później Marthe siedziała na tarasie przy drzwiach kuchni, starając się rozróżnić zapachy niosące się z ciepłym powiewem – tymianek i balsam cytrynowy. Aromat drzewa figowego, słodki jak mleko z cynamonem w sennym popołudniowym upale. Madame poszła zajrzeć do kur, w nadziei że znajdzie jakieś jajka. Coś stuknęło leciutko. Pewnie wiatr poruszył drzewem przy drzwiach. Marthe nasłuchiwała uważnie. Lekkie kroki zbliżyły się ścieżką i zatrzymały tuż przed nią.

– Kto to?

– Christine.

Dziewczyna Auguste'a, która pracowała w sklepie z sukienkami. Marthe próbowała sobie wyobrazić, jaką nową kreację ma na sobie. Ale przychodziła jej do głowy tylko długa suknia z marszczoną organzy, w którą ubrana była księżniczka na obrazku w starej książce, a to pewnie zupełnie co innego.

– Nie wiesz, gdzie jest Auguste?

– Nie, przykro mi, nie wiem – odparła Marthe. – Pewnie gdzieś w polu. Albo tutaj, albo na jednej z innych farm.

Auguste ostatnio przejął nadzór nad wieloma gospodarstwami uprawiającymi lawendę. Stale brakowało tam ludzi do pracy. Połączył je w spółdzielnię, żeby zapewnić Mussetom wystarczające dostawy.

– A Arlette... gdzie ona jest?

– Nie wiem. Zagładałaś do sklepu?

– Nie ma jej tam.

– Może pomaga w rozwożeniu zamówień.

– Możliwe. Albo jest z Auguste'em.

– Niewykluczone.

– Są więc gdzieś razem?

– Mówiłam ci, że nie wiem.

Christine sięgnęła gdzieś za nią. Podnosiła i stawiała z powrotem różne przedmioty na stole. Latarnię ze świecą, czasopismo, jakieś papiery pod wagą.

Marthe wstała.

– Nie jestem pewna, w czym mogłabym ci pomóc, Christine.

– Za to ja jestem. Odpowiedz na moje pytanie. Czy oni są razem? – W jej głosie brzmiało zniecierpliwienie, to było niemal niegrzeczne.

– Nie mam pojęcia – odparowała Marthe.

Zaległa między nimi cisza. Potem tamta prychnęła ze złością, jakby chciała wyładować swój gniew na Marthe. Po chwili minęła ją i weszła do kuchni. Trzasnęły drzwi.

– Hej, nie wolno ci...

Najwyraźniej uznała, że wolno.

Marthe wstała i stanęła w drzwiach. Christine otwierała szafki i szuflady.

– Tam ich nie znajdziesz!

Po chwili dziewczyna bez słowa przepchała się obok niej. Marthe szła za ruchem aż do ściany tarasu. Rozległy się znów kroki po żwirze i było po wszystkim.

Marthe przycisnęła dłonie do czoła i starała się uspokoić. Cała się trzęsła. Nie rozumiała, co się właściwie stało, ale czuła, że to coś niedobrego.

– Madame! – zawołała.

Kiedy nie było odpowiedzi, zeszła w kierunku wybiegu dla kur, wiodąc ręką po murze, który prowadził do obory. Znała każdy kamyczek na tej drodze. Jaszczurki pierzchały przed nią. Słońce paliło jej twarz i odsłonięte ręce. Nagle skryło się w cieniu, jakby na niebie zgromadziły się gęste chmury i pochłonęły całe ciepło.

Jej uwagę przykuły jakieś szmery, a potem niski, urywany pomruk. Zwolniła kroku i zamieniła się w słuch. Podkradała się bliżej, starając się nie robić hałasu.

Ktoś coś mówił niskim ścisłym głosem.

Podeszła. Usłyszała męskie głosy dochodzące ze środka szopy. Nie rozumiała, co mówią. Może byli to obcokrajowcy pracujący na polach. Marthe od lat wiedziała, że wędrowni Hiszpanie i Portugalczycy są zatrudniani przy uprawie lawendy. Ale nie powinni być tutaj, w gospodarstwie Musseta. Mieli obszerną chatę na skraju pól należących do rodziny Auguste'a.

Poruszając się teraz szybciej, dotarła do drzwi. Zdenerwowana przez Christine, czuła narastającą złość, że może ci mężczyźni przyszli tu, by okraść ludzi, którzy zapewniali im pracę i dach nad głową.

– Co wy tu robicie?! – zawołała w przestrzeń.

Cisza.

– Wiem, że tu jesteście. Odpowiadać mi tu zaraz!

Zaszeleściła słoma.

– Caspian wie, że tu jesteśmy – powiedział ktoś szeptem. Męski głos, z dziwnym akcentem. Więc rzeczywiście to byli cudzoziemcy.

Twarz ją paliła.

– Jaki Caspian?

– Mów ciszej! Znasz zasady. Caspian... Filozof.

– Co za bzdury. Jeszcze raz pytam, co wy tu robicie?!

– Szzz! My... czekamy na księżyc...

Czekają na księżyc? Zupełnie jakby się zabląkała na obcą farmę w jakiejś bajkowej krainie, wśród krasnoludków albo innych dziwnych istot. Marthe zaczęła dygotać, kompletnie zagubiona.

– Czasami nazywają go po prostu Filozof. Myślisz, że powiedziałbym ci to, gdybym nie widywał cię tu od tygodni, jak pracujesz, jesz, jeździsz z rodziną furmanką?

Marthe cofnęła się.

– Wracam do domu – powiedziała, wyczuwając dłońmi drogę do wyjścia.

Nie próbował jej zatrzymać.

Była tak spięta, że rozboleła ją głowa. Ten mężczyzna to ani Hiszpan, ani Portugalczyk, uświadomiła sobie, starając się namacać kamienny mur wyciągniętą dłonią.

Musiła działać szybko.

– Monsieur! Madame! – wołała, dochodząc do domu.

Żadnej odpowiedzi.

Zanim dotarła do drzwi, ktoś ją złapał. Aż podskoczyła z przerażenia.

– Co się dzieje? – spytała pani Musset.

– Nie jestem pewna, ale powinna pani wiedzieć... – Marthe nie była w stanie dość szybko dobrać słów. – W stodole są jacyś obcy. Jacyś mężczyźni.

– Zostań tu. Zajmę się tym.

Ale kiedy pani Musset wróciła, nie powiedziała ani słowa o tamtych ludziach.

– Proszę. Zerwałam kilka cukinii i ładnego dorodnego bakłażana. Możemy zacząć szykować kolację. Pomogłabyś mi?

Marthe zrozumiała wtedy, że lepiej o nic nie pytać.

\* \* \*

Tego wieczoru jak zwykle usiadła w kącie kuchni, z dala od głosów. Za pomocą specjalnych przyborów pisała brajlem list do koleżanki ze szkoły. Jeśli musi od nowa zaskarbić sobie zaufanie gospodarzy, to się postara.

– Co robisz? – spytała Arlette.

Może była tak bardzo zaabsorbowana tym, co się dzieje, że dopiero teraz zauważyła zmianę w zachowaniu Marthe.

– Piszę alfabetem Braille’a.

Chwila ciszy.

– Pokaż.

Marthe podsunęła przyjaciółce tabliczkę i przyrząd do pisania.

– Każda litera to określony układ wypukłych kropek, a tym rysikiem robi się kropkę od spodu papieru, pisząc niby w lustrzanym odbiciu.

– To trudne?

– No, jak się ktoś nauczy, to nie.

Arlette przesunęła palcami po papierze.

– Wiesz, że kiedyś ten rodzaj pisania nazywano nocnym? Wynaleziono go dla Napoleona, żeby żołnierze mogli odczytywać wiadomości nawet po ciemku. Słyszałaś o tym? – spytała Marthe.

Nie było odpowiedzi. Naraz Arlette uściskała ją tak mocno, że aż zaboląło.

– Wujku Victorze! Chodź tu, szybko! – zawołała.

\* \* \*

Pan Musset przysunął do niej krzesło.

Wiedziała, że to, co teraz zamierza, nie przyjdzie mu łatwo. Powie jej, by się wyprowadziła, że nie mogą jej już dłużej utrzymywać, i zaczęła się szykować na najgorsze. Rzuci mu się do nóg i będzie błagać, by zmienił zdanie.

– Musimy porozmawiać, Marthe.

Wstała, by przyjąć cios, choć najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Proszę, nie wyrzucajcie mnie! Możecie mi ufać, przecież jestem lojalna!

– A kto tu mówi o wyrzucaniu?

– Czy nie to chciał mi pan powiedzieć? Słyszałam, jak rozmawialiście parę tygodni temu i zastanawialiście się, czy jestem w porządku, czy można mi ufać...

– Słyszałaś to? Nigdy nie przyszło nam do głowy, by w ciebie wątpić!

– Ale mówiliście...

Nastąpiła przerwa. Marthe czuła, że się bezgłośnie naradzają.

– Nie mówiliśmy o tobie, kochanie.

Trudno jej było nie zdradzić rozpierającej ją radości.

– Posłuchaj, dziecko... Chcę cię o coś poprosić, Marthe. To bardzo poważna sprawa. Ale zanim powiem, o co chodzi, musisz wiedzieć, że wybór należy do ciebie. To żaden przymus.

Marthe zastanowiła się, czy on zdaje sobie sprawę, że nigdy by mu niczego nie odmówiła.

– To, o co proszę, jest...

– Dobrze. Zrobię to.

– Tak? Przecież nawet nie wiesz, o co proszę!

– Jeśli pan o coś prosi albo madame, to się zgadzam, cokolwiek by to było.



– Jesteś niezwykle lojalna. Bardzo to cenię. Naprawdę. Ale angażowanie się w niektóre działania to ogromnie poważna decyzja. Pociąga za sobą znaczące następstwa moralne. To może być skrajnie niebezpieczne, kochanie.

– Nie szkodzi.

Cisza.

– No dobrze. Mam nadzieję, że to, co powiem, cię nie zaszokuje.

Marthe pokręciła głową.

– Nawet teraz nie mogę ci powiedzieć zbyt wiele. O niektórych sprawach sam nic nie wiem. Nikt nie wie wszystkiego, poza kierownictwem. Wiedza jest w tych czasach towarem niebezpiecznym. Jeśli dotąd ukrywaliśmy coś przed tobą, musisz rozumieć, że to było dla naszego wspólnego bezpieczeństwa.

\* \* \*

Zaczęli od pomagania w przerzutach alianckich lotników i zbiegłych jeńców wojennych. Przez całe tygodnie, a czasem miesiące ci mężczyźni znajdowali schronienie na farmie lawendy, zbierając siły w słońcu i wykonując lżejsze prace w polu. Czekali na lokalnych przewodników, którzy zabierali ich do portu w Marsylii. Ci Brytyjczycy i Amerykanie, a czasem i jakiś Polak czy Czech latający dla RAF-u, ukrywali się wśród grup Hiszpanów i Portugalczyków, którzy ściągali na południe w poszukiwaniu zatrudnienia, kiedy była to nadal wolna strefa. Jeśli Niemcy przyjechali na kontrolę, łatwo było wytłumaczyć ich kiepski francuski. Jednak ryzykowna gra Musseta udającego kolaboranta sprawiała, że na ogół nikt ich nie niepokoił.

W ostatnim roku coraz ściślej współpracowali z ruchem oporu. Auguste wciągnął ich w kręgi aktywnych działaczy podziemia. W Céreste mieszkał mężczyzna, który przed wojną był poetą. Ten łagodny, ale pełen pasji człowiek zbudował siatkę ruchu oporu w regionie. Każda komórka miała swoje zadania, każda współpracowała z innymi. Wiadomości przekazywane przez BBC z Londynu przyjacielom i rodzinie we Francji były zaszyfrowanymi instrukcjami dla partyzantów.

– Potwierdzają, że lada chwila mamy spodziewać się zrzutów i lądowań. Brytyjczycy przysyłają nam broń drogą powietrzną. Materiały wybuchowe. Czasami również ubrania i buty. Samoloty lądują w ciemnościach, nocą, bez świateł. Współpracujemy ze sobą, żeby wyzwolić kraj. Teraz będę mówił ci tylko to, co musisz wiedzieć.

Marthe skwapliwie kiwała głową. Nie mogła wprost uwierzyć w to, co słyszy.

– Potrzebujemy twojego doświadczenia w dziedzinie komunikacji.

– Mojego doświadczenia?

– Kiedy zabili starego Pineau, zorientowaliśmy się, że trzeba ograniczyć

komunikację radiową do minimum. Zbyt często wyłapują sygnały. To się stało niebezpieczne i nie możemy korzystać z niej w kontaktach między sobą. Powinna być zarezerwowana do komunikowania się z brytyjskimi agentami w terenie i dla ich łączności z Londynem. Dodatkowy sposób łączności polega na zostawianiu wiadomości w umówionych miejscach, ale wiele z nich jest teraz spalonych. Nie ma już czegoś takiego jak bezpieczna kryjówka. I nie możemy narażać więcej ludzi.

Każda wiadomość, nawet zaszyfrowana, mogłaby wydać się podejrzana. Ale jeśli wymyślimy opakowanie mydeł, na którym nie byłoby dodatkowych nadruków czy oznakowań, w każdym razie widocznych oznakowań...

– Brajl.

– Tak, właśnie.

– Powiedzcie mi tylko, co mam napisać, a ja to zrobię.

– Zuch dziewczyna.

– Ale co z tłumaczem?

– To kolejna sprawa, w której będę potrzebował twojej pomocy. Kto, komu mogłabyś bezwarunkowo zaufać, potrafi czytać w brajlu?

– W jakim rejonie?

– Na trasie w kierunku Apt najlepiej. Aix. Sisteron.

Pomyślała o swoich dawnych przyjaciółkach szkolnych. Renée, z całą pewnością. Elise też. Im mogła zaufać.

– Renée mieszka teraz w Apt. Pracuje w sklepie muzycznym.

– Dobrze. Świetny początek. W takich miejscach jest spory ruch, nikogo nie dziwi, że ktoś wchodzi i wychodzi.

– Są i inne... Elise jest teraz w Forcalquier. I jeszcze Jeanne. Pochodzi z Aix. Wszystkie będziemy pracować sumiennie, dobrze nas nauczyli w szkole!

Przed Marthe otwierały się niezwykle perspektywy. Jej zadania miały być równie absorbujące, jak tajemnicze i ekscytujące. Ale najpierw miała kilka pytań, na które szukała odpowiedzi.

– Tamci mężczyźni w szopie...

– W zeszłym tygodniu zdecydowaliśmy się przyprowadzić tu niektórych z naszych... zagranicznych gości. Niedługo będą już mogli wyruszyć. Bezpieczniej, żeby byli na miejscu, kiedy sprawy się finalizują.

– Mówili, że czekają na jakiegoś Caspiana, który jest filozofem.

Zapadła dłuższa chwila ciszy.

– To ja jestem Caspian – powiedział pan Musset. – Nie używamy naszych prawdziwych imion, to zbyt niebezpieczne. Jestem też znany jako Filozof. Muszę z nimi pomówić. Zrobiliśmy im kryjówkę za wysokimi stertami siana. Mieli być cicho, jeśli usłyszą cokolwiek z zewnątrz. Najwyraźniej nie byli wystarczająco ostrożni.

W końcu zrozumiała.

– To już nie potrwa długo – powiedział monsieur. – Czekamy na pełnię. Wtedy przyleci po nich samolot.

Ruch oporu. Czym jest opór, jeśli nie wołą życia? Byli uśpieni jak korzenie w zimowej glebie, ale kiedy ogrzało ją słońce, pędy przebiły się znów na powierzchnię, spragnione powietrza, każdą komórką pamiętając błękit nieba, a każdy skulony pączek gotów był rozwinąć się w kwiat.

– Miałam na sobie twoje fiołkowe perfumy – powiedziała Arlette. – Fiołek jako skromność, żeby powiedzieć naszym w Céreste, że jest spokojnie i wszystko w porządku. Piękny, jasny przekaz. Wiele było pochwał. Nawet nasz człowiek, Kandyd, który jak zwykle udawał pijaka w kawiarni, pociągnął nosem z uznaniem.

– Tyle się uczę – wyznała Marthe Arlette, kiedy mówiły sobie dobranoc. – I nie boję się.

To nie całkiem była prawda. Jednak dużo bardziej przerażałoby ją odrzucenie przez Mussetów.

Niesamowite, myślała Marthe, jak przyzwyczajali się do życia w wiecznym strachu przed wykryciem. Początkowo to było potwornie męczące. Z czasem wyczerpanie i napięcie stały się najwyraźniej czymś normalnym. Niesamowite, jak organizm i umysł człowieka potrafi przystosować się do okoliczności.

\* \* \*

W stodole było ich dwóch. Obaj Amerykanie.

Arlette zabrała Marthe ze sobą, kiedy niosła im jedzenie. Arlette stała na czatach przy otwartych drzwiach, a oni pałaszowali grochówkę. Nic lepszego tego dnia nie mogły im zaoferować.

Marthe przysiadła na sianie. Po chwili odezwali się do niej. Z początku ich rozmowa przypominała piosenkę z powtarzającym się w kółko refrenem. Ich odpowiedzi zderzały się ze sobą nieporadnie. Jeden z nich ledwie mówił po francusku, nauczył się tylko pojedynczych słów. Ale drugi znał język zaskakująco dobrze po miesiącach ukrywania się we Francji.

Kenton Attwater miał dwadzieścia trzy lata i był nawigatorem bombowca zwanego latającą fortcą, który zestrzelono gdzieś pod Grenoble. Udało mu się wyskoczyć ze spadochronem, wylądował cało, nie licząc kilku skaleczeń i stłuczeń.

– Miałem szczęście. To były dzikie, odludne okolice. Nikt mnie nie zauważył.

Zakopał spadochron i pobiegł do lasu, gdzie przeczekał do zmroku. W nocy ruszył na południe. Kiedy zrobił się tak głodny, że musiał zaryzykować i zapukać do jakiegoś stojącego na uboczu domku, został przyjęty i nakarmiony.

– Jeszcze raz dopisało mi szczęście. Pozwolili mi odpocząć w stodole, a następnego dnia sprowadzili jakiegoś człowieka. Pomyślałem, że musi być

w porządku, bo miał brytyjską broń. W nocy zabrał mnie do kolejnej kryjówki.

Przez dwa miesiące Kenton dniami zbierał siły, a noc w noc wędrował, za każdym razem z innym przewodnikiem, aż wreszcie dotarł na lawendowe pola Auguste'a.

– Kiedy minęliśmy wzgórze, zobaczyliśmy ogromne, wznoszące się aż do nieba urwisko. Tonęło w cieniu. Przeróżające miejsce, wydawało się, że ta góra wisi nad nami, fioletowa, czarna. Ale przed nią było mniejsze wzniesienie, z kościołem i kilkoma domami na szczycie, i ono złociło się w słońcu, jakby specjalnie oświetlone reflektorem. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Nie umiem powiedzieć ci czemu, ale poczułem się bezpiecznie.

– Jesteś bezpieczny – powiedziała Marthe. – Tutejsze góry i doliny wraz z płaskowyżem tworzą skomplikowane labirynty, co jest naszą sekretną bronią. Wiesz, że niektóre z tych gospodarstw i domów wybudowano jeszcze w czasach rzymskich? Grube kamienne ściany są dobrą osłoną, a mury tarasami opadające daleko w dół tworzą tajemne kryjówki. Widzimy, jak ktoś się zbliża, możemy się przygotować.

– Z latającej fortecy do wiekowej warowni – stwierdził z goryczą Amerykanin.

– Od jak dawna jesteś w gospodarstwie Auguste'a?

– Prawie miesiąc. To tutaj trafiłem na Scotty'ego.

– Kto to jest Scotty?

– Ten mój towarzysz. Artylerzysta, Scotty Davis z Detroit. Był w obozie jenieckim. Udało mu się uciec, niezły wyczyn! Jemu też dopisało szczęście. Dostał talię kart w paczce żywnościowej. Założył szkółkę gry w pokera. Dwa dni później przychodzi zaszyfrowany list. Każą im wrzucić karty do kubła z wodą. Okazało się, że karty były podzieloną na pięćdziesiąt dwie części, zamaskowaną mapą drogi do Szwajcarii. Zaczął kombinować, jak mógłby to wykorzystać. – Kenton roześmiał się. – I patrz, jest niepoprawny, znowu próbuje szczęścia!

– Co masz na myśli?

– Nie tracił tu czasu z Arlette!

– Ja nie widzę.

– Słucham?

– Nie widzę. Ani tego, ani w ogóle nic.

– Jesteś niewidoma? Nie zorientowałem się. To znaczy teraz, jak mi powiedziałaś, to tak, ale... No, nie, nie powinienem tego mówić... przepraszam, przykro mi.

– Nie lituj się nade mną. Ja się nad sobą nie użalam.

W pewien sposób wszyscy byli teraz tacy sami. Tylu ludzi miało się po omacku tak jak ona. W całej Europie były tajne drogi, którymi szli, niektórzy bezpiecznie, inni w coraz głębszą ciemność. Jeden błędny krok. Balansowanie na

linie. Tyle niewiadomych.

\* \* \*

Praca w wytwórni perfum nabierała szaleńczego tempa. Wieczorami w domu na farmie Marthe spędzała długie godziny ze swoją tabliczką i rysikiem. Opakowane wytłaczanym papierem mydła o różnych zapachach niosących różne wiadomości dostarczano do hotelu w Apt. Odczytane informacje przekazywano ustnie w sklepie muzycznym, kilka wąskich uliczek dalej. W Céreste Poeta z otwartymi ramionami udzielił schronienia niewidomemu uciekinierowi. On również był wdzięcznym odbiorcą mydeł i nie tracąc czasu, zorganizował własną siatkę dystrybucji.

Zbliżał się koniec. Czuli to. Szóstego czerwca setki tysięcy alianckich żołnierzy wylądowały w Normandii. Przebijali się z północy. Ale było coraz bardziej niebezpiecznie. W Reillanne w średniowiecznym klasztorze na wzgórzu przez lata znajdowali schronienie uciekinierzy z północy i obcokrajowcy. W akcie czystego bestialstwa deportowano stamtąd teraz pięćdziesięciu czterech mieszkających tam spokojnie żydowskich robotników. W sąsiednim miasteczku Saint Michel ludzi obudził łomot do drzwi. Kazano im zebrać się pod ratuszem. Jeden z dowódców milicji stanął na schodach i odczytał im przemówienie Pétaine'a.

– Francuzi, nie pogarszajcie swojej niedoli działaniami, które mogą ściągnąć na was tragiczne w skutkach represje.

Czwartego czerwca w Aix snajper zabił oficera gestapo. Nie minęło kilka godzin, jak wszyscy mieszkańcy wioski Les Figuiers – mężczyźni, kobiety i dzieci – zostali zastrzeleni lub spaleni żywcem w swoich domach.

Wielu spośród członków ruchu oporu nie mogło pogodzić się z tym, że nie wiedzieli i nie zdołali zapobiec nalotowi na klasztor w Reillanne. Ale krążyły też potworne pogłoski, że część podziemia, szczególnie komuniści, prowadzi własną grę polityczną i specjalnie likwiduje niemieckich oficerów, by prowokować tak okrutne represje.

Jednak były też sukcesy. Dzięki partyzantom nie kursowały już pociągi dwóch głównych linii na południe od Alp – z Grenoble do Aix i z Briançon do Livron.

– A teraz zaczynamy też kontrolować drogi – chwalił się Auguste. – Szkopy jeżdżą już tylko w konwojach, żadne auto nie zapuszcza się nigdzie w pojedynkę. Nie ma też kurierów rozbijających się po okolicy na ryczących motocyklach. Nawet punkty kontrolne przesunęli bliżej przedmieść i miejsc skoszarowania. Szczęście się od nich odwraca, praktycznie są więźniami miejsc stacjonowania swoich garnizonów.

– Lepiej uważaj. To nie będzie tak łatwe, jak ci się zdaje – powiedział pan

Musset.

– Ale to prawda. Ruszają się dalej tylko po zaopatrzenie.

– Albo na kolejne akcje odwetowe.

– Kiedy wyjeżdżają, mają pięćdziesiąt procent szans, że zostaną zaatakowani. Siły partyzantów zostały spuszczone ze smyczy i tego nie da się już zatrzymać. To my znamy ten teren i drogi objazdowe. Gdziekolwiek się zwróca, mogą znaleźć się pod ostrzałem, otoczeni. Nie będą teraz ryzykować. Mówię ci, niemal całkowicie panujemy nad drogami.

Ale pan Musset wiedział swoje. Jego urywane zdania i chwile milczenia zawsze były wymowne, a teraz, od tej chłodnej rezerwy, Marthe dostawała gęziej skórki.

– Po prostu uważajcie. Nie wyciągajcie pochopnych wniosków. Nie wierz w nic, o czym sam się nie przekonasz. Niepotrzebni nam martwi bohaterowie. I pamiętaj, jeśli ktoś z nas wpadnie, to będzie koniec dla nas wszystkich.

*Lipiec–sierpień 1944 r.*

Był czwartek i Arlette jak zwykle pojechała do Céreste. Ciepły wiatr sirocco, unoszący czerwony jak papryka i drapiący w gardle pył, nasilał się po południu coraz bardziej. Teraz gnał zeszcłe liście, szeleścił nimi po ziemi i targał za poły ubrań.

O czwartej zegar tykał już na całego. Koło piątej na każdy najłżejszy hałas z zewnątrz podrywali się z nadzieją, że to Arlette bezpiecznie wraca do domu. Nerwy mieli napięte jak postronki. Kolejne bicie zegara, kolejny kwadrans i powiało chłodem, a serce na kilka sekund zamarło. Dym z papierosa pana Musseta.

Dłonie Marthe przestały przesuwac się po kartkach książki, palce zatrzymały się na wytłoczonych wzorach otwartej strony. Skupiła się wyłącznie na przeskakującej co chwila wskazówce zegara. Mijały minuty. Czuła wiatr buszujący w dolinie, niczym przetaczające się w ciszy fale, nabierający szybkości za wzgórzami, gnający przez sady migdałowe i morelowe, targający gaje oliwne i łąki, pędzący nad drogą, która powinna sprowadzić tu autobus z Céreste.

Starła się wyobrazić sobie jadący autobus i Arlette w tym niezdarnym pojeździe pnącym się w górę, zapatrzoną w otwierającą się przed nią panoramę doliny. Nie mogę jej zobaczyć, pomyślała ze ściśniętym sercem, ale przecież teraz nikt z nas jej nie widzi.

Przez tyle miesięcy nie rozumiała, dlaczego Mussetowie tak bardzo martwili się podrózkami Arlette do Céreste... Teraz, choć to czekanie na jej powrót było okropne i straszne, Marthe odczuwała też skomplikowaną, pełną dumy i bólu radość – znów naprawdę uczestniczy w życiu Mussetów, w tej zaczarowanej cytadeli, której magią jest zapach.

\* \* \*

O szóstej Arlette nadal nie było.

Monsieur sięgnął po kurtkę. Zagrzechotały łańcuszki i klucze.

– Przejdę się do miasteczka – powiedział. – Może coś się stało z autobusem.

Starł się panować nad głosem, ale nie do końca mu się udało.

– Idź, idź, kochanie.

Przystanął przy drzwiach, żeby sprawdzić, czy ma w kieszeniach co trzeba. Po wyjściu gwizdnął na dużego czarnego kundla, który zwykle mu towarzyszył. Żwir zachręścił pod jego butami, lekko zatupotały psie łapy.

– Dobrze, że wyjdzie jej naprzeciw. Po co siedzieć, skoro i tak nie ma nic do roboty – odezwała się pani Musset, choć i ona nie była w stanie ukryć niepokoju.

Marthe wstała.

– Co by pani chciała, żebym zrobiła? Może zacznę obierać warzywa na kolację?

– Świetny pomysł, ułożę ci wszystko, zanim naszykujemy garnki.

Pracowały ramię w ramię, w milczeniu.

\* \* \*

Zegar wybił ósmą. Jedzenie, a w każdym razie to, co miały, było gotowe. Czekano na piecu. Pani Musset zaparzyła herbatę ziołową. Popijały, nie odzywając się słowem.

Była prawie dziesiąta, gdy wrócił pan Musset. Przyszedł z Auguste'em.

– Nie jesteśmy pewni, co się stało...

– Zabrali ją – powiedział Auguste.

Madame krzyknęła, jakby przeszył ją nagły ból.

– Nie wiemy, o co chodzi – kontynuował monsieur. – Bardzo możliwe, że to jakieś nieporozumienie. Pewnie wszystko się wyjaśni. Nie wolno od razu myśleć o najgorszym.

– Ale jak? Dlaczego? – Madame nie przekonały wysiłki męża, by zachować spokój.

– Nie udało mi się wyjaśnić, ale podjechałem rowerem do Pierrevert i stamtąd zadzwoniłem do Drwala.

– Aresztowali Kandyda! – zawołał Auguste.

Monsieur zapalił papierosa.

– Nie, nie wiemy tego na pewno. Tylko chodzą takie słuchy. Kandyd siedział w kawiarni nad swoją gazetą jak zwykle, aż do piątej, właściciel to potwierdził. Ale Arlette z nim nie rozmawiała. Przecież na tym to polega. A on nigdy nie popełniłby błędu. Oboje są bardzo ostrożni...

– Sądziś, że ona mogła...

Augustowi przerwało pukanie do drzwi. Nawet nie usłyszeli, że ktoś się zbliża.

Przez chwilę wyczuwało się panikę, gdy zdali sobie sprawę, że ktoś mógł usłyszeć ich rozmowę. Musset energicznie otworzył.

To był ich sąsiad, Etienne, stary pszczelarz, który mieszkał jedno pole niżej na wzgórzu.

– Jakieś wieści?

Miał świszczący oddech. Musiał iść za nimi w górę ścieżką tak szybko, jak tylko mógł.

– Niestety, nie.



– Rano wybieram się do Céreste z miodem, Victorze. Będę miał uszy i oczy otwarte.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

– Przecież nie mogli potraktować jej jak jakiegoś uciekiniera.

– Pewnie...

Zapadła niezręczna cisza, choć zwykle Etienne'a zapraszano do środka. Zawahał się, a potem jakby zrozumiał, że nie czas na grzeczności, życzył im tylko dobrej nocy i odszedł.

Poczekali, aż byli pewni, że jest już dość daleko.

– Co on wie? – spytała madame.

– Nic. Tyle, że Arlette najwyraźniej nie zdążyła na autobus. Wpadłem na niego, kiedy szedłem po Auguste'a. Ale po mojej minie poznał, że coś jest nie tak.

– I co teraz? – spytała madame.

– Jeśli chodzi o Etienne'a, to nic więcej nie możemy zrobić.

– Nie wątpię w jego dobre intencje... ale...

– Nie... nie... Na pewno masz rację. Rano pojadę do Céreste. Przede wszystkim trzeba dowiedzieć się, co się dokładnie stało... nie ma innego wyjścia.

\* \* \*

Marthe leżała bezsennie na swoim żelaznym łóżku. Kilka dni temu Arlette wróciła do destylarni z wyprawy do Forcalquier, gdzie przyjęła duże zamówienie. Marthe dodała parę kropli esencji z sosnowych szpilek do naparu ze skórki cytrynowej. Ciepły aromat, który się wytworzył, sprawił, że zatęskniły za sierpniowymi wieczorami podczas wycieczek nad morze.

– Sosna dla nadziei – powiedziała Marthe. – I wypróbuję ambrę na wieczną trwałość.

– Nadzieja – powtórzyła Arlette. – Instynktownie zawsze czepiamy się nadziei. To niewytłumaczalne, a zarazem cudowne.

– Nie jestem pewna, czy to naprawdę takie dziwne. Przecież instynkt wyłapuje najdrobniejsze sygnały, które podświadomość natychmiast przetwarza.

– Tak szybko, jakby to było przeczucie... zwierzęca intuicja... Masz rację, robimy to cały czas, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– No właśnie.

Myśli o tamtej rozmowie podniosły ją nieco na duchu. Arlette wyjdzie z tego cało. Odczyta sygnały i nie popełni błędu. Na pewno. Nie wolno teraz wracać do innych rzeczy, o których mówiły. Jedno jest pewne: ludzie na nich patrzą.

Usłyszała pianie koguta w ciszy poranka i pana Musseta wyjeżdżającego rowerem zaraz po świcie. Z głodu ścisnęło ją w brzuchu, ale wiedziała, że nie zdoła nic przełknąć.

\* \* \*

Pan Musset wrócił koło południa.

– Cabot stara się czegoś dowiedzieć. Ale w Céreste aż cuchnie od szpicli. Pełno też jednostek SS.

Nie wszyscy żandarmi byli po stronie milicji. Cabot był tego żywym dowodem. Bez chwili wahania wepchnął kiedyś Auguste’a z powrotem do autobusu z Digne, kiedy konwoje SS i milicji wchodziły do miasteczka od drugiej strony. Aresztowali tego dnia pięciu mężczyzn. Tylko dwóch wróciło.

Musset i Auguste pojechali do miasteczka furgonetką Drwala, najbardziej bezpiecznym transportem dla działaczy podziemia.

– Posłaliśmy do starej dzielnicy chłopaczka z wiadomością dla Poety i spotkaliśmy się z nim niby przypadkiem przy studni. Nie miał żadnych informacji, ale słyszał o dziewczynie jej wzrostu w fartuchu w kwiatki lawendy, z włosami związanymi niebieską chustką. Ostatnio widziano ją wychodzącą z kawiarni mniej więcej w tym czasie, kiedy przyjeżdża autobus.

Musset opowiadał tonem tak zgaszonym, jakby uszło z niego całe życie – mężczyzna w trzyczęściowym tweedowym garniturze i okularach o okrągłych szylkretowych oprawkach już miał chyba potwierdzić, że ją widział, ale nagle odszedł, kiedy obok nich przemknęła jakaś furgonetka o zaciemnionych szybach. Szary wóz wielkości łodzi zakolysał się, hamując ostro przed ratuszem. Wysiadło z niego czterech niemieckich oficerów. I tyle.

Później, kiedy Musset z Auguste’em wychodzili z kawiarni, jakiś mężczyzna podszedł do nich od tyłu. „Milicja aresztowała człowieka, który był tu wczoraj po południu. Takiego ciężkiej budowy, udającego pijaka, który czyta gazetę”. Tak powiedział: „udającego pijaka”. Dokładnie. Co niepokojące, bo...

– Nie spytałeś go o Arlette?

– Za duże ryzyko. Nie chciałbym, żeby skojarzono ją z kimś aresztowanym ani żeby pomyślano, że ja mam z tym jakiś związek.

– Nie zorientowałeś się więc, kto to był, ten, który z wami rozmawiał? – spytała madame.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem. To ktoś mniej więcej w moim wieku, ubrany jak rolnik. Nie chciałem go wypytywać ani mówić więcej, niż to konieczne. W każdym razie według niego milicja miała wczoraj pracowity dzień. Zatrzymali na posterunku człowieka, który siedział wcześniej w kawiarni. Tyle wiedział.

– I co teraz?

– Nic nie możemy zrobić. Poeta przekaze wiadomość Inżynierowi. Ale potem pozostaje nam tylko cierpliwie czekać.

– Jeśli została aresztowana, dowiedzą się, że jest z destylarni – zauważyła Marthe.

– Nie wątpię. Na razie trzeba zakładać, że musiała zostać aresztowana razem

z Kandydem, i próbować dowiedzieć się, o co chodzi.

Dokładnie to samo będzie robić milicja. Wszyscy wiedzieli, że mają swoje metody. Te słowa nie padły.

– Jeśli mają Arlette, wpadną i nasz trop.

Arlette dostarczająca zamówienia w Céreste. Wiadomości brajlem na opakowaniach kostek mydła. Tamte niewidome dziewczyny czekające, by służyć za tłumaczki, w Apt i Reillanne, Banon i Saint-Christol. Delikatna pajęczna sieć, widoczna jedynie w rozbłyskach słońca na osiadającej na niej rosie.

– Arlette nie da się złamać – powiedziała Marthe. – Nawet mnie nie mówiła, co robi, choć błagałam, by mi wytłumaczyła, co się dzieje. Dowiedziałam się dopiero wtedy, kiedy uznała, że potrafię pomóc w rozwiązaniu problemu z wysyłaniem wiadomości.

– Jest młoda i śliczna, poczaruje ich i ją puszcza – stwierdził Auguste pewnym tonem, na co nikt nie dał się nabrać, choć bardzo by tego chcieli.

Nie było żadnych nowych wiadomości.

\* \* \*

Poczucie zagrożenia narastało. Jeśli Arlette nie wróci, prędzej czy później zamiast niej pojawi się milicja. Do nocnego lotu pozostał już tylko tydzień. Amerykanie mieli być przewiezieni na północ przez góry, na tajemne lądowisko.

Kenton i Scotty zostali zabrani ze stodoły. W pokoju Marthe na parterze była kłapa w podłodze. Obok sypialni Mussetów – małe pomieszczenie ze schodami na niski strych, z którego można było wydostać się z domu inną stroną.

Kenton był wyższy i mniej zwinny, jemu trudniej byłoby przeczłapać się strychem. A Scotty znał tylko podstawowe słowa po francusku, więc lepiej było, żeby chronili go Mussetowie. Kenton miał spać na parterze. Gotów schować się w każdej chwili, gdyby ktoś pojawił się tam w środku nocy. Przećwiczyli to. Marthe wiedziała, jak zamknąć kłapę i przesunąć nad nią łóżko.

Pierwszej nocy, zanim poszli spać, zbliżyła się do obu chłopaków z buteleczką zapachu i ich spryskała.

– Hej! A to co?

– Destylat z pieprzu i lawendy. To odstrasza psy. Oni mogą przyjść z psami.

Amerykanin starał się zachowywać delikatnie. Zapukał do jej drzwi dopiero, kiedy zapewniła go, że jest już w swoim małym żelaznym łóżku. Potem wszedł, cicho zamknął za sobą i położył się na macie wyścielonej watowaną kołdrą. Słyszała jego oddech, ale nie śmiała się do niego odezwać. Może już spał, wracając w snach do swojej dalekiej ojczyzny.

Marthe leżała bezsennie, miała zamęt w głowie. Kiedy się wreszcie zdrzemnęła, śniło jej się, że wyczekuje pełni. Najpierw był wieczór, kiedy niebo na zachodzie zdawało się płonąć, posyłając zza drzew na wzgórze ogromne nasycone

czerwienią promienie, a potem pojawiła się wielka srebrna tarcza i rozświetliła noc. Później widziała Arlette zagubioną w lesie. Gestapo zabierające Kandyda do Forcalquier. Jeśli zaczniesz mówić, to już po nich. Kto mógł ich zdradzić? Nikt tego nie wiedział.

Obudziła się znowu, serce jej waliło. Na podłodze lotnik nadal oddychał miarowo.

\* \* \*

Milicja przyszła trzeciej nocy.

Ostrzegł ich jakiś ruch na żwirowej ścieżce. Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego pod domem wysypano tak drobne kamyczki. Potem zaczęły szczekać psy. Bez słowa sięgnęła ręką do Kentona i potrząsnęła go mocno za ramię. Zerwał się. Cichy szmer i już go nie było. Musiał rzucić się jak nurek do dziury.

Marthe też odegrała swoją rolę szybko i bezbłędnie.

Serce biło jej mocno, kiedy położyła się z powrotem do łóżka, stojącego teraz na klapie.

Dostała gęsiej skórki ze strachu. Noc była gorąca, a ona czuła chłód na plecach, do których lepiła się mokra od potu koszula.

Ktoś zagwizdał. Psy głośno ujadły. Na zewnątrz rozległy się ostre krzyki i tupanie buciorów. Łomotanie do drzwi wejściowych, potem od strony kuchni.

Pan Musset zawołał do nich z okna sypialni. Czego chcą? Co takiego pilnego, że nie może poczekać do rana?

– Otwierać! Otwierać!

Stukot skórzanych buciorów na kafelkowanej podłodze, coraz bliższe kroki. Ciężkie tupanie na schodach i w korytarzu prowadzącym do pokoju Marthe.

Kiedy mężczyzna stanął w drzwiach, już na niego czekała, mrugając jakby wyrwana ze snu.

– Co tu masz? Odsuń się! Z drogi!

Odwróciła głowę od jego głosu.

– Co się dzieje, co się stało...? – wybełkotała, jak niespełna rozumu. – Kim pan jest?

Poczuła na sobie jego dłoń, jakby chciał ją odepchnąć.

– A niby na co to wygląda?

Pachniał przydziałową czosnkową kiełbasą.

Marte niezdarnie wyciągnęła przed siebie ręce, demonstracyjnie szukając drzwi.

– Jestem ślepa... Nie wiem, kim pan jest.

Wyczuła lekkie wahanie z jego strony.

– Trzymają mnie tu... nie pozwalają wychodzić. Nie widzę... Przyszedł pan mi pomóc? Proszę mi pomóc. – Przesunęła dłonią po materiale jego munduru. –

Jest pan żandarmem? Miłym żandarmem?

Odepchnął brutalnie jej rękę.

– Przeszukujemy dom.

– Ja nic nie widziałam... Jak mogłabym coś zobaczyć?

Człapanie na schodach. Więcej głosów. A potem Musset żądający, by skontaktowali się z komendantem Baumannem i wyjaśnili ten najazd w środku nocy na dom porządnego przedsiębiorcy. Więcej hałasów w korytarzu, a potem odezwał się ten trącający czosnkową kielbasą.

– Ona nic nie wie. To jakaś niedorozwinięta pomocnica z farmy, w dodatku niewidoma.

– Znam ją – dorzucił inny. – Jest ślepa jak kret.

Wycofali się korytarzem. W holu odezwały się podniesione głosy.

– A co z tą dziewczyną, tą, która dla ciebie pracowała, Musset?

– Którą? Zatrudniam wiele dziewcząt!

– Tą, która wozila zamówienia do Céreste?

– Ach, ona... Słuchajcie, my tu wszyscy zajmujemy się tym, co do nas należy. Nalegam, spytajcie swojego komendanta... – Musset nadal oburzony tym najściem, żądał, by skontaktowali się z Baumannem. Obudzili go nawet, jeśli to konieczne. Opowiadał, jak to destylarnia Musset zaopatruje Niemców w trudno osiągalne towary, i biadał nad takim brakiem wdzięczności. Głosy ucichły.

Potem ramiona madame objęły Marthe. Trzęsły się razem.

Zapanowała cisza, póki nie usłyszały charakterystycznych kroków na ścieżce. Wracał monsieur. Był sam. Po chwili tulił do siebie je obie.

Kiedy się wreszcie odezwał, mówił ściszym głosem.

– W porządku. Nadal tu jesteśmy. Cali i zdrowi.

– Dzięki ci, Panie – szepnęła madame, wyswobadzając się z uścisku.

– Poczekajmy jeszcze trochę, kochanie. Żeby mieć pewność.

– Miałam wrażenie, że słyszę samochód odjeżdżający ze wzgórza.

– Ja też, ale...

– Sądzisz, że mogą wrócić?

– Niewykluczone.

Odczekali godzinę, zanim uwolnili Kentona i Scotty'ego z ich kryjówek.

\* \* \*

Jakby czytając w jej myślach, Kenton wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Mussetowie zostawili ich, nalegając, żeby pospali parę godzin do świtu. Ale jak mieli teraz zasnąć? Siedzieli obok siebie na brzegu jej łóżka.

Marthe niepewnie odsunęła dłoń. Nic nie powiedział, nie miała sposobu, by odgadnąć jego reakcję. Dlaczego to zrobiła? W jego dotyku wyczuła drżenie.

Bardzo wolno sięgnęła do jego twarzy. Pogładziła policzek, nabierając

odwagi. Przeczesała palcami gęste włosy. Prześlizgiwały się pomiędzy nimi proste i gładkie. Jego rysy nabrały dla niej realnych kształtów. Czoło, potem oczy, nos, broda. Odczytywała obraz, zacierając granice pomiędzy tym, co można zobaczyć, a co wyczuć. Powolutku przesunęła palcem w kierunku jego ust i powiodła nim po wargach. Były pełne i miękkie.

– Mogę położyć się obok ciebie na łóżku?

Marthe skinęła głową.

Wyczuwała kształt jego ramion i piersi przy swoim boku. Miał na sobie szorstką koszulę i spodnie.

– Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać... Po tym wszystkim. Bałam się.

Odnalazła jego usta i dotknęła ich palcem.

– Połóż głowę na moim ramieniu i zamknij oczy. Śpij.

Pociecha bliskości czyjegoś ciała. Ciepło skóry, objęcia, które pasują do siebie jak ulał. Kiedy on zamknie oczy, nie będzie już pomiędzy nimi różnicy.

\* \* \*

Promienie słońca musnęły łóżko. Marthe nadal była w półśnie. I nagle, kiedy odzyskała świadomość, poderwała się gwałtownie. Zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie budziła się w obecności mężczyzny.

Szeptał coś do niej, z tym swoim szczególnym akcentem. Nie potrafiła zrozumieć, co mówi.

– Jak ty wyglądasz? – spytała.

– Mam jasne włosy i niebieskie oczy. Dość wysoki, dość barczysty. Żadnych znaków szczególnych.

– Jesteś przystojny?

– Na to nie potrafię ci odpowiedzieć.

– Na pewno potrafisz. Już odpowiedziałeś. Gdybyś nie był, roześmiałybys się i od razu zaprzeczył.

Teraz się zaśmiał.

– OK. Wygrałaś.

– Dziewczyny mówią ci, że jesteś przystojny?

– Oczywiście.

– Naprawdę?

– No, w każdym razie moja matka tak.

– Co by to była za matka, gdyby tak nie myślała.

– Racja.

– Blond włosy i niebieskie oczy – powtórzyła. – Jak lawendowa wróżka.

– No zaraz, chwileczkę!

– Tak właśnie wygląda lawendowa wróżka. Jest taka stara baśń o pięknej

wrózce zwanej Lavandula, która przyszła na świat w dzikiej lawendzie na górze Lure. Kiedy dorosła, zaczęła zapuszczać się coraz dalej, szukając miejsca, gdzie mogłaby osiąść na stałe. Pewnego dnia zawędrowała do Górnej Prowansji. Na widok kamienistego, surowego krajobrazu zrobiło się jej tak smutno, że zapłakała gorącymi łzami. Ciepłe fioletowe krople spadły na ziemię i zafarbowały ją. I później zakiełkowała tam lawenda i rosła już zawsze, taka jak tam, gdzie wróżka się urodziła.

– Widziałas te pola?

– Nie, tutaj nie. Ale pamiętam je jeszcze z okolic mojego rodzinnego domu. Tam pola są dużo mniejsze, ale w dzieciństwie je widziałam.

– To okropne. To takie...

– Gdybym nie straciła wzroku, pewnie nigdy bym tu nie trafiła, nigdy nie odkryłabym swojego prawdziwego powołania. Byłabym zwyczajną dziewczyną z farmy i nie zdawałabym sobie nawet sprawy z tego, co tracę. Potem wyszłabym za farmera jak moja matka, moje życie byłoby kopią jej życia. Nie widzisz, że to otworzyło przede mną świat, a nie zamknęło? Za to powinnam być losowi wdzięczna.

– Więc nie zawsze byłaś...?

– Nie. Widziałam normalnie mniej więcej do jedenastego roku życia.

– I co się stało?

Podobało jej się, że jest tak bezpośredni. Ludzie często byli ciekawi, ale nie pytali.

– To przyszło nagle. Pewnego dnia zaczęłam widzieć nieostro na jedno oko. Myślałam, że coś mi do niego wpadło, więc do wieczora tarłam je i mrugałam. Pamiętasz, jakie wszystko w tym wieku wydaje się proste? Mrugałam i stale tarłam oko, czekając, aż zacznę widzieć wyraźnie.

– Ale się nie poprawiło.

– Nie. Powiedziałam matce, a ona poradziła, żebym poczekała cierpliwie i na pewno wszystko będzie dobrze. Taki miała sposób na każdą chorobę i przez jakiś czas jej wierzyłam. Aż pewnego dnia mój młodszy brat zepchnął mnie z parapetu, na którym siedziałam. Nawet nie pamiętam, dlaczego to zrobił. Uderzyłam się w głowę i skręciłam nadgarstek, upadając na wybrukowane podwórko. Mama zabrała mnie do lekarza, bo bała się, że mam złamaną rękę. A ja odważyłam się wspomnieć mu o swoim oku.

– I co on na to?

– Najwyraźniej zgadzał się z mamą. Powinnam poczekać. Przez następnych kilka tygodni z całych sił koncentrowałam się na wszystkim, co widziałam prawym okiem, i bardzo uważnie kontrolowałam najdrobniejsze zmiany w widzeniu lewym. Czasami wydawało się, że jest ciut lepiej, ale właściwie dostrzegałam tylko zamazane czarno-białe kształty, rzadko z jakąś smużką koloru. A potem pewnego

dnia poszłam ubrać się w swoją czerwoną sukienkę, a kiedy znalazłam ją w szafie, ona była burozielona.

Amerikanin pogładził ją po włosach. Nawet teraz na tamto wspomnienie robiło się jej przykro.

– Coś dziwnego działo się ze wszystkimi kolorami. Niebo nie było już jak dawniej błękitne, ale szarofioletowe, jak przed burzą, nawet w najbardziej słoneczny dzień. Różowe kwiaty oleandrów zrobiły się dziwnie niebieskawe. Nie rozumiałam, co się dzieje.

– Wygląda na to, że stałaś się daltonistką.

– Na jakiś czas. A potem i te odcienie kolejno znikwały. Nawet te brudne kolory. Z każdym dniem świat stawał się coraz ciemniejszy.

Przytulił ją mocniej.

– To musiało być okropne.

– Teraz to rozumiem, ale wtedy... bardzo się bałam. To było od początku zapisane w komórkach mojego ciała, powiedział doktor, kiedy znów do niego poszłam. Musiał posprawdzać w wielu książkach, ale kiedy znalazł właściwe informacje, sprawa była jasna. Urodziłam się z tym i powinnam się cieszyć, że zobaczyłam tyle świata, ile mogłam. Miałam szczęście, że spotkało mnie to w późnym dzieciństwie. I pecha, bo zwykle dotyka to chłopców, nie dziewczynki. – Marthe westchnęła. – Ale w naszej rodzinie było najwyraźniej inaczej.

– Widzisz cokolwiek?

– Nie. Ale na szczęście pozostały mi w pamięci obrazy. Nadal we śnie widzę, nawet kolory, i wraca do mnie świat dzieciństwa. Fiolet judaszowców jaskrawiących się przy drogach i na tarasach w mieście na Wielkanoc. Ugier urwisk przypominający sproszkowany cynamon. Jesienne chmury przetaczające się nad wzgórzami i mozaika mokrych dębowych liści na trawie. Kształt płatka róży. I twarze moich rodziców, które dla mnie nigdy się nie zestarzeją. Ciekawe, że to wszystko potrafi przywoływać też różne zapachy. Wystarczy, że coś poczuję, i nagle znów jestem w konkretnym miejscu, wraca wrażenie sprzed lat.

Sielska przeszłość pachniała heliotropami, wiśniami i słodkimi migdałowymi ciasteczkami. To zapachy bliskie, w kwiaty trzeba było wtulać nos, kiedy ich obraz się zamazywał. Teraz tamte wonie dzieciństwa też stawały się coraz mniej wyraźne – fartuch mamy poplamiony sosem z dziczyzny, bielizna poprzekładana suszoną lawendą, owce w stodole. To, co działo się teraz, ostatnio, było kwiatem pomarańczy nasyconym nadzieją.

– Rozumiem to. Dla mnie hot dogi to piłka nożna. Plac targowy to olej i wata cukrowa. Paryż to czosnek. A stacje metra pachną...

– Byłeś w Paryżu?

– Pojechałem tam jako student przed wojną.



– Nigdy nie byłam w Paryżu, ale bardzo bym chciała. Co studiowałaś?

– Francuski, sztukę... literaturę. Chciałem zostać pisarzem, a Paryż to miejsce, gdzie ściągają romantyczni idealisci z Ameryki, żeby spełnić to marzenie. Przyjechałem na roczną wymianę między uczelniami. Byłem kompletnie zielony. Dziecinny w swoich opiniach i ambicjach. Żałosny. Naprawdę. Ale teraz? Nigdy nie byłem tak wdzięczny za cokolwiek w moim życiu jak za tamten rok. Dzięki niemu nauczyłem się wystarczająco dobrze francuskiego, żeby dać sobie radę. Bez tego już bym nie żył. To pewne.

– Jak to się stało, że trafiłeś do lotnictwa?

Zaśmiał się gorzko.

– Mój ojciec ma znajomości... Skierowali mnie na kurs i zanim się spostrzegłem, latałem nad Europą fortecą załadowaną bombami.

– Daleko od domu.

– Tak.

Przez chwilę milczeli.

– Jesteś wyjątkowa – szepnął Kenton. – Pod wieloma względami, nie z jednego powodu. Kiedy ten Niemiec stanął w drzwiach, zachowałaś się tak...

– Nie było czasu się wystraszyć. Zrobiłam co trzeba. To nic takiego. A on nie był Niemcem, tylko Francuzem. I to jest w tym najgorsze.

– Może dlatego odpuścił...

– Niewykluczone, ale nie sądzę. Boimy się i swoich rodaków.

Pan Musset wyjaśnił jej to, kiedy po raz pierwszy poprosił ją o pomoc. Ci, którzy włączają się do walki za linią frontu, ryzykują najwięcej, bo nie chroni ich mundur. Największym zagrożeniem była zdrada. Jeśli ktoś cię wydał, oznaczało to, że zastrzelą cię na miejscu albo wyślą do obozu w Niemczech. Mówiono, że lepiej już dostać kulkę w łeb.

– Jesteś naprawdę najdzielniejsza z dzielnych. Nie zapominaj o tym.

– Pan Musset twierdzi, że tworzymy historię.

– To wspomniały człowiek. Ale madame jest nieszczęśliwa – powiedział Kenton. – A może raczej bardzo się martwi. Żebyś widziała, jakie ma czasem spojrzenie, kiedy myśli, że nikt na nią nie patrzy.

– Przecież zawsze mówi tak spokojnie, wszystkim dodaje otuchy.

– Nie chodzi o pozory, ale jak to wygląda naprawdę, moja kochana.

– No tak. – Marthe ścisnęło w gardle. – Co byś robił, gdyby nie było wojny? Westchnął.

– Już nawet trudno mi to sobie wyobrazić. Wróciłbym na studia. Pewnie zrobiłbym dyplom i pouczyłbym się jeszcze trochę, żeby pracować w rodzinnej firmie. Może starałbym się zostać prawnikiem, żeby zadowolić ojca. Attwaterowie z Bostonu, stary ród.

– Moja rodzina też jest stara.

– Stary ród, stary majątek.  
– O, u nas to stara bieda. Czyli prawnikiem? Masz na myśli, że sam tego nie chcesz?

– Nie wiem, czego chcę. Nie, czekaj, wiem! Chcę wrócić stąd żywy. Co powiesz na takie ambicje?

– Bardzo rozsądne.

– I chciałbym tu kiedyś przyjechać. To takie piękne miejsce. Marzę, żeby zobaczyć je znowu, kiedy wojna się skończy.

Marthe niesamowicie ucieszyło to jego życzenie.

– Powinieneś. Wtedy wszystko będzie inaczej.

Choć ten niezwykle młody człowiek tak pięknie mówił o ich odwadze, wydawało się, że nie w pełni zasługują na takie pochwały. Tak wielu ludzi w tych mrocznych czasach nie zachowywało się jak trzeba. Niektórzy byli tak zamknięci w sobie jak wnętrza ich domów za zatrzaśniętymi okiennicami. Zbyt wielu okazało się nieczułych na los własnego kraju. Aż wstyd. Kiedy gestapo zaczęło płacić za donosicielstwo, wielu chętnie przyjmowało role szpicli. Czasem zdawało się, że ci, którym zależało na tyle, by stawiać opór, są podobni do wątych upolowanych ptaków, ich zimne oskubane ciała pokazywały, jak bezbronni byli wobec strzelb łowców.

Nagle poczuła, że musi spróbować mu wytłumaczyć.

– Moja rodzina mieszkała tu, odkąd ktokolwiek pamięta. Może i setki lat, bo nie ma żadnego śladu, byśmy przywędrowali tu z innych stron. Odmierzamy lata rocznikami orzechówki i owocowych likierów, podobnie jak w innych gospodarstwach odmierza się go rocznikami wina i oleju z oliwek. Trzymamy swoją historię w beczkach i butelkach pokrytych zakurzoną pajęczyną. Jeśli teraz nie będziemy twardzi, możemy być ostatnim pokoleniem, które tak żyje.

Minęła dłuższa chwila, nim się odezwał.

– A kiedy wygramy tę wojnę, bo wygramy, kim ty zostaniesz, słodka Marthe?

– Będę perfumiarką, stworzę fantastyczne kompozycje... i pojedę do Paryża!

\* \* \*

Ta godzina w blasku słońca zapisała się w niej na zawsze. Niczym kruchy fragment na wpół zapomnianego snu, powracała do niej w każdy zwyczajny poranek. Kenton otworzył szeroko okno. Poczowała, jak do pokoju wpływa lżejsze powietrze, jedwabiście delikatną bryzę na swojej twarzy. Jego dotyk jeszcze mienił się na jej skórze. Tyle było do odkrycia, tyle sposobów porozumiewania się.

Tego dnia, nieco później, milicja zastrzeliła Arlette.

*Sierpień 1944 roku*

Ciało Arlette wyrzucono w południe pod posterunkiem milicji w Forcalquier, obok ciała Kandyda. Leżały tam jak przynęta. Zbyt niebezpiecznie było się o nie upomnieć. W każdym razie jakiś litościwy lekarz położył temu kres. Zaprotestował, by zwłoki rozkładały się na placu w środku miasta, i zorganizował ich transport do szpitalnej kostnicy.

Ale nie mogli pójść zabrać stamtąd Arlette. Była pełnia.

\* \* \*

Na płaskowyżu z polami lawendy, pod osłoną gór przy Saint-Christol, samoloty zrzucały nocą dostawy dla ruchu oporu. Podjeżdżały wozy wyładowane lawendą. Mężczyźni pośpiesznie wyjmowali cenny ładunek z kontenerów ochronnych i ukrywali broń i materiały wybuchowe pod snopkami kwiatów.

Trzeba było działać szybko. Partyzanci odbierali teraz także spadochroniarzy na skalistym terenie, który nadawał się właściwie tylko jako strefa zrzutu sprzętu. Długi, płaski odcinek nazwano Spitfire. Już wcześniej używano go jako tajnego lądowiska, którego pas ukrywano pod dwustoma metrami lawendy. Sześćset metrów trawy, potem lawenda, a wreszcie kartoflisko.

Co wieczór Mussetowie obserwowali błyszczącą tarczę księżyca i czekali na potwierdzenie. Pojawił się kurier, ale tylko kazał im być w pogotowiu; lot został przesunięty. Kontakt z organizatorami się urywał. Najpierw mieli ruszać, potem samolot utknął we Włoszech z powodu gęstych chmur. Wreszcie, na początku drugiego tygodnia sierpnia, kiedy księżyc robił się już chudszy, nadeszła wiadomość. Można spodziewać się samolotu następnej nocy. Oczekują dwóch Amerykanów z Aktorką jako przewodniczką. Nie było jak wysłać odpowiedzi, Caspian i jego grupa mogli tylko zastosować się do instrukcji. Nie mieli jak powiadomić, że Aktorka się nie pojawi.

\* \* \*

- W takim razie ja będę Aktorką – powiedziała Marthe.
- Nie żartuj!
- Spodziewają się młodej kobiety z dwoma chłopakami. Sam mówiłeś.
- Nie mogę na to pozwolić.
- Ale potrzebna ci jakaś dziewczyna. Nie wiedzą nic o Arlette. I nie ma czasu, by ich powiadomić.

– Nawet jeśli tak jest, to chyba pomieszało ci się w głowie, zresztą jak nam wszystkim po tym, co się stało. – Mussetowi załamał się głos.

– Chcę to zrobić. Dla Arlette. Musisz mi pozwolić. Kenton i Scotty mnie poprowadzą. Ja tylko odegram swoją rolę. I pomyśl, kto by podejrzewał o coś biedną ślepą dziewczynę?

– Nie uwierzą, że mogliśmy wpaść na tak szaleńczy, głupi pomysł.

– Przecież chodzi tylko o to, żeby organizatorzy wzięli mnie za Arlette. Będą wypatrywali młodej pary zakochanych z przyjacielem spacerujących po polu. Taki jest plan i nie da się go zmienić, bo nie mamy już łączności radiowej. Jeśli coś nie będzie się zgadzało, jeśli nie pojawimy się, jak było umówione, będą podejrzewać, że to prowokacja, i wszystko pójdzie na marne!

– Moglibyśmy poprosić córkę Etienne’a.

– I wciągać kogoś nowego? Nie wolno panu tego robić. To byłoby wbrew wszystkiemu, o co dotąd tak bardzo się pan starał. Mieliśmy być ostrożni. Ja chcę to zrobić i muszę! To oczywiste, że się do tego najlepiej nadaję. Odpowiedni wzrost i wiek. Chłopcy mną pokierują.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

Potem monsieur zaczął opisywać jej, czego ma się spodziewać. Mężczyźni ubrani po wiejsku, w luźnych serżowych kurtkach z torbami myśliwskimi na ramieniu. Broń z lufą przypominającą końcówkę węża ogrodowego, zaprojektowana przez Czechów i dostarczona w brytyjskich zrzutach.

\* \* \*

– Nocna armia – powiedziała Marthe do Kentona. – Wezmę w tym udział.

– Jesteś pewna?

– Nie ma innego wyjścia. Arlette... chciałaby, żebym to zrobiła.

– Myślę... nie, masz rację. Ale...

– Czy kiedykolwiek kogoś zabiłaś? – spytała.

Nie odpowiedział. Miała zapytać znowu, ale zanim ubrała to w słowa, rozmyśliła się. Nie potrzebuje tego wiedzieć.

Tej nocy znów spali w jej pokoju. Ona w swoim łóżku, on na podłodze. Kiedy mówili sobie dobranoc, Marthe wyciągnęła rękę, by dotknąć jego głowy, i nagle cofnęła dłoń jak oparzona.

– Twoje włosy... gdzie się podziały twoje włosy?

– Ogoliłem. Na zero. To zbyt niebezpieczne podróżować z wami z tak aryjskim wyglądem, jeśli się nie jest Niemcem.

Żadne z nich nie wspomniało o poprzedniej nocy, kiedy spali objęci, szukając w sobie nawzajem pocieszenia. Teraz trzeba było zdobyć się na odwagę i chyba oboje zdecydowali, że potrzebę szukania pocieszenia można uznać za słabość. Przygryzła wargę i starała się, żeby nie usłyszał, kiedy opłakiwała

gorącymi łzami Arlette.

\* \* \*

Następnego wieczoru madame przygotowała posiłek, a oni zmusili się, by coś zjeść i wypić. Załamującymi się głosami wzniesiono toasty za męstwo i przyjaźń. Kuzyn Auguste'a, Thierry, uruchomił ciężarówkę i zgodził się jechać z nimi, na wypadek gdyby trzeba było po drodze coś naprawiać. Mieli ruszyć przez góry starymi drogami w kierunku szczytu La Contadour. Pudła mydeł, opakowania wody toaletowej, środków dezynfekcyjnych i płynów czyszczących rozmieszczono starannie z tyłu i po bokach naczepy. Ukrywały starą szafę przywiązaną z tyłu, w której mieli być zamknięci na stojąco Kenton i Scotty.

Monsieur wyjął puste pudełka maskujące drzwi szafy. To była niesamowicie sprytna kryjówka.

– Wchodźcie.

Marthe poczuła przez moment dłoń na swojej ręce, potem Amerykanie podziękowali madame za wszystko, co dla nich zrobiła, i wsiedli do ciężarówki. Madame pomodliła się. Najpierw za stary pojazd, a potem za tych, których miał wieźć.

– Ruszajcie – powiedziała. – Powodzenia.

Ciężarówka zadygotała, kiedy monsieur pokręcił korbą i uruchomił silnik, który zaparaskał i wypluł zapach palonego węgla drzewnego z zamontowanego urządzenia zapewniającego napęd gazowy, dzięki czemu pojazd ten można było uznać za nienadający się dla wojska.

Dwóch robotników z farmy zaczęło teraz ładować na tył narzędzia i przedmioty potrzebne w polu. Motki szpagatu, liny, sierpy, plandeki. A potem ostrożnie ustawili alembik do destylacji, stary, żeby go nie żałować, gdyby wyprawa skończyła się tragicznie. Auguste wskoczył na tył i rozłożył sobie drewniane siedzisko. Miał pilnować bezpieczeństwa ładunku i zapewniać osłonę i pierwszą linię obrony, w razie gdyby zostali zatrzymani. Owiązał sznurami mosiężny kocioł do destylacji, po czym postukał nożem po zębach.

– Świeżo naostrzony – powiedział. – Podobno łądygi w tym roku są wyjątkowo twarde.

Monsieur wciągnął Marthe do szoferki obok siebie. Następny wsiadł Thierry. Zwalista, miękka postać o basowym głosie. Pachniał olejem i bimbrem. Ruszyli wyboistym szlakiem.

Pięć minut podjazdu w górę za Manosque i już nie było pewne, czy stary silnik da sobie radę. Coraz bardziej charczał i prychał. Z tyłu słychać było stłumione narzekania. Wciśnięta między pana Musseta i Thierry'ego Marthe czuła, jak ich mięśnie napinają się z niepokoju, kiedy tak kołysali się na boki.

Wreszcie nastąpił długi trzask, wóz zadygotał, a potem zapadła cisza. Silnik

zamarł. Monsieur pociągnął mocno hamulec ręczny, kiedy zaczęli staczać się w tył. Jego łokieć boleśnie wbił się Marthe pod żebra.

Zanim ktoś coś powiedział, Thierry zeskoczył i podbiegł do korby. Motor nawet nie zakasłał. Thierry cicho zaklął.

– No dawaj, moja śliczna. – Pan Musset próbował zachęcić wóz niczym ukochaną klacz.

Zdawało się, że trwa to wiele minut, zanim silnik zaskoczył. Wszyscy wstrzymywali oddech w nadziei, że ożyje. Już ledwie dychał, ale nagle zatrzęsło, raz i drugi, i monsieur uruchomił krztuszącą się z wysiłku maszynę. Thierry wskoczył z powrotem do środka, popychając Marthe. Ciężarówka ruszyła.

Gdy jechali w górę, Marthe opierała się mocno plecami o twarde siedzenie. W miarowym tempie, zakręt po zakręcie, jęki, zgrzyty i grzechotanie na przodzie auta to przybierały na sile, to nieco przycichały.

– A może coś zaśpiewajmy – rzucił Thierry z sarkazmem.

Nikt nie odpowiedział.

\* \* \*

– Była tak pełna życia – powiedział Musset z rozpaczą.

Śmierć Arlette i to, jak do niej doszło, było dla niego nie do zniesienia. Ani on, ani madame nie mogli o tym mówić. Ale chcieli wspominać Arlette taką, jaka była.

Przedzierali się więc przez noc, słuchając, jak pan Musset opowiada o dzieciństwie Arlette. Jak raz podczas spotkania rodzinnego weszła na stół, żeby zaśpiewać, i po prostu nie mogła przestać. Jak urządziła teatrzyk z kukiełkami, które zrobiła z papieru i wstążek. Jak zjadła za dużo śliwek, bo były tak pyszne, że nie potrafiła się powstrzymać. „Co mam robić, ja je tak lubię!”, płakała, skręcając się od bólu brzucha. „Zjem jeszcze więcej, kiedy tylko będzie mi lepiej!”

– Wie pan, z początku, kiedy Arlette przyjechała z państwem zamieszkać, byłam o nią zazdrosna – wyznała Marthe. – Ale jak tylko lepiej ją poznałam, to już nie. Czy to logiczne? Była moją przyjaciółką. Najlepszą, jaką kiedykolwiek miałam. Pozwoliła mi wejść do swojej rodziny. Nigdy nie poczułam się tu przez nią niezręcznie, nigdy nie miała żalu, że poświęćcie mi tyle uwagi.

– Była naprawdę bardzo dobrym człowiekiem. To... takie...

– Blokada – rzucił Thierry.

Musset natychmiast zwolnił. Może chciał, żeby mężczyźni z tyłu zdążyli się przygotować.

Psy czekały, kiedy podjeżdżali.

– Wyłącz silnik – warknął głos zza otwartego okna od lewej strony.

To najwyraźniej był rozkaz.

– Wolalbym nie – powiedział monsieur. – Mogę potem nie dać rady

uruchomić tego diabelstwa, a nie chcę tarasować przejazdu.

– Wyłącz.

Silnik zadygotał, po czym ucichł. Echo jego warkotu nadal szumiało w uszach Marthe.

– Dokumenty. Już po godzinie policyjnej. Obyście mieli dobry powód, żeby jechać o tej porze.

Monsieur sięgnął do kurtki, wbijając łokieć w bok Marthe, i odwrócił się, by je podać.

– Dokąd jedziecie?

– Do naszych dostawców w Sault.

– Skąd?

– Z Manosque.

– Nie macie tam własnych producentów lawendy?

– Współpracujemy z kilkoma gospodarstwami i tutaj. Łatwiej nam przewieźć sprzęt do destylacji, niż transportować zbiory do doliny i znów pod górę. Uprawiają tu *lavandin*, odmianę lawendy, z której możemy uzyskać cztery razy mocniejszą esencję niż z tej tradycyjnej.

– Co macie z tyłu?

– Dostawy. Produkty z zeszłorocznych zbiorów. To część umowy.

Z tyłu rozległ się ciężki tupot, psy znów zaczęły głośno ujadać. Kiedy jeden żołnierz zadawał pytania, inni otoczyli auto od tyłu i zaglądali pod plandekę. Z kołysania wozu można było się domyślić, że Auguste wstał.

– Możecie sprawdzać. Wszystko jest w porządku – powiedział monsieur.

– Nocą nie robi się dostaw.

– Oczywiście, że nie. Ale lawendę ścina się przy księżycu. To najlepsza, tradycyjna pora na żniwa, kiedy rośliny są pełne soków. Tak to się tu robi. Od zawsze. Żeby wydobyć esencje najwyższej jakości.

Głosy z tyłu przybrały na sile. Nie można było zrozumieć, co mówią.

– Papiery wozu. Dlaczego nie został zarekwirowany?

– Jest tak stary, że nikt go nie chciał. Nawet by nie zapalił, gdyby próbował go uruchomić ktoś, kto nie opiekował się nim przez te trzydzieści lat czy nawet dłużej. Zresztą w ogóle jest z tym kłopot... A jeśli chodzi o papiery, to nie jestem w stanie ich przedstawić. To jak pytać o papiery pordezewiałych wiader w gospodarstwie albo ptaków na drzewach. To auto nigdy nie miało żadnych papierów.

Metaliczny dźwięk, jakby ktoś kopnął w bok ciężarówki, na co monsieur tylko głęboko westchnął.

– Proszę posłuchać... – zaczął. – Już jesteśmy spóźnieni przez tę kupę złomu. Uciekają nam najlepsze godziny na żniwa. Pozwólcie, że pójde do tyłu, zobaczę, co mógłbym wam zaoferować. Któryś z rolników może nie będzie

zachwycony, ale taka jest cena, jak się chce działać w tych ciężkich czasach, prawda? Może przydałaby ci się woda toaletowa dla twojej dziewczyny?

Nie dając żołnierzowi czasu do namysłu, monsieur wyskoczył z szoferki, nie przestając mówić.

– Masz pojęcie, jakie ważne są dla nas te zbiory? Politykę to ja mam w nosie. Jeśli o mnie chodzi, to róbcie sobie, co chcecie. Jak macie ochotę, zapytajcie komendanta, on wam powie. Nie mam nic do ukrycia.

Czy nie szarżował zbyt śmiało? Czy nie zdradzi go napięcie w głosie? Psy węszyły. Potem jeden kichnął.

Musset obszedł ciężarówkę. Niemiecki żołnierz, gderając dla zachowania pozorów, ruszył za nim. Marthe odchyliła się do tyłu na siedzeniu, starając się usłyszeć, co się dzieje. Thierry milczał. Kompletnie ignorowali siebie nawzajem.

Zdawało się, że mija cała godzina, choć pewnie trwało to zaledwie kilka minut, kiedy klapa z tyłu się zatrzasnęła. Stłumione głosy brzmiały już mniej wrogo. Po chwili monsieur wspiął się z powrotem do szoferki.

– Thierry? Uruchom silnik, proszę – powiedział.

Thierry posłusznie wziął się do pracy. Marthe splotła ręce na kolanach i modliła się w duchu. Pierwsza i druga próba spaliła na panewce. Przy trzeciej prawie się udało. Za czwartym podejściem sytuacja wydawała się beznadziejna. Piąty raz i silnik otrząsnął się niczym mokre zwierzę i zaterkotał.

Wóz szarpnął, kiedy monsieur ruszył tak szybko, jak tylko pozwalał na to stary gruchot.

\* \* \*

– Gdzie jesteśmy? – spytała Marthe.

– Na drodze do Simiane. Niedaleko Saint-Christol.

Trochę ochłonęli po tamtej kontroli, ale w miarę zbliżania się do celu trudno było zapanować nad nerwami. Marthe mogła wyobrazić sobie tylko, jak strasznie niewygodnie jest tam z tyłu, w szafie, tuż za nią. Kenton i Scotty musieli stać w ciasnocie, mając pewnie zaledwie po parę centymetrów luzu. Jej serce trzepotało w piersi niczym skrzydła kolibra, nie tyle biło, ile furkotało.

Im mniej dzieliło ich od celu, tym jaśniej uświadamiała sobie, co jej chodziło po głowie. Jeśli już wcześniej korzystali z tego pola, miejscowi musieli słyszeć silniki samolotu. Musieli. Chyba że w okolicznych wioskach zapanowała epidemia głuchoty.

– Dobrze, posłuchajcie – odezwał się Musset. – Powiem wam, co mi przekazano. Marthe, powtórzysz to chłopakom. Dowództwo Dziewiętnastej Armii niemieckiej ma siedzibę w Avignonie. Teraz jest też oddział w Sault. W zeszłym tygodniu około czterystu Niemców przeprowadziło sporadyczne ataki na drodze na północ od Apt. Partyzanci szybko się nimi zajęli i zmusili ich do odwrotu, ale kilka



dni później nasi nie mieli już szans, bo Niemcy wrócili z posiłkami. Opanowali drogę od Apt do Sault. Sytuacja na płaskowyżu jest teraz bardziej niebezpieczna niż przedtem.

– To dlaczego to robimy? – zapytał Thierry.

– Ten samolot przywiezie sporą grupę francuskich wojskowych i polityków. Chcą być na miejscu, kiedy wylądują tu alianci. To duży samolot, większy niż zwykle. Korzystają z okazji, żeby zabrać stąd trochę uciekinierów. To lądowisko nazywa się Spitfire. Dowodzi Inżynier, znany też jako Xavier. Jest najlepszy z najlepszych. Róbcie, co wam każe.

– Jak go znajdziemy?

– Będzie czekał w ukryciu na skraju pola, od strony drogi. Nie martwcie się. Zobaczysz was, zanim ktokolwiek z was go zauważy. Nic nie mówcie, póki się do was nie odezwie. Żadnych imion. Ty jesteś Aktorką.

Cieżarówka jęknęła i niebezpiecznie zarzuciła na zakręcie. Marthe poleciała na pana Musseta, uderzyła bokiem o kierownicę. Parę podskoków i stanęli. Silnik zamarł.

– Co się stało?

– Jesteśmy na miejscu.

Pomogli Marthe wysiąść. Stała zdezorientowana. Nogi jej zdrętwiały, było jej niedobrze, choć trudno powiedzieć, czy to z nerwów, czy od tej jazdy. Wsłuchiwała się uważnie w dźwięki, kiedy otwarto tył ciężarówki. Przez moment jakieś szepty, potem trudny do określenia łomot.

Wokół panowała cisza, absolutny spokój.

Nagle głos pana Musseta, niedaleko jej ucha.

– To ta droga. Skręćcie w lewo, kiedy dojdziecie ścieżką na górę. My tu zostaniemy, jakbyśmy zatrzymali się na noc, choć to tak daleko od głównych dróg, że raczej nikt tu się nie zapuści. Marthe, po wszystkim czekaj na mnie na polu. Gdyby coś poszło nie tak, idź na farmę lawendy zwaną Les Coulets na drodze do Sault i powiedz, że Caspian kazał ci tam poczekać. Ruszajcie.

Wiedzieli już, co mają robić, przerabiali to wielokrotnie, odkąd dotarła pierwsza wiadomość.

Chłopcy wzięli ją mocno pod ramiona, Kenton z prawej, Scotty z lewej. Szeptane podziękowania i poklepywanie po plecach.

– Idźcie! – ponaglił monsieur.

Ścisnął jej rękę dla otuchy.

Cała trójka ruszyła.

– Jest dość jasno, żeby coś widzieć? – spytała Marthe.

– Księżyc świeci – powiedział Kenton. – Nie martw się. Po obu stronach za żywopłotem są otwarte pola. A przed nami tunel pod drzewami.

Uzbrojeni w sierpy do ścinania lawendy szli naprzód.

Kiedy posuwali się drogą, ich kroki były ledwie słyszalne, dzięki sznurkowym podeszwom butów, które kazał im włożyć monsieur. Myślała o tym, jak wojna zmieniła jej życie. Po raz pierwszy uderzyło ją, że może już nigdy nie będzie dane jej wrócić ani do niebieskiej kurtyny gór w Luberon, ani do bliskich, którzy tam mieszkają. Ale szła dalej, stąpając cicho w ciemność.

\* \* \*

Inżynier powitał ich szorstko, kiedy przedstawili się jako Aktorka i jej towarzystwo. Marthe została wciśnięta do zapadliska pod jakimś drzewem. Miała siedzieć tam cicho. Wszystko działo się bardzo szybko. Wyteżyli słuch, by wyłoić dźwięk nadlatującego samolotu. Kiedy wreszcie się pojawił, mężczyźni z pochodniami zaświstali jeden do drugiego, żeby dać sygnał. Z samolotu musiało coś błysnąć w odpowiedzi.

– Zapalić czerwoną latarkę na granicy!

– Nie, nie tu, na linii!

– Białe światło... potrzebujemy białego tutaj!

Kiedy samolot przelatywał nad nimi, zdawało się, że spycha w dół powietrze, a zasysany grunt faluje. Marthe czuła cień ogromnych stalowych skrzydeł i podmuch wiatru. Głośne wibracje wstrząsały ziemią. Silniki dudniły i dygotały, a potem przeszły w jęk. Hałas był przerażający. Ogromna maszyna minęła ich, lecąc tak nisko, jakby miała zgnieść ich na miazgę. Wydawało się, że przy niej pola i góry zrobiły się strasznie małe. Wokół Marthe rozległy się chrypliwie głosy.

– Dlaczego nie ląduje?

– Co się stało?

– Sygnał, sygnał... Daliście właściwe znaki?

Przez chwilę zdawało się już, że samolot odleci, ale po chwili hałas nasilił się znowu.

– Wraca!

– Włączyli reflektor przeszukujący – powiedział Kenton. Trzymał ją za rękę. – Podchodzi znowu.

Ryk był coraz głośniejszy.

Ktoś zawołał:

– Dalej nie tak! Pas jest za krótki, nie da rady wyhamować...

Wrzask silników rozdzierał nocną ciszę. Na pewno wszyscy w okolicy to słyszeli. Marthe miała w ustach smak żółci.

– To Dakota! Nie do wiary! – radosny szept Kentona napawał nadzieją. – To wielki samolot. Nigdy bym nie przypuszczał, że zdołają tu taki przemyścić!

Pociągnął ją, żeby wstała.

Uderzyły w nich chłodne podmuchy powietrza. Samolot się zbliżał. Jego

obecność wyczuwało się, jakby był żywą istotą. Silniki nadal pracowały. Słysząc było, że na trawie zrobił się ruch. Gdzieś z góry ktoś krzyknął, gniewnie, nie rozumiała co.

– To pilot. Mówi, że według niego ten pas wcale nie ma tysiąca dwustu metrów – powiedział Kenton. – I co, u diabła, jest na końcu tego pola?

– Ziemiaki – rzucił inny głos.

Teraz więcej ludzi biegło naprzód.

Marthe poczuła na sobie obejmujące ją ręce Kentona i pocałunek w czoło.

– Uważaj na siebie, aniołku.

Scotty też podziękował jej pocałunkiem. I już ich nie było. Splotła ramiona na piersi. Teraz modliła się tylko, żeby jak najszybciej odlecieli. Niemcy i milicja musieli słyszeć lądowanie. Na pewno zaraz tu będą. Czy samolot zdąży wystartować przed ich przybyciem?

Chciała zapytać kogoś stojącego obok, co się dzieje, ale wiedziała, że nie powinna zdradzić się, że nie widzi. Gdyby ktoś zorientował się, że nie jest tą, za którą się podaje, mogliby oskarżyć Caspiana o samowolne odstępstwo od planu.

Silniki zacharczały głośniejsze, a potem warkot przeszedł w ogłuszający ryk. Odzywały się w nim konkurujące ze sobą hałasy i tonacje, niektóre równe, inne terkotliwe. Jakiś łomot, jak od kół ciężarówki toczącej się po wyboistej ziemi. Potem potężne wibracje zatrzęsły nawet ziemią pod drzewem, do którego przywarła, nie śmiejąc nawet drgnąć. Wreszcie mechaniczny pisk zdominował trzaski i warkot. Marthe bolały uszy.

Coś było nie tak. Maszyna za bardzo się wysilała, jak gigantyczne przerażone zwierzę. To nie może tak trwać, na pewno. Nastąpi wybuch. I samolot spadnie z nieba w płomieniach.

Nie było kogo zapytać, co się dzieje. Zapach spalin nasilał się. Warkot ustąpił miejsca jękowi.

– On wraca! – usłyszała czyjś krzyk.

– Za ciężko. Muszą kogoś wysadzić.

– To ryzyko. Każda dodatkowa minuta na ziemi...

Ogłuszający hałas i podmuchy powietrza. Ziemia zadygotała znowu. Po obu stronach Marthe przebiegali jacyś ludzie.

Po chwili był przy niej Kenton.

– Co się stało?

– Samolot jest przeciążony. Za dużo nas wzięli, zaczepiliśmy o pas lawendy.

– Tylko ty i Scotty wysiedliście?

– Ośmiu z nas. Sami Amerykanie. Prawie się udało, ale nic z tego – powiedział. – Wszyscy przyjęli to z humorem.

Francuz zaklął i kazał mu mówić ciszej.

– Co teraz? – spytała szeptem.

– Wrócą jutro w nocy.

Marthe jęknęła. Nie miała pojęcia, co robić do tej pory. Ale Kenton nie tracił rezonu.

– Przyjmij to jako dobrą wiadomość. Kiedy znów po nas przylecą, może zabiorą kogoś jeszcze. Niewiele brakowało. Prawie udało się nam nabrać wysokości.

Potem już nic nie słyszała przez ryk silników. Hałas nasilił się i oddalił. Kenton był spięty.

– Próbuje znowu... kolebie nimi, ale nabierają prędkości. Przez pas lawendy... Jezu... nosem do góry... nie uda się!

Marthe myślała tylko z ulgą, że w razie wypadku na pokładzie nie ma Kentona i Scotty'ego.

– Nie... czekaj... daje radę! Nos poszedł w górę, kiedy tylne koło ryło w tych cholernych kartoflach... ale wystartowali! Teraz to już naprawdę niewiele brakowało – dodał, kiedy odgłos pracujących silników niknął w oddali.

\* \* \*

Nie mieli wyjścia, musieli wrócić do Musseta i ciężarówki. Serce Marthe waliło jak karabin maszynowy.

– Monsieur i tak miał po mnie przyjść – powiedziała. – Spotkamy się w pół drogi.

Ledwie doszli do ścieżki, kiedy w dolinie rozległo się echo wystrzałów. Niemiecki patrol. Potem kolejne strzały, trochę bliżej, i motory. Pociągnęli Marthe w zarośla.

– Nie wychylaj się – szepnął Kenton, osłaniając jej głowę ramieniem.

Mijały minuty.

– Zaczekaj tu – powiedział Kenton.

Marthe posłuchała. Starła się zorientować w sytuacji po dźwiękach głosów, ale wszystko ucichło. Potem zabrzmiała kolejna salwa. Zdawało się, że strzały odbijają się rykoszetem od gór. A potem nic, tylko szum krwi pulsującej w uszach. Po jakimś czasie ostrożnie wychyliła głowę i nasłuchiwała. Kiedy pomyślała, że słyszy jakiś szept, podczołgała się do tego dźwięku.

Uderzyła nogą w coś ostrego, pewnie w skałę. Mimowolnie o mało nie krzyknęła. Przeklinając swoją głupotę, wyciągnęła prawą rękę i poszukała drogi.

Stopą zahaczyła o coś twardego, to był korzeń drzewa. Podążyła jego śladem i znalazła jamę. Skuliła się w niej i nasłuchiwała.

Kiedy dobiegły ją jakieś głosy, nie rozpoznała żadnego z nich.

– Gdzie jest Xavier?

– Już poszedł. Będą na drodze do Armature.

– Powinniśmy starać się tam dotrzeć, w tamte okolice, dowódcu?

– To trudna górską droga...

Marthe już miała się odezwać, ale pohamowała się. Mężczyźni mówili po francusku, to pewne. Ale czy to partyzanci, czy milicja? A jeśli milicja wie o Xavierze? Schyliła głowę i mocniej wtuliła się w pień drzewa.

\* \* \*

– Marthe!

To był Kenton. Pociągnął ją, postawił na nogi, a potem objął w pasie.

– Przed nami jest jakieś gospodarstwo. Myślę, że powinniśmy tam pójść.

– Musimy wracać tą samą drogą, którą przyszliśmy, do ciężarówki.

– Niemożliwe. W tamtym kierunku cofnęli się Niemcy.

Marthe ścisnęło w gardle. Co z panem Mussetem i Thierryem?

– Gdzie Scotty? Jest z tobą?

– Nie. Zostaliśmy rozdzieleni. Możliwe, że on jest już w drodze do tej farmy.

Musimy iść.

Scotty. Nie zniósłaby, gdyby coś mu się stało. Przecież był pod jej opieką.

– Musimy trzymać się razem.

– Znajdziemy go – stwierdził twardo Kenton.

Ruszyli szybkim krokiem, gotowi w każdej chwili wskoczyć do rowu dzielącego drogę od pola. Pominęli milczeniem, że Scotty mógł zginąć albo jest ranny i już do nich nie dołączy.

– OK. Do tego domu nie jest daleko. Miejmy nadzieję, że Scotty idzie przed nami.

Posuwali się naprzód w milczeniu.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – wyszeptał wreszcie Kenton.

– Powiedz mi, jak wygląda ta farma.

– Cztery budynki wokół podwórza. Kamienne poidło. Nie palą się żadne światła.

– Gospodarstwo wygląda na zamieszkane?

– Trudno powiedzieć. Może wszyscy w środku śpią.

– Nie słychać zwierząt, nie ma ich zapachu. Jakież inne oznaki życia?

– Nie widzę żadnych wozów. Nic.

– Jest tu stodoła? Moglibyśmy spróbować się tam schować.

Szli dalej, tak cicho, jak to tylko możliwe, zbliżając się do stodoły. Nie zaszczeakał żaden pies. Panowała absolutna cisza. Stodoła okazała się zamknięta. Po Scottym nie było ani śladu.

– Musimy zaryzykować i podejść do drzwi. Jeśli ktoś tam jest, ja będę mówić – powiedziała Marthe.

Woda kapiała do poidła w rytm uderzeń jej serca. Chwyciła mocniej rękę Kentona. Ale przecież właśnie po to im tu towarzyszyła. Musi odegrać swoją rolę,

skoro tak się przy tym upierała.

– Jeśli drzwi się otworzą i coś ci się nie spodoba, uszczypnij mnie, a ja powiem coś, co pozwoli nam odejść. Rozumiesz?

– Tak.

Podeszli do drzwi, gotowi na wszystko. Kenton zapukał głośno. Nikt się nie pojawił. Zapukał znowu, bardziej natarczywie. W domu rozległo się jakieś szuranie.

– Kto tam?

– Podobno można tu prosić o nocleg. Też jesteśmy farmerami. Z Manosque.

– Odejdźcie!

– Proszę! Tylko do rana...

– Nie wciągajcie nas w to... nie chcemy się mieszać. Mam chorą żonę!

– Ale my...

– Idźcie sobie! No już!

Nie mieli wyjścia, musieli ruszyć dalej. Zastanawiali się, czy schować się w lesie i tam przeczekać noc, czy dalej posuwać się w kierunku miasteczka. Dotarli pod Saint-Christol, zanim postanowili zawrócić. Trudno znaleźć bezpieczne schronienie w wąskich krętych uliczkach wśród gęsto stojących domów. Ktoś może ich zobaczyć i zadenujować. Samo wałęsanie się tu o tak późnej porze mogło wzbudzić podejrzenia.

– Nie możemy szukać drogi do Les Coulets po nocy. Tylko zwrócimy na siebie uwagę – szepnęła Marthe.

Znaleźli rów niedaleko w lesie i próbowali jakoś przespać tych kilka godzin, które pozostały do świtu.

\* \* \*

Pierwsze ciepło w powietrzu wyrwało Marthe z niespokojnej drzemki. Bujała na falach głębokiego czarnego morza. Lęk, że jest zawieszona w nieznanym sobie świecie, powrócił. Przez chwilę znów spadała ze schodów w szkole, zdumiona, że poważyla się na coś takiego, i zaskoczona swoim gniewem, który popchnął ją naprzód. Co by powiedziała *maman*, gdyby zobaczyła ją teraz?

Poczuła dłoń na ręce i usłyszała wypowiedziane szeptem swoje imię.

– Kenton?

– Wszystko w porządku, kochanie. To ja.

– Przez chwilę nie pamiętałam, gdzie jestem.

– W porządku. Jestem tutaj... i, dobra wiadomość, Scotty też!

Kamień spadł jej z serca.

– Dzięki Bogu. Jak on nas znalazł? Czy poszedłeś go szukać?

– Nie zostawiłbym cię, wiesz przecież. Nie, szedł za nami z tamtego pola. Pomyślał, że gdyby trafił się drugi patrol na drodze, to szybciej przepuszczą parę

niz trójkę ludzi. Podobnie kiedy poszliśmy na farmę, uznał, że bezpieczniej, jeśli zapukamy jako para.

– Scotty?

– Jestem.

Potarł jej rękę.

Marthe usiadła.

– Potrzebujemy jedzenia i wody. Muszę spróbować coś zdobyć w najbliższym domu, na jaki trafimy – powiedziała. – Powinnam mieć laskę, jak niewidomi, znajdźcie mi kijek odpowiedniej długości. Kiedy zobaczycie jakiś dom, pójde wyzebrać trochę jedzenia.

– Idę z tobą – stwierdził Kenton.

– Ja też.

Obaj chłopcy w jednej chwili podjęli decyzję.

– Nie, nie zgadzam się. Lepiej, żebyś poszła sama. Wtedy są dużo większe szanse, że coś dostaniemy.

\* \* \*

Przeczekali następny dzień w lesie. Marthe wyzebrała piątkę czerstwego chleba z kartofli i trochę śliwek. Scotty chciał zastawić sidła i coś upolować, ale nie mogliby rozpalić ogniska, żeby to upiec.

– Lepiej być głodnym i bezpiecznym, niż się najeść i zdradzić, że tu jesteśmy – powiedział Kenton.

Zjedli chleb i śliwki i popili wodą ze strumienia.

– Gdyby tylko samolot nie był taki ciężki albo gdyby nie rosły tam te cholerne kartofle i lawenda – biadał Scotty.

Kenton przetłumaczył.

– To prawda – zgodziła się łagodnie Marthe.

Odpowiedział coś po angielsku.

– Co mówiłeś?

– Powiedziałem mu, że nie powinien iść przez życie „gdybając”.

– Masz rację. – Marthe westchnęła. – Arlette zawsze to powtarzała.

Okropna chwila milczenia groziła, że nie zdołają się opanować.

– A jednak większość ludzi to robi – powiedział Kenton, starając się, by nie zdrzał mu głos, co nie całkiem się udało. – Choćby trochę. Żałując, że nie poszli tą czy tamtą drogą.

– Nie chciałabym tak żyć – wyznała Marthe. – Kiedy dzieje się coś złego, trzeba to wykorzystać, by stać się silniejszym. Jeśli się wie, że człowiek jakoś sobie poradzi, cokolwiek by się stało, to odkrywa się sekret życia.

– Ja zawsze...

– Ciii – syknął Scotty. – Słyszycie?

Nastawili uszu.

Coś zaszeleściło za nimi. Może człowiek albo jakieś leśne stworzenie. Zamarli, ale to coś nie zbliżało się do nich.

Przez następnych kilka godzin milczeli. Chłopcy na zmianę próbowali się trochę przespać. Marthe też zamknęła oczy, ale nie potrafiła się odprężyć. Jej mięśnie spinały się na każdy najlżejszy dźwięk. Zapachy unoszące się w powietrzu to nabierały intensywności z ciepłymi podmuchami wiatru, to się rozplywały. Mówiła sobie, że to tylko jej wyobraźnia, ale przez cały dzień narastało w niej przerażenie. Mogłaby przysiąc, że od czasu do czasu czuje spaleniznę. Nie taką jak przy letnim wypalaniu ściernisk, ale złowieszczy dym palącego się drewna, materiału i czegoś jeszcze gorszego.

Może się myliła, choć to bardzo wątpliwe. Jednak nawet jeśli ma rację, zawsze istnieje możliwość, że jest w błędzie co do źródła tego swądu. Wiatr mógł zmieniać kierunek albo Marthe była bardziej zdezorientowana, niż jej się zdawało.

\* \* \*

Wreszcie wzeszedł księżyc.

– Ile jeszcze czekamy? – spytała Marthe.

– Jakąś godzinę. Aż księżyc będzie wyżej i wtedy ja pójde przodem – powiedział Kenton.

– Nie. Idziemy razem – zdecydowała Marthe.

– A jeśli...

– Idziemy razem, jak wczoraj – uparła się. – Ale jest coś, co powinniście wiedzieć.

Wszelki ruch zamarł. Zrozumiała, jakie wrażenie musiały wywrzeć na nich jej słowa.

– Co?

– Czulałam w powietrzu dym. Nie cały czas, ale kilka razy w ciągu dnia. To może nic nie znaczy... ale tak na wszelki wypadek, żebyście byli przygotowani. Pomyślałam, że lepiej wam powiedzieć.

– Coś się paliło? Myślisz, że to dakota mogła się rozbić?

– Nie... to mi nie przyszło do głowy. Bardziej bałam się, że to wrócili Niemcy. Że posyłają nam wiadomość w odpowiedzi na to, co działo się tej nocy.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– To by nic nie zmieniło. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy mam rację. Jaki był sens martwić was, skoro nie mieliśmy wyboru i musieliśmy tylko pozostawać w ukryciu, starając się zbierać siły?

– Powinnaś była powiedzieć nam wcześniej – upierał się Kenton.

– Przepraszam...

– Każda informacja... nawet przecucie jest ważne! To wszystko, czym



dysponujemy, zrozum. Mielibyśmy czas, żeby coś porządnie zaplanować.

– Przepraszam, przepraszam! Chciałam jak najlepiej! – Marthe była bliska łez.

Wreszcie Kenton się odezwał, ale do Scotty’ego. Po angielsku. Najwyraźniej zastanawiali się, co mógł znaczyć tamten śwąd. Zrozumiała tylko „okej”.

Zaczęła gryźć paznokcie. Nie robiła tego od czasu, kiedy jako dziecko przyjechała do Manosque.

– Musimy ruszać i zachować jeszcze większą ostrożność – odezwał się wreszcie Kenton. – Nie ma wyjścia.

– Samolot wróci – dodał z przekonaniem Scotty. – Wróci po nas.

– Marthe?

Skinęła głową.

– Ja też cię przepraszam. Nie powinienem się na ciebie złościć.

\* \* \*

Szli w kierunku lądowiska Spitfire. Marthe trzymała się prosto, w napięciu, oczekując, że zaraz z tyłu padną strzały. W każdej sekundzie byli gotowi rzucić się w bok i uciekać jak najdalej od drogi, byle tylko się ratować.

Nagle, jakiś kilometr od pola, Marthe wciągnęła mocniej powietrze.

– Jest. Zapach po wielkim pożarze. Jeszcze się pali. Tak sędzę. Widzicie, skąd to?

Teraz nie było wątpliwości, że śwąd dociera z kierunku, w którym zmierzają. W powiewach wyczuwało się ciepły dym i popioły.

– Jeszcze nic nie widać – powiedział Kenton.

Szli dalej, ze ściśniętym sercem. Coraz wyraźniej czuli ten zapach.

Gryzące w gardle wyziewy mieszały się z mdłą słodczą tłącego się jeszcze drewna.

– Gospodarstwo! – zawołał Scotty i dodał coś szybko po angielsku.

– To stąd odprawili nas wczoraj w nocy.

Z każdym krokiem zyskiwali potwierdzenie. Smród spalonego drewna i wapna.

– Mój Boże... kompletna ruina! Wszystko spalone... biedni ludzie!

– Bydlaki... wredne bydlaki! – krzyknęła Marthe. – Przecież ci ludzie nawet nam nie pomogli!

Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu, ale nie pociekły po policzkach. Bała się, że jeśli zacznie płakać, to nigdy już nie przestanie.

– Może przedtem pomagali innym.

– Albo ich jedyną winą było to, że przymykali uszy na warkot samolotu.

Przyspieszyli kroku. Było o wiele za późno, żeby cokolwiek zaradzić czy pomóc.

\* \* \*

Na polu nie czekał zespół członków ruchu oporu. Marthe poczuła nadzieję, kiedy usłyszała jakieś szepty, ale zaraz ją straciła. Z ciemności wynurzyło się dwóch innych Amerykanów i dołączyło do nich. Stanęli razem w cieniu pod drzewem.

– Poza nami nikogo tu nie ma? – spytała nieśmiało Marthe.

– Nie. – Kenton opiekuńczo objął ją ramieniem i przygarnął do siebie, żeby mogła mówić mu do ucha.

– Samolot przyleci?

– Pewnie tak. Ale mamy tylko jedną latarkę, a bez organizatorów nie mamy pojęcia, jak dać znak, że to tu trzeba lądować.

– Może się spóźniają, a może to my jesteśmy za wcześnie.

– Obyś miała rację.

Wszyscy wiedzieli, że sytuacja jest beznadziejna, ale mimo to czekali. Nawiązała się rozmowa, kiedy siedli na ziemi z tamtymi dwoma nowymi Amerykanami. Oni spędzili ten dzień w skalistej pieczarze przy urwisku, bardziej na północ. Też wyczuli śwąd. Żaden z nich nie wiedział, co się stało z pozostałą czwórką, którą też miał zabrać ten samolot.

Po kilku godzinach po niebie przetoczyła się z hukiem dakota i poleciała dalej. Najwyraźniej pilot nie zauważył rozpaczliwych sygnałów dawanych z ziemi tą jedną latarką.

Pełne rozczarowania jęki stłumiła nadzieja, że samolot może zawrócić, jak poprzednim razem. Czekali, nasłuchując uważnie.

Dźwięk silników umilkł wśród nocy.

Wokół zapanowała cisza. Czy wszystko stracone?

Tę pustkę zapełniły nagle wściekłe głosy kłócące się po angielsku. Marthe mogła się tylko domyślać, o czym mówią. Zrobiło się jej słabo. Perspektywa kolejnej nocy w lesie bez jedzenia nie napawała optymizmem.

Nastąpiła dalsza nerwowa wymiana zdań. Tym razem z kimś mówiącym po francusku. Skąd on się wziął... i tamten, który mu odpowiadał?

– Czyli możemy im zaufać – powiedział pierwszy.

– Nasi Amerykanie mówią, że to oni byli tu wczoraj.

– A ta dziewczyna? Ona chyba ma trochę nie po kolei.

– To prosta dziewczyna, ale najwyraźniej można na niej polegać – powiedział drugi. – W przeciwnym razie czy ci dwaj by tu dotarli?

– Nigdy nie wiadomo, w co kto gra w tych czasach. Nikomu nie wierzę. A jeśli ktoś rozpozna furgonetkę, to będziemy mieli kłopot...

– Musicie nam pomóc – wtrąciła się Marthe, starając się o jak najbardziej zdecydowany ton. – Furgonetka... czy znajdzie się tam miejsce z tyłu dla naszej

trójki?

– O, to ty mówisz... Kim jesteś?

– Przyjechaliśmy wczoraj z Caspianem.

Najwyraźniej to była najlepsza odpowiedź, jaką mogła dać.

– No dobrze. A gdzie chcecie się dostać?

– Na farmę lawendy, nazywa się Les Coulets, na drodze do Sault. Znasz ją?

– Znam.

– Mieli spodziewać się nas, gdyby coś poszło nie tak.

– W porządku, chodźcie, tędy. Wsiadajcie. Szybko!

\* \* \*

Zostali wepchnięci do środka, stłoczeni jak zwierzęta w zagrodzie. Marthe przysiadła na żelaznych prętach, które turlały się i uwięziły jej palce, kiedy próbowała się przytrzymać, żeby nie lecieć na boki na zakrętach. W ciasnej zamkniętej przestrzeni wszyscy śmierdzili potem i brudem.

Kierowca miał ciężką nogę. Rzuciło ich z boku na bok, kiedy gnali górskimi serpentynami. Mężczyźni w tyle zaczęli kłać.

– Lepiej dziękujcie Bogu, że żyjecie! – uciszył ich kierowca.

– A co się stało? – spytał Kenton.

– O, przynajmniej mówisz po francusku. Gadali, że kończą się czasy szkopów w Sault, że nie wychyła już nosa z dziury. Nie mogli się bardziej pomylić, co? Niemcy kręcą się teraz wszędzie, zabijają po drodze. Chcą zostawić tu po sobie wizytówkę, zanim zmiotą ich wasi, kiedy tu wreszcie dotrą.

– Gdzie przepadli ci, którzy mieli przyjąć lądowanie?

– Niektórzy wczoraj oberwali. Dla reszty zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

– To czemu ty przyjechałeś?

Mężczyzna zaśmiał się ponuro.

– Ja? Pewnie nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić. Albo pomyślałem, że ten facet pilotujący dakotę może być dość szalony lub odważny, żeby dotrzymać słowa i wrócić.

– I jeszcze przez cały dzień przechowałeś bezpiecznie dwóch ludzi.

– Tak. Przyślij mi medal, jak zostaniesz dowódcą.

Przenikliwy świst poprzedził głośny metaliczny brzęk z boku furgonetki.

– Cholera! – zaklął kierowca.

– Trzymajcie się – krzyknął drugi Francuz. – Strzelają do nas.

Marthe upadła na kolana. Wóz zarzucał, chyba zjechali z drogi na wyboisty grunt z pełną prędkością. Roztarła głowę, bo mocno o coś uderzyła.

Kenton pociągnął ją, żeby znów usiadła, i przytrzymał.

– Nic ci się nie stało?

– Nie. Co widzisz? – szepnęła.

– Nic. Z tyłu nie ma okien. Widzę tylko tyle co przez przednią szybę, między głowami kierowcy i jego kumpla. Jest jeszcze ciemno. Wygląda na to, że znów jesteśmy w lesie.

Furgonetka podskoczyła. Kolejny metaliczny brzdęk.

Marthe złapała Kentona za rękę. Myślała o swojej rodzinie w gospodarstwie u stóp masywu Luberon, o siostrze Benedicte i bracie Pierze. Modliła się, by byli bezpieczni tam, gdzie są, i żeby ktoś mógł zapewnić ich, że zginęła, robiąc coś ważnego i zaszczytnego. Będzie dzielna, tak dzielna, jak tylko zdoła.

Niespodziewana nagła zmiana kierunku rzuciła ich wszystkich na jedną stronę furgonetki. Spód wozu szorował po ziemi. Potem się zatrzymali.

– Cicho! – krzyknął kierowca. – Słuchajcie!

Nic.

Lekki wiatr w koronach drzew.

I wtem zdławiony warkot innego silnika. Coraz głośniejszy. Zadrżeli wszyscy, kiedy się zbliżył i po chwili oddalił.

– Jeśli jeszcze nas szukają, wrócą – powiedział kierowca.

– Nie byłbym taki pewny – zaproponował ten drugi. – To nie wyglądało na prawdziwy pościg. Te strzały były jakby na pokaz. Większość z nich chce tylko wyjść z tego cało, tak samo jak my.

Jakiś czas odczekali, w prawie zupełnej ciszy. Marthe słyszała tylko oddechy. Kiedy minął kwadrans, a może godzina, kierowca znów włączył silnik i, tym razem ostrożnie, wywiózł ich z kryjówek z powrotem na drogę.

A potem ruszyli gazem, jakby gonił ich szalejący mistral.

\* \* \*

Wysadzono ich na końcu drogi i poinstruowano, dokąd mają iść. Byli roztrzęsieni, spragnieni, potwornie głodni. Ruszyli dalej, na obolałych, spuchniętych nogach. Zagubieni wśród nieznanymi ścieżek i wzgórz, pieli się w górę.

Modląc się, by szli naprawdę w kierunku Les Coulets, Marthe złapała się na tym, że nuci cicho stare pasterskie pieśni. O walce o przeżycie. W jej myślach pojawił się obraz, jakby majaczyła – kobierzec z kwitnących kaparów. Białe kwiaty o niesamowitej obfitości pręcików, niczym ogony komet. Widziała kiedyś coś takiego w gospodarstwie, w którym była jako dziecko. Dostrzegła tam gwiazdny pył albo przynajmniej tak się jej zdawało, póki nie poznała, że to migotanie pochodzi z okruchów szkła i nie usłyszała trzepotu skrzydeł ptaka, który zabłąkał się pod sklepienie pustej stodoły. Była tak zmęczona, że musiała się uszczypnąć, by powrócić do rzeczywistości.

– Jakież znaki? – spytała słabym głosem.

– Przed nami kolejny zakręt.

Brnęli cierpliwie dalej.

– Jest! Wszystko OK!

– Scotty ma rację...

Marthe wyobraziła sobie budynki skupione wokół podwórka, małe i pewnie skromne, ale gościnne i obfitujące we wszystko, co się naprawdę liczy.

– Jest tu, stoi pod domem! – Kenton zakręcił nią nagle dokoła.

– Co?

– Stara ciężarówka. Nasza ciężarówka!

Zdołali przekroczyć próg, nim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Czowała ulgę, wyczerpanie brakiem snu i głód, ale przede wszystkim chwytające ją w ramiona ręce Musseta i smak lawendowego pyłu na jego kurtce, kiedy rozszłochała się głośno przytulona do jego szerokiej piersi.

*Sierpień 1944 roku*

Kiedy dotarli do Manosque, Kenton i Scotty znów musieli się ukryć. Mussetowie i Marthe zaprowadzili ich do piwnicy w wytwórni. Wyczerpani zeszli po schodach i zbudowali sztuczną ścianę z drewnianych skrzyń do pakowania.

Madame siedziała na górze, przy wejściu do pracowni, projektując etykiety. Dziewczyna za ladą obsługiwała klientów. Marthe pozostawała w mieszalni, udając, że eksperymentuje z nowymi zapachami. Auguste, okryty wielkim fartuchem, pod którym ukrywał naładowany pistolet, pilnował tyłów przedsiębiorstwa – magazynu z tajnymi drzwiami do piwnicy oraz destylarni i kuchenki, gdzie gotowano mydła.

Przez cztery dni i noce prawie się nie odzywali i nie ruszali się z miejsca, chyba że trzeba było Amerykanom zanieść wodę albo z trudem zdobyte jedzenie. Marthe stała przy stole, mieszając drżącymi dłońmi ekstrakt skórki pomarańczowej i żywicznej ambry, niezdolna wykrzesać z siebie żadnych emocji poza lękiem.

I nagle rozległ się łomot do tylnych drzwi.

Usłyszała, jak Auguste przechodzi przez magazyn i pyta szorstko, kto tam. A potem skrzypnięcie drzwi, których zawiasy specjalnie nie były oliwione. Kobięcy głos i protest ze strony Auguste'a.

– Potrzebuję waszej pomocy. Pracuję z Xavierem.

Wydawała się zrozpaczona, powtarzając to imię, jakby to było hasło.

Jej głos świadczył o skrajnym wyczerpaniu, znanym teraz Marthe aż za dobrze. Zareagowała instynktownie, weszła do magazynu.

– Proszę, pomóżcie mi – mówiła kobieta. – Wiecie, gdzie jest Xavier?

– Kto? Nie znam nikogo takiego – stwierdził Auguste.

Marthe wyczuwała teraz zapach. Przez pot i pył na jej ubraniu przebijał strach. To nie była milicyjna prowokacja. Marthe dobrze rozumiała, jak ta kobieta mogła znaleźć się w takim stanie.

– A kiedy ostatni raz widziałaś tego... Xaviera? – spytała, przejmując pałeczkę od Auguste'a.

Próbowała udąć, że po raz pierwszy słyszy o kimś takim, ale zabrzmiało to fałszywie. Marthe była pewna, że kobieta nie dała się oszukać.

– Ponad tydzień temu. Kiedy przyleciał samolot.

– Dlaczego przysłałaś właśnie tutaj? – zapytał Auguste.

– Nie miałam innego pomysłu. Wiem o opakowaniach mydeł.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Marthe położyła dłoń na jego rękę.

– Myślę...

– Jestem Brytyjką, radiotelegrafistką – powiedziała wolno kobieta, z każdego jej słowa przebijała rozpacz. – Pracowałam z Xavierem od kilku miesięcy, organizowaliśmy operacje w całej południowej Francji. Rozumiem, że nie chcecie się mieszać w takie rzeczy, ale muszę się dowiedzieć, gdzie on przepadł.

– Przykro mi, nie jesteśmy w stanie ci w tym pomóc – powiedziała łagodnie Marthe. – Ale może w jakiś inny sposób. Czego ci trzeba? Może dać ci coś do przebrania...

– Mogłabym się u was zatrzymać?

Przerażająca perspektywa.

– Nie! W żadnym wypadku – uciął szybko Auguste. – Przyszłaś w niewłaściwe miejsce. Naprawdę, musisz natychmiast odejść.

– Proszę! Boję się wrócić tam, skąd przyszłam! Próbowałam wysłać wiadomość, prosiłam o pomoc, ale mam tylko rozkaz nie ruszać się z miejsca i czekać na instrukcje od Xaviera. Co gorsza, myślę, że gestapo jest na moim tropie, wyłapali jedną z częstotliwości, na której nadawałam.

Zapach strachu się nasilił, zwierzęce piżmo, cywet używany w maluteńkich kroplach do ocieplania aromatów. Narastał niekontrolowany, coraz bardziej przykry, drażniący. Marthe wyczuwała też amoniak i metaliczną nutę krwi menstruacyjnej.

Powinni jej jakoś pomóc.

– Może moglibyśmy...

– Proszę! Błagam was!

Auguste był nieugięty.

– Musisz odejść.

Marthe podała kobiecie zaoszczędzony kawałek sera i kostkę mydła. Tylko tyle miała.

– Powinniśmy byli więcej dla niej zrobić – powiedziała, kiedy drzwi się zatrzasnęły.

Zapach kóz i słonej wilgoci nadal unosił się w powietrzu, kpiąc sobie z ich starań.

– Jak mogliśmy ją przyjąć? – spytał cierpko Auguste. – Jeśli tropi ją gestapo, to nie mieliśmy wyboru. Każda jej minuta tutaj byłaby dla nas dodatkowym zagrożeniem. Może już nas zdradziła przez samo to, że tu przyszła. I jeszcze brać na nasz teren nadajnik? Oszalałaś? Równie dobrze moglibyśmy od razu sami się powystrzelać.

\* \* \*

Minęły dwa długie dni i dwie noce. Kiedy usłyszała na zewnątrz tupot

i bieganie, była gotowa na najgorsze od tak dawna, że zapomniała już, jak można reagować normalnie. Nie powinna była dawać kobiecie nowego mydła, z wyraźnie odciśniętą nazwą firmy: Distillerie Musset. Co za głupi błąd. Przeklinała się za to bez przerwy.

Jej racjonalna strona mogła tylko ze zdumieniem obserwować, co dzieje się z jej ciałem, jakby wcale do niej nie należało. Podniesione głosy pod sklepem. Terkotanie karabinów maszynowych i krzyki. Marthe cała stężała, przygotowana na atak. Może prysnąć kwasem na napastników albo rzucić się na nich, by zapewnić Kentonowi i Scotty'emu kilka cennych sekund na ucieczkę?

Ale rumor zdawał się docierać zewsząd dokoła. Krzyki i bieganie, a potem... coś niesamowitego... nie do wiary – wiwaty.

– Idą! Już tu idą! Na wybrzeżu wylądowali alianci!

\* \* \*

Tuż po świcie dwudziestego sierpnia amerykańskie dywizje posuwały się w dół od wzgórz w pobliżu Valensole w kierunku Digne. Na ich spotkanie wychodzili obdarci ludzie, którzy długo prowadzili podziemną walkę. Schodzili zapomnianymi ścieżkami ze wzgórz i z wysoko podniesionymi głowami maszerowali po ulicach.

Tego dnia w Manosque pochowano Arlette. Do tej pory na pogrzebach członków podziemia tylko najbliższa rodzina miała odwagę iść za trumną, bo gestapo i milicja uważnie śledziły, kto się pojawi, więc ludzie udawali, że nie znają poległych. Tym razem jednak orszak żałobny zgromadził setki. Na ich czele szli zrozpaczeni rodzice Arlette, a tuż za nimi monsieur i madame Musset.

Wzruszające, jak wiele było hołdów. Nawet ci mieszkańcy Manosque, którzy nigdy wcześniej nie znali Arlette, dowiedzieli się, jaką była bohaterką.

– Niemal w każdym oknie na ulicy prowadzącej na cmentarz stały kwiaty i lawenda – opowiadał Marthe monsieur. – Ludzie chcieli oddać jej cześć.

Ale były też złe wiadomości. Musset rozpytywał o kobietę, która przyszła do wytwórni, podając się za brytyjską agentkę pracującą z Inżynierem, i dowiedział się, że – jeśli naprawdę to była ona – przetrwała tylko jedną noc w Manosque. Mieszkańcy bez słowa patrzyli, jak opuszczała miasto. Gestapo dopadło ją, kiedy zaryzykowała jeszcze raz, nadając z pola przy drodze na płaskowyż. Ostatni raz widziano ją związaną na ciężarówce. Czy jeszcze żyje, tego nie wiedział nikt. Dla niej wyzwoliciele przyszli za późno.

– Powinniśmy byli zdobyć się wtedy na odwagę – powiedziała Marthe.

– Nie – zaprzeczył Musset. – Podjęliście jedyną możliwą decyzję. Ciężko to przyznać, ale postąpiliście właściwie, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Do tej pory czuję jej zapach, zapach jej strachu – szepnęła Marthe.

Nigdy już nie zdołała go zapomnieć.



\* \* \*

W Céreste też pojawili się członkowie ruchu oporu. Żegnali się, mijając Chrystusa na krzyżu pod piętnastowiecznym łukiem, i dziękowali Bogu. Wśród nich były i kobiety. W krótkich skarpetkach, w skórzanych sznurowanych butach, w płaszczach przeciwdeszczowych zarzuconych na ramiona, zbierały się pod ratuszem, trzymając broń tak naturalnie, jakby to były torebki. Brudna trzykolorowa flaga zawisała z masztu zamiast tej ze swastyką.

W kawiarni, jak później powiedziano Mussetom, siedziała duża grupa mieszkańców, jawnie słuchając wiadomości z radia. Amerykańska Siódma Armia szybko posuwała się naprzód, na północ przez Vaucluse.

Nagle rozległ się krzyk. Wybiegli z lokalu i zobaczyli, że na placu tłum otoczył jakąś kobietę. Popychali ją, aż oparła się plecami o poręcz pod pomnikiem poświęconym pamięci poległych w pierwszej wojnie światowej. Krzyki mężczyzn i kobiet przerodziły się w drwiny. Z kakofonii gniewnych głosów wyłaniał się zarzut, że zdradziła członków ruchu oporu. Wymieniano Kandyda i Aktorkę. I jeszcze innych. Rzucali jej w twarz oskarżenie, że była o Aktorkę zazdrosna. Kobieta zaprzeczała, oczywiście, ale wtedy właśnie rozpoznali, że to Christine, dawna dziewczyna Auguste'a Baumela.

Christine próbowała uciec, ale ludzie ją i osaczyli. Krzyczała, błagając, by darowali jej życie. Padły trzy strzały. Na jej twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie, kiedy osuwała się na ziemię. Zgromadzeni się rozeszli. Później nikt nie pamiętał, kto wyciągnął pistolet.

Mniej krwiożerczy tłum mógłby poprzestać na ogoleniu jej głowy albo wysmarowaniu smołą i obtoczeniu w pierzu, jak to się zdarzało w innych miastach i wioskach po wyzwoleniu, kiedy wymierzano sprawiedliwość kobietom, które zdradziły ruch oporu lub sypiały z wrogiem. Podobno Poeta próbował wyperswadować ludziom brutalny odwet – porozumienie pomiędzy różnymi podziemnymi ugrupowaniami było zbyt wątle, by je narażać – ale nawet on nie zdołał opanować sytuacji.

– Czyli to Christine? – Marthe nadal nie potrafiła w to uwierzyć. – To przez nią milicja aresztowała Arlette?

– Zawsze ją podejrzewałam – powiedziała madame. – Kiedyś słyszałaś, jak zastanawialiśmy się, „czy można jej zaufać”, i pomyślałaś, że mówimy o tobie, pamiętasz?

Marthe pamiętała bardzo dobrze i było jej trochę wstyd, że przez swój egocentryzm wysnuła błędne wnioski.

– I to dlatego Auguste z nią zerwał?

– Oczywiście.

Marthe przypomniała coś sobie nagle.

– Przyszła na farmę tego dnia, kiedy usłyszałam Kentona i Scotty’ego w stodole. I myślicie...

– Nie wiem.

– Ale mimo wszystko, żeby tak zastrzelić ją z zimną krwią...

– To nie czas na moralizowanie – stwierdziła madame Musset.

\* \* \*

Koniec walk w Prowansji przyniósł gorzką satysfakcję. Zaczęły się lokalne rozliczenia. Zwalające z nóg letnie upały sprzyjały wybuchom gniewu i pretensji, którym nie było końca przez miesiące, a nawet i całe lata. Część mieszkańców domagała się patriotycznych celebracji, a Kenton i Scotty szykowali się do odjazdu.

Ostatniej ich nocy we Francji odbywały się tańce na cześć zwycięstwa na jednym z otoczonych drzewami placów Manosque. Mieszkańcy, młodzi i starzy, brali się pod ręce i, wabieni muzyką, wspinali się brukowanymi uliczkami na plac wysoko nad doliną. Grający zespół z zapalem starał się utrzymać odpowiednie tempo. Na miejscu było wesoło i gwarno. Wybuchy śmiechu, dźwięki basu konkurowały z rytmicznym przytupywaniem.

– Zatańczymy? – zapytał Kenton Marthe, kiedy orkiestra rozkręciła się na dobre.

Porwał ją, zanim zdążyła odpowiedzieć.

I tak znalazła się w jego ramionach, pozwalając mu poprowadzić się w tańcu. Noc była nadal gorąca. Marthe odchyliła głowę i dała się ponieść euforii. Kręcili się w takt muzyki, dając upust radości i smutkom wywołanym przez to, co było za nimi, pełni nadziei na to, co ich czeka. Kolorowe światła wirowały wokół niej, tak jak i inni tańczący i platany otaczające plac. Widziała to wszystko oczami wyobraźni, widziała nawet więcej. Ogromny samolot lądujący na ciemnym polu. Kentona i Scotty’ego idących po jej bokach drogą tonącą w księżycowej poświacie. I Arlette, tak pełną życia, stepującą w pracowni, spieszącą do kawiarni, czekającą na autobus w Céreste.

Po policzku Marthe spłynęła łza.

Kenton zwolnił, a potem przestał tańczyć. Dotknął jej twarzy tak delikatnie, że początkowo miała wrażenie, jakby to był tylko lekki podmuch wiatru. Potem poczuła miękkość na swoich ustach, ciepło, czułość. Całował ją, a ona odpowiedziała pocałunkiem.

Kiedy wrócili na farmę, Mussetowie już spali. Kenton wziął Marthe za rękę i zaprowadził ją do jej łóżka.

Wyjechał wcześniej rano następnego dnia.

Nie chciała się smucić. To była piękna lekcja miłości, zdecydowała. W mroku odkrywali, kim naprawdę są. Byli tacy, którzy podążyli do światła, i tacy,

którzy pograżyli się w najczarniejszych czeluściach. Wszyscy musieli uczyć się architektury ciemności, tak jak ona niegdyś nauczyła się odczytywać zapachy i dźwięki, i faktury wiecznej nocy.

Po wojnie pracowała jeszcze ciężiej niż przedtem, by zrozumieć język zapachu, najlepsze połączenia skrajnie różnych nut i ich siłę. Używała kwiatów i ziół rosnących wokół niej, tworząc z tych kompozycji intymną biografię swojego życia.

Wytwórnia Mussetów wdrażała kolejno zapach po zapachu do produkcji. Dobrze się sprzedawały. Klienci doceniali ich autentyzm i powiązanie z krajobrazem. Stara parowa destylarnia przerodziła się w renomowaną Parfumeur-Distillateur Musset, a Marthe Lincel została projektantką perfum popularnych w całej Prowansji.

– Zwykły zapach potrafi zatrzymać w sobie chwilę – powiedziała kiedyś. – Perfumy opowiadają historie na skórze.

\* \* \*

Kilka lat później przyszedł list od Kentona.

Gdzieś jakimś cudem znalazł kogoś, kto był w stanie podwójnie przetłumaczyć jego myśli – na francuski i na brajla. Trud, jak sobie zadał, był równie wymowny jak słowa.

*Nadal nie spotkałem nikogo takiego jak Ty, pisał. Wyobrażam sobie Ciebie wśród Twoich niebieskich wzgórz i tamtych zapachów i mam nadzieję, że Ty też czasami myślisz o mnie, dalekim, w moim kraju, i wiem, że nie zmieniliśmy się, że cząstka nas nadal pozostaje razem.*

*Chciałem Ci powiedzieć, że jestem szczęśliwy. Żenię się. Mam nadzieję, że Ty też jesteś szczęśliwa. Zaslugujesz na to, najdroższa Marthe. Zawsze będę Ci wdzięczny za to, co zrobiłaś dla mnie i Scotty'ego. Gdyby nie Ty, nie byłbym tu teraz. Zawsze na swój sposób będę Cię kochał.*

Z tym listem przyszła wiadomość od banku w Paryżu i list od prawnika. Attwaterowie z Bostonu zdeponowali dużą sumę pieniędzy do dyspozycji destylarni Mussetów, pod warunkiem że pozwoli ona Marthe Lincel kontynuować pracę jako *perfumeuse* i z czasem stworzyć potężną firmę perfumeryjną w Paryżu.

\* \* \*

Kiedy w 1950 roku otwierała ją na paryskim placu Vendôme, wysłała artykuł zapowiadający to wydarzenie do Bostonu. Zdjęcia przedstawiały szczupłą, elegancką kobietę o zniewalającym uroku. Pozowała przed ekspozycją pełną różnych perfum w modnych prążkowanych opakowaniach. Uśmiechała się. Ciemne włosy miała obcięte krótko, nowocześnie, była ubrana w sukienkę od

Diora. Na innym ujęciu siedziała na złożonym fotelu. Z tych profesjonalnie skomponowanych zdjęć nie dałoby się wyczytać, że pełne wyrazu oczy Marthe Lincel nic nie widzą.

Jednak obrazy, jakie malowała w wyobraźni, były tak żywe jak dawniej. Kamienny stary dom nad doliną Luberon, gdzie przyszła na świat. Mieszalnia w destylarni w Manosque, gdzie w pewien sposób narodziła się na nowo i zaczęła przeistaczać w kobietę, którą była teraz. Zapach był wspomnieniem, a wspomnienia skomplikowaną mieszanką zapachów i emocji. Idealne kwiaty z lawendowych pól trzepoczące na łądkach jak miliony niebieskich motyli, fiołek, heliotrop ze stron rodzinnych z głębokim aromatem słodkich migdałów i wiśniowej wanilii. Zmieszała to wszystko w swoim flagowym zapachu Lavande de Nuit, razem z tchnieniem piżma cywety i niepokojącą nutą dymu.

CZEŚĆ III  
Tajne życie

*Londyn, kwiecień 1943 roku*

Wanna w Orchard Court była z czarnego marmuru. To dość niezwykle jak na mieszkanie w Londynie (nie tylko Iris spoglądała na nią tęsknym okiem), ale nie aż tak wyjątkowe jak onyksowy bidet stojący obok. Jedno i drugie prezentowało się imponująco na tle niesamowitych czarno-białych kafli. Ponieważ nie było innego miejsca, łazienka musiała służyć za poczekalnię.

Przez cały marzec i kwiecień tego roku coraz więcej młodych mężczyzn i kobiet pojawiało się w holu Orchard Court, budynku na rogu Portman Square i Orchard Street, i było kierowanych do tego małego mieszkania na drugim piętrze. Salon i dwie małe sypialnie zamieniono w biuro. Gości nie zapraszano nigdy na Baker Street, ale do tej anonimowej placówki, parę kroków dalej.

– Lepiej, żeby nie zaglądali do firmy, nie będzie ryzyka, że zobaczą lub usłyszą coś, czego nie powinni – mówiła panna Acton.

Tego dnia na brzegu czarnej marmurowej wanny siedziało dwóch mężczyzn i jedna kobieta, trzeci mężczyzna stał. Na kranach wisiały ociekające z deszczu dwa parasole.

Przyszli przed chwilą, w drzwiach mieszkania powitała ich Iris Nightingale, świeżo promowana na asystentkę w wywiadzie. Od razu zaprowadziła ich do łazienki, gdzie przycupnęli niezręcznie w swoich wierzchnich ubraniach.

Pułkownik Tyndale dotarł do Orchard Court spóźniony, zatrzymały go jakieś ważne sprawy. Zapewne nic przyjemnego, jak zorientowała się Iris, mijając go w korytarzu. Na jego szczupłej twarzy emocje odbijały się wyraźnie; gdy tylko dochodziło do niepotrzebnych sporów, gdy rozmowy zaczynały się toczyć podniesionym tonem i nerwy brały górę, czoło robiło mu się czerwone, a worki pod oczami jeszcze bardziej nabrzmiały niż zwykle. Zapadnięte policzki, nerwowy szelest płaszcza przeciwdeszczowego i papierów. On i panna Acton zamknęli się teraz w salonie, gdzie mieli przeprowadzać rozmowy z kandydatami.

Przy drzwiach łazienki Iris sięgnęła po butelkę brandy i kilka szklanek nie od kompletu.

– To już nie potrwa długo – powiedziała wesoło. – Może drinka?

Przynajmniej tyle mogła zrobić. Zwykle goście nie mieli bladego pojęcia, czemu zawdzięczają to dziwne zaproszenie. Ich jedynym atutem był francuski lub belgijski rodzic albo świetna znajomość francuskiego po latach spędzonych na kontynencie. Przychodzili grupkami po wstępnej rozmowie kwalifikacyjnej w małym, wyposażonym w dwa proste stoły i poobijane drewniane krzesła,

dusznym pokoiku w podziemiach Ministerstwa Wojny, gdzie podpisywali oficjalne zobowiązanie do zachowania tajemnicy.

Ta czwórka była milkliwa, ledwie odzywali się do Iris, a co dopiero do siebie nawzajem. To niekoniecznie wada. Na tym etapie trzeba to było tylko odnotować. Iris uśmiechnęła się przyjaźnie, zapisując sobie w pamięci rzucające się w oczy cechy. Mężczyzna, który wydawał się jej najstarszy, pewnie trzydziestopięcioletni, w dobrze skrojonym garniturze, uśmiechnął się przez moment na wspomnienie nazwiska panny Acton. Wychylił drinka jednym haustem. Mężczyzna obok niego miał pogniecione ubranie, przemoczone na ramionach, i przylizane do tyłu blond włosy. Ulewa musiała go zaskoczyć. Oparł się o kafle i patrzył w sufit. Trzeci był bardzo młody. Natrafił na jej spojrzenie i nerwowo zadrgała mu dolna lewa powieka nad wydatną kością policzkową. Kobieta siedziała spokojnie. Odpowiadała, kiedy zadało się jej pytanie, ale poza tym robiła wrażenie pacjentki czekającej na wizytę lekarską, pogrążona we własnych myślach. Była tuż po dwudziestce, ładna, choć jej ciemne włosy wyglądały, jakby strzygła je sobie sama. Tylko ona odmówiła drinka. Po chwili wyciągnęła szydełko i pochyliła głowę nad robótką.

– A to słońce, a to deszcz, co za dzień – zagadnęła Iris.

– Cholerna angielska pogoda – skwitował mężczyzna w eleganckim garniturze.

Skrzyżował ręce na piersi. Defensywny pomimo wytwornej aparycji.

– Tutaj jest lepiej niż na zewnątrz – powiedział najmłodszy.

Starł się być uprzejmy, co tylko podkreślało jego nerwowość.

– Mam nadzieję – rzuciła Iris.

Kobieta słuchała, od czasu do czasu podnosząc wzrok znad robótki, by spojrzeć na ich odbicia w lustrze przy umywalce. Spryciara, pomyślała Iris. Pierwsze wrażenie to podstawa. W pewnych sytuacjach druga szansa może nie być im dana.

Odezwał się cichy brzęczyk.

– Zaczynamy – powiedziała Iris i skinęła na zdenerwowanego młodego mężczyznę, żeby wyzwolić go od męki oczekiwania i dać mu pierwszeństwo. – Proszę ze mną...

\* \* \*

To oczywiste, że Iris nie miała pojęcia, w co się pakuje, choć, jak podejrzewała, podobnie było ze wszystkimi, którzy się zgłaszali, byli werbowani lub w jakikolwiek sposób służyli ojczyźnie podczas wojny. Jeśli ktoś pytał, Iris mówiła skromnie, że ma jakieś małe zlecenie, nad którym stale ślęczy. Jedną z dziewczyn, jak opowiadała Iris, utrzymywała przyjaciół w przekonaniu, że pracuje w zarządzie firmy Marks and Spencer, której londyńską siedzibę przejęli,

ale w końcu miała dość próśb o załatwienie jakichś porządnych ubrań spod lady. Powiedziała znajomym, że odeszła i teraz pracuje w szkolnictwie.

Iris planowała, że po maturze dołączy do kobiecych oddziałów, Woman's Royal Naval Service – WREN – i pewnie by to zrobiła, gdyby nie wtrąciła się dyrektorka szkoły. Któregoś dnia pod koniec semestru wydatna pierś panny Jeffrey zatarasowała jej przejście w korytarzu biblioteki.

– Podobno myślisz nad wstąpieniem do Woman's Royal Naval Service.

– Tak, panno Jeffrey.

– A czy zastanawiałaś się nad tym, żeby wykorzystać swoje zdolności lingwistyczne i zrobić kurs na sekretarkę władającą zarówno francuskim, jak niemieckim? Jest dostępne stypendium. Z przyjemnością bym cię zarekomendowała.

W ten sposób, ponieważ panna Jeffrey prawie zawsze była miła i miała dobre chęci, co w szkole było raczej rzadkością, Iris poszła za tą radą. Zapisła się na trzymiesięczny kurs w Bedford, z wdzięcznością przyjmując stypendium umożliwiające jej opłacenie lokum i utrzymanie. Sądziła, że jeśli nauczy się terminów wojskowych, mogą przyjąć ją do WREN na sekretarkę albo radiotelegrafistkę. Szkolenie było dobre i Iris, jak zawsze pilna i sumienna, okazała się prymuską w dwudziestopięcioosobowej grupie na egzaminach końcowych. Zdobyła dyplom z pisania na maszynie, stenografii i tłumaczenia na francuski i niemiecki. Umiejętność posługiwania się alfabetem Morse'a nie została udokumentowana żadnym zaświadczeniem.

Kilka dni po ukończeniu kursu do mieszkania jej ciotki w Battersea przyszedł list z Inter Services Research Bureau, Międzywydziałowego Biura Badawczego. Nie podano szczegółów, ale proszono Iris o kontakt w celu umówienia się na rozmowę w sprawie pracy. Zatelefonowała pod podany numer. Poproszono, by następnego dnia stawiała się w małym hotelu przy stacji Victoria.

– Czy mogłabym dowiedzieć się nieco więcej o proponowanej posadzie?

– Niech pani przyjdzie, wtedy łatwiej będzie wszystko wyjaśnić – powiedział nieznoszący sprzeciwu kobiecy głos pod drugiej stronie linii.

– Oczywiście, ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, skąd państwo wiedzą, że szukam pracy? To wydaje się trochę...

– Została pani polecona. Widzimy się więc jutro, o dziesiątej. Do widzenia.

Następnego dnia pojechała autobusem z Battersea do stacji Victoria dość wcześnie, by spokojnie dojść spacerkiem na spotkanie. Październikowe liście zebrały się na workach z piaskiem, ułożonych wzdłuż ulic na północ od rzeki. Hotel o pokrytych sadzą prostych murach znajdował się za Edbury Street. Z recepcji skierowano ją do małego pokoju na pierwszym piętrze. Zapukała nieśmiało pod metalowym numerem cztery i ledwie cofnęła palce, a drzwi otworzyła młoda kobieta w perłkach na szyi i w szarym serżowym kostiumie.



Dwa jednakowe łóżka zepchnięte pod przeciwległe ściany służyły do siedzenia. Miejsce pomiędzy nimi wypełniał niemal w całości drewniany stół.

Barczysta kobieta o szorstkim głosie wstała i wyciągnęła dłoń, przedstawiając się jako panna Allott.

– Proszę usiąść.

Iris zajęła miejsce na łóżku po drugiej stronie.

Panna Allott przez chwilę wpatrywała się uważnie w jakąś małą kartkę.

– Urodzona w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, właśnie skończyła pani dziewiętnaście lat.

– Zgadza się – potwierdziła Iris.

– Mieszkała pani w Hove, ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym wysłano panią na sześć lat do szkoły z internatem w Szwajcarii. Jakie były okoliczności takiej decyzji?

Iris aż zatkanęła, ale odpowiadała grzecznie jak zwykle, zgodnie z tym, co przez lata wpajała jej panna Jeffery i jej podobne. Panna Allott ze swoją nienaganną fryzurą i surowym wyrazem twarzy niewątpliwie należała do tego samego gatunku.

– Umarł mój ojciec. Matka ponownie wyszła za mąż i zamieszkała w Bernie.

– Potem były różne szkoły w Sussex i Wiltshire... Zechciałaby pani wyjaśnić powody?

– Moja matka... bała się, że sobie nie poradzi. Miała problemy w swoim drugim małżeństwie. Wróciłyśmy do Anglii. Nie mogła osiąść w Sussex, więc wybrała Wiltshire. Sądzę, że chciała mnie mieć blisko, choć niekoniecznie w domu.

– A gdzie jest teraz?

– Mieszka pod Salisbury.

– Ma pani jakichś innych krewnych?

– Ciotkę, siostrę matki. Przeprowadziłam się teraz do niej.

– No tak... – Panna Allott nie drażyła dalej tego tematu. – Języki... mówi pani dobrze po francusku i niemiecku i zna też pani trochę włoski?

– Posługuję się nimi dość swobodnie. Francuski płynny, niemiecki w stopniu zadowolającym. Mój włoski jest słabszy, tyle że potrafię się porozumieć.

Panna Allott założyła ręce na piersi i pochyliła się ku niej od swojej strony stołu.

– *Que pensez-vous de la situation politique en France actuellement?*

Iris odparła, że dla Francuzów jest to sytuacja politycznie nie do przyjęcia. Czy ich rząd jest za dawną Francją i Francuzami, czy przeciwko nim? Czy członkowie reżimu Vichy kierują się jedynie względami praktycznymi, czy interesem osobistym i żądzą władzy? Tymczasem zwykli obywatele na pewno tylko próbują jakoś sobie w tym wszystkim radzić.

Po kilku kolejnych pytaniach na temat jej niezbyt udanego dzieciństwa Iris została nagle zwolniona z tego dwuosobowego pokoju do rozmów wstępnych. Już dochodziła do drzwi, kiedy panna Allott dorzuciła jeszcze jedno:

– Czy uważa się pani za osobę obdarzoną wyobraźnią, panno Nightingale?

Cóż za dziwne pytanie.

Iris zawahała się.

– Niespecjalnie, jak sędzę. Nie jestem marzycielką, jeśli to ma pani na myśli. Powiedziałabym, że jestem raczej dość rzeczowa... rozsądna. Mając taką matkę, musiałam narzucić sobie dyscyplinę.

Panna Allott zmarszczyła brwi. Nie powiedziała nic więcej i chwilę później Iris była już na korytarzu. Za dużo zdradziła o swoich osobistych problemach. Najwyraźniej nie zadowolila swojej rozmówczyni, tak jak nie potrafiła nigdy usatysfakcjonować matki. Ale następnego dnia przyszedł list z zaproszeniem, by w najbliższy poniedziałek stawiała się do pracy na Baker Street sześćdziesiąt cztery.

Dopiero po kilku miesiącach Iris zdała sobie sprawę, że Mavis Acton (bynajmniej nie Allott) niemal natychmiast widziała, czy kandydat się nadaje, czy nie, i bardzo rzadko musiała korygować swoją opinię.

\* \* \*

Iris podpisała zobowiązanie do zachowania tajemnicy pierwszego ranka na Baker Street sześćdziesiąt cztery. To był elegancki jasnoszary kamienny budynek, po sześć okien od frontu na każdym piętrze. Mosiężna tabliczka przy drzwiach usypiała czujność wprowadzającym w błąd napisem, iż jest to Międzywydziałowe Biuro Badawcze. Została przedstawiona z nonszalancką uprzejmością pułkownikowi Hugh Tyndale'owi, szefowi Sekcji F. Sprawiał wrażenie, jakby zawracali mu głowę zupełnie nie w porę, ale wkrótce okazało się, że po prostu taki ma sposób bycia. Popatrzył na nią z góry. Wysoki, chudy, o przygarbionych plecach. Zamrugął oczami zza okularów o okrągłych szylkretowych oprawkach, nim szybko skinął głową i ruszył dalej.

Było jasne, że filarem wszystkich działań jest panna Acton. Miała władcze maniery i wymagała absolutnego posłuszeństwa, jednak zdawała też sobie sprawę, że mężczyźni uważają ją za atrakcyjną pomimo jej wieku, a musiała być dobrze po czterdziestce. Jej ciemne włosy były nienagannie przyczesane, ułożone w fale i upięte. Charakterystyczne perfumy, przywodzące na myśl paprocie, szeptały o Paryżu sprzed wojny. Idealnie zgrabne nogi maszerowały na szpilkach. Srebrne, zdobione masą perłową klipsy przyciągały uwagę, tak jakby na koniuszkach jej uszu połyskiwały skrzydła motyli. Miękkie bluzki ze stójką korzystnie podkreślały sylwetkę. Ponadto Mavis Acton była zawsze opanowana i pełna rezerwy. Jej wypowiedzane niskim, cichym głosem sądy wydawały się absolutnie niepodważalne, a dym z mocnych papierosów Senior Service, które paliła

z wielkim upodobaniem, jakby to podkreślał.

Iris miała nieprzyjemne wrażenie, że wprost ze świata rządzonego przez nauczycielki trafiła w bardzo podobny układ kierowany przez ich inne wcielenie, któremu brakowało tylko krzaczastych brwi i tarasujących korytarze wydatnych piersi.

Przez pierwszych kilka miesięcy obowiązki Iris sprowadzały się do przepisywania raportów, a także tłumaczenia z francuskiego i niemieckiego. Weszła do zespołu zbierającego informacje o życiu w okupowanej Francji. Niektóre dotyczyły spraw najbardziej podstawowych – środków transportu, systemu funkcjonowania kartek na żywność, najnowszych monet w walucie okupanta wybijanych przez Niemców. Większość tej wiedzy pochodziła z gazet, przysyłanych przez działających w krajach neutralnych przedsiębiorców, którym nadal wolno było podróżować do Francji albo którzy spotykali się ze swoimi francuskimi partnerami biznesowymi w Lizbonie czy Genewie.

W biurze obowiązywały surowe zasady. Pozostawienie wieczorem na wierzchu jakichkolwiek papierów uznawano za poważne wykroczenie. Każda książka, każda gazeta, każde zapisane słowo musiało być zamknięte w stalowych szafkach z segregatorami.

Zanim wyszli z pracy, oficer z nocnej zmiany przechodził po biurze z jednym z dyżurujących dwadzieścia cztery godziny na dobę wartowników, by zebrać wszystkie śmieci. Potem sprawdzali, czy szafki są dobrze zamknięte i czy nic nie pozostało w niezabezpieczonych szufladach.

\* \* \*

– Proszę na słowo, panno Nightingale.

Iris poszła za Mavis Acton do jej pokoju.

– Zdaje sobie pani sprawę, że każdy błąd może narażać życie naszych ludzi, prawda? – zaczęła panna Acton. Nie czekała na odpowiedź. – Bibuła, panno Nightingale. Jestem ogromnie rozczarowana pani niefrasobliwością. Gdyby pracowała tu pani dłużej, pozostawienie tej bibuły byłoby całkowicie niewybaczalne.

– Przep...

– Tekst, który pani osuszała tą bibułą, zostawił na niej ślady, całkiem łatwo można go odczytać. Wydaje się pani, że my tu tylko bawimy się w wojnę czy co?

Mavis Acton uniosła dłoń, nakazując Iris milczenie, i zaczęła swoją tyradę, mówiąc coraz głośniejszym i gniewniejszym głosem. Wszystko, co tu Iris widzi czy słyszy, jest ściśle tajne, przecież wie, że nie wolno jej o tym z nikim rozmawiać, że powinna zbywać szybko wszelkie pytania o swoją pracę, ale jaki to ma sens, skoro zostawia istotne materiały dotyczące bezpieczeństwa narodowego na widoku i każdy może je zobaczyć?

Iris nie potrafiła znaleźć dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Posłano ją po jakąś teczkę z biura firmy w Norgeby House, naprzeciwko. („Chyba z tym sobie pani poradzi?”). Na półpiętrze w toalecie Iris ochlapała zimną wodą twarz; miała czerwone plamy z nerwów. Była wściekła, że nadal się trzęsie.

– Masz na imię Iris, prawda?

Jakaś twarz pojawiła się za nią w lustrze. Kasztanowe włosy i wielkie oczy.

– Jestem Nancy. Nancy Bateman. Pracowałam dopiero kilka dni, kiedy się tu pojawiłaś.

– W dużym pokoju... tak, pamiętam cię.

– Tak. Niedługo potem przeniesiono mnie tutaj. Jak ci leci?

– No, to zdecydowanie ciekawa „posadka”...

– Ale niechcący zadarłaś z panną Acton – powiedziała Nancy Bateman, skręcając i podpinając włosy dwoma dużymi grzebykami.

Iris kończyła myć ręce i zastanawiała się, ile może wyjawić.

– To się tak bardzo rzuca w oczy?

– Powiedzmy, że nie jesteś pierwsza, który przyszła tu po starciu z nią. Co takiego zrobiłaś?

– Zostawiłam wczoraj wieczorem jakąś bibułkę. Z kilkoma śladami tuszu, dwiema ledwie widocznymi linijkami odbitego pisma.

– Haniebna zbrodnia.

– Nie pomyślałam. Ona ma rację. Co za idiotka ze mnie. Ale nikt mi nie powiedział... nikt nic nie mówi! – Iris podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Nancy w lustrze. – Nikt z nikim nie rozmawia. Są tylko te małe kartki z wypisanymi na nich wiadomościami i brązowe koperty, i nigdy nie ma wyjaśnień, co się dzieje.

– Przydałoby się porozmawiać. Choć, oczywiście, panna Acton ma rację. Jak zwykle. Ale to jeszcze nie koniec świata. Wiesz, że ona wydaje się najbardziej surowa dla tych, w których widzi największy potencjał?

– Naprawdę? Czy tylko tak mówisz, żeby mnie pocieszyć?

– I jedno, i drugie.

Nancy powiedziała to tak stanowczo, że obie nagle się roześmiały.

– Oj, dobrze... dziękuję. Od razu mi lepiej.

– Wszyscy się jej boją, nawet mężczyźni, choć większość z nich próbuje się z tym nie zdradzić. Ale raczej bez powodzenia.

Nancy miała rację. Iris widziała, jak mężczyźni prężyli się na baczność w obecności tego chrapliwego, cichego głosu. Zwracali się do niej „Madam”.

– Co robisz w przerwie na lunch? – spytała Nancy.

Zamówiły sobie po herbacie i toście w Lyon's Corner House. Nancy skończyła dwadzieścia jeden lat, pochodziła z Lincolnshire i miała narzeczonego w RAF-ie. Drobniutka, o zdecydowanym spojrzeniu wielkich oczu

w niesamowitym niebieskozielonym kolorze. Rozmawiała swobodnie o swoim szkoleniu w dalekopisach i o tym, jak poprzednio skierowano ją do RAF-u w Duxford niedaleko Cambridge, bazy Spitfire'ów oraz dowództwa myśliwców.

– Kiedy powiedziałam matce, że jadę do Duxford, okropnie się przeraziła. „Pomyśl o tych wszystkich mężczyznach!”, biadała i robiła co w jej mocy, żeby mnie odwieść od tego zamiaru.

– I zdaje się, że miała się czym martwić.

Nancy uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście.

To była wielka ulga znaleźć przyjaciółkę. Ze swoimi dawnymi koleżankami szkolnymi, a nawet tymi poznanymi na kursie w Bedford Iris czuła się nieswojo, bo musiała im kłamać na temat swojej pracy. Miała wrażenie, że niektóre patrzą na nią z góry, bo nie wstąpiła do WREN, by spełnić obywatelski obowiązek. Wszystkie kolejno się wykruszały. Można było zachowywać się swobodnie tylko z innymi w podobnej sytuacji, a i wtedy trzeba było mieć pewność, jakie zajmują pozycje po tej samej stronie barykady.

\* \* \*

Jako sekretarka na Baker Street Iris przepisywała na maszynie raporty i prowadziła teczkę mężczyzn oraz kobiet wysyłanych z tajną misją do Francji, jednak nigdy ich nie spotykała. Dwa lata później, w Orchard Court, zaczęła spotykać ich osobiście, poczynając od podziwianych weteranów, a kończąc na świeżo rekrutowanych.

Była wysoka, szczupła, o ciemnoblond, naturalnie wijących się włosach do ramion. Mężczyźni więc nieodmiennie z nią flirtowali. Byli pewni siebie i jeśli już nawet nie zdecydowanie przystojni, to zawsze pełni uroku, pociągający. Panna Acton mówiła o nich „nasi przyjaciele”, nigdy inaczej. „Dziewczyny” też były urzekające. Iris usłyszała kiedyś, jak ktoś komentował ten niezaprzeczalny fakt, na co panna Acton powiedziała: „Tak, bo to daje im pewność siebie”. Być może miała nadzieję, że wdzięk będzie ich chronił, i w tym, podobnie jak w innych sprawach, miała sporo racji.

Dla tych, którzy wrócili do Orchard Court po przejściu kursów w różnych tajnych miejscach na północy, była to ostatnia wizyta w Londynie przed wyjazdem do Francji. Innych wysyłano na wstępne szkolenia do Wanborough Manor pod Guildford. Dla wielu drink w łazience, a potem rozmowa z jakimiś nieznanymi ludźmi, którzy zadawali im niedyskretne pytania, była tylko jedną z dziwnych przygód z czasów wojny.

Kiedy ostatni z potencjalnych nowych agentów wyszedł, poinstruowany, że ma się stawić w Wanborough, Iris wyjęła mały notes, który zawsze nosiła

w kieszeni, i przeczytała swoje zapiski. Przy kolebiącym się stoliku w maciupenkiej kuchni przyciągnęła bliżej maszynę, wkręciła papier i kalkę i przekładała stenograficzne znaki na zrozumiały język. Na osobnych kartkach przeznaczonych do teczek odnotowywała sposób mówienia i formułowania zdań, kadencję i ton każdego z rekrutowanych, po francusku i angielsku. Jej uwagi mogły nie zostać nigdy wykorzystane, ale mogły też okazać się niezwykle istotne; i należało odnotowywać najdrobniejsze szczegóły od samego początku. Kiedy jedynym sposobem porozumienia z agentami w terenie były kodowane informacje przesyłane drogą radiową, trzeba było znać drobiazgi, które mogły potwierdzić ich tożsamość.

Zza drzwi zajrzała panna Acton.

– Spisałaaby pani sprawozdanie Thérèse przed wyjściem?

– Właśnie miałam to zrobić.

– Jakież spostrzeżenia?

Chodziło jej o cztery nowe twarze, które pojawiły się tu tego popołudnia.

– Dziewczyna to twarda sztuka – powiedziała Iris. – Spodobała mi się. Pierwszy kandydat jest bardzo młody i... trochę nerwowy.

Panna Acton skinęła głową i zostawiła ją z jej pracą.

Iris szybko uporała się z pierwszym zadaniem i wkręciła świeżą kartkę papieru. Przez pięć miesięcy we Francji Thérèse zebrała spory materiał – przedstawiała szczegóły dotyczące zmian w dokumentach i pozwoleniach na podróżowanie, warunki życia, największe bolączki, informacje wywołujące najwięcej komentarzy, nowe rozkłady jazdy pociągów. Odnotowywanie zmian było kluczowe. Francuskie magazyny i gazety, które przywiozła, uważnie przeglądano; pozwalały zorientować się w nieistotnych głupstwach, takich jak trendy najnowszej mody, ale i w tym, jakie dokumenty muszą nosić przy sobie francuscy obywatele, o której zaczyna się godzina policyjna i jak często wydaje się obecnie kartki żywnościowe.

Kiedy Iris spotkała Thérèse w Orchard Court po raz pierwszy, pomyślała, że musi być około dwudziestki. Wiotka, smukła sylwetka, nieśmiałe zachowanie, stały niepokój o rodziców – Iris zobaczyła w niej dziewczynę, którą przerosła sytuacja. Z zawodu była krawcową, pracowała na East Endzie, wydawało się, że takie spokojne zajęcie idealnie do niej pasuje. To wszystko okazało się nieprawdą. Thérèse (naprawdę Lucienne Jarvis) miała prawie trzydzieści lat i po mistrzowsku odgrywała rolę szarej myszki. Potrafiła przyczać się i prowadzić bardzo wnikliwe obserwacje. Matce Belgijce zawdzięczała perfekcyjny francuski, a akcent został skorygowany przez lata spędzone w paryskim domu mody. Po ojcu z Mile End Road, marynarzu zajmującym się handlem, odziedziczyła pomysłowość i siłę charakteru.

Była serdeczna i zabawna, choć nigdy nie popadała w przesadę. Pod

powierzchnią kryła się nerwowość, uznawana raczej za coś pozytywnego niż wadę. Nie lekceważyła niebezpieczeństwa, była czujna. Nie można było wątpić w jej odwagę i determinację.

Iris nie była pewna, czy zdołałaby robić to co Thérèse i inni. W pewnym momencie sugerowano, że może być brana pod uwagę, ale nic z tego nie wynikło. Iris myślała, że pojechałaby, ale wolała nie oceniać, jakie by miała szanse na powrót. Nigdy nie żałowała, że jej nie wybrali. Panna Acton mówiła, że bardziej przydaje się na miejscu. Miała podobnie dobrą pamięć i intuicyjne wyczucie szczegółu jak jej szefowa. I tak Iris została w Londynie, a ulga, że tak się złożyło, była jej najpilniej strzeżonym sekretem.

*Londyn, czerwiec 1943 rok*

Opanowana dziewczyna z łazienki pomyślnie przeszła testy w Wanborough Manor. Wysłano ją w góry Szkocji, by nauczyła się posługiwać bronią, podkładać ładunki wybuchowe, prowadzić akcje sabotażowe. Radziła sobie nadspodziewanie dobrze, cicha i dokładna, osiągnęła lepsze wyniki od niejednego mężczyzny. Wyszła z tego bez szwanku, nie licząc kostki skręconej podczas ćwiczenia skoków ze spadochronem. Wróciła do Orchard Court w świeżo kupionym w domu towarowym Lillywhites na Piccadilly mundurze Korpusu Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej FANY, co było zwyczajową przykrywką.

Nie była już Ritą Williams. Miała teraz pseudonim – Rose.

Ćwiczenia fizyczne odjęły jej kilka kilogramów, co było widać po twarzy i talii, a krótkie włosy bardzo się wzmocniły, obcięte przez francuską fryzjerkę biorącą wzór z jednego z magazynów przywiezionych przez Thérèse. Zostały ufarbowane na kasztanowy odcień, co dobrze pasowało do jej bystrych piwnych oczu i nadało wygląd modnej paryżanki.

– Świetnie – pochwaliła ją Iris. – *Vraiment très chic*.

– *Je vous remercie, mademoiselle*.

Akcent Rose był nienaganny, ze świetnym francuskim „r”.

– Mieszkałaś we Francji, prawda? – zagadnęła Iris.

– Tak.

– A gdzie?

– W Paryżu. Spędziłam też trochę czasu w Nicei.

Była o rok starsza od Iris, pracowała jako osoba do towarzystwa u bogatej starszej pani. Nie był to rodzaj zajęcia, który zachwyciłby Iris, ale nigdy nie wiadomo, jakie okoliczności podyktowały taki wybór. Stonowane zachowanie dziewczyny świadczyło o tym, że jest bardzo cierpliwa. Na pewno musiała też nauczyć się pomysłowości, starając się spełnić zachcianki swojej chlebodawczyni. Według danych z teczki Rita Williams spędziła dzieciństwo w Camberwell, w południowym Londynie. Skończyła szkołę w wieku szesnastu lat i przez dwa lata przed wybuchem wojny mieszkała w Paryżu. Jej matka, wdowa, zginęła podczas bombardowania Camberwell w roku 1940.

Rose siedziała z dłońmi opartymi na delikatnej czarnej torebce zrobionej szydełkiem.

– Jaka śliczna torebeczka – zachwyciła się Iris. – To twoje dzieło?

– Tak.



Nie spytała jednak Iris, jak się domyśliła. Była sympatyczna, uprzejmie odpowiadała na pytania, ale nie dawała się wciągnąć w pogaduszki. Panna Acton oceniała ją bardzo wysoko. Opanowanie i zwięzłe odpowiedzi były w jej oczach zawsze wielkim plusem.

Z korytarza dobiegł odgłos wysokich obcasów stukających o wypolerowaną posadzkę i Rose została porwana w smudze tytoniowej woni ku swemu nieuchronnemu przeznaczeniu.

\* \* \*

Z Rose wszelkie przygotowania wydawały się łatwiejsze niż zwykle. Zanim wysłano agentów do Francji, krawiec szył im garnitury, kostiumy, żakiety, spódnice, na francuską modłę i odpowiednie dla ich zmyślonej historii. Garnitury miały podrobione firmowe wszywki, wskazujące, z jakiego miasta pochodzą, żeby wszystko się zgadzało. Koszule, bielizna, skarpetki, buty – to wszystko też było starannie kompletowane. Rose miała już sporo prawdziwych francuskich rzeczy w garderobie, między innymi sukienki, które uszyła sama z francuskich materiałów w drukowane wzory. Daleko było tym kreacjom do standardów Thérèse, ale dzięki drobnym niedociągnięciom, takim jak zbyt luźny lub zmarszczony ścieg, wyglądały jeszcze bardziej naturalnie. Część ubrań przerobiono z niewykorzystanych rzeczy po innych agentkach. Nie było potrzeby zmieniać jej zawodu po przyjeździe do Francji. Miała utrzymywać, że jej ostatnia chlebodawczyni niedawno zmarła. Trudno byłoby to sprawdzić, a zamierzano trzymać ją z dala od Nicei, żeby nie została przypadkiem rozpoznana. Łatwe do zweryfikowania fakty wzbogacano zmyślonymi szczegółami, ale najlepiej było wpleść między nie element prawdy.

– Co myślisz o tych okularach?

– Myślałam, że nie potrzebujesz szkieł – przeraziła się Iris.

Jednym z podstawowych kryteriów kwalifikacji kandydatów w Londynie był idealny wzrok. Wśród ciężkich, wymagających stałej szarpaniny zadań w terenie nie mogli się jeszcze martwić, że zgubią czy zniszczą sobie okulary.

– Owszem, ale to zwyczajne szkiełka. Ale jak zrobię o tak – Rose zmrużyła oczy – mogę wyglądać bardzo niewinnie, co? I... ojej, trochę niezdarnie.

Potrąciła łokciem papiery na biurku.

– Bardzo przekonujące.

Miała rację. Stare druciane okulary nadawały jej wygląd zagubionej, nieśmiałej i nieudolnej, a jednocześnie zdawały się ją uspokajać. Pomagały jej wczuć się w rolę. Była już niemal gotowa wyruszyć do Francji jako radiotelegrafistka do okręgu Włóczykija działającego pomiędzy Paryżem a Tours. Sprzęt ukryto w małej skórzanej walizeczce. Przygotowano dla niej fałszywe dokumenty i podrobione przepustki z niemieckimi stemplami, kartki żywnościowe

i kupony na chleb, kartę na artykuły odzieżowo-tekstylny. Wszystko to musiało być dostosowane do aktualnych wzorów.

Od kilku tygodni ćwiczyła swoją historię z panną Acton i Iris, zagłębiając się w różne sfery swojego fikcyjnego pochodzenia, aż wreszcie wszystko wydawało się prawdziwe i potrafiła odpowiadać naturalnie na najbardziej podchwytliwe pytania, nawet w momentach zaskoczenia, bez względu na zmęczenie.

– Jak poznałaś swojego narzeczonego?

– W ogrodzie zoologicznym w Lille, gdzie najpierw pracowałam. Spacerowałam sama, tak samo jak Hubert. Wydaje się odpowiednio nudny. – Rose zrobiła śmiertelnie poważną minę, a potem zaraz się roześmiała, ukazując piękne zęby.

W miarę przygotowań stawała się mniej wycofana, bardziej otwarta, nie kryła już tak swojego naturalnego charakteru. Iris to cieszyło.

– Chodzi o to, żeby nie wplątywać innych osób i nie mnożyć szczegółów. Gdzie jest teraz Hubert?

– Pracuje w fabryce w Niemczech. Jest wzorowym obywatelem, który odpowiedział na apel władz. A gdybym musiała koniecznie podać jego nazwisko, to czy jest ono autentyczne?

– Będzie się znajdowało w oficjalnych rejestrach. Kiedy dotrzesz do Francji, będziesz musiała całkowicie stopić się z udawaną postacią, tą Rose Mielhan, pochodzącą z Paryża, z dobrze ci znanych okolic, która przez jakiś czas pracowała w Lille u starej wdowy, ale ta wkrótce zmarła. Nazwisko wdowy też figuruje w oficjalnych rejestrach, a nawet na jednym z nagrobków tamtejszego cmentarza.

– Wiem. Przez ostatni tydzień nie robiłam nic innego, tylko wykuwałam na pamięć wszystko, co dotyczy mojej nudnej egzystencji z nią i Hubertem.

Średnia przecięcia radiotelegrafistów we francuskim mieście była określana na sześć miesięcy. Iris nie była pewna, czy pułkownik Tyndale lub panna Acton przekazali nowej agentce tę informację.

\* \* \*

Iris dziękowała Bogu, że może rozmawiać z Nancy. Nie zawsze i nie o wszystkim, ale było jej lżej, że po pracy nie musi stale udawać. Pod koniec 1942 roku Iris i Nancy postanowiły wynająć wspólnie małe mieszkanie. Przesiadywały w biurze coraz dłużej, a podczas zmasowanych nalotów bywało, że autobus z Battersea przedzierał się na drugą stronę rzeki godzinami, podobnie jak tramwaj Nancy z New Cross, gdzie miała ponury pokój. Z każdym dniem dojazdy stawały się bardziej uciążliwe, a ciotka Iris (z którą, prawdę mówiąc, ledwie się znały) nie namawiała, by siostrzenica została u niej dłużej po znalezieniu pracy.

Nancy i Iris podnajęły więc mansardę przy Tavistock Square od koleżanki koleżanki. Niedużą, z dwiema małutkimi sypialniami, ale bardzo blisko pracy.

Skoro narzeczony Nancy, Phil, służył za granicą ze swoją eskadrą, wydawało się to idealnym rozwiązaniem.

Rzadko zapraszały do siebie znajomych. Nie dlatego, że ich nie miały. Chodziło raczej o to, że kiedy były same, nie musiały się tak strasznie pilnować. Mogły wspomnieć o tabletkach cyjanku zaszytych w zakładkach bluzek, materiałach wybuchowych i o tym, że nie wolno podupadać na duchu. Czasami przez cały weekend mogły wspólnie pomilczeć. Nancy pisała do Phila długie listy, kiedy Iris tworzyła nudnawe liściki do matki w Salisbury, ze smutkiem, że nie zdołały wytworzyć sekretnego porozumienia i poczucia bliskości.

Innym razem szły do klubów albo pubów z grupą znajomych. Zawsze można było pójść do Cafe Royale, do baru Dorchester albo na przedstawienie. W Orchard Court Iris poznawała wielu agentów, flirtowała trochę z mężczyznami i zaprzyjaźniała się z kobietami (choć nigdy nie traciła czujności, by zaobserwować ich specyficzne zachowania czy sposób mówienia), i niektórzy z nich też byli zapraszani na takie wypadki na miasto. Przy okazji można było dobrze zjeść, bo często jakiś zamożny kandydat do zadania specjalnego w tajnych służbach regulował rachunek, zanim ktokolwiek miał szansę zaoferować, że zapłaci za swoje zamówienie.

Kiedy musiały się ograniczyć do własnych środków, posiłki składały się głównie z herbaty i tostów. Niemal zawsze po pracy były zbyt zmęczone, bo cokolwiek gotować, a na zakupy zwykle było za późno. Raz spróbowały ugotować gołębia na kuchence z jednym palnikiem. Tego eksperymentu już więcej nie powtórzyły.

Iris nie narzekała na brak adoratorów. Był John z Ministerstwa Wojny, starszy, mądrzejszy od innych, i szereg wojskowych: Alan z marynarki wojennej, Peter ze służb inżynieryjnych, piloci RAF-u Jack i Rory – kiedy byli w Londynie. Żaden z nich jednak nie podbił jej serca.

– Twój problem polega na tym, że masz ich za dużo do wyboru – stwierdziła Nancy.

– A skąd ty wiedziałaś, że Phil to właśnie ten?

– Po prostu.

– Też mi pomoc! Ale słuchaj, dziś wieczorem nie wrócę.

Nancy uniosła brew.

– Nic z tych rzeczy. Jest pełnia, jadę do Sussex.

*Chichester, lipiec 1943 roku*

Rose jechała do Francji.

Po południu pod Orchard Cour zatrzymał się samochód i Rose zajęła miejsce z tyłu obok Iris. Panna Acton, która zwykle jeździła na lotnisko, miała ważne spotkanie w Londynie. Ruszyły na południe przez ufortyfikowane miasto. Ulice pełne poszarpanych szarych lejów po bombach i zrujnowanych budynków wyglądały obco. Dopiero widok wiejskich terenów napawał nadzieją, że gdzieś jeszcze istnieje normalne życie, takie jak przedtem.

Na poboczach bujnie rosła trybula leśna. Dzikie róże trzepotały na ciepłym wietrze. Świergot ptaków i światło pozwalały zapomnieć o wojnie choćby na tych parę godzin. Iris i Rose prawie nie rozmawiały ze sobą. Wśród zielonych pól na wschód od Chichester leżała senna wioska Tangmere, którą zdradzała tylko kryta gontem wieżyczka kościoła. Drzewa i krzewy tworzyły wysoki zielony mur po obu stronach drogi.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Iris, kiedy dotarły do krótkiego, wysypanego żwirem podjazdu. – To Cottage. Tamta brama prowadzi wprost na lotnisko.

Rose skinęła głową.

Jaka ona młoda i krucha, pomyślała Iris. W ciemnym gabardynowym kostiumie, wybranym, by dobrze wtapiała się w tłum, robiła wrażenie jeszcze szczuplejszej, jak dziecko. Uwypukliły się jej kości policzkowe i ogromne oczy. Aż nazbyt łatwo można było uwierzyć, że musi dzielnie radzić sobie w życiu sama. To zresztą była prawda, bo jej matka nie żyła, a narzeczony był daleko. Tani pierścionek z granatem na jej palcu był wyraźnie luźniejszy niż przed miesiącem.

– W porządku? – spytała Iris.

– Tak.

Rose dobrze się maskowała, ale ogarnął ją lęk. To naturalne. Iris musi ją bacznie obserwować i być może we właściwym momencie podjąć trudną decyzję.

Wysiadły z auta. Tangmere Cottage był liczącym pewnie ze sto lat niskim ceglanym domem prawie całkowicie zarośniętym bluszczem, z za którego wylaniały się okna z małych szybek. Jedno piętro i szeroki komin na końcu. Posiadłość wraz z ogrodem osłaniał mur z kamieni typowych dla Sussex oraz gęsty żywopłot.

– Wejdzmy – powiedziała Iris. – Parzą tu świetną herbatę.

To wywołało uśmiech. Rose wzięła torebkę, rękawiczki i ruszyła za nią.

W środku – w zarekwirowanej, ma się rozumieć, posesji – panowała przytulna, niemająca wiele wspólnego z wojskiem atmosfera. Dom najwyraźniej rozbudowywano latami, dodając w miarę potrzeb kolejne pokoje, wszystkie niezbyt duże.

– Cześć, Stephen! – zawołała Iris, kiedy weszły przez tylne drzwi do kuchni.

Na jej wesołe powitanie odpowiedział wysoki, gruby człowiek w mundurze – jeden z dwóch sierżantów z policyjnych służb RAF-u, którzy zarządzili w Cottage.

– To Stephen, kucharz i ochroniarz w jednej osobie. Dzięki niemu jest tu najprzyjemniejsza wartownia w Anglii. Nic i nikt nie może się równać ze Stephenem.

– Cześć, panienko – powiedział i skinął głową w kierunku Rose, która nie została przedstawiona, nawet swoim nowym imieniem. – Zaraz będzie herbata, rozgoście się.

– Dzięki! Chodźmy do centrum operacyjnego.

Starając się o optymistyczny nastrój, Iris poprowadziła Rose do dawnego pokoju dziennego z prostym ceglany kominkiem, zastawionego teraz ciężkimi brązowymi meblami. Pomieszczenie z sufitem z ciemnym belkowaniem wydawało się przytłaczająco niskie. Na ścianie wisiała mapa Francji. Stół i zbieranina różnych krzeseł nadawały pokojowi niezobowiązujący charakter. Resztki węgla w kominku dawno wygasły. Na małym drewnianym biurku były dwa telefony, czarny i zielony.

Przy oknie stało dwóch młodych mężczyzn, paląc papierosy. Iris uśmiechnęła się.

– I znowu wy! Rose, bardzo miło mi przedstawić tę dwójkę z naszych najlepszych. Jack i Rory. Jeden z tych nicponi zabierze cię tej nocy, nie mogłaś trafić lepiej.

– Chyba że na Verity’ego, oczywiście – powiedział Jack, kiedy uścisnęli sobie dłonie. Był wysoki i jasnowłosy, barczysty. – Choć obawiam się, że naprawdę jesteś skazana na jednego z nas. Świetnie.

Odgarnął swoją blond czuprynę. Przypominał Iris młodych ludzi, którzy pracowali dla BBC po ukończeniu Cambridge, podobieństwo było jednak pozorne. Wyglądał na lekkoducha, ale jako pilot odznaczał się wyjątkową odpowiedzialnością. Metodycznie sprawdzał wszystko, poczynając od wiatru, poprzez przyrządy w kokpicie, jakoś paliwa, aż po sytuację polityczną. Był uważnym nawigatorem, z niemal fotograficzną pamięcią do dróg wyczytanych z map i tendencją do zamartwiania się, maskowaną perfekcjonistycznym podejściem i zacieklą determinacją.

– Wszystko w porządku. Mamy to przećwiczone – powiedział Rory do Rose, która spróbowała się uśmiechnąć.

Rory był niższy, z ciemną kędzierzawą czupryną i okrągłymi piwnymi oczami, przez co przypominał Iris jej misia z czasów dzieciństwa.

– Tak naprawdę zaczynam się już zastanawiać, czy nie byłby to dla mnie szok, gdybym znów miał latać za dnia.

– Na szczęście zawsze grzecznie jedliśmy marchewkę – dorzucił wesoło Jack. – Widzę po ciemku jak królik!

– Ile takich lotów macie za sobą? – spytała Rose.

– Dla mnie to będzie dziesiąty dla zadań specjalnych.

Rory zaciągnął się ostatni raz papierosem i zgasił go.

– Dla mnie ósmy.

Iris potarła sobie ramiona, bo dostała gęziej skórki. Miała nadzieję, że koleżanka tego nie zauważyła. Przez całe lato agenci z Sekcji F i innych służb wywiadowczych byli podrzucani do Francji przez lysandery, lekkie samoloty o krótkich skrzydłach, zdolne lądować na ograniczonej przestrzeni, na przykład na niewielkim polu. Przy takim ruchu panna Acton nie zawsze mogła ich wyprawić i to na Iris spadał obowiązek towarzyszenia agentom w drodze z Londynu na lotnisko. Nadal wydawało się to nie do wiary, że tacy ludzie jak Jack Wallace i Rory Fitzgerald lądowali w głębi terytorium wroga, jedynie w świetle księżyca, orientując się według srebrzystych wstążek rzek i innych zapamiętanych charakterystycznych elementów krajobrazu. Siadali na ziemi w ciemnościach, naprowadzani jedynie ręcznymi latarkami.

– Jak długo pozostajecie na ziemi? – spytała Rose.

– Najkrócej, jak się da. Jeśli możemy ruszać z powrotem w niecałe dziesięć minut, to w porządku. Jeśli nie, ryzykujemy, że nas rozwałą.

– Naprawdę jestem bardzo wdzięczna, że nie będę musiała wyskakiwać ze spadochronem.

– Każdy głupek potrafi zrzucić łebków nad Francją i wrócić bez schodzenia na dół, ale wylądować Lizzie i wystartować z powrotem to większa sztuka – powiedział Jack.

Rory zdusił kolejnego papierosa i natychmiast zapalił nowego.

– Taka już nasza praca. Mmmm, co za herbata... naprawdę przednia.

Przy herbacie i kolejnych papierosach wymieniali prywatne ploteczki. Iris opowiadała im, kto się pojawił w Dorchester i Klubie 400, a piloci wtrącali, co u nich. Obaj mieli swoje pasje. Jack kochał swój czarny stary motocykl. Nazywał go Beauty, rozbierał na części i pielęgnował olejem wyżebranym od mechaników z lotniska. A Rory miał Sam, suczkę collie, którą uratował w rodzinnych stronach, w Yorkshire, po śmierci poprzedniego właściciela, starego rolnika ze wzgórz.

– U nas w domu była urocza suczka, airedale terier. Miała słodki charakter – powiedziała Rose. – Okropnie za nią tęsknię.

W domu, który został zbombardowany, pomyślała Iris. Suczka zginęła razem

z matką Rose. Uderzyło ją, jak spokojnie dziewczyna to mówi, jak umie panować nad emocjami. Da sobie radę, wyjdzie z tego cało, jest pomysłowa, odpowiedzialna.

– Strasznie chciałem, żeby Sam mieszkała ze mną w jednostce, ale mi nie pozwolili – powiedział Rory. – Na szczęście dzięki Jackowi i jednej z nie tak rzadkich awarii Beauty trafiliśmy na gospodarstwo pod Tempsford, którego właściciel zgodził się nią zaopiekować.

– To niedaleko stąd? – spytała Rose.

– Nie za bardzo. Ale bliżej niż Yorkshire.

– Pisuje do Sam piękne listy podczas rozłąki – zażartowała z przyjaciela Iris.

Nie wyjaśniła, że Sto Sześćdziesiąta Eskadra (do zadań specjalnych) RAF-u stacjonuje właśnie w Tempsford w Bedfordshire. Podczas pełni przynosili się do Tangmere, bo stąd było bliżej do serca Francji. Chodziło o zasięg samolotu. Z wybrzeża Sussex mogli dolecieć w głąb Francji i wrócić. Piloci zwykle pojawiali się w Tangmere Cottage na tydzień przed pełnią i zostawali tydzień po niej.

– Nie mogłeś go tu zabrać? Dlaczego? Przecież jest nawet ogród! – zdziwiła się Rose.

– I warunki na górze jak w tanim tureckim hotelu – dodał Jack. – Prycza przy pryczy... czasem nawet nie widać podłogi. I gdyby jeszcze pod domem całymi nocami wył pies... No nie, dziękuję.

– A twoja hałaśliwa kupa złomu to co?

– Nigdy byś się nie domyśliła, ale ta dwójka to wielcy przyjaciele – wtrąciła Iris. – Chyba że w grę wchodzi psy, motocykle albo kobiety.

– Jeśli chodzi o kobiety, to jest to tylko zdrowe kumpelskie współzawodnictwo – stwierdził Jack, prostując się na krześle i udając, że poprawia kołnierz. – Dawaj, Iris, miałaś już dość czasu do namysłu, który z nas będzie twoim wybrankiem?

– O, przecież wiesz, że nigdy w życiu nie chciałabym was poróżnić. To byłoby perfidne.

\* \* \*

Zapadał zmierzch. Z kuchni docierały smakowite zapachy, sierzanci w mesie stawali na głowie, by przyrządzić perfekcyjnie zapiekankę – różne rodzaje mięs (głównie królik) i warzyw (głównie marchewka) pod warstwą chrupiącej skórki z tłuczonych ziemniaków. Przywykli do ograniczeń reglamentacji, ale nadal mieli bzika na punkcie jedzenia. Dwa wsparte na krzyżakach stoły nakryto do kolacji w prostej jadalni o bielonych ścianach.

Apetyczny aromat przybierał na sile, co zwabiło więcej młodych ludzi. Któryś zakręcił korbką stojącego w rogu gramofonu. W pokoju coraz bardziej zamglonym od dymu papierosów rozległy się rzewne dźwięki saksofonu.

– Daj spokój, Richie – odezwał się ktoś, ciężko wzdychając. – Zostaw tortury gestapo.

W ożywionej atmosferze zasiedli do jedzenia. Nerwowość przykryły żarty i przekomarzanie się. Wprowadzono jakiegoś spóźnionego młodego człowieka w cywilnym ubraniu. Nie przedstawiono go, więc musiał być agentem którejś z innych służb specjalnych. Rose, siedząca obok Iris, milczała. Pozornie była spokojna, ale Iris zastanawiała się, jak się naprawdę czuje, teraz, kiedy lada moment wyruszy. Dołączył do nich szef eskadry Hugh Verity. Sympatyczny, skromny i bardzo szanowany dowódca operacji specjalnych. Podobnie jak reszta pilotów miał na sobie częściowo wojskowe, częściowo cywilne ubrania. Gdyby go zestrzelili czy musiał wyskoczyć ze spadochronem i przeżył, mógł ukryć lub spalić bluzę lotnika i wyglądać jak zwyczajny, trochę niechlujny młody człowiek.

– Mieliliśmy paskudną noc. Ostrzeliwali nas przez wiele kilometrów nad północną Francją w drodze powrotnej. Mieliliśmy dwóch łebków z tyłu, musieliśmy zboczyć z kursu... ale wszyscy trzymali się dzielnie. Aż tu nagle, jak nie dostaniemy od spodu, już kiedy nadlatywaliśmy nad kanał. Jakimś cudem udało się nam doturlać wśród niskich chmur do mety, na ostatniej kropli paliwa. Gramolimy się z maszyny, wsiadamy do auta i jedyne, co ruszyło tych Francuzów, to to, że jedziemy po niewłaściwej stronie drogi!

– ...wiecie, przecież to nie popisy akrobatyczne. Choć niektórzy z nich najwyraźniej sądzą, że możemy lądować na poletku wielkości jednofrankówki na krawędzi urwiska. Czasem znajdują dla nas takie miejsca...

– ...pamiętasz lądowanie Pieczęciowego w gęstej mgle na samych pałakach nóg Lizzie? Kółka stracił na urwisku, na ogonie zaplątały się przewody telegraficzne, dziura w podwoziu, a zbiornik z zapasem paliwa trzymał się na kilku rozchwierutanych śrubkach...

Iris aż kręciło się w głowie, kiedy próbowała nadażyć za tymi relacjami, ale po Rose nie widać było żadnych emocji; była tak opanowana jak wtedy, kiedy Iris widziała ją po raz pierwszy.

\* \* \*

Kiedy zjedli, Hugh Verity zaprowadził ich z powrotem do pokoju operacyjnego i przedstawił sytuację. Miały startować dwa lysandery. Stojąc przed mapą Francji, wskazał dwa szlaki lotnicze i przedstawił im zdjęcia rozpoznawcze pól, na których mieli lądować. Z działu meteorologii nadeszły prognozy. Dość pogodnie, gdzieniegdzie lekkie zachmurzenie. Przez zielony telefon, wyposażony w urządzenie do szyfrowania mowy, dostał potwierdzenie z Londynu, że BBC wysłało wiadomość i że we Francji będą na nich czekali.

Na lotnisku przeprowadzano ostatnie czynności sprawdzające. Piloci wyszli na zewnątrz, żeby przyzwycząić wzrok do ciemności. Iris przekazała Rose zestaw



radiowy, ukryty w małej skórzanej walizce, i ostatni raz przeszukała jej wszystkie kieszenie, żeby upewnić się, czy nie zostały w nich jakieś bilety autobusowe, rachunki czy zaplątane drobne, które mogłyby zdradzić ostatnie miejsce pobytu.

– Pokaż mi metki płaszcza i żakietu. Bluzka? A wszywki na bieliźnie? Nie masz na sobie nic brytyjskiego?

– Ze sto razy wszystko sprawdzałam.

Jedyną oznaką nerwów było ledwie dostrzegalne drzenie.

– Dobrze... Francuskie papiery, pieniądze, kartki żywnościowe, kupony na chleb?

Razem przeglądały zawartość torebki.

– Zdjęcie narzeczonego?

– W bocznej kieszeni.

– To zawsze takie niby nic nieznaczące szczegóły nas zdradzają.

Wszystko, co agenci zabierali ze sobą do Francji, musiało być autentyczne. Na przykład angielskie mydło za dobrze się pieniło, więc trzeba było specjalnie wyrabiać marne suche kostki podobne do tych, które można było dostać we Francji. Imitacja francuskich papierosów Gauloisów została uznana za kiepski pomysł i zaprzestano produkcji, bo brytyjska guma na opakowaniach była zbyt mocna i nie rozkładała się tak samo jak w oryginałach. Żaden przedmiot codziennego użytku – sznurek, zapalniczka, agraftki i wsuwki do włosów, nożyczki, maszynki do golenia czy ołówki – nie mógł mieć oznakowania, nic w stylu *Made in England*, bo to natychmiast mogłoby ich zdradzić. Najlepiej było posługiwać się drobiazgami, które przywieźli ostatnio z Francji inni agenci.

Jedną z żelaznych zasad panny Acton było dawanie ekspediowanym osobom tuż przed wylotem szansy na spędzenie z nią chwili sam na sam.

– Jeśli mają jakieś wątpliwości, lepiej pozwolić im się z tego zwierzyć – mówiła.

Iris dotknęła ręki Rose.

– Muszę skoczyć na górę do łazienki, jak chcesz, chodźmy razem – zaproponowała.

Na półpiętrze obróciła się.

– Wszystko jasne? – spytała. – Jeśli coś jest nie tak, mów śmiało. Teraz albo nigdy.

– Wszystko w porządku.

– Jesteś pewna?

Rose wzięła głębszy wdech, ale zaraz się opanowała.

– Masz śliczną spinkę, Iris.

Iris odpięła i wyjęła z włosów posrebrzaną spinkę w kształcie róży. Obejrzała ją uważnie w świetle nad schodami i podała Rose.

– O, nie, nie miałam na myśli...

– Wiem. Ale i tak chcę, żebyś ją wzięła. I...

– Tak?

Iris zawahała się. A potem nachyliła się i spontanicznie uściskała Rose.

– Powodzenia.

Kiedy wracały na dół, Iris miała nieprzyjemne wrażenie, że być może wysłała przyjaciółkę na stracenie.

O dwudziestej drugiej trzydziści pod dom podjechała spora furgonetka, ford, żeby ich zabrać do samolotu czekającego na asfaltowym pasie startowym. Załadowano bagaże. Wsiedli do auta. Po kilku minutach stali pod jednym z lecących tej nocy lysanderów.

Był pękaty, z nieskładanymi nóżkami podwozia i uniesionymi wysoko na rozpórkach skrzydłami. Wyglądał jak dziwaczny owad, ale we właściwych rękach stawał się niesamowitą maszyną, zdolną lądować i startować na zdumiewająco niewielkich przestrzeniach. Skrzydła znajdowały się na poziomie oczu pilota, który siedział wysoko w kokpicie pod przeszklonym daszkiem zapewniającym szerokie pole widzenia.

– Na wypadek gdyby nikt ci nie powiedział, przed fotelem pasażera jest pół butelki whisky – szepnęła Iris do Rose.

Mężczyzna, którego imienia nie wymieniono, podjechał z jakimś wojskowym innym wozem. Razem z Rose wspiały się po drabince. Iris widziała ich sylwetki, kiedy wpychali swoje torby pod drewniane siedzenia. Z cięższym bagażem, jak zestaw do nadawania radiowego, poszło trudniej, ale dali sobie radę.

Iris patrzyła, jak samolot rusza. Jego skrzydła błyszczały srebrzyście w świetle księżycy.

\* \* \*

Po powrocie do domku Iris zbierała wszystkie pozostawione rzeczy. Zwykle były to angielskie książki i czasopisma, papierosy, zapalniczki i papierki po słodyczach, ale tym razem nic tu takiego nie było. Rose i tamten nieznany mężczyzna przyjechali tu całkowicie czysti. To zawsze dobry znak. Wskazywało, że już weszli w swoje role.

– Idź, prześpij się trochę na górze, dobrze? – zasugerował Stephen.

Jej kierowca już to zrobił.

Iris pokręciła głową. Tej nocy miała czekać, aż samolot wróci. Była zmęczona, ale wiedziała, że nie zaśnie. Gdzie teraz byli? Czy bezpiecznie przekroczyli kanał? Spojrzała na zegarek. Minęła dwudziesta trzecia trzydziści. Powinni już być po drugiej stronie. Droga w tę i z powrotem zajmowała od czterech do sześciu godzin. Iris usadowiła się w fotelu i sięgnęła po palto, żeby przykryć nogi. Mijały godziny. Drzemała, cały czas czujnie nasłuchując warkotu zbliżających się silników.

Kiedy wreszcie rozległy się kroki na zewnątrz, na zegarze była czwarta piętnaście.

Drzwi otworzyły się z łoskotem. Weszła grupa mężczyzn. Wśród nich Jack. Tupali, żeby otrząsnąć błoto z butów. Ściągali kurtki i rzucali na podłogę bagaże. Podano tacę z drinkami, zaszczękały uderzające o siebie szklanki. Potrójne brandy dla wszystkich. Wyczuwało się ulgę po skrajnym napięciu. Z kuchni, pracującej niczym dobrze naoliwiona maszyna, dobiegł zapach kawy i smażonego bekonu.

– Teraz wiem, że jestem w Anglii – powiedział wyjątkowo przystojny człowiek z francuskim akcentem. Robił wrażenie zblazowanego. Obejrzał się na Iris i mrugnął okiem. – Dość już erzaców!

Iris wstała chwiejnie. Szumiało jej w głowie.

– Prawdziwa kawa, mademoiselle, koniec z żołądziami i cykorią, przynajmniej na razie – dodał doskonałym angielskim, choć z obcym akcentem. Uniósł szklankę brandy. – Za wolność!

– Za wolność – odpowiedziała.

Przespał z tyłu auta całą drogę do Londynu. Towarzyszący mu Brytyjczyk oparł się ciężko o okno i wyglądał przekrwionymi oczami na wschodzący świt, gdy szare światło nad drzewami nabierało bladożółtych odcieni.

*Londyn, lipiec 1943 roku*

To był właśnie Xavier Descours.

Do tej pory Iris natykała się na jego imię w dokumentach i słyszała, jak odważnie organizuje lądowania we Francji. Przed wojną zarządzał firmą elektroniczną, specjalizującą się w produkcji i eksporcie elementów radiowych. Zwerbowano go, by dostarczał tego typu sprzęt brytyjskiemu Kierownictwu Operacji Specjalnych, SOE, i francuskiemu ruchowi oporu, oficjalnie kontynuując produkcję dla rządu Vichy. Miał trzydzieści osiem lat i opinię niezniszczalnego, jak kot, który zawsze spada na cztery łapy. Czarusь podejmujący potworne ryzyko. W ostatnim roku zaangażował się jeszcze bardziej w misje Sekcji F i teraz był niezastąpiony w tajnych akcjach lotniczych.

Dwa dni później pojawił się w Orchard Court. Spędził sporo czasu w głównym pokoju z pułkownikiem Tyndale'em i panną Acton. Szmer ich głosów to przybierał na sile, to przycichał, nie dało się usłyszeć, o czym mówią.

Iris podała herbatę dwóm młodym mężczyznom, których szykowano do lotu do Francji podczas następnej pełni – wyglądali na studentów początkowych lat, a w każdym razie jeden miał szalik college'u. W sumie w mieszkaniu było ich tylko sześcioro, więc nie trzeba było kazać im czekać w łazience. Popijali bez przekonania słabą herbatę w najmniejszym pokoju biura. Kiedy wezwano ich na spotkanie odbywające się w salonie, Iris została sama.

Zrobiła na świeżo kilka notatek, żeby nie zapomnieć, czego udało się jej od nich mimochodem dowiedzieć. Jeden wspominał o publicznej szkole w Yorkshire i wakacjach w Scarborough, kibicował klubowi piłkarskiemu Leeds United. Drugi uwielbiał powieści Zoli.

Atmosfera była przygnębiająca. Wilgotne zimno, dym papierosowy i mgła ocierająca się o budynek jak zmoknięty pies. Iris wstała i poruszała się trochę, żeby się rozgrzać. Niemal bezwiednie przeszukiwała kieszenie płaszczy rzuconych na oparcie fotela. To było odruchowe działanie, które nie przyniosło nic ciekawego. Zapałki, pogniecione skrawki papieru, jakieś bilety na autobus i na metro, które trzeba wyrzucić, zanim mężczyźni wyruszą do Francji.

– Co robisz?

Podszedł od tyłu bezszelestnie. Odwróciła się i napotkała wzrok ciemnych piwnych oczu. Oliwkowa cera była gładka. Stał tak blisko, że czuła miodowy aromat tytoniu, cudownie inny niż cierpki, smolisty zapach papierosów Senior Service.

- Przepraszam, ja...
- To moje palto.
- Robię to już automatycznie.

Chyba się zastanawiał, czy nie kłamie. Proste brwi zmarszczyły się nieco. Potem odebrał jej swoje palto i przewiesił przez rękę. Podszedł pewnym krokiem do okna i obrócił się.

- Powinniśmy ufać sobie nawzajem.
- No tak, oczywiście...
- Mam ci coś udowodniać?

Poczuła, że się rumieni. I wtedy w jego oczach pojawiły się iskierki. Roześmiał się ubawiony jej zmieszeniem. Naprawdę jest niesamowicie przystojny, pomyślała, i doskonale wie, jakie krążą o nim opinie. Przyzwyczyił się, że każdy robi, co on zechce. Powinna się pilnować.

Od odpowiedzi wybawiło ją pojawienie się dwóch młodych ludzi, którzy wyłonili się z sąsiedniego pokoju wyraźnie bardziej zrelaksowani. Dyskutowali o krykocie. Jednak Iris wyczuwała, że to wymuszona nonszalancja. Byli tak podekscytowani perspektywą czekającej ich misji, że aż wyostrzyły się im rysy. Podała im z uśmiechem płaszcze i wskazała drogę do wyjścia. Xavier został na swoim miejscu pod oknem.

Kiedy wróciła, pociągnął nosem z obrzydzeniem nad zimnymi resztkami herbaty, po której jeszcze nie posprzątała. A potem uniósł wzrok i znów się rozpromienił.

– Zabieram cię na kolację – powiedział. Nie zapraszał, po prostu stwierdzał fakt. – Chcę przejść się Trafalgar Square do Coquille na St. Martin’s Lane z ładną dziewczyną.

Zignorowała komplement.

- Znasz ten lokal?
- Chodziłem tam przed wojną.
- Iris słyszała o tej restauracji, ale nigdy tam nie była.
- I do pubu Wellington na Strandzie – dodał. – Nadal istnieje?
- Sądzę, że tak.
- Wiem, to nagła propozycja, ale przyjmiesz moje zaproszenie?
- Nie jestem pewna, czemu je zawdzięczam.

– Daj spokój. Nie myślisz chyba, że nie widziałem, jak na mnie patrzysz!  
– Ale ja... co za... – Musiała odwrócić wzrok z obawy, że jeszcze bardziej go ośmieli.

- Nie ma się czego wstydzić. To mi pochlebia.
- Przykro mi, naprawdę, to jakieś nieporozumienie.
- Proszę, jak mówię, nie musimy tu chyba nic przed sobą udawać?

Iris poczuła, że się czerwieni.

– W porządku. Zaczniemy od nowa. Czy zechce panienka pójść ze mną na kolację?

Kiedy to mówił, w drzwiach za nim pojawiła się panna Acton. Przystanąła, najwyraźniej musiała usłyszeć.

Iris poczuła się tak, jakby zrobiła coś niewłaściwego i została przyłapana na gorącym uczynku, ale panna Acton skinęła głową, że zezwala.

– Dobrze – odparła Iris. – Daj mi dziesięć minut, żebym mogła tu sprzątnąć.

Zabrała tacę z filiżankami i odniosła ją do maleńkiej kuchni, a potem złapała torbę, wygładziła spódnicę i pończochy i poprawiła makijaż przy lustrze w wykafelkowanej na czarno łazience.

\* \* \*

W fontannach na Trafalgar Square nie było wody. Na kolumnie Nelsona umieszczono ogromny plakat nawołujący do jej oszczędzania. Jeszcze było jasno, ale już pod Duke of York's Theatre na St. Martin's Lane stała kolejka. Działał od niedawna, przywrócony do użytku po bombardowaniu w 1940 roku. Tytuł sztuki na afiszach: *Shadow and Substance*.

– Może powinniśmy na to pójść. Może by nam trochę pomogło – powiedział Xavier.

– Może. Myślę, że tematem jest wiara, choć to historia o Irlandii i Kościele katolickim.

– Wiara, no... wiara to coś, czego nie wolno nam utracić.

Iris, okropnie zmieszana, nie odpowiedziała. Jeszcze nigdy nie czuła się podobnie w obecności mężczyzny. A z nim... nie do końca wiedziała, co tu z nim robi. Nie był całkiem obcy, ale znała go tylko z krążących o nim opinii. I być może przez to była taka skrępowana, niezdolna do zadawania pytań czy też nawiązania niezobowiązującej, naturalnej rozmowy, z czym w innych okolicznościach nie miałyby żadnego problemu.

Z kolei Xavier łapczywie rozglądał się dokoła; ciekawiło go to, co dla Iris nie było niczym szczególnym. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej o wszystkim, co mijali, o nutach na wystawie, słowach i muzyce do westernu *Mexicali Rose*, piosenek *Hurry Home*, *If I Didn't Care*, haśle głoszącym: „Niech muzyka rozświetli zaciemnienie”. Jaką muzykę lubi Iris? Czy może gra na jakimś instrumencie?

Witryny sklepowe pozalepiano na krzyż taśmami. Ogromne torby z piaskiem oparto wzdłuż muru. Ona już przywykła do tego widoku, podobnie jak balonów zaporowych bujających na niebie nad centrum Londynu, ale dla Francuza, który działał po drugiej stronie linii frontu, w okupowanej Francji, to wszystko było nowe.

W Coquille znaleźli się w całkiem innym świecie wykrochmalonych białych

obrusów i srebrnych sztućców. Przytulna atmosfera niczym kokon izolowała od zewnętrznych realiów.

– Nic się tu nie zmieniło! – zawołał wyraźnie ucieszony. – Nie bądź taka spięta, nie ma powodu, żebyś była taka niepewna siebie.

Czy prowadząc tak ryzykowne życie, nauczył się wyczuwać nastroje i dlatego tak trafnie ją rozszyfrował?

– Przecież czuję się świetnie.

– Mam nadzieję, że jesteś głodna.

– Zawsze jestem głodna. Trudno nie być.

Rozmowy o sprawach związanych z pracą nie wchodziły w tym miejscu w rachubę, ktoś mógłby ich podsłuchać. Prawdopodobnie każdy, kto zauważy jego francuski akcent, dojdzie do wniosku, że jest jednym z Francuzów ze strefy wolnej, którzy licznie ściągali do Londynu. Zajął się menu, zachwycony, że mają tu przepiórki. Po przedyskutowaniu karty oferowanych win zostało wybrane czerwone bordeaux.

Kiedy kelner odszedł, Xavier przez kilka sekund milczał. Znow znalazła się pod obserwacją. Jego bliskość przyprawiała o zawrót głowy, choć robił wszystko, żeby poczuła się swobodniej.

– Czego oczekuje pani od życia, panno Nightingale?

– No... to dość zasadnicze pytanie.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek ktoś jej je zadał, i być może nawet ona sama jeszcze go sobie nigdy nie postawiła.

– Tak, może zbyt zasadnicze. Rozumiem.

Oparł skrzyżowane dłonie o stół. Były lekko opalone i wydawały się silne, ogorzałe od przebywania na świeżym powietrzu, co kontrastowało z eleganckim ubiorem. Nachylił się do niej i uśmiechnął.

– W takim razie opowiedz mi o swoim ulubionym miejscu.

Miał niski głos. Zamienił się w słuch, przez co wydała się sobie jeszcze bardziej nudna. Musiała jednak coś powiedzieć. Po chwili się opamiętała. Dlaczego nie ma się trochę zabawić? Czy to coś innego niż spotkania i rozmowy ze znajomymi pilotami? Co w nim tak niezwykłego, że jest jej o tyle trudniej?

– Mam takie miejsce nad rzeką na Embankment, gdzie chodzę, żeby spokojnie pomyśleć. Pewnie powinnam dać ci jakąś ciekawszą odpowiedź, ale jeśli wolisz szczerłość, to nic lepszego nie znajdę. A teraz opowiedz mi o swoim.

To nadal nie było pytanie, ale robiła pewne postępy.

Uśmiechnął się, jakby sama myśl o ulubionym miejscu sprawiała mu przyjemność. Miał proste i białe zęby, może nie całkiem idealne z przodu, gdzie na dole lekko na siebie zachodziły.

– Kiedy byłem chłopcem, miałem łódź, małą, wiosłową, ale dla mnie to był magiczny latający dywan. Zabierałem nią przyjaciół, skakaliśmy z niej do morza,

żeby popływać. Jednak lubiłem też wypuszczać się nią sam do zatoczki między skałami. Ojciec zrobił mi takie urządzenie, drewniane pudełko ze szklanym dnem, które mogłem wepchnąć do wody z boku łodzi i widzieć, co jest pod spodem, tak wyraźnie jak w kinie. To było zdumiewające. Godzinami wychylałem się za burtę. Plecy miałem coraz bardziej opalone, ciemne jak olejowane drewno, bo bez końca obserwowałem ławice ryb. Są tam ryby, jakich byś sobie nigdy nie wymyśliła. Nieprawdopodobne. W najbardziej egzotycznych kolorach, śmigające między skałami.

Zdawał się być daleko, kiedy o tym opowiadał. Obrazy, jakie przywoływał, tętniły życiem. Najpierw ryby, potem ptaki, owoce skradzione w sadach, kwiaty i sosny, i wszędzie, wszędzie, morze. Nigdy nie widziała takich krajobrazów. Lata za granicą spędziła wśród białych gór Szwajcarii i surowych groźnych dolin, w burych przemysłowych okolicach Lozanny i Montreux, wśród szarych, uporządkowanych ulic Zurychu. A teraz utknęła wśród mgły, błota i dymu Londynu pozbawionego kolorów przez wojnę.

Przyniesiono jedzenie, a on opowiadał jej o swoim chłopięcym marzeniu, by zostać rybakim i spędzać całe dni na morzu przez okrągły rok.

– Niestety życie pokazało, że to nierealne marzenia. Musiałem przestać śnić. Pojechałem na studia do Lyonu i zostałem inżynierem elektrykiem. Co dalej, na pewno dobrze wiesz.

Nagle spowaźniał. Popatrzył na zegarek.

– Mogę cię przeprosić na kilka minut? Muszę zadzwonić.

Znikł na o wiele dłużej.

Siedziała przy stoliku w radosnym uniesieniu, popijając małymi łyżkami dobre wino. W restauracji panował tłok, rozmowy stawały się coraz głośniejsze. Pomyślała o ryzyku, na jakie narażał się Xavier, i mimowolnie zadrżała.

– Dodzwoniłeś się? – spytała, kiedy wrócił.

– W końcu się udało.

Dolał jej nieco wina. Dostrzegła, że leciutko drżą mu dłonie. Cokolwiek zaszło, musiało zburzyć jego naturalną pogodę ducha. O nic nie spytała.

Na deser pogryzali kawałki sera i jabłek, a on wypytywał o jej rodzinę i Szwajcarię, życie towarzyskie w Londynie, choć czuła, że już nie całą uwagę skupia na niej.

Odwrócił się, żeby skinieniem poprosić o rachunek.

Zaproponował jej papierosa i podał ogień. Palili w milczeniu. Wpatrywał się w nią, aż spuściła oczy, jakby próbował jej coś przekazać, czego nie rozumiała.

– O co chodzi? – spytała wreszcie.

– Chciałbym cię o coś poprosić.

– No tak.

– Jesteś silna, prawda? Tak samo silna jak piękna.



Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Znowu wprawiał ją w zakłopotanie.

– Zastanawiam się, do czego zmierzasz tymi pochlebstwami.

Zawahał się, już miał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Zgasił papierosa w porcelanowej popielniczce w kształcie muszli i spytał wesoło, może trochę zbyt wesoło:

– To co robimy dalej, panno Nightingale?

Wzięła ostatni łyk wina.

– Na Charing Cross Rode w Akademii Sztuk Pięknych jest seria wykładów pod tytułem „Ciągłość angielskiego miasta”. Temat wydaje mi się bardzo ciekawy. Odbywają się codziennie, wstęp wolny. Polecamy to jako program doszkalający wszystkim naszym gościom.

Roześmiał się.

– Czy pani tańczy, panno Nightingale?

– Uwielbiam. Ale tylko w odpowiednich okolicznościach.

– A jest jakieś odpowiednie miejsce w okolicy?

– No... w operze w Covent Garden urządza się teraz dansingi. Wymontowali wszystkie fotele dla widowni. Dość szczególna sala. Z orkiestrą grającą na scenie.

– Chciałbym to zobaczyć – rzucił.

– Piechotą niedaleko. Mogę ci pokazać, którędy iść.

– Pewnie mogłabyś mnie doprowadzić.

– Oczywiście.

– A potem wejść tam ze mną.

– Żeby tylko popatrzeć, bez tańczenia?

– Wielka szkoda byłoby nie zatańczyć.

– Ale czy to właściwe, biorąc pod uwagę... to, czym się zajmujemy?

– Może i nie. Ale czy nie moglibyśmy na chwilę zapomnieć o ostrożności?

\* \* \*

W środku panował ścisk. Xavier kupił jej gin z sokiem pomarańczowym. Po wypitym winie drink szybko uderzył jej do głowy. Czowała się oszołomiona. To wydawało się zbyt piękne, by było prawdziwe, ten lekki dotyk na plecach, ciepło jego ręki na jej dłoni. Trudno powiedzieć, czy tańczył dobrze, czy nie, wokół kłębił się nieuważny tłum, tak spontaniczny jak to miejsce. Mężczyźni w mundurach, chichoty dziewczyn, głośna muzyka rozbrzmiewająca w przestrzeni stworzonej do przenoszenia dźwięków. Przebijali się niezdarnie przez oblegany parkiet, wpadając na inne pary.

– To do niczego. Lubię rozmawiać – powiedział. Złapał ją za rękę, kiedy schodzili z parkietu, i już jej nie puścił. – Przejdźmy się.

Londyn podczas zaciemnienia wyglądał jak kraina duchów. Na Piccadilly Circus nie było posążka Erosa. Schowano go w magazynach. W ultrafioletowym

światle reflektorów jakiegoś auta zabłyśły białe linie, którymi zaznaczono krawężnik. Czarne budynki wznosiły się wysoko jak dekoracje wymarłego teatru. Szli w kierunku Greek Park.

– Jutro muszę wyjechać z Londynu – zaczął.

Wiedziała, że nie ma co pytać dokąd. Milczała.

W parku pociągnął ją do cienia. Odgarnął kosmyk włosów z jej skroni.

– Żałuję, że nie mogę zostać.

Nachylił głowę. Jego pocałunek leciutko musnął jej wargi.

A kiedy się nie cofnęła, pocałował ją znowu i tym razem to było porażające, czułe, choć zaskakujące, nieposkromione i impulsywne.

– Odwiozę cię do domu.

Złapał taksówkę pod Ritzem i na czas krótkiej jazdy objął ją ramieniem. Zastanawiała się, co zrobi, jeśli będzie nalegał, że chce wejść na górę. Ale pożegnał się z nią szarmancko na chodniku Tavistock Square.

\* \* \*

Jak miała traktować to spotkanie? Co można myśleć o kimś ledwie poznanym, po jednym spędzonym wspólnie wieczorze? Ale jeśli to Xavier Descours? Przypomniała sobie, co mówiły o nim kobiety z Sekcji F; zdjęcia w teczce, które przyciągnęły ich uwagę. I z nich wszystkich wybrał właśnie ją. Gdyby się zorientowały, chciałyby koniecznie wiedzieć, dokąd poszli, o czym rozmawiali, jak to było być blisko niego, w centrum jego uwagi. Ale nie chciała im o tym opowiadać.

Nie była nawet pewna, czy powie Nancy, a w każdym razie o tym, co naprawdę ważne. O delikatnym dotyku jego palców, kiedy zapalał jej papierosa. O tym, jak jego wzrok stawał się łagodny w świetle niskiej lampy na stoliku. O tym, że idealnie do niej pasował, ani zbyt wysoki, ani zbyt niski. O naturalnej elegancji, z jaką podał jej palto i wyprowadził z restauracji w ciemność na zewnątrz.

Teraz to wszystko wydawało się jak piękny sen. Było niczym randka z gwiazdorem filmowym wykreowana dla gazet – jedna z czytelniczek będzie miała szczęście i zaszczyt... Nie potrafiła jednak otrząsnąć się z niepokojącego wrażenia, że nie wszystko jest tak, jak się zdaje. I o co chciał ją poprosić, nim tak nagle zmienił zdanie i umilkł?

*Sussex, listopad 1943 roku*

To było wszędzie, to poczucie osaczenia. Rowy wykopane w parkach, wyrwane sztachety, schrony i worki piasku na krańcach ulic. Schrony z cegły i betonu mogły pomieścić pięćdziesiąt osób. Wzdłuż ścian stały jedna za drugą sfatygowane drewniane piętrowe prycze. Na stacjach metra smród stłoczonych na źle wentylowanej przestrzeni ludzi dusił bardziej niż ohydna guma maski gazowej. Schrony Andersona w ogrodach nie były wiele lepsze. Ciemne i zimne jamy z przesiąkniętymi wilgocią, omszałymi drewnianymi ławkami.

Kiedy bomba trafiła w jezdnię w Balham, zostawiła krater ogromny jak w wulkanie. Sterczał z niego tylko tył autobusu, który wpadł do środka. Poskręcane przerwane szyny tramwajowe zwisały nad wyrwą, jakby teraz droga prowadziła do wnętrza Ziemi. Sklepy i domy straciły drzwi i okna, stały teraz otworem. Papiery i pudełka zmiotło z półek, cenne rzeczy uległy zniszczeniu, widać było wnętrza prywatnych pokojów z tapetami w kwiaty, zasłony powiewały na wietrze niczym flagi na znak kapitulacji.

Szare dni i miesiące zlewały się jej w jeden ciąg, wyprane z kolorów i radości, ale wspomnienie tamtego jednego wieczoru pozostawało wciąż żywe, coraz bardziej istotne; zajmowało coraz więcej miejsca w jej myślach, spychało na bok wszystko inne. Teraz widziała tylko ponure, zasnuwane dymem ulice. Wokół Mostu Londyńskiego było niewiele lepiej niż w Southwark opisywanym przez Charlesa Dickensa. Więzienia, włóczędzy, mury zakopcone od kolei parowej. Na cichych uliczkach w okolicy mieszkańcy nie mieli już szyb w oknach.

Przez wiele tygodni patrzyła na miasto oczami Xaviera. Czuła miękki dotyk jego moherowego płaszcza, jakby szedł obok niej, z jedną ręką w kieszeni spodni i kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy, kiedy mijała kolejkę pod Whitehall Canteen, obok National Gallery na Trafalgar Square, gdzie panie z towarzystwa podawały kawę pracownikom wojennym pod muralami Duncana Granta, i gdy ruszała dalej St. Martin's Lane w kierunku Coquille, teraz budzącego magiczne skojarzenia. Próbowała wyobrazić sobie, co on robi we Francji, zastanawiała się raz jeszcze nad niesformułowaną prośbą i przeżywała od nowa tamten pocałunek.

\* \* \*

W listopadzie zła pogoda się ustaliła. Księżyc był coraz mniejszy i tylko jeden lysander zdołał polecieć z Tangmere tam i z powrotem. Panna Acton spędziła dwa wieczory na lotnisku i wróciła do Londynu. Iris polecono zostać kilka nocy

dłużej, na wypadek gdyby udało się jeszcze zorganizować lot i zabrać z Francji trzech ludzi, jak planowano.

W Cottage radio było nastawione na stację muzyczną. Iris czytała i rozmawiała z Rorem i Jackiem, i innymi pilotami. Rozstawiony stół do ping-ponga był w stałym użyciu, rozgrywano niekończący się turniej mistrzów. Odbywały się też szybkie i zażarte zawody w rzucie lotkami (za sklejką, gdzie trafiały zbłąkane strzałki, kryła się tajna szafa z mapami Francji na jedwabnych chustkach i kompasami). Sierzanci udzielali kierowcom zgody na wożenie chętnych do pubu Unicorn w Chichester. Tamtejszy gospodarz był szczególnie gościnny wobec lotników RAF-u, trzymał dla nich butelki specjalnego bordeaux i burgunda i nigdy nie liczył za nie pełnej ceny. Na ścianach baru wisiały zdjęcia pilotów z tangmerskich eskadr i ich samolotu, choć nie lysandera.

Mgła zrobiła się jeszcze gęstsza. Kiedy stało się jasne, że tej nocy też nie będzie już lotów, poszła wiadomość: impreza w Bignor.

\* \* \*

Ukryte u stóp wzgórz South Downs Bignor Manor leżało niespełna pół godziny jazdy od lotniska i w pewnym oddaleniu od miasteczka. Mieszkał tam z żoną Barbarą major Anthony Bertram, jeden z oficerów, którzy przyjmowali loty w Tangmere. Był związany z MI6, ale tu, na prowincji w Sussex, gdzie finiszowały specjalne operacje lotnicze, na szczęście zapominano o rywalizacji międzywydziałowej albo tak się przynajmniej wydawało. Bertramowie mieli dwóch synków i w Bignor Manor panowała miła rodzinna atmosfera. Od czasu do czasu trafiali tam na okres rekonwalescencji francuscy wojskowi, a w każdym razie tak mówili gospodarze sąsiadom, gdy ci pytali. Wesoła i niezmordowana pani Bertram dawała wolne służącej i ogrodnikom i wieczorami krzątała się przy wszystkim sama, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Pomimo szumnej nazwy, ciężkiej kamiennej budowy i elżbietańskich korzeni dom nie był zbyt duży. Miał tylko cztery sypialnie, skromny, typowo wiejski podjazd i nie wyróżniał się niczym szczególnym.

– Chodź, Iris. Podwiozę cię na tylnym siodełku mojego motoru, jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczeć – zaproponował Jack.

– Na pewno się wybiorę, ale nie na tym gruchocie. Ostatnim razem miałam całe nogi czarne od sadzy!

– Ona pojedzie ze mną, prawda, Iris? – wtrącił się Rorey. – W ładnym bezpiecznym aucie z ministerstwa.

– Pod warunkiem że prowadzi Denise.

\* \* \*

Barbara Bertram była ładna i inteligentna. Wszyscy ją uwielbiali. Robiła co

trzeba, tak jakby nie sprawiało jej to żadnego trudu, opiekując się w największej tajemnicy wieloma osobami, a jednocześnie doglądając swojej gospodarskiej menażerii – kur, królików i kozy, kilku uli z pszczołami, psa i kota. Ostatnia szła spać i pierwsza wstawała z rana, ale zawsze miała czas przysiąść i porozmawiać, być czwartą do brydża albo pograć w rzutki z całym towarzystwem. Z uśmiechem smażyła jajka na bekonie nowo przybyłym o czwartej nad ranem. Synowie Bertramów nazywali Francuzów „Ulalalu” ze względu na ich dziwny język. Żaden z chłopców nie znał jeszcze francuskiego.

Ale zawsze pod pozornym spokojem kryło się napięcie związane z ryzykiem, które podejmowali goście, agenci pracujący w okupowanej Francji i członkowie tamtejszego ruchu oporu. Niepokój często przejawiał się drażliwością, zwłaszcza przy przedłużających się marnych prognozach pogody, kiedy stale trzeba było odraczać loty. I wtedy wyczucie pani Bertram było nieocenione. Dawała zastrzyk energii, przywracała radość życia i poprawiała nastroje, zapraszając do siebie. Hasło „Impreza w Bignor” cieszyło się wielkim powodzeniem. Zapowiadało kolację i tańce z dziewczynami służącymi w wojsku za kierowców, jak Denise, lubiana przez wszystkich rudowłosa śmieszka z dołeczkami w policzkach, która znała wszystkie najnowsze kroki. Trzeba dziękować Bogu za te dziewczyny, myślała Iris, to one rozładowały atmosferę, wносиły ducha zabawy, umilały wieczory, które mogły się stać nie do zniesienia.

Wsiadła do auta z Denise, Rorym i jeszcze jednym pilotem, którego nazywano Pieczęciowy, choć nikt właściwie nie wiedział dlaczego. Iris nigdy nie spytała, jak on się naprawdę nazywa. Pojechali w obstawie, przy ryku i ogłuszających wystrzałach z silnika towarzyszącego im Jackowego motocykla.

– Ten motor robi więcej hałasu niż armatki przeciwlotnicze – zażartował Rory. Jego wierna collie też jechała z nimi, położyła się u niego w nogach, gdy usiadł przy Iris.

Wszyscy byli w świetnych humorach.

– Czy byłby pan uprzejmy zdjąć dłoń z mojego kolana, poruczniku Fitzgerald? – zwróciła uwagę Rory’emu Iris.

– Nudziara. Bawić się nie umie i innym nie da.

Iris uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że będzie coś porządnego do jedzenia – wtrącił Pieczęciowy.

Rory podrapał suczkę po głowie.

– W Bignor zawsze jest coś dobrego. Prawda, Sam? Może i dla ciebie znajdują się jakieś resztki.

Pani Bertram bardzo troszczyła się o warzywnik i sad, żeby nakarmić wszystkich gości. Żaden owoc, który spadł z drzewa, się nie zmarnował, a wszystkie jadalne obierki były rozważnie wykorzystywane w kuchni. Niektórzy

Francuzi lubili prace w ogrodzie. Strzygli trawniki i wyrywali chwasty albo pomagali doić kozę Caroline, byle tylko czymś się zająć w oczekiwaniu na lot. Ogród warzywny był chwalebny przykładem międzynarodowej współpracy.

Pojawiło się dwóch mężczyzn niosących do jadalni stertę splekanych talerzy, wyszczerbionych spodków i szklanek.

– Cześć, kochani. Jak widzicie, nie ma szans na nową zastawę. – Pani Bertram westchnęła. – Ale miło mi oznajmić, że w dzisiejszym menu mamy zapiekanekę z bażanciną. Z dodatkiem królika.

– Choć miał to być sam królik – wtrącił Tony Bertram. – Lord Mersey wyraźnie powiedział, że na terenie posiadłości wolno strzelać tylko do królików.

– No, ale na linii strzału leciał bażant... – dodał mężczyzna z francuskim akcentem; rozkładał widelce i noże na długim stole, stojąc do nich plecami.

– O, co za pech! – zażartował Rory.

– W rzeczy samej – dorzuciła ubawiona pani Bertram. – Ale nie ma rady, musieliśmy zrobić to, co najlepsze w tej sytuacji.

Jak zwykle nie przedstawiła Francuza, nawet kiedy się do nich obrócił.

Iris aż się cofnęła, mile zaskoczona. To był Xavier. Jego niespodziewana obecność wywarła na niej porażające wrażenie. Stała jak wryta, uśmiechając się głupio, ale on od razu popatrzył w inną stronę.

– Whisky i gin z kantyny – powiedział Rory, sięgając za połę lotniczej kurtki i podając butelki.

– Przyniosę szklanki. Może przejdźcie do salonu? Kilku naszych gości siedzi już tam z drinkami. Reszta nadal jest w White Horse. Mają tam mecz na rzutki z drużyną z wioski. Ostatnim razem nieźle się spisali. A żeby pokazać, jakie to uczciwe, jeden z Francuzów zawiesił sobie rękę na temblaku, udając, że to ta jego lepsza, oczywiście. Tutejsi nie mogli się nadziwić, że tak świetnie radzi sobie lewą.

Iris patrzyła oniemiała na człowieka, którego obraz budowała sobie tak długo w wyobraźni. To było niemal żenujące. Jakby od razu odgadł, co jej chodziło po głowie w ostatnich miesiącach.

– Poznajcie się – powiedziała pani Bertram. – Muszę sprawdzić, co tam się dzieje w kuchni.

– My już mieliśmy przyjemność się spotkać – powiedziała Iris, czując na sobie uważne spojrzenie Rory'ego, kiedy wyciągnęła dłoń do Xaviera.

Uścisnął ją obojętnie.

– *Ma chère* mademoiselle, bardzo mi miło, ale myślę, że to jakaś pomyłka.

Jack był w salonie, częstując papierosami i popijając piwo. Przez otwarte szklane drzwi do ogrodu słychać było ożywione szczekanie Sam, co wskazywało na to, że znalazła sobie towarzystwo do zabawy. Iris z uśmiechem uścisnęła dłonie trzech kolejnych mężczyzn. Nie знаła żadnego z nich.

Piloci rozmawiali o wieczorze, kiedy Widmill Theatre dał przedstawienie

w koszarowym kinie. Tancerka z wachlarzami z piór, Phyllis Dixie, zadziwiła i zachwyciła wszystkich, niespodziewanie rozsuwając je i odsłaniając się pod koniec numeru.

– Publiczność szalała! – powiedział Pieczęciowy.

Mówił tym samym tonem co zwykle, ale Iris zauważyła jego nieobecne spojrzenie i zmęczenie w twarzy, kiedy opowiadał historię, którą słyszała już wiele razy. Pani Bertram krążyła z tacą, a on wziął sobie z niej dużą szklanekę whisky.

Jeden z Francuzów, pyzaty, z wąsami, jak wierny piesek wodził oczami za gospodynią, która skierowała się do kuchni.

– Wspaniała kobieta. – Westchnął. – Pierwszego ranka po moim przybyciu madame Barbara kazała mi oczyścić buty z błota na takiej metalowej kratce za tylnymi drzwiami. I wiecie, co zrobiła? Zebrała to błoto do skrzynki i wyhodowała w niej małe zielone listki... tak, teraz już znam ich nazwy, gorczyca i rzeżucha. I kiedy pojawiłem się tu tydzień temu, by wracać do Francji, wiedząc, że mi ciężko na sercu, poczęstowała nas, Francuzów, sałatką wyhodowaną na francuskiej ziemi!

Nic dziwnego, że ją kochali.

Iris słuchała uprzejmie, choć w głowie miała gonitwę myśli. Jeden z mężczyzn zaczął jej opowiadać, po francusku, jak z inicjatywy pani Bertram urządzono mecz na rzuty lotkami, kiedy dyskusje polityczne pomiędzy stronami o odmiennych poglądach zrobiły się zbyt nerwowe. Rzutki doskonale rozładowały napięcie, zapewnił; kiedy wojna się skończy, zamierza kupić sobie tarczę do gry.

Iris pomyślała, że może sama powinna przystąpić do tej konkurencji teraz, żeby się trochę uspokoić. Xavier stał i rozmawiał z mężczyzną, którego widziała pierwszy raz w życiu. Tak jakby kompletnie jej nie dostrzegał. Czy to możliwe, że nawet jej nie pamięta? Jeszcze nigdy nie czuła się tak rozczarowana.

Przyłączyło się do nich dwóch innych mężczyzn i jedna z kobiet prowadzących samochody, znajoma Denise. Iris zobaczyła, jak Xavier wita ją pełnym uznania spojrzeniem, po czym wraca do ożywionej dyskusji.

\* \* \*

Po kolacji wszyscy mężczyźni pomagali przy zmywaniu, rzucając do siebie talerzami, a pani Bertram tylko odwracała od tego oczy.

– Uważajcie, chłopcy. Och, po prostu nie mogę na to patrzeć! Macie pojęcie, jak trudno jest zdobyć dość naczyń, żeby dla wszystkich starczyło? Przecież miałam tu tego o wiele za mało!

W jednej z sypialni na górze wisiało lustro w drewnianej ramie. Dziewczyny przyczesywały przy nim włosy i malowały brwi. Na toaletkę nie było miejsca wśród tych ciasno poustawianych pryczy dla gości. Denise pudrowała twarz, gadając o Francuzach. Iris podpięła włosy wysoko, odsłaniając kolczyki. Miała na sobie ulubioną sukienkę, z grubej czesanej bawełny z drukowanym wzorem

w wiśni. Ta sukienka zwykle przynosiła jej szczęście, ale najwyraźniej jej magiczna moc dziś wieczorem zawiodła.

Druga dziewczyna przedstawiła się Iris.

– Jestem Aster. Irys i aster, dwa kwiatki do kompletu!

Była wesoła i bezpośrednia, jak niektóre szkolne koleżanki Iris, z którymi brak kontaktu w gruncie rzeczy ją cieszył. Ale trudno było nie powiedzieć w zamian czegoś miłego.

– Jaki ładny odcień szminki – pochwaliła.

– Dziękuję. To prezent z Paryża, lepiej nie mówić od kogo. Tak sędzę. Słuchaj, ten Francuzik na dole... niezły jest, co? Boski.

Iris nie mogła nie zauważyć, że Aster została posadzona koło niego przy stole. Przez te chichoty i dotykanie jego ręki miała ochotę chlusnąć na nich szklanką zimnej wody.

Zastanawiała się, czy spytać, o którego chodzi, ale to było tak oczywiste, że tylko zwróciłaby na siebie uwagę, a nie chciała zdradzić, co czuje.

– Rzeczywiście.

– Wiesz może, kto to jest?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Iris.

Zeszły na dół, gdzie Pieczęciowy starał się swoim niezdarnym francuskim wyjaśnić Xavierowi, jak pilotować lysandera.

– ...*et alors vous poussez ça, et vous tirez là... et Robert est votre oncle!*

– Zamierza pan posłużyć się jednym z naszych samolotów, monsieur? – spytała lekko Iris.

– On był pilotem – wyjaśnił Pieczęciowy.

– Naprawdę? – Iris przechyliła głowę.

– Owszem, mademoiselle. Obawiam się, że to już nieaktualne, bo od kilku lat zajmuję się czymś innym, ale przed wojną zdobyłem uprawnienia do pilotowania prywatnych maszyn.

Miała już spytać, gdzie uczył się latać, kiedy przymaszerował do nich Rory z Aster, oboje wyraźnie zirytowani faktem, że Iris tak uważnie słucha tego przystojnego Francuza.

Pieczęciowy dolał sobie whisky i zaczął opowiadać kolejne ulubione historie.

– ...pojedyncza sztuka, nie miał z nami szans, od razu został trafiony. Przeleciał jeszcze z półtora kilometra i z hukiem rąbnął o ziemię. Wskoczyliśmy do wozu i podjechaliśmy tam. To był dornier, wielki grat, rozpadł się na jakieś pięć kawałków. We wraku były trzy ciała i trzy ocalałe bomby. Na rozlanym paliwie ogień. Miałem załadowany pistolet, bardzo chciałem wziąć do niewoli żywcem jakichś Niemców... ale niestety.

Z gramofonu popłynęła głośniejsza muzyka. Piosenkarz śpiewał o urokach



Paryża i kwietniowego świtu. Siedząca na kanapie Iris przymknęła oczy i splotła dłonie, wpijając paznokcie w skórę.

– Modli się pani, mademoiselle? – zagadnął Xavier, stając przed nią. – A jeśli tak, to o co?

Nic nie odpowiedziała.

„Będę patrzył na Księżyc... ale będę widział ciebie...”, śpiewał gramofon.

Postanowiła, że o nic go nie zapyta.

Przez moment miała wrażenie, że patrzy na nią tak jak wtedy w restauracji. Ale nadeszła Barbara Bertram z tacą szklanek. Złapał ją za rękę i przycisnął do ust.

– *Chère* madame Barbara – powiedział z sympatią, odbierając jej tacę i zręcznie odstawiając na kredens. – Czy mogę prosić o zaszczyt, by zatańczyła pani ze mną?

Jego dobry nastrój udzielał się innym. Wkrótce wszystkie dziewczyny tańczyły.

– Jest niesamowity, co? – szepnęła Aster, kiedy skończyła wirować po pokoju z Xavierem.

Miała zaróżowione policzki od tańca w jego ramionach.

– Rzeczywiście, niesamowity – zgodziła się Iris z nutką ironii, co umknęło uwagi Aster, którą natychmiast porwał kolejny amator tańców, tym razem wąsaty pyzaty Francuz.

Nieprzewidywalny – taki był Xavier. Wszystkie oczy były skierowane na niego. Ta jego oliwkowa cera, uroda, swobodne zachowanie. Sypał anegdotami jak z rękawa i z zaciekawieniem słuchał, co opowiadali mu inni mężczyźni. Rycerskie maniery i uwodzicielski czar rozbrajały kobiety. Nawet suczka Sam nie potrafiła się mu oprzeć. Stale do niego podchodziła, żeby głaskała ją po głowie i brzuchu, aż wreszcie, biedaczka, przewróciła się na plecy w ekstazie.

W pewnej chwili Xavier wyszedł przez szklane drzwi do ogrodu. Iris dosłyszała stamtąd jakąś kłótnię po francusku, ale nie potrafiła rozpoznać głosów. Kiedy wrócił, wydawał się nieobecny, ale już po chwili znów był duszą towarzystwa, tryskał humorem, a niezadowolenie czające się w kącikach jego ust znikło bez śladu.

Podszedł prosto do niej.

– Może już czas, żebyśmy i my zatańczyli?

Iris podała mu dłoń i pozwoliła się otoczyć ramieniem. Delikatne opuszki jego palców ledwie muskały materiał jej sukienki na plecach, ale kiedy zaczęli tańczyć, Iris miała wrażenie, że stają się jednym. W jego ciepłej dłoni jej ręka była bezpieczna. Poczucie bliskości dziwnie mieszało się z zakłopotaniem. Popatrzył jej w oczy bez słowa. Kiedy odpowiedziała mu spojrzeniem, przyciągnął ją bliżej. Starła się skupić na tej chwili. Znów była w jego ramionach. Xavier Descours był człowiekiem z krwi i kości. Jak często żyjemy w pełni czasem teraźniejszym? Iris

miała wrażenie, że prawie nigdy. Na pewno za rzadko.

Czy to milczenie było dowodem wzajemnego porozumienia – czy też naprawdę jej nie pamiętał? Tańczyli dalej, udając nieznajomych.

Potem porwali ją Rory i Jack, a w następnej kolejności Pieczęciowy i znowu Rory. Pili i śmiali się, aż o mało się nie rozpląkała.

Następnej nocy księżyc, niczym latarnia morska, wzeszedł wcześniej, ale zaraz zasnuły go chmury i zaczął padać deszcz. Operacja musiała zostać odwołana. Nie będzie więcej listopadowych lotów.

\* \* \*

Pojawienie się Xaviera w Klubie 400 na Leicester Square zostało kilka dni później skomentowane w damskiej toalecie na półpiętrze Norgeby House.

Przybita Iris słuchała, jak jakaś dziewczyna, która od niedawna pracowała w biurze pułkownika Tyndale'a, opowiada o „niesamowicie uroczym Francuzie”, który tak często porywał ją do tańca, że aż nogi ją rozboleły. Tyndale przez cały ranek był w paskudnym nastroju. Teraz Iris wiedziała czemu. Według tej gadatliwej nowej maszynistki (być może odrobinę zbyt gadatliwej?) w czerwcu 1940 roku trwały spory z francuskim ruchem oporu. Odkąd generał de Gaulle powołał rząd na uchodźstwie, działał ich własny departament tajnych służb na Duke Street. Nie tolerowali, by ktokolwiek wtrącał się w ich sprawy, a już szczególnie Brytyjczycy. Sami przerzucali swoich agentów i tworzyli siatkę podziemia we Francji.

Pułkownik Tyndale, z wrodzonym poczuciem fair play, nie rozumiał, dlaczego generał de Gaulle tak często zachowuje się wrogo wobec kraju, który udzielił mu schronienia, dlaczego jest tak nieufny. Przecież mieli współpracować ze sobą dla dobra sprawy.

To był ciężki dzień i włókł się niemiłosiernie. Dopiero po dwudziestej pierwszej Iris dotarła za róg Tavistock Square. Sięgnęła do kieszeni torby, żeby namacać klucze, i o mało nie wpadła na niego w ciemności. Opierał się o ścianę na ganku przy wejściu.

– Iris?

– Kto to? – spytała, choć nikt inny nie mówił jak on, nikt inny nie mógłby jej tak zagadnąć.

– Jesteś sama?

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Przecież odwiozłem cię do domu taksówką, pamiętasz?

– Ja pamiętam. Ale myślałam, że ty zapomniałeś.

– Mogę wejść?

Pozwoliła mu chwilę poczekać w ciszy, zanim otworzyła drzwi i poprowadziła go krętymi schodami na poddasze.

W mieszkaniu było zimno. Iris podeszła do mansardowego okna głównego pokoju i sprawdziła, czy jest szczelnie zaciemnione kotarą, zanim włączyła lampę. Xavier stał przy drzwiach.

– Mieszkasz tu sama? – zapytał.

– Nie. Z przyjaciółką, Nancy.

– Prędko wróci?

Nancy wzięła wolne, żeby pobyc z Philem w Lincolnshire, ale Iris nie była pewna, czy powinien to wiedzieć.

– Możliwe.

Wzięła pudełko zapalek i przykucnęła na dywanie, by rozpać ogień w piecyku gazowym. Xavier był tak cichy, że na chwilę serce jej zamarło, miała wrażenie, że go tu wcale nie ma, że znów się jej wymknął albo że to wszystko jej się tylko przywidziało. Minęły cztery dni od czasu, kiedy zignorował ją w Bignor.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała, siląc się na obojętny ton.

Zrzucił palto i przysiadł przy niej na sfatygowanym dywanie.

– Wybacz mi... tamten wieczór.

– To udawanie, że mnie nie znasz? Na pewno miałeś swoje powody.

– Nie byłoby mądrze się zdradzić – powiedział.

Każdemu innemu kazałaby się wytłumaczyć. Gdyby był kimkolwiek innym, a nie Xavierem Descours, tak bardzo szanowanym kluczowym agentem, z o wiele wyższą pozycją w hierarchii. I tak siedzieli tylko zapatrzeni w taniec niebieskawych płomyków przy szumie płynącego gazu. A potem bardzo wolno odwrócił się do niej.

– Wolałabyś, żebym sobie poszedł?

– Nie.

Wydawał się nerwowy, co ją zaskoczyło. Nadal nie miała pojęcia, po co się tu zjawił, czy to naruszenie zasad służbowych, czy przyszedł tu w związku z jej pracą, czy też z powodów osobistych.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak, oczywiście.

– Ale...

– *Qui s'excuse, s'accuse*. Mów do mnie.

– O czym?

– O czymkolwiek. Byle nie o wojnie.

W pokoju zrobiło się ciepłej. Znalazła butelkę brandy. Pierwszy kieliszek rozładował nieco napięcie. A po drugim zaczęli się śmiać z byle czego i pletli trzy po trzy. Nie przesiedli się na stare fotele ani na sofę z marokańską narzutą; zostali na podłodze.

– Powinniśmy coś zjeść – powiedziała Iris. – Choć Bóg jeden wie co.

– Pani Barbara ma rację – stwierdził. – Powinniśmy cieszyć się, czym się da.

Udawać przed samymi sobą, że żyjemy tylko w czasie teraźniejszym, gdzie nie ma wojny, bestialstwa, terroru.

Iris uniosła kieliszek.

– Za teraźniejszość.

Zacząła opowiadać o sztuce teatralnej, którą widziała, ale zmieszało ją spojrzenie Xaviera. Przyglądał się jej ciekawie, wyczulony na każdy ruch. Po jakimś czasie oboje już tylko na siebie patrzyli, starając się zapamiętać każdy szczegół. Bardzo długo nie padło żadne słowo.

– To drobiazgi zdradzają człowieka – powiedział.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Najwyraźniej ściśle przestrzegasz zasad.

– A ty nie?

– Powiedzmy, że za bardzo się nimi nie przejmuję, podobnie jak możliwością porażki, katastrofy. Staram się zawsze widzieć pozytywne strony.

Mówił poważnie, bez cienia uśmiechu.

Nie dotykali się, ale czuła mrowienie. Zaskoczyło ją to. Miała wrażenie, że jest naga, pomimo ubrania. Zastanawiała się, czy powinna to jakoś przerwać.

Dywan wydawał się dziwnie szorstki pod jej ręką, kiedy lekko się poruszyła.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Miałem nadzieję, że mógłbym zostać tutaj.

Znow zapanowało między nimi ciężkie milczenie. Nie spieszył się, by je przerwać. Gazowe płomyki lekko syczały. Na dole trzasnęły drzwi, na schodach rozległo się tupanie. Pod domem przejechał jakiś samochód.

Pomyślała o barze niedaleko biura, gdzie spotykali się mężczyźni i kobiety z Sekcji F i inni pracownicy specjali. Wszystkie te przekazywane sobie z ust do ust „łóżkowe historie”. Nie miał powodu sądzić, że jest inna od tych dziewczyn, które żyły szybko w tych niepewnych czasach.

– Jeszcze nigdy tego nie robiłam – powiedziała.

W jego oczach pojawił się lekki uśmiech. Kpi sobie z niej? Ogarnęła ją fala niepokoju, która zaraz odpłynęła, gdy on, wreszcie, wyciągnął do niej dłoń. Pogładził leciutko opuszką palca jej policzek. Ten gest był tak czuły, że odczytała w nim przeprosiny.

Cofnęła się. Co w nią wstąpiło? Był tak bardzo inny od reszty mężczyzn. I bardziej doświadczony. To właśnie ją w nim pociągało.

Kształty pokoju zdawały się falować. Kafelki mieniły się w świetle płomieni, kiedy zbliżył się, by przyciągnąć ją do siebie. Poczowała na ręce ciepłą dłoń, która powędrowała dalej, by pogładzić jej nogę, kostkę. Zmieniła pozycję, teraz bardziej bojąc się już, że on przestanie, niż martwiąc się, że sama robi błąd. Delikatnie zsunął jej jeden but, potem drugi.

Nie czuła wstydu, to wszystko było czyste.

\* \* \*

Następnego ranka na Baker Street nadal czuła na sobie ciepło jego ciała. On jeszcze spał w jej łóżku na poddaszu. Zaskoczył ją jego dotyk – tak miękki, a jednocześnie silny, mięśnie i żebra, aksamit skóry. Zapach morza i ziół. Lekkie muśnięcia wywołujące doznania, których dotąd nie знаła. Zaskoczenie, że to się dzieje naprawdę, dreszcz emocji, że ośmieliła się na coś takiego, zmysłowy, upajający zachwyty.

Trudno było się skupić. Była oszołomiona, obolała, ale pełna euforii. Nie zastanawiaj się, co teraz, myślała. Czy on nadal tam będzie, kiedy wrócisz. To wszystko nie ma znaczenia, liczy się tylko to, że posłuchała instynktu i została nagrodzona.

Był na miejscu, kiedy przyszła po pracy. W lustrze zobaczyła swoje promienne odbicie, oczy jej błyszczały. Został na kolejne cztery noce.

Powiedziała o tym jedynie Nancy, kiedy ta wróciła z urlopu.

– To widać, poznałam od razu – stwierdziła Nancy. – Twój wygląd mówi sam za siebie. Cała promieniejesz.

Podpiekały na widelcach przy ogniu placki, które przywiozła z Lincolnshire.

– Xavier Descours... mój Boże, Iris, ale z ciebie numer.

– Nancy, nie wolno ci o tym pisać ani słowa.

– No pewnie. Wiesz, że nikomu nie powiem. A gdzie on jest teraz? Czy go poznam?

– Na kilka dni wyjechał. Chyba do Tempsford.

\* \* \*

Długo potem, kiedy Iris zaczęła się zastanawiać, czy pod wieloma względami się nie myliła, przynajmniej jednego była zawsze pewna – że intymna relacja z Xavierem dała jej wielką radość. Pragnęła go tak samo mocno jak on jej.

Kłopotliwe niejasności związane z tym, kim był, i ich szczególną sytuacją schodziły na razie na plan dalszy. Nie знаła jego prawdziwego imienia, mówiła do niego *chéri*, kochanie, nie chciała narażać go na niebezpieczeństwo pytaniami. To nie miało znaczenia. Wiedziała jednak, że jest zdolny do zdrady. Po pierwsze był żonaty, choć twierdził, że nieszczęśliwie i że nie ma dzieci.

– Najgorszy w małżeństwie jest kompromis. Wszyscy mówią, że bez kompromisów się nie uda, ale co, jeśli to oznacza duchową śmierć?

To też przypominała sobie długo potem, kiedy te słowa nabrały wagi przez jej własne doświadczenia.

– Żona cię nie kocha?

– Zależy jej na mnie. Nie w tym problem.

– A w czym?

– Dzieci... zawsze chciałem mieć dzieci, rodzinę. Ale jakoś się nie udało.

Mimo to Iris zgodnie z radą Nancy umówiła się na konsultacje w klinice Marie Stopes i zaopatrzyła się w krążek dopochwowy. Miał rację. Czas terażniejszy nie przynosi rozczarowań. A kto wie, co będzie za tydzień? Trwała wojna. To narzucało inne podejście do życia.

Razem cieszyli się chwilą. Kiedy przestał się tak bardzo pilnować, okazał się zdumiewająco kruchy.

– Stale gram, ale chcę, żebyś wiedziała, jaki jestem naprawdę, kochała mnie takim, jakim jestem... i wybaczyła mi to – powiedział.

Miłość. Była zdumiona, że tak szybko zaczął mówić o miłości. Nie spodziewała się tego. Nawet w tym nowym dla niej oszołomieniu, rozbudzeniu zmysłów, nie była tak zagubiona, by nie zdawać sobie sprawy, że mężczyzna taki jak Xavier Descours miał wiele romansów i dawał kobietom z siebie tylko tyle, ile chciał. Nie naciskałaby, żeby określił się w swoich uczuciach, nawet sama nie była pewna swoich. Czy to miłość, czy tylko euforia albo czyste pożądanie?

Nie był to zwyczajny związek i nie mógł taki być. Rozwijał się w ukryciu na poddaszu, w sekretnej enklawie prowadzonego w tajemnicy życia. W każdej chwili mógł zburzyć porządek tego bezpiecznego schronienia. Co on we mnie widzi? – zastanawiała się Iris. Czepiała się słów, które rzucał nieproszony, ale o nic nie pytała wprost, w obawie, by czar nie prysnął.

– Jestem niespokojnym duchem – powiedział, kiedy leżeli w łóżku w drugim tygodniu. – Ale przy tobie się uspokajam. Jesteś jak czysta źródłana woda w skwarny dzień.

Uznała, że uważa ją za nieskomplikowaną, podczas gdy sam jest wulkanem nerwowej energii.

– Ale chcesz mnie, prawda? – naciskał.

– Chcę, *chéri*.

Bardziej niż jakiegokolwiek mężczyzny, którego kiedykolwiek spotkała.

– Potrzebne mi to.

– Żaden inny nie zdołał zaciągnąć mnie do łóżka. Nie jestem tym typem dziewczyny, nie zauważyłeś?

– Rory mi mówił.

– Co? Nie powinien o czymś takim rozmawiać.

– Strasznie go upiłem.

– Niektórzy powiedzieliby, że nie wolno ci ufać – szepnęła leniwie, drocząc się z nim.

– Wygadują o mnie różne niestworzone rzeczy.

– Naprawdę?

– Nikomu nie dowierzam – powiedział, ale wynikało z tego, że jej jednej tak. – Choć bardzo wzrusza mnie dobroć wielu ludzi.

– Ten pierwszy wieczór w Coquille. Chciałeś mnie o coś poprosić, o co ci chodziło?

– Tak?

– Wiesz przecież.

– Nie pamiętam. Pewnie o jakieś głupstwo. Jak wyprasowanie koszuli. Albo o mapę Londynu z zaznaczonym na czerwono miejscem, gdzie mieszkasz.

Czasami trudno było zorientować się, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje.

\* \* \*

Znikł na parę dni i wrócił, co powtarzało się kilkakrotnie w tym miesiącu. Wkrótce był już grudzień. Starła się nie myśleć o tym, że Xavier prawdopodobnie niedługo wyjedzie.

Pewnego wieczoru dołączyli do towarzystwa zbierającego się w Dorchester Bar, hałaśliwej gromady pilotów, ich dziewczyn i różnych postaci przewijających się w firmie. Był tam Jack Wallace, a Iris rozpoznała też twarze kilku francuskich agentów, których spotkała w Tangmere.

Większość czasu spędziła na pogawędce z Jackiem. Jak zwykle trochę z nim flirtowała, choć peszyło ją, że robi to tylko po to, by nikt się nie domyślił, z kim przyszła. Xavier z kolei wymieniał krótkie uwagi z jednym z działaczy Wolnej Francji.

– Jak znajdziesz coś, co możesz zrobić, i wydaje się to działać, to chcesz to powtórzyć – mówił Xavier, kiedy przechodziła obok, żeby przywitać się z Denise, która właśnie przyszła.

Iris zwolniła kroku i pozwoliła, by Denise się do niej zbliżyła.

– Ciężko pracuję. Tak zostałem wychowany, by robić co w mojej mocy, i w ten sposób pomagać innym – usłyszała słowa Xaviera, który wyprostował się i lekko uniósł brodę.

– To nie kwestia pieniędzy?

– Nie w tym przypadku.

– Jesteś najbardziej cyniczną osobą, jaką w życiu spotkałem.

– Zapewniam cię, że bardzo się mylisz.

Na tym urwali i Xavier ruszył energicznym krokiem do baru. Ale, jak zauważyła Iris, jego typowa witalność przygasła. Kiedy około dwudziestej drugiej wrócili na Tavistock Square, zdawał się nieobecny. Nancy nocowała u koleżanki, kiedy Xavier był w mieście.

Iris zaparzyła herbatę, a on nie protestował jak zwykle. Niewiele mówił i palił jednego papierosa za drugim.

– W ostatnich latach moje życie rozsypało się jak domek z kart – powiedział wreszcie. Mówił gniewnym tonem, po francusku, tak jakby głośno myślał. – Nigdy nie chciałem złożyć broni. Ale nie wszyscy potrafią być tak ofiarni czy

zdecydowani, jak myślałem.

Iris słuchała bez słowa.

– Jak można zrozumieć, jakim wysiłkiem jest zdobycie szczytu, jeśli człowiek sam nigdy się nie wspinał? Im więcej ludzi o czymś wie, tym większe niebezpieczeństwo. – Zaciągnął się papierosem. – *Je suis entre deux feux*.

Między młotem a kowadłem.

Iris zapaliła papierosa i potrząsnęła zapalką, by ją zgasić, gdy nagle poderwał się niczym kot. Był już w drzwiach sypialni, kiedy w zamku drzwi wejściowych zachrobotał klucz. Weszła Nancy. Pełna wyrzutów sumienia przeproszała, że ich tak zaskoczyła. Nie mogła zostać tej nocy u Eileen, bo niespodziewanie przyjechała do niej rodzina.

Xavier szybko odzyskał spokój, nalał Nancy filiżankę herbaty i spytał, jak jej minął dzień. Jeśli był spięty, bardzo się starał tego nie okazać. Ale ta gwałtowna reakcja na najłżejszy szmer przy drzwiach mówiła sama za siebie. Można było sobie wyobrazić, jak wygląda jego pełne niebezpieczeństw życie we Francji. Później było mu głupio, próbował z tego żartować, ale Iris wiedziała, że naprawdę się wystraszył. To był jedyny raz, kiedy nie zapanował nad emocjami.

\* \* \*

Pięć dni później znów byli w Tangmere.

Szykowała się kolejna podwójna operacja z użyciem lysandera. Panna Acton i Iris wyprawiały po raz drugi sprawdzoną już w misji Thérèse, krawcową i kolekcjonerkę czasopism. Towarzyszył jej drugi agent, Yves. Xavier i jakiś reprezentant Wolnej Francji też wylatywali.

Nadano sygnał przez BBC, wspominając o Caroline, kozie z Bignor Manor: „Z mleka Caroline w tym roku robi się świetny ser”.

Było zimno, pogoda ponura, ale zapowiadano bezchmurną noc.

Podczas kolacji Xavier był w świetnym nastroju. Z tego, co mówił, wynikało, że bardzo chce wrócić do swoich ludzi we Francji. Opowiadał różne historie, na przykład o tym, jak Niemcy nakazali jednemu z rolników ułożyć stertę siana na polu, by nie dało się na nim wylądować. Ten wykonał rozkaz, ale umieścił stóg na platformie na kółkach. Przyjmujący samoloty mogli go przesunąć, a po akcji z powrotem przyciągnąć na miejsce.

Gdzieś indziej kazano robotnikom wybudować mur pośrodku wielkiego pola. Członkowie ruchu oporu przekonali ich, by ociągali się z pracami, bo do lądowania zostało niewiele czasu. W nocy pomagali rozmontować mur, a rano wybudować go z powrotem, jakby nigdy nic.

– Najtrudniej w ogóle znaleźć takie pola – powiedział Xavier. – Muszą mieć co najmniej sześćset metrów długości, a przecież nie można jeździć po okolicy i mierzyć wszystkich pól, sprawdzać, czy są dość płaskie i czy nie zalewa ich zimą



woda. Najlepsze miejsca wynajdują nasi ludzie przebrani w wiejskie stroje, którzy wędrują, udając grzybiarzy albo zbieraczy trufli. No i miejscowi, którzy najlepiej znają teren, oczywiście.

Agent Wolnej Francji i Thérèse słuchali uważnie, ale mówili niewiele.

\* \* \*

Thérèse była gotowa. Jeśli podczas drugiej podróży pełna świadomość, co ją czeka, była gorsza niż ślepy optymizm i odwaga przy pierwszej, to nie dawała tego po sobie poznać.

– Nie zapomnij wysłać moich kartek świątecznych za tydzień – powiedziała do Iris.

– Mam je wszystkie w szufladzie biurka.

– A tu jest jeszcze kartka urodzinowa dla matki, na dwunastego stycznia. Zapisłaś sobie?

Iris wzięła kopertę.

– Nie martw się. Zajmę się wszystkim.

– Dziękuję, Iris, dobra z ciebie kumpelka.

Iris ze współczuciem ucisnęła jej dłoń.

Z dala od innych Xavier po raz ostatni wziął Iris w ramiona. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że znów są na dywanie przed gazowym piecykiem na Tavistock Square. Czy ich związek był specyficzny, czy inne historie miłosne miały podobny przebieg – od cudownego zaskoczenia, poprzez zauroczenie, wzajemne oddanie aż po zderzenie z zimną rzeczywistością – a wszystko w ciągu jednego miesiąca?

– Wyślę ci wiadomość – powiedział.

Skinęła głową, wołała pocałować go raz jeszcze, niż tracić czas na słowa.

Delikatnie wyswobodził się z jej objęć, a potem znów przygarnął ją do siebie.

– Chcę, żebyś to wiedziała, Iris. Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak kochałem ciebie. Byłaś dla mnie światłem wśród tych ciemności.

Nie było więcej pożegnań. Po kilku minutach samochody zabrały ich na lotnisko, gdzie czekały już samoloty. Iris patrzyła, jak Jack wspina się do kokpitu i daje znak dłonią. Dwójka agentów z Sekcji F próbowała wcisnąć się na miejsca z tyłu maszyny, ale zarówno Yves, jak Thérèse mieli po dwie sztuki bagażu, w tym radiostację, spakowaną jak zwykle do małej walizki dla Thérèse. Nie mogli się pomieścić. Trzeba było szybko podjąć decyzję. Pogoda wkrótce się załamie, a w poprzednim miesiącu nie udało się wykorzystać pełni i teraz nie było wyjścia.

– Thérèse pojedzie ze mną do Châteaudun – powiedział Xavier. – Bez trudu wszystko załatwię, jak tam dotrzemy.

Zamieniła się z agentem Wolnej Francji i usadowiła z Xavierem ze swoimi walizkami.

Dym po ostatnich wypalonych papierosach snuł się w powietrzu, kiedy startowali. Po raz pierwszy Iris chciałaby wstrzymać całą operację, sprowadzić pasażerów z powrotem na ziemię. Uroniła jedną łzę, kiedy wracała do Cottage i zbierała pozostawione rzeczy: angielską książkę i czasopismo, pudełko zapalek Swan Vestas i podarte bilety na przedstawienie na West Endzie, na którym była z Xavierem dwa dni temu. Wsunęła je do kieszeni, a resztę rzeczy schowała w ukrytej szafce pokoju dziennego, by poczekały na powrót swoich właścicieli.

*Londyn, styczeń 1944 roku*

Z początku Thérèse się nie odzywała, ale Rose spełniła pokładane w niej nadzieje i spisywała się świetnie, nadając z Paryża. Od początku okazała się sumienna i odpowiedzialna.

Uwaga Operacji Specjalnych skupiła się teraz na północy i południu Francji. Od samego Churchilla przyszedł rozkaz, by potraktować priorytetowo dozbrojenie ruchu oporu nad Morzem Śródziemnym i na północy, w okolicach plaż Normandii. Przygotowywano inwazję aliantów.

Wreszcie na dalekopis na Baker Street dotarła wiadomość od Thérèse.

Panna Acton podała Iris odszyfrowany komunikat.

– Co o tym myślisz, tak na szybko?

Iris wzięła kartkę. Z sąsiedniego dużego pokoju dobiegał metaliczny stukot maszyn do pisania, który to przybierał na sile, to przycichał niczym fale. Thérèse miała „wizytę u lekarza w czwartek”. Na to właśnie czekali, by mieć pewność, że Thérèse jest w Lyonie, gotowa odebrać wiadomość od swojego kontaktu.

– Miała napisać „wizytę u dentysty” – złościła się panna Acton.

– I nie dodała żadnego z umówionych zwrotów – zauważyła Iris.

Panna Acton bawiła się piórem, jedynie na taką formę okazywania emocji sobie pozwalając. Wśród agentów we Francji zaczynało się plenić niedbalstwo, a wprowadzono nowe zasady: trzeba było dorzucić „adios” lub „salut”, by zaznaczyć, że wszystko w porządku. Jeśli nadawanie odbywało się pod przymusem, to należało zakończyć zwrotem „Love and Kisses” – pozdrawiamy, całusy. A Thérèse kompletnie to zignorowała, nie dodając żadnego zakończenia.

– Co jeszcze?

Iris wpatrywała się uważnie w wiadomość. Poza brakiem umówionych zwrotów wszystko było jak trzeba. Albo prawie.

Panna Acton wyszła i wróciła z Tyndale’em.

– Wyślijcie odpowiedź – mruknął. – Przypomnijcie jej o brakujących zwrotach.

– Ale przecież... – Iris nie chciała tego powiedzieć. Jak mogłaby wytykać szefowi podstawowy błąd? Spojrzała na pannę Acton, w nadziei że może ona zaoponuje.

– Głupia dziewczyna – stwierdziła panna Acton. – Spodziewałam się po niej więcej.

– To fatalna sprawa, jak można być tak nieuważnym – oburzył się

wyprowadzony z równowagi Tyndale. Jego podpuchnięte oczy zrobiły się jeszcze bardziej wyłupiaste, a twarz poczerwieniała. – Myślałem, że wbiłyście im dobrze do głowy wszystkie zasady.

– Ale Thérèse jest bardzo uważna, zawsze była sumienna – próbowała przekonywać Iris.

– Nie zawsze, jeśli dobrze pamiętam – najeżyła się panna Acton. – Kilka razy, kiedy ostatnio była w Tours, zapomniała ustalonych sformułowań.

– Z całym szacunkiem, to nie całkiem to samo, co brak umówionego zakończenia.

– Wyślijcie wiadomość – polecił Tyndale. – I zmuszcie ją do właściwej odpowiedzi. Bo inaczej nigdy się nie nauczy.

– A jeśli to nie przez zapomnienie? – spytała Iris.

Pióro panny Acton postukiwało wściekle.

– Przecież zapomniała, w ogóle nie napisała nic na koniec. Nie mogli jej złapać. Była z Xavierem Descours, nie mieli czasu nic jej zrobić.

„Proszę o ponowną wiadomość z umówionymi zwrotami. Bądź bardziej uważna”, kazano napisać Iris.

Po kilku minutach dostali odpowiedź z „Adios”. Po tym zdarzeniu informacje od Thérèse były wolne od błędów.

\* \* \*

Kiedy znów zdarzyło się coś podobnego, tym razem w wiadomości od Rose, Iris nie miała już wątpliwości, że coś poszło nie tak. Przy pierwszych nie do końca właściwie sformułowanych przekazach podpowiadała jej to tylko kobieca intuicja i Iris nie mogła wskazać nic konkretnego, zwłaszcza skoro Tyndale tak się upierał, że to zwyczajne niechlujstwo. Ale biorąc pod uwagę opanowanie Rose i jej sprawność, trudno było uwierzyć, że mogła zrobić się tak niedbała.

– Ręka nie kłamie – powiedziała panna Acton.

Iris wyciągnęła teczkę Rose z kartoteki, którą ostatnio uporządkowała, żeby w każdej chwili łatwo sięgnąć po informacje na temat cech szczególnych każdego z agentów, nawet charakterystycznych przerw między sygnałami i rytmu nadawania, kiedy posługiwali się kodem Morse’a. „Rękę” można było uznać za elektroniczny odcisk linii papilarnych.

Wydawało się, że wszystko jest w porządku.

– Ale przecież sama pani mówiła, że nie wolno nam całkowicie wykluczać możliwości celowego pominięcia zwrotów potwierdzających autentyczność przekazu – powiedziała Iris. – Ręka może być ta sama, bo to Rose wysyła te wiadomości, ale pod przymusem.

Panna Acton zawahała się.

– Wiem, że nie do mnie należy sugerowanie czegoś takiego, ale myślę, że

powinniśmy odpowiedzieć, pytając o coś osobistego – brnęła dalej Iris.

Tyndale'a nie było w biurze, co trochę ją ośmieliło.

– Może masz rację.

Ale kiedy wrócił Tyndale, zignorował wszystkie argumenty i tylko klął na czym świat stoi, a niektóre z jego inwektyw trafiły do Rose przez kanał w jego pełnej wściekłości ripostie.

\* \* \*

Kilka dni później kanadyjski agent Sekcji F o pseudonimie Roland przysłał informację po francusku. Tyndale odpowiedział krótko: „Dlaczego zmieniasz język? Nie rób tego”. Roland nadał kolejną wiadomość już po angielsku, pomijając zarówno zwrot potwierdzający jego tożsamość, jak i ostrzegawczy, co znów wywołało furję na Baker Street.

– Uzgodniliśmy, że zawsze będzie nadawał po angielsku, co mamy robić z tymi idiotami, którzy nie trzymają się instrukcji? – pienił się Tyndale.

Panna Acton tylko wzdychała ze zrozumieniem.

Iris pamiętała Rolanda z pewnego długiego popołudnia w Orchard Court. Przegadali wtedy parę godzin o teatrze. Był rośłym chłopakiem ze wsi w Górach Laurentyńskich, miał zdolności naśladowcze i lubił się pośmiać. Poszła z nim któregoś wieczoru do Playhouse na West Endzie na jakąś zwariowaną farsę, a potem zabrała go na spotkanie z Rorem i Jackiem, którzy przyjechali do Londynu. Wieczór był świetny, i nie bez znaczenia był tu też wypadek do nocnego klubu Bag O’Nails – Torba Gwoździ – który pokazali mu chłopcy, kiedy Iris ich zostawiła.

– Przekaż mu, że w torbie zostało jeszcze dużo gwoździ – powiedziała Iris, nawiązując do nazwy klubu.

Kiedy w odpowiedzi padło tylko suche dziękuję, Iris miała pewność. Roland, którego znała, wymyśliłby jakąś dowcipną ripostę.

– Jest niedobrze – stwierdziła.

Pokazała im notatki, które zrobiła w Orchard Court na temat jego zabawnych powiedzonek i poczucia humoru.

– Gdyby wszystko było w porządku, nie poprzestałby na uprzejmym „dziękuję”.

– Nadawanie jest niebezpieczne. To rozsądne, że ogranicza się do minimum – odpalił Tyndale.

Najwyraźniej tracił do niej cierpliwość.

Uparcie wierzył, że wszyscy agenci są bezpieczni. Inna sytuacja była nie do pomyślenia. Nie mógł stracić twarzy, a panna Acton go wspierała, podobnie nie potrafiąc dopuścić do siebie myśli, że się myli. Nadal przekazywano sobie drogą radiową informacje dotyczące planów. Na Boże Narodzenie nadeszły radosne

sygnały od Thérèse, Rose, Yves'a i Rolanda, podobnie zresztą jak od większości innych z Francji.

Pewnego popołudnia w toalecie dla pań na półpiętrze w Norgeby House Iris podsłuchiwała z kabiny szepty jakichś dziewczyn pracujących dla sekcji holenderskiej i belgijskiej. Martwiły się dziwną formą informacji radiowych docierających do ich wydziałów i nie wiedziały, co z tym zrobić. Bały się, że stracą pracę, a całe ich doświadczenie i wiedza pójdą na marne.

– Słyszałaś, co się stało z Penelope? – powiedziała jedna.

Iris wstrzymała oddech i zamieniła się w słuch.

– Przyszła wiadomość, że Anders roztrzaskał sobie czaszkę przy lądowaniu na północ od Antwerpii, potem były wiadomości na temat opinii lekarzy i wreszcie, że zmarł na zapalenie opon mózgowych. Penelope wypytywała o to. Jej brat jest lekarzem, rozmawiała z nim i to wszystko wydawało się nieprawdopodobne, bardzo dziwne jak na wypadek przy lądowaniu. Była pewna, że coś jest nie tak, ale nikt na górze nie chciał jej słuchać. W zeszłym tygodniu wylali ją za to, że „ulega emocjom, co utrudnia jej wypełnianie obowiązków służbowych”.

– Ale może, jeśli my wszystkie...

– Nie ma szans.

Iris wiedziała, że ta kobieta ma rację.

\* \* \*

W wieczór, kiedy spadła bomba, była na Waterloo Station, odprowadzała obiecującą nową dziewczynę na pociąg do Guildford. Zawyły syreny alarmowe, potem słychać było z oddali eksplozje, a później wszystko ucichło. Szklany dach dworca szerniał, światła przygasły. Rysujące się w półmroku sylwetki policjantów i żołnierzy przypominały upiory, z głośników płynęła muzyka, jakby to mogło rozproszyć ponurą atmosferę. Ogniki palących się papierosów błyskały w ciemności. Iris i nowa dziewczyna patrzyły na zegar. Dziesięć minut po planowanym czasie przyjazdu pociągu nadal nie było. Mijały je jakieś grupki biegnących, dyskutujących żywo ludzi. Komunikaty z głośnika w hali głównej odwoływały połączenie za połączeniem. Iris odnotowała w myśli, jak szybko dziewczyna straciła zimną krew. To było wielkie rozczarowanie.

Pociąg nie nadjechał. Utknął na trasie przywalony gruzami, kiedy bomby zrzucone na elektrownię Battersea chybiły celu. Rozerwały się z ogłuszającym hukiem, wstrząsając okolicą. Wycie syren zwiastujące nalot było spóźnione, ulice wokół zostały zrujnowane, wznosiły się nad nimi kłęby duszącego dymu. Jedna bomba spadła na piękny budynek, w którym mieszkała ciotka Iris, Etty. Wyciągnięto ją spod gruzów. Żyła, ale była ciężko ranna.

Przez następne tygodnie – gdy ciotka walczyła ze śmiercią, znad ruin unosił się dym i stale powtarzały się problemy z agentami we Francji, a zdanie na ten

temat na Baker Street było nieprzejednane – Iris nie dostała żadnych wiadomości od Xaviera. Kolejnym potwornym ciosem było zaginięcie Jacka Wallace’a. Prawdopodobnie zginął podczas nocnego lotu z Tempsford.

Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak kochałem ciebie. Teraz, kiedy myślała o tych słowach, a robiła to nieskończenie wiele razy każdego dnia, jej szczęście przyćmiewał ten niewdzięczny czas przeszły. Wyczulona na wszelkie odcienie słownej komunikacji, starała się wierzyć, że nie chodziło o kończącą się miłość do niej, ale możliwość, że Xavier już nigdy nie wróci.

Rose nadawała nadal. Radziła sobie wyjątkowo dobrze, systematycznie przekazywała informacje komórkom ruchu oporu w Paryżu. Czasami jej komunikaty bywały dziwne, co mogło mieć związek z zakłóceniami atmosferycznymi, ale trudno było tego uniknąć. Musiała nadawać o ustalonych porach, nawet jeśli warunki nie sprzyjały.

I nagle, podczas lutowej pełni, nieco po czwartej nad ranem, na lotnisko Tangmere wrócił lysander z niezapowiedzianym dodatkowym pasażerem. To była Thérèse. Wychudzona i posiniaczona, gotowała się ze złości, kiedy kuśtykając, weszła przez tylne drzwi do domku.

– Nie macie pojęcia, co? Nie macie bladego pojęcia o tym, co się naprawdę dzieje we Francji!

\* \* \*

Wyraźnie wyczerpana Thérèse działała napędzana nerwami i wściekłością. W Orchard Court jej sprawozdania wysłuchał pułkownik Tyndale z panną Acton. Iris robiła dokładne notatki.

– Kiedy tylko dotarliśmy do Francji, Xavier dowiedział się, że jego radiotelegrafistka w Prowansji została zdradzona. Niemcy ją zabili. Panowało straszne zamieszanie. Musiałam zdać się na niego, miał mi pomóc przedostać się do Lyonu i dołączyć do Charles’a, ale tam też zrobiło się gorąco. Xavier zdecydował więc, że zabierze mnie ze sobą na południe. Miałam zastąpić jego radiotelegrafistkę. Tylko że nie ujechaliśmy daleko. Aresztowali mnie, zabrali do Paryża. Próbowaliśmy was ostrzec, ale ignorowaliście wszystkie znaki... Londyn pozostawał głuchy jak pień.

– Kiedy cię aresztowali? – zapytał chłodno Tyndale.

– Zaledwie kilka dni po lądowaniu pod Châteaudun. Xavier kazał mi czekać na siebie w małej gospodzie, bo miał coś załatwić w okolicy.

– Chodziło o jego oficjalne interesy czy coś związanego z ruchem oporu?

– Nie mówił mi. Zresztą czy to ważne? Nie pojawił się w hotelu, gdzie mnie skierował, za to przyszło gestapo. Zabrali mnie, kazali mi wziąć ze sobą bagaż, w tym nadajnik radiowy. Wychodząc, zastrzelili na miejscu właściciela hotelu. Wepchnęli mnie do auta i powieźli do jakiejś siedziby SS w mieście. Spędziłam

noc w celi, a następnego dnia przetransportowali mnie do Paryża.

– Dokąd konkretnie?

– Na aleję Focha. Piękny budynek, bardzo luksusowy. Muszę powiedzieć, że gestapo świetnie się tam czuje. Uroczy niemiecki oficer o nazwisku Kieffer powitał mnie tam z honorami – powiedziała Thérèse. W jej głosie wyczuwało się potworną gorycz. – Pytał o pana, pułkownika Tyndale. Czy jest pan zadowolony z postępów, jakie robią agenci Sekcji F.

– Co za bzdury! Skąd mogą znać moje nazwisko i nazwę naszego wydziału?

– O, doskonale wszystko wiedzą. Kieffer wypytywał mnie szczególnie o przekazy radiowe: czy wszyscy są zadowoleni z ich jakości?

Iris krew zmroziło w żyłach. Spojrzała na pannę Acton i zobaczyła, jak ta zamyka oczy, jakby próbowała się uspokoić.

– Wiedzą wszystko o naszych działaniach we Francji. Na ścianie w jego biurze, gdyby ktoś miał wątpliwości, ile wie gestapo, jest coś, co przypomina wielkie drzewo genealogiczne. To my. Pokazuje wszystkie powiązania, kto kogo zna, kiedy i gdzie przybyli agenci. Jak współpracują ze sobą poszczególne komórki.

– To niemożliwe – rzucił Tyndale, ale już nie tak pewnym tonem.

– Trzymają w szachu sporo naszych wywiadowców. Wiedzą o nas prawie wszystko. Dali mi wybór. Albo będę współpracować i udawać, że nadal jestem na wolności, wysyłając informacje pod ich dyktando, albo czekają mnie tortury i więzienie. Wszystko odbywało się w sposób bardzo cywilizowany. Rozbili całą siatkę Prospera. Sporo jej członków pracuje dla Kieffera! Sądzę, że teraz SS, przez nasze nadajniki, dowodzi naszymi akcjami w Lyonie.

Panna Acton drżącymi palcami zapaliła papierosa. Gryzący, smolisty dym senior service'a zasnuł pokój mgłą.

– A Brytyjczycy grzecznie podsyłali im coraz więcej agentów na umówione lądowiska! – ciągnęła Thérèse. – Zdajecie sobie sprawę, że mają już Rolanda, tego Kanadyjczyka, i Yves'a? Mieli też Rose.

Było gorzej, niż mogli sobie wyobrażać.

– Nie było sensu im kłamać, wiedzieli już prawie wszystko. To było wypisane na ścianie. Jedyne, co mogliśmy robić, to udawać chętnych do współpracy i nie zdradzać nic nowego.

Tyndale rozpadał się na ich oczach.

– Ale mimo wszystko wychodziłam ze skóry, żeby was ostrzec. Kompletnie nie rozumiem, jak mogliście raz za razem ignorować moje sygnały! Ustaliliście zwroty sprawdzające, a potem zapomnieliście, co zostało umówione! To po co to wszystko?

Co mieli jej powiedzieć? Że Tyndale uznał ją za głupią dziewczuchę, która przez niedbałość pomija umówione frazy? Że nie rozpoznali sygnałów, bo nie



pasowały do ich ambitnych wizji udanej operacji?

– A ty... – zwróciła się do Iris. – Zawsze byłaś taka uważna... Jak mogłaś się nie zorientować, co się dzieje?

– No, tak naprawdę, to ja to widziałam... – Nie potrafiła dokończyć. Było jej potwornie wstyd.

– Co takiego? Zdawałaś sobie z tego sprawę? To czemu, do cholery...

Thérèse nie posiadała się z oburzenia. Już się nie hamowała, wyzwała ją od najgorszych, oskarżając ich wszystkich i Xaviera o zdradę.

– Uspokój się. Sporo przeszłaś, ale to już za tobą – powiedział zmieszany Tyndale.

Jak można się było spodziewać, najtrzeźwiej zareagowała panna Acton.

– Teraz najważniejsze, żebyśmy ustalili, co się dokładnie wydarzyło i kto jest w ich rękach.

\* \* \*

Kiedy okazało się, że Thérèse nie jest w stanie lub nie chce wnieść nic nowego i nie pomoże gestapo w dalszym rozpracowywaniu działań Sekcji F, bili ją i przenieśli na plac des Etats-Unis. Tam zamknięto ją w małym pokoiku na szczycie budynku, wykorzystywanym do przetrzymywania pojmanych, którzy mogli się im jeszcze przydać.

– Po alei Focha tu było prawdziwe więzienie. Pomieszczenia na górze przypominały cele. W całym ich szeregu siedziały same kobiety. Nie wolno nam było ze sobą rozmawiać, ale porozumiewaliśmy się, wystukując wiadomości kodem Morse'a na rurach. Pewnego ranka dziewczynę po mojej prawej stronie zastąpiła inna, a jej sytuacja dziwnie przypominała moją. To była Rose.

Iris zrobiło się niedobrze. Pochyliła głowę nad notatnikiem, starając się dokładnie zapisać każde słowo.

– Przez dwa tygodnie wystukiwałyśmy sobie wiadomości. Próbowaliśmy zrozumieć, co się stało i czy jest jakieś wyjście. Okna nie miały krat, ale do ziemi było bardzo daleko. Mimo to, biorąc pod uwagę rynny i niewielkie szczeliny w elewacji, uznałyśmy, że zejście do ogrodu nie jest niemożliwe.

– Obie widywałyśmy na dole ogrodnika. On patrzył na nas, a my na niego. W efekcie wszystko poszło łatwiej, niż planowałyśmy. Rose spytała, czy mogłybyśmy na zmianę wychodzić do ogrodu, choćby na pół godziny, i strażnicy się zgodzili.

I to właśnie pokornie robiłyśmy, wdzięczne za pozwolenie na spacer, przez kilka kolejnych tygodni. Kiedy strażnik upewnił się, że nie sprawiamy kłopotów, nie miał nic przeciwko temu, żeby wypuszczać nas razem, Rose i mnie, i podwoić nam czas na zażywanie odrobiny ruchu. Zaczął zalecać się do jednej ze służących i sami chętnie się przechadzali, kiedy miała przerwę na lunch. Pewnego dnia skryli

się pod drzewami. Wtedy zagadnął nas ogrodnik, a potem ruszyliśmy razem. Pchał taczkę pełną liści, a my szłyśmy obok. Przy ogrodzeniu rosły gęste krzewy. Nagle popchnął nas obie w ten gąszcz, ostrzegając, żebyśmy były cicho. Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje, to stało się tak szybko. Ale za krzakami, niewidoczne od strony ogrodu, były małe drewniane drzwi. Otworzył je kopniakiem i wypchnął nas na zewnątrz razem z taczką. Znalazłyśmy się nagle na cichej uliczce. Sięgnął w stertę liści i wyciągnął spod nich dużą torbę, po czym powiedział: „Teraz idziemy, szybko, ale nie wolno wam biec. Xavier czeka. Gdybyśmy musieli się rozdzielić, idźcie do Chat Noir na rue de Montreuil w jedenastej dzielnicy”.

Serce Iris zabiło mocniej na dźwięk imienia Xaviera.

W ciężkiej ciszy, jaka zapadła w pokoju, Thérèse podjęła swoją opowieść o ucieczce.

– Udało nam się przejść jedną ulicę, drugą, z każdym krokiem spodziewałam się krzyków, że mamy się zatrzymać, albo pisku opon, strzałów. Ale nic takiego się nie stało. Kiedy doszliśmy do głównej ulicy, zwolniliśmy i wmieszaliśmy się w tłum. Jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak bardzo, że w mieście jest tłok.

\* \* \*

Xavier czekał na nich na tyłach kawiarni Chat Noir. Przez miesiąc Thérèse się ukrywała. Potem zorganizował jej powrót.

– Uznał, że skoro o mały włos nie skończyło się to dla ciebie tragicznie, to nie dasz już rady? – spytał Tyndale. – Zrezygnował z planu, by zabrać cię na południe?

Thérèse popatrzyła na niego z pogardą.

– Przeszłam dość. Moja misja była nieudana od samego początku. Nie mogłam tak dalej, miałam zszargane nerwy, byłabym kulą u nogi. A poza tym musiałam wrócić i osobiście opowiedzieć wam, co się dzieje, bo inaczej byście nie uwierzyli!

– A te wiadomości, które dostawaliśmy od ciebie przez cały zeszły miesiąc?

– Nadawano z alei Focha. Mnie już tam dawno nie było.

Nikt nie musiał wspominać o informacjach, jakie zostały wysłane w odpowiedzi.

– Gdzie jest teraz Rose? – spytała panna Acton.

– To ona pojechała z Xavierem na południe.

Jeśli Iris spodziewała się, że pochwałą Xaviera za zaplanowanie tak niebywalej ucieczki, bardzo się myliła.

– Xavier Descours za dużo na siebie bierze – mruknął z ponurą ironią Tyndale.

Thérèse też wyraźnie nie była mu wdzięczna.

– Zlekceważył sobie moje bezpieczeństwo, zostawił mnie w tym hotelu

Châteaudun. Jeśliby mnie kto pytał, to z nim jest coś nie tak.

Z reakcji Tyndale'a i Mavis Acton jasno wynikało, że uważają zorganizowanie tej ucieczki za typowe dla Xaviera – jego wygórowanego pojęcia o tym, co do niego należy, i skłonności do podejmowania nadmiernego ryzyka. W tych niebezpiecznych czasach szybkie decyzje były konieczne, ale niektórzy uznaliby, że Xavier postąpił pochopnie, nie licząc się z nikim. Iris wzięła głęboki wdech i skupiła się na notowaniu.

\* \* \*

Dwa tygodnie później z radiostacji, która była już na liście podejrzanych, wysłano do Londynu wiadomość podpisaną: *Geheime Staatspolizei* – gestapo. Dziękowano w niej za ogromnie użyteczne informacje, dostawy i sympatycznych, rozmownych agentów. *Niektórych z nich, niestety, trzeba było zastrzelić, ale inni okazali się dużo bardziej chętni do współpracy.*

*Londyn, wiosna 1944 roku*

Zegar na Piccadilly Circus znajdował się w centrum reklamy Guinnessa. „Guinness jest zdrowy. Doda ci siłę”. Iris spróbowała tego piwa, ale po kilku łykach zrobiło się jej niedobrze.

Na deszczowych ulicach nie można było uciec przed nieprzyjemnym zapachem mokrej wełny i przesiąkniętych potem mundurów. Podróże metrem stały się nie do zniesienia. Nawet powietrze w biurze na Baker Street było tak nasycone zgnilizną zakurzonych, starych, zapisanych atramentem papierów, że aż ją mdliło. Tak jakby nagle wyostrzył się jej węch. Czy tak to wygląda, jak się jest psem?

Była w ciąży.

Kiedy Xavier znów przyjedzie do Londynu, powie mu o tym. Ich sytuacja nie była typowa, ale mimo to Iris wiedziała, że on się ucieszy. Tyndale posłał już wezwanie do Francji. Chciał, żeby Xavier jak najszybciej zrelacjonował, jak wygląda tam sytuacja, i wytłumaczył się. A on dokładnie naświetli im pewne ponure fakty, tego Iris była pewna. To on wie, z jaką brutalnością i niebezpieczeństwami trzeba stykać się w akcji, wie, co to działanie, ryk silników i terkot strzałów – podczas gdy Londyn tonie w cichej powodzi papierów i tajemnic.

– Zło jest jak wąż – powiedział jej Xavier, stojąc boso na dywaniku w jej sypialni. – Jeśli zamachniesz się na niego albo chcesz przydepnąć mu ogon, obróci się i cię zaatakuje. Trzeba mierzyć mu w głowę.

Nie miała wątpliwości, kto wyjdzie z tego starcia zwycięsko. Zawsze była uparta. Nigdy nie dajesz za wygraną, co? – mawiała jej matka, i zwykle to był wyrzut, a nie pochwała. Teraz Iris musiała zebrać wszystkie siły, szykując się na najbliższe miesiące i lata. Nie miała żadnych praw do Xaviera, ale to nie znaczy, że nie mogła myśleć z nadzieją o przyszłości.

Przede wszystkim musiała zastanowić się, jak przedstawić nowinę matce. Trzeba też powiedzieć pannie Acton, i to im szybciej, tym lepiej. Bała się tego okropnie, ale wykorzystwała już wszystkie sposoby, by ukryć ciążę pod ubraniem, dłużej się da.

Jednak Xavier ignorował wezwania z Londynu i nie wracał do Anglii. Od ucieczki Rose wycofał się z uczestnictwa w przerzutach lotniczych na północy i w centrum Francji i przeniósł się na południe, gdzie ruch oporu był najsilniejszy.

W Tangmere nadal zawzięcie organizowano loty, ale Iris posyłano tam rzadko. Sekcja F straciła wielu ludzi, sekcje holenderska i belgijska podobnie

ucierpiałły z rąk gestapo w tak zwanej „grze radiowej” – i ruch przede wszystkim dotyczył wywiadu MI6 i Wolnej Francji.

To właśnie jeden z Wolnych Francuzów, świeżo przybyły w kwietniową pełnię, dostarczył do Orchard Court paczuszkę. Portier przyniósł niespodziewany prezent, krzywiąc się z lekkim niesmakiem, bo papier był sfatygowany i porwany. Przesyłka była opakowana w plakat propagandowy partyzantki Francs-Tireurs, na którym nabazgrano nazwisko Iris.

Iris odwinęła papier. W środku była buteleczka perfum, zmysłowy lawendowy zapach z etykietą „Distillerie Musset, Manosque”.

– Czy dołączono jakiś list? – spytała, rozpaczliwie starając się zdławić w sobie nadzieję.

– Nie, żadnej karteczki nie było. Ale mężczyzna, który to przyniósł, coś powiedział.

– Tak?

– Że to od Xaviera.

– Nic więcej?

– Nie, panienko.

Nie zapomniał o niej. Przesunęła dłonią po butelce.

– Oj, ostrożnie.

– Słucham?

Portier schylił się i podniósł coś z podłogi.

– Wypadło z opakowania. Nie zauważyła panienska.

Miękka kopertka z czarnego aksamitu, pięć centymetrów długości, uszyta ręcznie. Nic dziwnego, że nie usłyszała, jak upada.

– Dziękuję – powiedziała.

Wróciła do biurka, zanim sięgnęła do aksamitnej torebki. Wyciągnęła naszyjnik. Pojedyncza perła na delikatnym złotym łańcuszku. Siedziała, wpatrując się jak zaczarowana w błyszczącą małą kulkę. Przez łzy widziała, jak połyskuje na tle aksamitu niczym miniaturowy księżyc na nocnym niebie.

Odpięła zamek i założyła wisiołek.

\* \* \*

A potem nic.

W końcu maja 1944 roku uzbrojone rakiety raz po raz pędziły z hukiem przez londyńskie niebo. W złowieszczej ciszy, kiedy zaczynały opadać, ludzie na dole mogli się tylko modlić, by nie trafiły w nich bezpośrednio, by utrzymały się choć kilka sekund dłużej w powietrzu i przeleciały jeszcze trochę dalej. Tam gdzie spadły, domy rozlatywały się niczym budowle z zapalek. Jakby na przekór zniszczeniom, na skrawkach zieleni pomiędzy dymiącymi ruinami wybuchała wiosna, ale nigdzie nie było poczucia bezpieczeństwa, nic nie było pewne.

Iris zwolniono z Sekcji F. Nie chciała, nie mogła pozbyć się tego dziecka. Choć zastanawiała się, jakim cudem da sobie radę. Ale w końcu się opamiętała. Ile kobiet znalazło się w podobnej sytuacji? Ile jest młodych wdów? Będzie tylko jedną z wielu. To niełatwe, oczywiście, ale poradzi sobie. Jaki ma wybór? List do matki sprowokował cztery strony wyrzutów i inwektyw pocztą zwrotną, co nie pozostawiało złudzeń, że z tamtej strony nie mogła spodziewać się wsparcia.

– Wiem, że nie mogę liczyć na ślub z Xavierem i prawdopodobnie w ogóle na żaden związek – zwierzyła się Nancy. – Ale chcę mu powiedzieć.

Tyle wokół nich śmierci. Co można zrobić innego, jak starać się zrównoważyć to nowym życiem, jeśli jest już ono dane?

– Naprawdę nie ma szans, żebyście byli razem? – spytała Nancy.

Iris dotknęła perły na szyi, by dodać sobie odwagi.

– Nie mam pojęcia, ale kto wie? Czy w ogóle można być czegoś pewnym w tych czasach?

\* \* \*

Kiedy w sierpniu Francja została wyzwolona, a dziecko miało się urodzić lada dzień, Iris zdobyła się na śmiałość i zadzwoniła do panny Acton, by spytać o wieści, ale jedna z sekretarek, dawniej zawsze uprzejma, szybko ją zbyła. Powiedziała, że może zostawić wiadomość, ale musi liczyć się z tym, że pewnie nie dostanie odpowiedzi. Iris czuła, że kobieta po drugiej stronie linii traktuje ją z wyższością osoby nieskazitelnej moralnie.

Dziecko przyszło na świat na początku września. Była to dziewczynka i dostała imię Suzanne. Iris przeprowadziła się z Nancy do dolnej połowy zniszczonego w bombardowaniu domu na Chester Row, obok Sloane Square. Był w nie najgorszym stanie, ale drewniane elementy wypaczyły się od siły wybuchu, schody wznosiły się więc krzywo i rzadko które drzwi normalnie się zamykały. Ale im to nie przeszkadzało. Czynsz był niski, a inaczej nie mogłyby sobie pozwolić na tak przyjemną lokalizację.

Jednym z pierwszych gości był Rory Fitzgerald. Iris miała pełną świadomość, że dawni koledzy sporo dyskutują o jej sytuacji. Większość była co najmniej zaskoczona, prawie wszyscy w głębi duszy współczuli jej, że przekreśliła sobie szanse na uczciwe małżeństwo, kilku publicznie stwierdziło, że jest skończoną idiotką. Ale nie Rory. Pojawił się z bukietem czerwonych dali z Yorkshire, misiem dla Suzanne i czułym uśmiechem. Tak się ucieszyła na jego widok, że z rozpędu o mało nie zgodziła się wyjść za niego, kiedy poprosił ją o rękę. Ale po chwili rozsądek wziął górę i odmówiła mu tak delikatnie, jak to tylko możliwe. Za bardzo był związany z tym wszystkim, co wciągnęło ją do świata Xaviera. Mężczyzna, którego musiałaby pokochać, kojarzyłby się jej zawsze z tym, którego wciąż kochała.

Jeszcze raz próbowała skontaktować się z Mavis Acton, z podobnym skutkiem jak poprzednio. Napisała do niej list, zaadresowany na Baker Street, z dopiskiem na kopercie „prywatny”, powtarzając raz jeszcze, że chciałaby pomóc w jakiś sposób, na ile tylko jest w stanie, i podając swój nowy adres. Nie dostała odpowiedzi.

\* \* \*

Trzymała w ramionach ciepłe, pulchne ciało, czując szew flanelowej koszulki nocnej córki i miękkość jej stópek. Objęła małe różowe paluszki dłonią, a dziecko poruszyło się i mocniej wtuliło w nią z cichym westchnieniem zadowolenia.

Czasami zdawało się, że to dziecko jest jedyną kolorową częścią życia, jaka jej pozostała. Reszta straciła barwy i jawiła się jako monochromatyczne wspomnienia z wojny i obecne straty. Tylko tyle zostało jej po Xavierze.

Teraz, kiedy to się skończyło, wielkie, doniosłej wagi wydarzenia wojenne zdawały się bez znaczenia wobec głęboko przeżytych, bolesnych, skromnych osobistych doświadczeń, które dały jej to nowe życie. Pierwszy pocałunek podczas zaciemnienia w Green Parku zajmował więcej miejsca w jej myślach niż wszystkie te dni pracy na Baker Street. Noce na poddaszu przy Tavistock Square świeciły jaśniej niż płomień nad zbombardowanym Londynem. Całkowicie utraciła zdolność widzenia właściwych proporcji zdarzeń. Bóle porodowe były do zniesienia dzięki wyzwoleniu Francji i nadziei, że Xavier wróci.

Na głośne stukanie do drzwi aż podskoczyły.

Było to tydzień przed Bożym Narodzeniem. Nie spodziewały się gości.

– Ja pójde otworzyć – powiedziała Nancy. – Tobie tak tu dobrze, że lepiej się nie ruszaj.

– Pewnie to kolejni kolędnicy. – Iris westchnęła. – Choć nie można mieć pretensji do biednych dzieciaków, że wszelkimi sposobami próbują zarobić parę pensów.

Ale już kiedy to mówiła, zdała sobie sprawę, że zza drzwi wcale nie słychać wątlých głosików intonujących kolędę.

Nancy wróciła z Mavis Acton.

Iris wstała, trzymając dziecko na rękach.

Panna Acton rzuciła okiem na Suzanne i bez żadnych komentarzy zwróciła się do Iris, jakby ta nigdy nie przestała pracować na Baker Street.

– Dostałam twój list. Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości.

Iris przełknęła ślinę, wdzięczna za rzeczowy ton. Im mniej okazywania emocji, tym lepiej. Ze współczuciem panny Acton sobie poradzi.

Jej była pracodawczyni przyjęła propozycję herbaty, a Nancy wymknęła się, by ją zaparzyć.

Panna Acton zdjęła swój elegancki płaszcz i usiadła przy kominku, przechodząc od razu do rzeczy.

– We wrześniu pułkownik Tyndale i ja pojechaliśmy do Paryża, by zorganizować punkt zbiorczy w hotelu Cecil, gdzie mogliby się zgłaszać nasi ludzie. Nadal nie wiedzieliśmy nic o losie około stu agentów Sekcji F, w tym szesnastu kobiet. Z początku wracali jeden po drugim. Przez kilka miesięcy niemal połowa się zgłosiła, większość opowiadała wstrząsające historie.

Objechaliśmy rejony, gdzie działali nasi ludzie, zbieraliśmy informacje i gratulowaliśmy, raczej na przekór generałowi de Gaulle'owi, który niechętnie widzi we Francji brytyjski wywiad i umniejsza rolę, jaką tam odegraliśmy. Najwyraźniej zdecydował się podsycać mit, że lud francuski powstał i zrzucił jarzmo niewoli bez żadnej pomocy z zewnątrz. To bezwstydną, naprawdę.

Iris przyszła do głowy buntownicza myśl na temat celu wyprawy Tyndale'a. Może pułkownik chciał mieć pewność, że wszelkie ślady jego nieudolnych działań w Londynie zostaną bezpowrotnie zatarte.

– Stopniowo w Paryżu zgłaszało się coraz mniej osób. Zaczęliśmy podawać nazwiska naszych zaginionych wszystkim organizacjom, które się zajmowały takimi sprawami, szukaliśmy głównie przez Czerwony Krzyż. Wzięci w niewolę niemieccy oficerowie i agenci byli przesłuchiwanymi przez wojska alianckie. Zaczęliśmy przeglądać ich zeznania, porównując ich wersje zdarzeń z tym, co wiedzieliśmy z własnych źródeł, szukaliśmy wskazówek, żeby zbudować pełen obraz.

Panna Acton spojrzała na dziecko, nadal nie potrafiąc zdobyć się na to, by skomentować związek dziewczynki z całą tą historią.

– Większość zaangażowanych w to mężczyzn z MI6, SIS i Ministerstwa Spraw Zagranicznych jest przekonana, że agenci, którzy jeszcze się nie zgłosili, prędzej czy później dotrą do kraju. Ja jestem innego zdania. Uważam za swój obowiązek zostać na miejscu, aż ustalimy, co się z nimi dzieje, szczególnie jeśli chodzi o kobiety, które wysłaliśmy do Francji. Tymczasem... niektórzy próbują dyskredytować moje starania.

To „moje” było znaczące. Tyndale jakoś znikł ze sceny. Iris od razu zrozumiała, jaką dostaje szansę.

– Będzie pani potrzebna pomoc – powiedziała.

– Powiadomiłam Ministerstwo Wojny, a raczej to, co z niego pozostało, że potrzebuję biura i asystentki na czas na razie nieokreślony.

– Zgadza się.

– Jak dasz sobie radę? – Panna Acton skinęła głową w kierunku Suzanne.

– Jeszcze nie wiem, ale dam.

Weszła Nancy. Nie po raz pierwszy Iris zdała sobie sprawę, że nie byłaby w stanie wiele zdziałać bez przyjaciółki. To była najlepsza szansa na to, by



dowiedzieć się, co się stało z Xavierem. Obie to rozumiały. I o Rose, która pojechała z nim na południe. Rose również była na liście tych, którzy przepadli bez wieści.

\* \* \*

Dobre chęci zaprowadziły na manowce, popełniono błędy. Panna Acton miała dość klasy, aby to przyznać, co jednak przerastało możliwości wielu mężczyzn. To było żenujące, ten brak woli, by poszukiwać zaginionych. Tak jakby wiedzieli, że należy to zrobić, ale nie byli w stanie albo nie potrafili się na to zdobyć. Mogli jednak ratować twarz, pozwalając kobietom pójść za ich sentymentalnymi instynktami. Choć jednocześnie deprecjonowali ich wysiłki. Trzeba oddać wielki honor pannie Acton, bo mimo wszystko nie rezygnowała, nie bacząc, że inni uważają to za dziwactwo.

Tej zimy panowała tak mroczna atmosfera, jak ciemne były dni. Padały oskarżenia o zdradę i kolaborację. Trudno było zweryfikować fakty. Francuska policja przejęła niemieckie archiwa i ograniczyła dostęp do nich Brytyjczykom. Stale powtarzano im, by trzymały się od tego z daleka, przestały domagać się dokumentów dotyczących akcji z ostatnich lat. Im więcej kłód rzucano im pod nogi, tym bardziej zawzięcie prowadziły swoje śledztwo.

Iris zostawiła Suzanne z Nancy i pojechała do Paryża, gdzie razem z panną Acton (nie padła propozycja, by zwracać się do niej po imieniu) udały się wraz agentem SIS na plac des Etats-Unis 3a, do budynku, który służył za więzienie gestapo i gdzie przetrzymywano Rose i Thérèse, skąd potem uciekły. Pokazano im ślady krwi na ścianach; pewnie była to też krew niektórych agentów SOE, których już nigdy potem nie widziano żywych.

Towarzyszący im agent SIS uratował się, bo zamierzano go dalej przesłuchiwać. Udało mu się uciec dzięki temu, że zaprzyjaźnił się ze strażnikami. Wydostał się z ogrodu przez tę samą furtkę co dziewczyny. Jeden ze strażników, Rosjanin zwerbowany na froncie wschodnim, dał się przekupić i zostawił ją otwartą. Zbieg ukrywał się w Paryżu aż do wyzwolenia miasta.

Najświeższe informacje mieli Polacy. Poprzez kolegów z polskiej sekcji po raz pierwszy usłyszały o Ravensbrück.

– Kiedyś zdawało mi się, że najgorsze, co musiałam robić, to wszywanie do mankietów koszul trucizny. Wysyłani mężczyźni wiedzieli, że będą torturowani, jeśli wpadną w ręce wroga. Teraz mam świadomość, że te tabletki to było błogosławieństwo – powiedziała Iris Nancy, kiedy wróciła.

Coraz wyraźniej widziały, co mogło stać się z więźniami przetrzymywanymi za szpiegostwo. Pojawiało się coraz więcej dowodów na to, że wielu z tych zaginionych mężczyzn i kobiet zostało deportowanych do Niemiec i trafiło do obozów koncentracyjnych.

\* \* \*

W Paryżu zabito ponad czterysta osób powiązanych z siatką Prosper zbudowaną przez SOE – i wiele tropów prowadziło do Xaviera, choć informacje często były sprzeczne.

Pewnego pochmurnego popołudnia, w prywatnym pokoiku nad nierzucającą się w oczy kafejką niedaleko Gare du Nord, panna Acton i Iris wysłuchiwały zeznań dawnego członka ruchu oporu z okręgu Włóczykija, który miał siedzibę w Tours. Był to starszy pan, z zawodu zegarmistrz, często bywał w interesach w Paryżu. Siwe włosy, pyzate policzki i porysowany czerwonymi żyłkami nos nadawały mu niewinny, dobroduszny wygląd. Ostatni raz widział Rose w lecie 1943 roku, krótko po jej przyjeździe do Francji. Znał też Xaviera.

– Descours pojawił się dokładnie wtedy, kiedy zaczynały się operacje lotnicze w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Lądowiska wybierane we Francji przez członków ruchu oporu, którzy nie byli pilotami, nie spełniały wymogów. A Descours miał licencję pilota i wiedział, co jest potrzebne. Powiedział, że zajmie się tym, i dotrzymał słowa. Robił wrażenie. Zawsze krążyły słuchy, że ma jakieś powiązania z gestapo – ciągnął zegarmistrz. – Ale przyjrzelśmy się jego działaniom we Francji. Zobaczyliśmy tylko, że zdziałał więcej dobrego, niż wyrządził szkód. Przetransportował bez strat ponad stu agentów. To prawda, że był z niego... jak to się mówi, niezły ryzykant, ale na tamtym etapie takie podejście było uzasadnione. Żeby działać skutecznie, trzeba było balansować na linii. A on sporo dokonał.

Zegarmistrz zapalił fajkę.

– Niektórzy go nie lubili. Zastanawiali się, czy można mu ufać.

– Dlaczego? – spytała rzeczowo panna Acton.

– Gestapo w Paryżu za dużo wiedziało. Musiał być tu jakiś podwójny agent. Ktoś, kto dokładnie wiedział, kiedy i gdzie spotykają się agenci.

– Ma pan jakieś przypuszczenia, kto to mógł być?

– Osobiście to nie.

– Ale niektórzy podejrzewali, że to Descours?

Starszy pan rozłożył swoje schludne, pewne dłonie.

– Okoliczności mogły na to wskazywać. Zadawano sobie pytanie, jak można było przelecieć nad okupowanym krajem i nie zostać wykrytym. Dlaczego tak niewiele samolotów zostało zestrzelonych? Niektórzy doszli do wniosku, że Niemcy wiedzieli o tym od początku i pozwalali samolotom lądować.

– Przypuśćmy, że to prawda – powiedziała Iris. – Ale jeśli pomyśleć logicznie, to przecież jakiś kontakt z niemieckimi władzami był złem koniecznym. Może to Niemcy byli stroną wykorzystywaną.

– Racja. Wszyscy wiedzieliśmy o wysokim rangą oficerze, który za każdym

razem, jadąc na urlop, szmuglował złoto. Przyczepiał mu je po wewnętrznej stronie zębów francuski dentysta. Nie miał wyjścia. Musiał świadczyć tę usługę, ale nie był kolaborantem. Niemiec tak go cenił, że często zapraszano go na kolacje do klubu oficerskiego, gdzie miał dostęp do różnych informacji, które, ma się rozumieć, przekazywał naszej siatce.

Iris skinęła głową, serce jej waliło. Xavier opowiadał jej tę historię.

– A skąd pochodziło to złoto? – spytała, przypominając sobie, jakie obrzydzenie budziła w jej ukochanym myśl, że to stopione resztki biżuterii deportowanych Żydów.

– Lepiej nie pytać – powiedział zegarmistrz. – W każdym razie gra mogła się toczyć o wyższą stawkę.

– Co ma pan na myśli?

– Tylko to właśnie. Chodziły słuchy, że Xaviera Descoursa widziano na alei Focha i nie jako więźnia gestapo. Przeciwnie, podobno był w bardzo dobrych stosunkach z jednym z tamtejszych oficerów, Kiefferem.

\* \* \*

Kiedy nabiera się podejrzeń, trudno odzyskać całkowite zaufanie. Iris wracała myślą do czasu, który spędziła z Xavierem, i zastanawiała się nad każdym szczegółem w świetle tego, co teraz było wiadomo. Musiała przyznać, że sporo zdarzeń mogło budzić wątpliwości. Im więcej odkrywała, tym trudniej było jej widzieć go takim jak dawniej. Był równie trudno uchwytny obecnie, kiedy zniknął, jak wtedy, gdy podejmował brawurowe akcje.

Ale zaraz przypominała sobie jego pewność siebie i energię. To, jak potrafił znosić presję. Tajemny charakter wszystkiego, co robili. A także jego skrywany smutek. Unikanie rozmów o swojej rodzinie. Głęboko tłumione emocje, kiedy mówił o stronach rodzinnych, gdziekolwiek one były.

Iris zawsze miała wrażenie, że on kocha niebezpieczeństwo tak samo, jak kocha ją. Był egocentryczny, buntowniczy i uparty. Być może to właśnie ją w nim pociągało.

– *Qui s'excuse, s'accuse* – powiedział jej kiedyś. Kto się tłumaczy, ten sam się oskarża.

I rzucił też: „Wygadują o mnie różne niestworzone rzeczy”.

Kiedy wróciły do Londynu, podziękowano im za starania i poradzono, by teraz zajęły się pracą społeczną. Szef Departamentu Bezpieczeństwa poprosił o archiwa Sekcji F, a panna Acton stanowczo się temu sprzeciwiała. Czas uciekał, miały go coraz mniej na swoje poszukiwania.

– Trzeba będzie złamać zasady – oświadczyła panna Acton.

Zasady zostały złamane już na wstępie, by przerzucać agentów SOE, szczególnie kobiety, do Francji. Dostawały mundury kobiecej jednostki wojskowej

FANY, jako przykrywki w Wielkiej Brytanii, ale nie chronił ich żaden immunitet międzynarodowy jako wojskowych. We Francji nosiły cywilne ubrania, co oznaczało, że były szpiegami. W razie wpadki groziła im niemal pewna kara śmierci.

Każdy kolejny krok był walką. Pół roku trwało, nim Departament Wojny usankcjonował nazwiska agentów SOE na oficjalnie publikowanej liście ofiar wśród jeńców wojennych. Czekać na nowe wiadomości, przekopywały się przez tysiące stron zeznań napływających od komisji w Niemczech i z terytoriów okupowanych podczas wojny.

Pomiędzy panną Acton i Iris było ciche porozumienie. Nie godziły się pozostawić zaginionych agentów ze stemplem: *zaginiony/zaginiona, prawdopodobnie nie żyje*. Były zdecydowane odkryć ich losy, choćby najstraszniejsze. Na razie pakowały rzeczy osobiste przywiezione z domu w Tangmere i odsyłały rodzinom agentów z krótką notką: *Niestety, na razie nie mamy żadnych nowych wiadomości*. Świadome, że biuro na Baker Street prawdopodobnie zostanie lada moment zamknięte, podawały adres Klubu Oddziałów do Zadań Specjalnych, z uprzejmą prośbą, by wszelkie pytania wysyłać do Sekcji F, nie żadnej innej, żeby nie komplikować sytuacji.

Iris pracowała nad dokumentami, sprawdzając i porównując dane w saloniku domu, który nadal dzieliła z Nancy, a Suzanne spała albo patrzyła na nią z dywanu na podłodze. Zainstalowano im telefon (załatwiła go panna Acton, jako konieczny do prowadzenia sugerowanej „działalności społecznej”), co pozwalało im kontynuować poszukiwania.

Pomiędzy ostatnimi listami przekazanymi na Baker Street był jeden od Fabienne Descours. Pytała, czy SOE słyszała coś o jej mężu, użyła jego przybranego nazwiska, żeby nie było nieporozumień. Wtedy Iris poczuła, że on już naprawdę nie wróci.

\* \* \*

Po wielu miesiącach fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować. Iris była po prostu chora, kiedy po raz pierwszy przeczytała raporty na temat obozów koncentracyjnych. Nic nie mogło jej na coś takiego przygotować.

Brytyjczykom pozwolono wreszcie przesłuchiwać francuskich kolaborantów, którzy pracowali w tych obozach. Zeznania spisano, zanim na zdrajcach wykonano wyroki śmierci. Niektórzy przypominali sobie osoby pasujące opisem do zaginionych agentów narodowości brytyjskiej i innych, w tym Francuzów. Tropy prowadziły do kolejnych obozów, których pracownicy mogący dostarczyć ważnych informacji zostali już straceni po złożeniu zeznań. Nie dodadzą nic więcej.

W lecie 1945 roku prace przebiegały pod dodatkową presją. Stosunki

pomiędzy aliantami a Rosjanami szybko ulegały pogorszeniu. Jeśli chcieli dotrzeć do obozów na wschodzie, nie mieli czasu do stracenia.

Przed opinią publiczną starano się zataić fakt, że do okupowanej Europy wysyłano w charakterze szpiegów również kobiety. Nawet po wojnie, kiedy wiele osób po raz pierwszy wyjawilo swoje szokujące historie, równie spora rzesza wolała zatrzeć ich ślady. Ojciec Violette Szabo, agentki SOE straconej w Ravensbrück, która po jakimś czasie została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Jerzego za bohaterstwo w walce podziemnej, narobił szumu, gdy Ministerstwo Wojny wahało się, czy ujawnić prawdę, która wydawała się nie do przyjęcia.

\* \* \*

Nikt tego głośno nie mówił, ale powszechnie uznano, że ci, którzy nie wrócili do sierpnia 1945 roku, już się nie pojawią.

Nigdy nieskładająca broni panna Acton w styczniu 1946 roku pojechała do Niemiec z listą zaginionych pięćdziesięciu dwóch agentów SOE, w tym dwunastu kobiet.

W Londynie tymczasem Iris gorliwie czytała wszystkie gazety. Pewnego dnia zadzwoniła panna Acton. Opowiadała o zniszczeniach w Berlinie, o kikutach zbombardowanych domów, o kurzu i spustoszeniach. O długich kolejkach do studni na zasypanych gruzem ulicach. I ciszy. Przegrana wywołała stan szoku i zapanowało ciężkie milczenie.

Z Berlina panna Acton pojechała do Bad Oeynhausen, centrum strefy brytyjskiej. Awansowano ją na oficera, by ułatwić dostęp do potrzebnych dokumentów, a przede wszystkim przesłuchiwanie kluczowych funkcjonariuszy niemieckich czekających na procesy za zbrodnie wojenne. Szczególnie zależało jej na rozmowie z komendantami Sachsenhausen i Ravensbrück, do których to obozów, jak wiedziała, wywieziono kilka z „jej dziewczyn”.

Ułożyła sobie fiszki z nazwiskami i miejscami, gdzie kogo ostatnio widziano żywego.

– Colette i Francine były w Dachau do listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, dwa miesiące później zostały stracone – powiedziała rzeczowym tonem. – Jednak nie wszystkie nasze dziewczyny przekroczyły granice Niemiec. Był jeszcze jeden obóz, w Alzacji, w Wogezach, Natzweiler. Mały. Niewielu o nim wiedziało. Takie było zresztą zamierzenie. Przeznaczony dla członków ruchu oporu, szpiegów i opozycji politycznej. Mieli tam zniknąć bez śladu. *Nacht und Nebel*, tak go nazywali, noc i mgła, w których mieli rozpląnąć się więźniowie. Bardzo skąpa dokumentacja, żadnych namacalnych dowodów, kto tam był lub zginął. Według raportów trafiła tam co najmniej jedna Brytyjka. Dwie Francuzki i jedna Angielka przybyły do obozu w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Iris zamarła.

– Według tego, co widziałam, to musiała być Rose – dodała panna Acton. – Nie możemy mieć absolutnej pewności. Opieramy się na zeznaniach świadków i relacjach ocalałych więźniów.

– Co wskazuje, że to Rose?

– Pasuje rysopis, wzrost, budowa, włosy, wszystko się zgadza. Jakiś więzień widział, jak przyjechała. Szczególnie zapadło mu w pamięć, że zachowywała się tak spokojnie. Był tym zszokowany. Najważniejsza relacja pochodzi od Niemca, który pracował w obozie. – Panna Acton zawahała się chwilę, co nie było dla niej typowe. – Jako palacz w nowo wybudowanym krematorium. Zeznał, że te trzy kobiety dostały zastrzyki, zagazowano je, a potem spalono. Nie ma żadnych szczątków.

– Ale przecież Rose pojechała na południe z Xavierem... Jak mogła znaleźć się w Alzacji?

– Te kobiety przetrzymywano najpierw w Karlsruhe. Mogły trafić tam z każdego miejsca we Francji. Jedna z Francuzek zostawiła wiadomość wyskrobaną na emaliowanym kubku. Napisała imiona ich trzech i datę przeniesienia. Dwa nazwiska nic nam nie mówią, ale trzecie to Rosa Williams. Prawdziwe imię i nazwisko Rose...

– To Rita Williams.

Iris poczuła się tak, jakby dostała cios w splot słoneczny. Powinna działać bardziej zdecydowanie, kiedy w wiadomościach nadsyłanych z Francji wyczuła tamte ostrzeżenia. Zawierzyć swojej intuicji. Trzeba było zmusić Tyndale'a, by potraktował ją poważnie. Teraz starano się sugerować, że Brytyjczycy dobrze wiedzieli, co się święci, i zdecydowali się podjąć grę, choć oznaczało to poświęcenie swoich ludzi. Jak na historyjkę, która ma komuś ratować twarz, niezbyt udany pomysł, myślała Iris.

Panna Acton najwyraźniej jednak nie brała pod uwagę, że zegarmistrz mógł mieć rację, kiedy mówił o grze o wyższą stawkę. Ze swojej strony była teraz przekonana, że Xavier Descours był zdrajcą, podwójnym agentem z powiązaniem z SS w Paryżu.

Czy to mogła być prawda? Został zwerbowany we Francji, więc nigdy nie przeszedł szkolenia Sekcji F i weryfikacji. Miał zachowywać pozory ścisłej współpracy z rządem Vichy, a w sumie i z Niemcami, zapewniając im urządzenia elektroniczne, przynajmniej z początku. Czy to była tylko przykrywka? Wobec kogo naprawdę był lojalny? Kiedy większość członków ruchu oporu z jego okręgu została zdradzona, upierał się, by wrócić i sprawdzić, co się stało, ostrzec inne komórki. A może pojechał po to, żeby wydać jeszcze więcej osób?

Tymczasem przepadł, wszelki ślad po nim zaginął.

\* \* \*

Biuro na Baker Street zostało zamknięte. Iris nadal pracowała w domu i była w telefonicznej łączności z Mavis Acton. Na herbacie w Fortnum and Mason, ulubionym miejscu panny Acton na spotkania bezpośrednie, Iris podjęła ostatnią próbę.

– Nawet jeśli Xavier kontaktował się z gestapo, to może ich tylko rozgrywał i wcale nie zdradzał swojej siatki, kiedy zniknął, zostawiając Thérèse w Châteaudun. Przecież starał się ją chronić. Nie zapominajmy, że to on zorganizował ucieczkę jej i Rose.

– Koniec końców nie był jednym z naszych ludzi – skwitowała panna Acton.

– Ale przecież działaliśmy razem, prawda?

– To dość romantyczna wizja, nie sądzisz?

Nie było wątpliwości, do czego pije. Zamknęła dyskusję, władcym gestem przyzywając kelnera.

Mavis Acton nie miała już wątpliwości co do winy Xaviera i nie było sposobu, by przekonać ją, że może się mylić. Przez długie tygodnie po tym spotkaniu Iris gnębiło przypuszczenie, że była wykorzystywana. Może przez cały ten czas, kiedy razem pracowały, panna Acton miała na nią oko, czekając, czy nie skontaktuje się przypadkiem z Xavierem.

Ale nigdy się nie odezwał i Iris musiała pogodzić się z niejednoznaczną sytuacją. Z jednej strony była ta ich bliskość i obietnice, z drugiej poczucie, że wspólnie dopuścili się przynajmniej jednej zdrady – wobec jego żony.

\* \* \*

Dzięki doskonałym referencjom od panny Acton – która zawsze była uczciwa, przez co jeszcze trudniej było przyjąć jej wnioski dotyczące Xaviera – Iris zdobyła pół etatu jako sekretarka w Home Office. Jej mikroskopijna pensja szła niemal w całości na utrzymanie domu na Chester Row, gdzie górne piętro też było teraz dostępne.

Iris zajęła je z Suzanne i młodą nianią, Jane, która straciła rodzinę i wszystko, co posiadała, podczas nalotów Luftwaffe na stolicę. Nancy i Phil, którzy się pobrali, kiedy tylko Phil wrócił do Anglii z Dalekiego Wschodu, zamieszkali na parterze. Dziesięć miesięcy po ślubie urodziło się im pierwsze dziecko, a Jane zaczęła pracować i dla nich. Stała się jakby członkiem rodziny i ten układ okazał się idealny dla wszystkich stron.

*Prowansja, maj 1948 roku*

Po wojnie zaczęło ukazywać się wiele książek o SOE. W niektórych pojawiały się wzmianki o Xavierze. Ale ktoś, kogo już nie ma, nie może bronić swojego dobrego imienia. Był wygodnym kozłem ofiarnym. Po wielu latach, dzięki odtajnieniu kolejnych archiwów, pisano bardziej miarodajne historie, jednak nadal było więcej pytań niż odpowiedzi na temat roli Xaviera Descoursa.

Ci, którzy go znali i z nim pracowali, nie mogli się nadziwić, że to on mógł ich zdradzić. Był dobrym człowiekiem, o wysokim morale, takim go zapamiętali. Jeśli nawet dogadywał się z Niemcami, to musiał to robić dla dobra sprawy. Jakim cudem tak wielu z jego ludzi uniknęło pojmania? Jak to możliwe, że organizowane przez niego loty były tak udane? Podczas pełni Luftwaffe czuwała na całym północnym wybrzeżu Francji i choć inne samoloty zostały wykryte albo zestrzelone, zadziwiająco duża liczba lotów nadzorowanych przez Descoursa zakończyła się sukcesem. Czy obwiniono go za porażki innych? Czy brał od Niemców pieniądze? Wielu twierdziło, że tak. Bardzo trudno było ustalić prawdę.

Okazało się, że rzeczywiście był na alei Focha. Więcej niż raz. Za pierwszym wezwano go na przesłuchanie do Kieffera z gestapo, ale potem puszczono wolno. Czy Xavier przekonał Niemców, że powinni pozwolić mu dalej prowadzić firmę i że będzie ich o wszystkim informował? Czy tak jak tamten dentysta próbował więcej zyskać na tym układzie niż naziści?

Jego wścikłość, kiedy zdał sobie sprawę, jak nieudolnie Londyn radzi sobie z wiadomościami nadawanymi z przejętych radiostacji, byłaby zrozumiała. Niemcy mieli wszystko, od szyfrów do planu, kiedy powinny wychodzić przekazy. Niektórzy snuli domysły, że przestało mu zależeć, bo nie miał zamiaru dalej pracować dla kompletnych idiotów. Inni święcie wierzyli, że trudności skłoniły go do jeszcze większych starań, ale działał już bardziej niezależnie od Brytyjczyków, z dala od niebezpiecznej gry, jaką musiał prowadzić z gestapo w Paryżu.

Czy zginął, czy też zaczął nowe życie, uciekając od wszystkich komplikacji swojej wojennej ścieżki? *Hereux sont ceux qui ont beaucoup peché, il leur sera beaucoup pardonné.* Szczęśliwi ci, którzy sporo nagrzezyli, bo wiele zostanie im wybaczone – powiedział jej kiedyś. Przez wiele lat analizowała ten aforyzm, zastanawiając się, czy kryje się w nim odpowiedź.

W miarę upływu czasu nadzieja na odnalezienie Xaviera żywego słabła, ale pragnienie poznania prawdy pozostało. Chciała wiedzieć, co może przekazać Suzanne na temat jej ojca.



\* \* \*

Raz po raz Iris wracała myślami do akcji, w której widziano go po raz ostatni.

W nocy dziesiątego sierpnia 1944 roku Xavier Descours koordynował brytyjsko-amerykańską operację w Prowansji. RAF wysłał samolot dakota z Ceciny w północnych Włoszech na tajne lądowisko zwane Spitfire, niedaleko Saint-Christol w lawendowym okręgu Sault. Nocna misja nie zakończyła się pełnym sukcesem. Na pokładzie było piętnastu mężczyzn, w tym wracający do kraju francuscy politycy i agenci, poza tym dostawy, głównie broń i materiały wybuchowe, o wadze siedmiuset pięćdziesięciu kilo. Rozładunek w ciemnościach poszedł gładko. Ale kiedy zawracali i próbowali wystartować z trzydziestoma pasażerami – większość stanowiła uciekająca z Francji załoga amerykańskiej fortecy – pojawiły się problemy. Dakota, największy samolot, jaki był w stanie lądować na Spitfire, zaczepił o pas lawendy posadzonej na polu startowym dla niepoznaki. Jedynym wyjściem było wysadzenie ośmiu amerykańskich uciekinierów, by zmniejszyć obciążenie maszyny. Obiecano, że zostaną zabrani następnej nocy. Mimo to bardzo trudno było wystartować, choć wreszcie się udało, dzięki umiejętnościom i zimnej krwi pilota.

Ale nasilający się raz po raz ryk silników zaalarmował jakiś niemiecki patrol. Możliwe też, że Niemcy spodziewali się tej operacji. Kiedy grupa przyjmująca transport i jej podopieczni się rozbiegli, padły strzały. Represje podjęto szybko i z całą bezwzględnością.

A potem – nic. Czy Xavier został zabity na miejscu, czy wzięli go do niewoli i skazali na śmierć? Czy też rozpułnął się w powietrzu, wśród nocy i mgły według własnego planu, bo od początku prowadził podwójną grę, jak sądzili niektórzy?

\* \* \*

Poprzez Libre Résistance, organizację sformowaną z tego, co pozostało z dawnych komórek ruchu oporu, Iris skontaktowano ze starymi maquisardami, partyzantami z południa. Nastąpiła wymiana listów, a potem, późną wiosną 1948 roku, Iris wykorzystała swój dwutygodniowy urlop, by wybrać się do Francji. Po przekroczeniu kanału pojechała pociągiem do Paryża, a potem do Avignonu i aż do Sault. Na dworcu czekał na nią Gaston Durand i jego młoda żona Emilie.

Gaston wziął jej walizkę i poprowadził Iris do furgonetki, która wyglądała jak pudło z pofałdowanej tektury na kółkach.

– Pojedziemy do Saint-Christol, ale zanim pokażę ci pole, zjemy razem lunch – powiedział.

Wóz, kołyszając się na wybojach, powiózł ich w głąb skalistego krajobrazu po krętych drogach wśród pól. W miasteczku Saint-Christol zatrzymali się na wąskiej

ulicze między rozpadającymi się domkami. Zerwał się porywisty zimny wiatr, zegar brzękliwie wybił dwunastą. Stado kur pierzchło im spod nóg, kiedy pan i pani Durand prowadzili ją do kawiarni, gdzie było zaskakująco tłoczno, i dalej, do stołu, przy którym siedział już jakiś mężczyzna.

– Miło mi przedstawić, Thierry LeChêne. Był na Spitfire tamtej nocy.

Wstał, by uścisnąć jej dłoń.

– Chciałabyś dowiedzieć się czegoś na temat ostatniej akcji na Spitfire? – zagadnął od razu.

Miał mocny prowansalski akcent. Chwilę zajęło, nim zrozumiała, co mówi.

– Tak, szczególnie o jednym z jej uczestników – powiedziała.

– Zrobimy co w naszej mocy, by ci pomóc, ale na pewno wiesz, że to były trudne, skomplikowane sprawy.

– Rozumiem. Jestem bardzo wdzięczna...

Gaston Durand machnął tylko ręką.

– To my jesteśmy wdzięczni. Nie zapomnimy, co robił RAF.

Iris uśmiechnęła się.

– O... miło mi. Generał de Gaulle nie jest wobec nas tak serdecznie nastrojony, od kiedy wojna się skończyła.

Na szczęście dalsza dyskusja na temat agresywnego nacjonalizmu prezydenta została przerwana przez kelnerkę, która przyniosła półmiski z paszтетem i sałatą.

– Centrum naszej komórki było Céreste – powiedział Thierry. – Każdy w grupie znał tylko członków z najbliższego kręgu, resztę jedynie z pseudonimów. Zapukanie do niewłaściwych drzwi mogło oznaczać wyrok śmierci. Nigdy nie można było być pewnym, czego spodziewać się po innych, nawet tych, których znało się przez całe życie.

– Słyszeliśmy o Xavierze Descours, ale tylko z imienia. Częściej mówiono o nim: Inżynier – wyjaśnił Gaston.

– Był tu... szanowany?

– Bardzo. Był jednym z najlepszych.

– Jak sądzicie, co się z nim stało?

Spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

– Musisz zrozumieć. Xavier nie był stąd. Pojawił się tu jak tamci Brytyjczycy i Amerykanie, a potem wyjechał. Nigdy potem już go nie widzieliśmy. Nie pokazał się na żadnej uroczystości upamiętniającej tamte akcje, ale tak mogło być z wielu powodów.

– Czy macie jakieś podstawy, by sądzić, że... nie doczekał wyzwolenia?

Thierry pokręcił głową.

– Rozpuściliśmy wici, jak prosiłaś. Ale nikt nic więcej nie wie.

– A co z młodą kobietą o pseudonimie Rose, jego radiotelegrafistką? Czy

ona była tam tej nocy?

Znów popatrzyli na siebie bezradnie.

– Nigdy się z nią nie zetknęliście?

– Nie. Ale tak miało być. Trudno było zapewnić tym dziewczynom bezpieczeństwo. Pierwszą zastrzelili. Może zbyt wielu ludzi wiedziało, co ona robi. Jeśli Inżynier chciał działać właściwie, musiał trzymać radiotelegrafistkę z dala od tego wszystkiego.

Kiedy jedli, Thierry pokazał jej fotografie. Niewyraźne zdjęcia mężczyzn w wiejskich ubraniach. Pozowali w grupach na polach. Niektórzy mieli karabiny z końcami przypominającymi węże ogrodowe.

– Ze zrzutów RAF-u – wyjaśnił Thierry.

– Zaprojektowane przez Czechów – dodała cierpko Iris.

Potem, na polu zwanym Spitfire, postali chwilę w milczeniu.

– Czy to jest ten łąk lawendy, który okazał się tak niebezpieczny dla samolotu? – spytała Thierry’ego.

– Od tamtej pory posadzono jej tu więcej. Podczas wojny uprawa była mizerna, ale należało w jakiś sposób ukryć, że to tak długie pole.

– Ludzie mieszkający w pobliżu musieli słyszeć silniki – zauważyła Iris.

– Oni wiedzieli.

– Teraz mówi się, że pięć procent francuskiej populacji kolaborowało z Niemcami, pięć procent działało w ruchu oporu, a dziewięćdziesiąt procent nie robiło nic. Ale tutaj powinno się też brać pod uwagę wszystkie drobne przejawy niesubordynacji. Farmerzy, którzy oddawali swoją ziemię na miejsce do lądowania samolotów i na zrzuty, rezygnowali ze zbiorów w czasach głodu, a poza tym narażali siebie i swoje rodziny. Musieli liczyć na lojalność wiosek w pobliżu lądowisk, na to, że sąsiedzi przymkną oczy i uszy na to, co się dzieje. Potrzebna była dobra wola wielu ludzi.

Patrzyli na pole lawendy, jej równe puchate rzędy, których kolor dopiero przechodził z szarości w fiolet. Z trzech stron otaczały je wzgórza.

– Cholerne miejsce, żeby lądować tu samolotem tak dużym jak dakota – stwierdził Thierry.

– Jak dotarłeś tu tamtej nocy? – spytała Iris.

Próbowała to sobie wyobrazić. Księżyc w pełni, nocne odgłosy, poruszające się cienie.

– Przyjechałem ciężarówką z człowiekiem, którego nazywali Filozof, Victorem Mussetem. Prowadził wytwórnę mydeł i perfum w Manosque. Mój kuzyn Auguste był zagorzałym członkiem ruchu oporu, ale też hodowcą lawendy, ważnym dostawcą Musseta. Tak się nawiązywało kontakty.

Buteleczka perfum.

– Musset... czy on jeszcze żyje?

- Oczywiście.
  - Czy mogłabym się z nim zobaczyć?
- \* \* \*

Durandowie zakwaterowali ją w swoim gospodarstwie na wzgórzach ponad miejscowością Apt. Emilie opowiedziała jej o swojej roli łączniczki, zwykle jeździła z wiadomościami na rowerze.

Dwa dni później Iris zaprowadzono do baru w średniowiecznym sercu miasta przy katedrze. To było ciemne, mgliste wnętrze, którego niskie sklepienia, w porównaniu z wysoką sylwetką Victora Musseta, wydawały się jeszcze niższe. Był dużym mężczyzną, a sądząc po brzuchu, lubił jeść. Zwykle nie mówi o wojnie, powiedział. Zbyt wiele złych wspomnień.

Pan Musset miał przed sobą szklaneczkę mętnego pastisu, ale właściwie wcale go nie pił.

– Minęło sporo czasu – zaczął. Jego ton był miły, a w oczach o ciężkich powiekach widać było smutek. – Ludzie opowiadają raz to, raz tamto. Zmieniają swoje historie. Czasami nawet robią to nieświadomie. Słyszą więcej na temat tła zdarzeń w kolejnych latach i przyjmują, że już dawniej to wiedzieli. A przecież to nieprawda. Nikt z nas nie miał pełnego obrazu, nikt nie mógł przewidzieć, co z tego wyniknie. Ja wiem tylko, co sam widziałem, ale też nie mogę być całkiem pewny, czy nie wpłatam czegoś, o czym dowiedziałem się później. Jedno, o czym nie wolno zapominać, to o tym, że ruch oporu nie był jednolity, tworzyli go ludzie o różnych poglądach, podporządkowani różnym organizacjom. Chcieliśmy po wojnie stworzyć inny kraj niż przedtem, inny układ polityczny. W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku aktywny członek ruchu oporu miał przed sobą przeciętnie jakieś trzy miesiące życia, a jednak wielu młodych ludzi uważało, że warto ryzykować.

– Według zapisu RAF-u – wtrąciła Iris – dakota wróciła następnego nocy po pozostałych Amerykanów, ale na ziemi nie było świąteł, które by ich naprowadziły.

– Grupa przyjmująca samoloty uznała, że to zbyt niebezpieczne próbować znowu.

– Niemcy obserwowali lądowisko?

– Bardzo możliwe. Rano po lądowaniu dakoty zastrzelili parę starszych ludzi, którzy mieszkali na najbliższej farmie. Najwyraźniej przedtem ich torturowali, by wydobyć z nich informacje, a potem spalili ich gospodarstwo do fundamentów. Okropne, po prostu okropne i takie bezsensowne, prawda? Wojna już się kończyła, po co zrobili coś takiego?

Iris pokręciła głową.

– To był pierwszy raz, kiedy operacja kierowana przez Xaviera poszła nie

tak – powiedział. – A mówili, że jest najlepszy z najlepszych.

– Czy on żyje?

– Kto wie? Wielu ludzi pod koniec wojny ruszało przed siebie, szczególnie ci, którzy marzyli o nowej, lepszej Francji. Zaczęły się porachunki i okazywało się, że nie wszystko było tak, jak się zdawało. Może on jest teraz kimś innym albo kimś, kim był przed wojną, a kogo nie znaleźliśmy. Z tego, co teraz wiemy, działał nie tylko na południu Francji, ale i w samym Paryżu. Był człowiekiem zamożnym, to oczywiste. Potrafił pojawić się znikąd i zaraz rozpląnąć jak we mgle. Ale możliwe też, że jego ciało leży gdzieś w masowym grobie.

– Był świetnym biznesmenem, to mogę panu zaręczyć. Przed wojną i w jej trakcie prowadził przedsiębiorstwo elektroniczne. Zrobiliśmy wywiad w całej Francji, ale nie zaangażował się nigdzie w podobny biznes – powiedziała Iris.

– W naszych kręgach był znany pod pseudonimem Inżynier. To logiczne.

– A pan jak myśli, co się z nim stało?

– Ponieważ nie ma żadnych informacji na jego temat, to przyznam, że według mnie najprawdopodobniej nie żyje.

– Ale nie ma na to dowodów?

– O ile mi wiadomo, to nie.

Iris powoli skinęła głową. Nie chciała nic mówić.

– Próbowałem zrobić rozeznanie – ciągnął Musset. – Jednak nikt tu nie wie, co się z nim stało po tamtej nocy, kiedy lądowała dakota. Pamiętam pewne zdarzenie z tamtego czasu, nawet jego radiotelegrafistka nie wiedziała, gdzie przepadł. Pytałem o niego Poetę.

– Poetę?

– Przywódcę naszej komórki. Mężczyznę, który nigdy nie przeszedłby przez sito komisji wojskowej. Zbyt rozlazły, rozkojarzony. Miał w Céreste dwie kryjówki, z każdego domu były dwa wyjścia, podobnie jak z każdego pola, z którego korzystaliśmy, dwie drogi odwrotu. Okolice spokojne, ale ważne strategicznie, bo położone pomiędzy Lyonem, centrum intryg, denuncjacji i terroru gestapo, a wybrzeżem. Czasem musieliśmy podejmować trudne decyzje. Doszły nas słuchy, że kobieta pracująca w aptece, tutaj w Apt, gdzie przekazywano wiadomości, zagroziła, że zdradzi siatkę. Trzeba było coś zrobić. Nasz człowiek pojechał rowerem. Zastrzelił ją pod stacją. Zrobił to szybko, bez zwracania uwagi, po czym zawrócił do Céreste.

– Czy to jedna z tych historii, które trzeba było zmienić? – spytała Iris.

– Może. Choć... można nałożyć róż na policzki nieboszczyka, ale to go nie ożywi – powiedział Filozof. – To były czasy, które wymagały wielkich poświęceń. Poeta miał protegowanego. Ten dwudziestodwuletni mężczyzna był równie odważny, co utalentowany jako pisarz. Poeta sam zaopatrzył go w fałszywe papiery. Pewnego straszego popołudnia niedaleko miasteczka widział, jak

młodego człowieka aresztują. Mógł go uratować. Samego Poety nie zauważyli. Miał Niemców na muszce, mógł nacisnąć spust, ale nie zrobił tego. Musiał podjąć taką decyzję, by ocalić miasteczko przed okrutnymi represjami, które na pewno by nastąpiły. Potem napisał coś najbardziej poruszającego, co kiedykolwiek czytałem: „Zwyczajne miasteczko, niezwykle miejsce”. Tamte czasy napiętnowały nas na zawsze.

- Rozumiem, jak to jest – powiedziała Iris.
- Musset uśmiechnął się do niej smutno.
- Tak, myślę, że pani rozumie, mademoiselle.

*Sussex, lata pięćdziesiąte*

Miles Corbin był dobrym człowiekiem i zapewne nigdy nie prowadził podwójnego życia. Przez wiele lat, od kiedy go poznała, Iris czuła się niemal szczęśliwa. Podobnie jak ona zatrudniony w administracji państwowej, z czasem awansował na wysokie stanowisko w Urzędzie Celnym. W domu był tak samo bezwzględnie uczciwy jak w pracy. Powiedział kiedyś Iris, że nigdy w życiu nikogo nie oszukał przy grze w golfa, choć raz w Sandwich strasznie go kusilo, czego nigdy sobie do końca nie wybaczył. Być może właśnie to zwierzenie skłoniło ją, by za niego wyjść.

Jeśli nawet nie był specjalnie przystojny, to dzięki płowej czuprynie i zapadniętym policzkom miał swój wdzięk. Podczas wojny służył w RAF-ie jako nawigator i od tej pory interesował się kartografią morską, poza tym jego pasją była Grecja, jej historia i poezja. Najwyraźniej uwielbiał Iris, dla Suzanne był miły i potrafił się z nią bawić, a poza tym kochał podróże, choć nie było mowy, żeby najmniejsza butelka koniaku czy perfum z Paryża mogła nie zostać zgłoszona przy ich powrocie w Dover.

Kiedy Iris zaszła w ciążę i miała urodzić się ich córka Betsy, rzuciła pracę i została panią domu na pełen etat. Gdy Suzanne była już dość duża, by zrozumieć, powiedziano jej, że jej ojciec zginął na wojnie, jak wielu innych dzielnych mężczyzn.

Iris nie potrafiła jednak zapomnieć Xaviera. Najmniejszy drobiazg prowokował myśli o nim. W Paryżu w latach pięćdziesiątych poczuła nagle ten specyficzny lawendowy zapach od jakiejś mijającej ją na ulicy kobiety i o mało nie rzuciła się za nią w pogoń, by zapytać, jakie to perfumy, ale jakoś zdołała się opanować. Znajomy zapach pozostał w powietrzu niczym piźmowy ślad, budząc w niej niewytłumaczalne poczucie zagrożenia. Stała na ulicy Saint-Honoré, jakby schwytna w pułapkę, a jednocześnie czuła euforię... a może to tylko perfumy wywołały tę reakcję?

To nie był dokładnie ten sam zapach, ale głębsza, cieplejsza, bardziej skomplikowana mieszanka niż ta, którą tak dobrze знаła, zużywając ją oszczędnie kropelka po kropelce, niczym woń nadziei gasnącej z każdym dniem, miesiącem, rokiem. Nadal nosiła perełkę, którą jej przysłał. Symbol pełni, która ich połączyła, a potem go jej zabrała. Jaka ona była głupia.

W następnych latach od czasu do czasu, zwykle listownie, z Iris kontaktowali się pisarze i badacze pracujący nad książkami na temat tajnych

operacji podczas wojny. Niezmiennie odrzucała ich uprzejme prośby o spotkania. Niektórzy z tych, których to dotyczyło, szczególnie agenci wystawieni na największe niebezpieczeństwo, lubili dzielić się swoimi historiami. Cieszyło ich okazywane im uznanie. Inni, jak Thérèse, woleli się nie ujawniać. Iris nigdy już nie dostała od niej żadnej wiadomości od czasu tamtego starcia w Orchard Court i szanowała ją za to jeszcze bardziej.

\* \* \*

Kiedy udało się jej nareszcie wyprzeć go ze swoich myśli, Xavier budził ją ze snów, które zaczynały się od nocnego nieba, gęstych chmur, księżycowego światła. Małego czekającego samolotu.

A on tam był, nawet jeśli go nie widziała. Wystarczyło, że spojrzała w srebrzystą ciemność, by wiedzieć, co się stanie. Czasami siedziała na miejscu obok niego, tak blisko, że czuła wełniany materiał jego płaszcza i muśnięcie jego dłoni.

Przez tyle lat odnajdywała go w powtarzających się wizjach. Mieszkał z nią, mówił i tańczył, i płatał się z nią w nedorzeczościach majaków. W niezliczonych wariantach tego samego snu Xavier wsiadał do samolotu i odlatywał w noc, tak autentyczną, że czuła to co on, podmuch wiatru pod skrzydłami, chłód szyby, zza której widać było błyszczącą tarczę księżyca. Z przodu burzowe cytadele, niebo usiane lasami błyskawic. Wysoko, wśród porywistych podmuchów przez morze chmur, z trudem przebijał się malutki samolot, niczym pajaczek wiszący na cienkiej nitce.

I zawsze ten sam koniec. Niebo wybucha, wyrzucając w górę kłęby, które mogą być chmurami albo wzgórzami albo coraz wyższymi falami. Czy to morze czy niebo? Bez różnicy, nie ma się gdzie schronić. Pilot wie, kiedy przekracza linię, za którą nie ma już odwrotu. Katastrofy nie da się uniknąć. Czarne niebo nadal jest piękne, chmury srebrzą się od blasku księżyca. Czas zwalnia. Teraz wszystko jest takie proste. Nie trzeba już podejmować żadnych decyzji. Co można powiedzieć? Co zrobić? Pozostały już tylko minuty, sekundy. Nie ma już czasu, jest tylko nowy początek.

Samolot leci dalej, unoszony wiatrem w nicość.

Długo, długo po tym, jak zniknął jej wśród nocnego nieba, Iris nadal go widziała.

\* \* \*

Miles umarł w roku 1960, a ona zaakceptowała swoje wdowieństwo. Przeprowadziła się do The Beeches, obszernego edwardiańskiego domu na skraju miasteczka pod Chichester. Z ulgą pożegnała niewolę podawania lunchów, kolacji i nudę rozmów z uczciwym człowiekiem, z którym duchowo nie miała wiele



wspólnego. Nie żeby była bezduszna, bynajmniej, po prostu w najlepszej wierze popełniła błąd, wychodząc za mężczyznę, którego szanowała, ale nigdy nie pokochała. To był układ, w którym chodziło o wspólne przejście przez życie, i miała wrażenie, że on to wiedział. Czy z tego powodu można było uznać ją za kobietę złą albo wyrachowaną? Nie potrafiła dać z siebie więcej. Wojna odcisnęła swoje piętno, zniszczyła wewnętrznie wielu ludzi, ją też. Przez wszystkie te lata była wzorową żoną i matką Suzie i Betsy, kiedy Miles jeździł z ich domu w Surrey do pracy w Londynie – Miles coraz bardziej stateczny, ze swoimi przyjaciółmi od golfa, z coraz większą skłonnością do whisky i wybuchów frustracji.

Iris nie powiedziała mu, że w jednym z grubych folderów, które trzyma w skrzyni w sypialni, jest kartka, na której zrobiła sobie notatkę w ten wieczór, kiedy zobaczyła Tyndale'a w *Panoramie*. Przyznał wtedy, że wiedział o podwójnych agentach, i dał do zrozumienia, że Londyn ich akceptował, choć nie wtajemniczył w to reszty swoich ludzi. Innymi słowy, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Pojawiały się też inne wzmianki na ten temat. Iris miała fotokopię fragmentu z zapisów sesji parlamentarnej, kiedy po publikacji pierwszych książek na ten temat zaczęto stawiać pytania – „inwigilacja (przez niemieckich agentów) była celowo ukrywana”, stwierdzono.

Jedyną osobą, z którą Iris rozmawiała o wojnie, była Nancy. Obie lubiły pisać do siebie długie listy, a czasem, kiedy wychodziła na jaw jakaś nowa rewelacja, dzwoniły do siebie i rozmawiały. To był sprawdzian ich wieloletniej przyjaźni, bardziej niż nadzieja na ostateczną odpowiedź.

*Sussex, wrzesień 2013 rok*

Zadzwonił telefon. Iris wczesnym rankiem ruszała się bardzo wolno, denerwująco wolno, tak jakby już nie w pełni panowała nad swoimi członkami. Była pewna, że ktokolwiek dzwoni, da za wygraną, zanim ona dotrze do korytarza, żeby odebrać. Prawdopodobnie to znów w sprawie instalacji paneli słonecznych. Powie im, że „nie” znaczy „nie”, a jeśli nadal będą się jej naprzykrzać, oskarży ich o nękanie.

– Dzień dobry, czy mogłabym rozmawiać z Iris Corbin?

– Jestem przy telefonie.

– Tu Anna Lester z „Daily Telegraph”. Nie wiem, czy pani pamięta, ale parę lat temu pisałam o National Memorial Arboreum w Staffordshire i o Mavis Acton, a pani była tak dobra, by podać mi kilka szczegółów.

Iris przysiadła ostrożnie na krześle przy stoliku z telefonem.

– Pamiętam.

To był jedyny raz, kiedy uległa i zgodziła się cokolwiek powiedzieć, choć tylko po to, by nie dopuścić do przekręcenia faktów.

– Czy mogłabym do pani przyjechać i porozmawiać? Pracuję nad historią związaną z tym poprzednim artykułem, a czasami łatwiej jest wyjaśnić wszystko bezpośrednio.

– Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że niewiele mogę pomóc.

– Chodzi o to, że...

– Niestety, obawiam się, że muszę odmówić. Teraz... nie jestem w formie... z powodu żałoby.

– Ogromnie współczuję, przykro mi, ale... tak mi przykro, ale... – Anna Lester rozpaczliwie szukała właściwych słów. – Tak trudno to powiedzieć. Nie miałam pojęcia, że Ellie Brooke to pani wnuczka, dopóki nie zaczęłam dokładniej poznawać okoliczności... jej śmierci. I trafiłam na coś... co pewnie powinna pani wiedzieć.

– Kiedy chciałaby tu pani przyjechać?

– Jak najszybciej, kiedy tylko pani pasuje.

Jeśli jest coś, z czym trzeba się zmierzyć, to zawsze wolą zrobić to od razu, niż odkładać na potem.

– Wobec tego proszę przyjechać dziś po południu – powiedziała Iris.

\* \* \*

Przez otwarte okno w kuchni słychać było pracujący na polu niżej silnik traktora, który odbijał echem kołatanie serca Iris. Tu, na obrzeżu miasteczka, z dala od innych domów, zwykle panował spokój. Drogą przejeżdżały samochody, ale rzadko. Od tej strony dom zasłaniał wysoki żywopłot. Od tyłu za pochyłym trawnikiem rozciągał się widok na wiejskie okolice Sussex.

– Przejdziemy się trochę, Marion?

Gospośia spojrzała na zegarek.

– Teraz? Jeszcze wcześniej. Może być rosa, nie lepiej wybrać się za godzinkę?

Marion od tak dawna mieszkała w The Beeches, że stała się nieodłącznym elementem tego domu, jak schody albo dach. Każda starsza osoba powinna mieć taką Marion, to wielka niesprawiedliwość, że większość nie może sobie na to pozwolić.

– Po prostu mam wrażenie, że powinnam się ruszyć – powiedziała Iris. – Pewnie to głupota.

– No dobrze. Chodźmy więc teraz, jeśli chcesz.

Cała tajemnica w tym, by nigdy nie przestać. Na przykład chodzić, ale właściwie dotyczy to wszystkiego w życiu, myślała Iris. Nie wolno odpuścić, żeby nie wiem jak kusilo, by się poddać. Wyznawała zasadę, że jeśli ktoś spaceruje każdego dnia, to nigdy nie doczeka chwili, kiedy nie będzie w stanie się ruszyć. To przez zaniedbanie tego zwyczaju mięśnie stają się coraz słabsze i zaczynają dokuczać stawy.

Marion odstawiła ostatni talerz po śniadaniu na suszarkę i wytarła ręce. Była dużą kobietą o ciepłym głosie. Taki matczyzny typ. W tym roku posiwała, co zasmucilo Iris. Tak długo Marion była tą młodą, która wszystko może, młodą parą nóg do biegania po schodach w górę i w dół.

– Nie musimy chodzić daleko, ale koniecznie musimy się troszkę przejść – powiedziała Iris.

Marion uśmiechnęła się.

– Racja. Odrobina świeżego powietrza nikomu nie zaszkodzi.

Jedynym ustępstwem Iris, jeśli chodzi o codzienne przechadzki, było wyrażenie zgody, by towarzyszyła jej w nich Marion. Upadek w jej wieku oznaczałby wyłączenie z normalnej aktywności na zbyt długo.

(Śliska sprawa, mawiała Iris. W znaczeniu dosłownym i przenośnym).

Ścieżka do jazdy konnej schodziła jedną stroną The Beeches i zakolami prowadziła do dużego stawu, kilku zabudowań gospodarskich i domku letniego. To był łagodny angielski krajobraz, falujące pola i kręte ścieżki pod drzewami. Krajobraz, który daje poczucie bezpieczeństwa, tak jej kiedyś powiedział, prawda?

Porywisty wiatr pochylał trawy, tworząc srebrzyste wzory. Pędy trybuli tańczyły w podmuchach. Smużki mgły unosiły się znad pól do błękitnego nieba.

- Jesteś bardzo milcząca.
- Tak sobie myślę.
- Nie było żadnych nowych wiadomości... z wyspy, prawda?

Zaczęły schodzić w dół, pewnie stawiając stopy na kamienistym szlaku. Woda w otoczonej drzewami niecce przypominała zamglone stare lustro, w którym przeglądały się dęby i buki.

- Możliwe, że niedługo się czegoś dowiem.

\* \* \*

Śmierć córki Suzie, Ellie, na wyspie Porquerolles była bardziej dotkliwym ciosem niż cokolwiek dotąd. Co za straszny przypadek, jak grom z jasnego nieba, niewyobrażalny szok.

Kiedy Ellie nie zgłosiła się na lot powrotny z Hyères, na który zarezerwowała sobie miejsce, nastąpiły dni pełnego niepokoju wyczekiwania. Jej współpracowniczka w firmie projektującej ogrody, Sara, podniosła alarm, bo Ellie się z nią nie skontaktowała. Minęły trzy potworne dni, zanim odnaleziono ciało wyrzucone przez fale na południowo-zachodnim skalistym brzegu wyspy. Od początku wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek i tak to wstępnie określono. W dzień poprzedzający lot widziano ją w pobliżu Fort de l'Alycastre, na przystani i w hotelu, gdzie się zatrzymała. Potem ślad po niej zaginął. Sugerowano, że pewnie poszła popływać i kiedy była daleko od brzegu, zaskoczyła ją nagła zmiana pogody. Morze obeszło się z ciałem okrutnie. Rozpoznano ją po pierścionku na palcu i wisiorcu, którego nigdy nie zdejmowała.

To była sól na rany Iris, ten naszyjnik. Księżycowa perła z czasów wojny, jedyny talizman Iris, a on nie zdołał ochronić jej wnuczki. Iris podarowała go Suzanne, kiedy ta skończyła osiemnaście lat, a ona przekazała go Ellie. Wisiorek z perłą do nich wrócił, ale Ellie nie.

Prasa w większości starała się podejść do sprawy z szacunkiem, ale i tak spekulacje na temat przyczyny wypadku były bolesne. Poruszająca historia: młoda kobieta starająca się wyrobić sobie nazwisko w projektowaniu ogrodów, sugestywna śródziemnomorska sceneria, wymarzone zamówienie i tragiczny koniec. Iris i jej córki rozumiały, dlaczego niektórzy dziennikarze tak zagłębiali się w szczegóły, ale nie potrafiły wybaczyć im wchodzenia z butami w ich tragedię.

Do tej pory Iris trudno było zaakceptować to, co się stało. Czy nie dość, że Ellie straciła męża w Afganistanie? To bolesne doświadczenie wojny jeszcze bardziej zbliżyło je do siebie. Ale żeby Ellie zginęła w tak bezsensowny sposób, wydawało się perwersyjnym szaleństwem.

Wszyscy mężczyźni i kobiety, których Iris знаła, a którzy umarli młodo, oddali życie na wojnie. Podjęli się działań wymagających wyjątkowej odwagi, byli bohaterzy, nie zważali na niebezpieczeństwa, wiedzieli, co i dlaczego ryzykują.

Niektórzy sami się zabili.

Inne czasy.

Ale jakie to miało znaczenie? Ellie nie żyła.

\* \* \*

Anna Lester była nieco starsza, niż wskazywałyby na to jej głos w telefonie. Miała ciemne włosy do ramion i bystre piwne oczy, w których pojawił się miły uśmiech, kiedy podała rękę. Uścisk jej dłoni był mocny i pewny. Prawie się nie malowała, a może nawet wcale, a jej krótki lniany żakiet i spodnie wydawały się z każdym ruchem coraz bardziej pogniecione. Przez ten strój sprawiała wrażenie raczej udręczonej nauczycielki po godzinach pracy niż żadnej krwi reporterki z ogólnokrajowego wydania znanej gazety. Ten skromny, zdecydowanie umniejszający jej pozycję wygląd ani na chwilę nie zmylił Iris. Ostatnim razem, kiedy rozmawiały, dziennikarka była wyjątkowo dobrze zorientowana, a jej pytania świadczyły o autentycznym zainteresowaniu historią drugiej wojny światowej.

– Nie ma pani nic przeciw temu?

Z wielkiej torby wydobyla małe urządzenie do nagrywania.

Iris pokręciła głową.

– Tak jest mi łatwiej. Robię też notatki, ale... – Dziennikarka wcisnęła guziczek i postawiła dyktafon na stole po stronie Iris. A potem, przysiadając z notatnikiem na brzegu krzesła, rozejrzała się po pokoju. Szaroniebieskie ściany, a na nich ładne grafiki i akwarele. Orzechowa serwantka. Na bocznym stoliku szkło powiększające na porannych gazetach „Times” i „Daily Telegraph”.

Marion przyniosła herbatę, nalala ją do porządnych porcelanowych filiżanek, po czym zostawiła je same.

– Lepiej od razu przystąpmy do rzeczy – powiedziała Iris.

Anna Lester przyglądała spódnicę i przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– W zeszłym tygodniu pojechałam do Porquerolles – zaczęła. – Dostaliśmy sygnał, że policja wezwała klienta Ellie, Laurenta de Fayolsa, na dalsze przesłuchania. Kiedy tam dotarłam, został już zwolniony bez postawienia mu zarzutów. Miałam nadzieję, że zrobię z nim wywiad, ale, co jak sądzę zrozumiałe, nie zgodził się ze mną spotkać. Postanowiłam odtworzyć drogę pani wnuczki i przejść przez te wszystkie miejsca, gdzie ją widziano, by stworzyć sobie pełniejszy obraz tego, co się wydarzyło, poznać może jakieś nowe szczegóły, które nie znalazły się w raportach policyjnych. Przepraszam. Na pewno trudno pani tego słuchać.

– Proszę mówić dalej.

– Zatrzymałam się w tym samym hotelu co ona i rozmawiałam o niej z zastępcą kierownika. Był przyjacielski i chętny do pomocy, bardzo dobrze ją pamiętał. Kiedy pojawiła się w hotelu, robiła wrażenie zdenerwowanej, ale nic nie

powiedziała o tym, że na promie, którym przyплыnęła, ktoś popełnił samobójstwo i przez to dłużej przetrzymano na nim pasażerów. Dopiero później dowiedział się, jak niefortunnie zaczął się jej pobyt na wyspie.

Codziennie wychodziła i często po powrocie wieczorem wydawała się roztargniona, jakby bujała myślami gdzieś daleko. Ale jednej nocy w ogóle nie wróciła.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Możliwe.

Dziennikarka otworzyła notes na zaznaczonej stronie i przesunęła palcem po notatkach przemieszanych ze stenograficznymi zawijasami.

– Dowiedziałam się, że klient Ellie przysłał kogoś po jej bagaże, miała zatrzymać się w Domaine de Fayols. Ale następnego dnia znów pojawiła się w hotelu. W piątek wieczorem, kiedy miała zarezerwowany pokój na ostatnią noc, wróciła o wiele weselsza. Jean-Luc Martin, zastępca kierownika, przekazał jej zostawione dla niej wiadomości, a ona wybrała się gdzieś znowu. Na rowerze, który jej pożyczył. Ale zanim odjechała, dała mu coś do schowania w hotelowym sejfie. Jean-Luc całkiem o tym zapomniał, przypomniał sobie dopiero, kiedy ze mną rozmawiał i zaczęłam go wypytywać.

– Co to było?

– Notatnik ze szkicami, pomysłami i planami ogrodu, nad którymi pracowała.

– Chyba pokazał to też policji, prawda?

– Oczywiście. Mówił, że dał im ten zeszyt kilka dni po jej śmierci, ale przejrzeni go i uznali to za nieważne. A potem... myślę... prawda jest taka, że na jakiś czas notatnik gdzieś się zapodział. Oustaou des Palmiers to uroczy hotelik, ale recepcja i biuro są strasznie ciasne i szczerze mówiąc, trochę zabałaganione.

Anna Lester odchrząknęła i zaczerwieniła się lekko.

– Muszę tu coś wyznać. Być może pozwoliłam mu wierzyć, że jestem nieco bliżej związana z państwa rodziną, niż uprawniałaby mnie do tego nasza rozmowa sprzed lat. Ale jak się okazało...

– Stara sztuczka reporterska. Niech mi pani oszczędzi wysłuchiwanie wyjaśnień.

– No, może nie będzie pani miała mi tego aż tak bardzo za złe, kiedy powiem pani, że... – Tu schyliła się nad swoją przepastną skórzaną torbą stojącą obok krzesła i wyłowiła z niej czarny zeszyt. – Mam tu ten notatnik. Jean-Luc dał mi go, pod warunkiem że przekażę rodzinie Ellie.

Podowała notatnik Iris.

– Chyba cieszył się, że to wróci do prawowitych właścicieli. Nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić. Jean-Luc mógł mieć pewność, że przywiozę państwu ten zeszyt. Od początku nie kryłam, że jestem dziennikarką, a on był dość bystry,

by zdawać sobie sprawę, że jeśli osobiście oddam notatnik, to będę miała lepszą historię.

Iris wzięła do rąk wypchany poplamiony zeszyt. Przez kilka minut przerzucała strony wypełnione rysunkami i notatkami, zapisami wymiarów i szkicami perspektywy.

Podniosła wzrok.

– Pani to dokładnie przejrzała, prawda?

– Owszem.

– Tak myślałam. Musi tu być coś więcej niż plany urządzenia ogrodu i szkice ukształtowania zieleni. Co to takiego? Co panią do mnie sprowadza?

Dziennikarka wskazała na notes.

– Mogę?

Iris oddała go jej. Anna Lester uważnie go przekartkowała.

– Tutaj. Odczyta to pani?

– Potrzebne mi okulary... Gdzie ja je odłożyłam? Na razie niech mi pani przeczyta.

– Napisała: *Wiadomość dla Iris*. Pani imię jest podkreślone dwa razy. A potem: *Twoje słowo jest światłem dla moich kroków i światłem na mojej ścieżce*.

Iris opanowała się, zdecydowana nie reagować.

– Coś jeszcze?

– Tak. Jest relacja o akcji z czasów drugiej wojny światowej. Dotyczy ona działacza francuskiego ruchu oporu i latarni morskiej w Porquerolles.

– Niech pani przeczyta.

Dziennikarka spełniła jej prośbę.

Iris odchyliła głowę i oparła o fotel z wyściełanymi uszami. Zamknęła oczy, by posłuchać. Z drzeniem, naprawdę dygotała.

*W sierpniu 1944 roku przygotowano plan, by uszkodzić latarnię morską. Miało to zmylić obronę nocną Niemców podczas lądowania aliantów w Saint-Tropez w sierpniu tego roku. Brytyjczycy i Amerykanie współpracujący z ruchem oporu w południowej Francji początkowo chcieli zbombardować latarnię, ale Xavier (francuski agent łącznikowy) nie zgodził się na to rozwiązanie, argumentując, że latarnię można unieszkodliwić w bardziej skuteczny i subtelny sposób. Urodził się na tej wyspie, znał Rousseta, latarnika, od czasów, kiedy był chłopcem. Jak mógł pozwolić, by ten człowiek zginął podczas eksplozji? Zgłosił się na ochotnika, by przedostać się na Porquerolles.*

*Wyspa była otoczona drutem kolczastym i minami. Xavier stamtąd pochodził, znał każdą skalę i zatoczkę, ale zdawał sobie sprawę, że nie dotrze się tam drogą morską. Czas nie działał na jego korzyść. Już był spóźniony, bo musiał czekać dodatkowy dzień na kolejne lądowanie na płaskowyżu Saint-Christol, które zostało odwołane. Wybłagał, by pozwolono mu użyć samolotu Firefly ukrytego pod Rians*

w Prowansji, i nocą trzynastego sierpnia poleciał. Sam, w ostatnim momencie, by wykonać zadanie. Czternastego alianci planowali zacząć bombardowania wyprzedzające inwazję.

Wylądował na płaskim terenie obok urwisk na *Domaine de Fayols* i pobiegł do latarni. Latarnik Rousset był zaskoczony jego widokiem, ale zgodził się zrobić to, o co prosił Xavier. Miał rozmontować światło nocą czternastego sierpnia i udawać, że to awaria.

Dla Xaviera pozostawanie na wyspie było bardzo niebezpieczne. Jak najszybciej wrócił do samolotu i wystartował z pola nad urwiskiem. Złapał wiatr pod skrzydłami. Ryzykowne, ale dał radę. Wtedy Niemcy otworzyli ogień. Samolot został trafiony, ale leciał dalej. W połowie drogi do Marsylii zaczął opadać do morza.

– Na końcu jest jeszcze kilka zapisków – powiedziała Anna. – A właściwie kilka pytań: *Czy w Londynie są jakieś raporty dotyczące tej nocy? Jakież wzmianki o Xavierze? Dlaczego nigdy nie odnaleziono wraku samolotu na dnie morza? (To by było znaczące odkrycie).* Nic pani nie jest, pani Corbin? Najwyraźniej pani coś o tym wie.

– Tak.

– Mogę zapytać co?

Iris zebrała się w sobie.

– Czy to możliwe, że to miało jakiś związek z tym... co się stało z Ellie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Możemy sprawdzić tę historię? Czy ona może być prawdziwa? Gdzie Ellie trafiła na tę relację?

\* \* \*

– Iris? Co ty, na Boga, wyprawiasz?

Iris, klęcząc przed starym kufrem podróżnym w swojej sypialni, najeżyła się na tę uwagę, ale z ulgą przyjęła pojawienie się Marion. Nie była całkiem pewna, czy zdoła się sama podnieść. Wieko kufra było otwarte. Wokół leżały stosy albumów z fotografiami i różne papiery.

– Szukam czegoś.

– To widzę – mruknęła pobłaźliwie Marion. Jej sylwetka wypełniała niemal całe drzwi. – A mówiłaś, że idziesz sobie trochę odpocząć po wyjściu gościa.

– To musi gdzieś tu być...

– Co? Zginęło ci coś? Jak mi powiesz, to ci pomogę.

Iris uniosła głowę i z trudem wyprostowała obolałe plecy.

– Pomóż mi wstać, za minutkę.

Marion skinęła głową. Doszły do porozumienia już lata temu. Marion nigdy



nie wspominała o wieku czy związanych z nim ograniczeniach.

Minęło tyle czasu, od kiedy Iris po raz ostatni to widziała. Czy mogło stąd zniknąć? Czyżby przepadło? Ale nie, było. Pomiedzy najbardziej osobistymi papierami, listami i notatkami leżała teczka podpisana jego nazwiskiem, zawierająca załośnie mało fotografii. To były dokumenty zbyt ważne, by trzymać je w pękającej w szwach szafie, która stała w jej, trzeba to przyznać, niezbyt uporządkowanym gabinecie na dole. Szafa była wyłącznie do jej użytku już od kilkudziesięciu lat, od kiedy Miles umarł, a mimo to te rzeczy wolała trzymać pod szczególnym nadzorem, osobno. Ten kufer, obity skórą, powycierany i poobijany, przechowywał jej starsze, bardziej intymne pamiątki.

Iris sięgnęła głębiej do kufra i wreszcie wydobyła z niego małe zawiniątko. Zdjęła szeleszczące cienkie warstwy papieru. Wewnątrz była szklana buteleczka, mająca pewnie dwanaście centymetrów wysokości. Po perfumach, które w niej niegdyś były, pozostał tylko brązowy ślad na dnie. Iris mocowała się z korkiem, w końcu jakoś go wykręciła, choć już wydawało się, że utknął w szyjce na dobre. A może to przez jej drżące palce? Przysunęła nos i powąchała. Siedząc, odczekała moment, nim w skupieniu wzięła kolejny wdech. Ale na nic. Zapach już całkiem wyparował. Kiedyś udawało się jej jeszcze uchwycić jego ślad, ale teraz nic już nie zostało. Jeśli coś poczuła, to kurz i zimne, twarde szkło teraźniejszości.

Na dole, w notesie Ellie, kryło się to, co mogło być końcowym rozdziałem tej historii, choć przecież to niemożliwe. Jak Ellie mogła o tym słyszeć czy się na to natknąć? Należałoby się skontaktować z Suzie, ale Iris była zbyt wyczerpana. Gdyby żyła Nancy, pewnie z miejsca sięgnęłaby po słuchawkę. Za Nancy też bardzo tęskniła.

\* \* \*

Tydzień później zadzwonił telefon. O tej porze odzywały się zwykle Suzie albo Betsy i Iris podniosła słuchawkę, pewna, że to jedna z jej córek.

– Pani Corbin? Tu Anna Lester.

– Ach, Anna.

– Proszę posłuchać, umówiliśmy się, że zadzwoni pani do mnie, kiedy będzie gotowa, ale coś się wydarzyło. Proszę mi zaufać, na pewno chce pani to wiedzieć. Laurent de Fayols powiedział policji, że chce coś dodać do swoich zeznań. Ale najpierw musi spotkać się z panią.

*Paryż, wrzesień 2013 roku*

Oczywiście Suzie i Betsy odradzały tę podróż, jak zwykle bezsensownie nadopiekuńcze wobec niej. Zwłaszcza Betsy. Szczuplejsza, bardziej jasnowłosa, rozważniejsza od siostry, była córeczką tatusia – nie znosiła ryzyka aż do przesady. Iris całkiem dobrze się czuła w wirze dyskusji, jaka się wywiązała: opinia jej córek, że jest zbyt stara na wyprawę do Paryża, ścierała się z zapewnieniami Anny Lester, że przyśle po nią samochód, by zawieźć ją do Londynu, i nie opuści jej ani na chwilę podczas jazdy pierwszą klasą Eurostara. Na miejscu miał być zarezerwowany nocleg w pięciogwiazdkowym hotelu, a spotkanie przy lunchu planowano na następny dzień. Nawet Marion została wciągnięta do sporu i w końcu przyznała, że Iris nie można traktować jak przeciętnej dziewięćdziesięcioletniczki, bo nigdy, w żadnym wieku, nie była przeciętna, i nadal ma naturę wojownika i nie poddaje się.

Cokolwiek myśleli inni, było bez znaczenia. Iris podjęła decyzję. Skoro Laurent de Fayols prosi o spotkanie, a Anna ma wziąć w tym udział, nic jej nie powstrzyma. Pojedzie do Paryża.

– A dlaczego to on nie przyjedzie do Londynu? – złościła się Suzie.

– Nie wiem. Nie pytałyśmy.

– To jadę z tobą. Powinam tam być.

Iris położyła dłoń na ramieniu córki, która była niemal tego samego wzrostu co ona. Stanowcza mina Suzie przypominała tak dobrze jej znany wyraz twarzy Xaviera.

– Wiem. Prosiłam, ale on wyraźnie zaznaczył, że chce mówić tylko ze mną. Gdybym mogła spotkać się z nim bez Anny, zrobiłabym to.

– To bardzo dziwne.

– Wszystko będzie dobrze. Chcesz, żebym dowiedziała się, co ma do powiedzenia, prawda?

\* \* \*

Ekspresowy pociąg przez północną Francję zdawał się frunąć nad polami ścielącymi się szeroko pod białym niebem. Był późny ranek i w wagonie panował spokój, słychać było tylko od czasu do czasu jakąś starszą parę siedzącą po przeciwnej stronie oraz grupki biznesmenów zajętych dyskusją prowadzoną przy czterech otwartych laptopach. Ale i oni starali się mówić ściszonymi głosami.

– Czy napomknął cokolwiek na temat tego, co chce nam powiedzieć? –

spytała Iris.

– Nie. Miałam wrażenie, że nie zdradzi nic, dopóki pani nie przyjedzie.

– No tak.

– Jak się pani domyśla, policja wielokrotnie z nim rozmawiała. To z jego powodu Ellie znalazła się na tej wyspie, a potem ona... jej ciało... zostało znalezione blisko jego posiadłości. Nie chciał ze mną mówić, kiedy tam byłam, ale zostawiłam mu wizytówkę na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

Iris oparła brodę na dłoni.

– Kiedy mnie odwiedziłaś, pytałaś, czy zapiski z notatnika Ellie mogą mieć jakiś związek z jej śmiercią. Wydaje się to nieprawdopodobne.

– Ale możliwe?

Uznała, że nie ma sensu dłużej udawać.

– Jeśli nawet, to jest to bardzo długa i skomplikowana historia, której, wolę cię ostrzec, sama nigdy nie zdołałam rozwikłać. Szczerze mówiąc, musiałam pogodzić się z tym, że nic nie wiem.

– Laurent de Fayols chce pewnie coś pani wyznać albo zrozumieć coś, co tylko pani mogłaby wyjaśnić.

– Niedługo się dowiemy. To kwestia zaufania, panno Lester, prawda?

– Proszę mi mówić po imieniu. Jeśli... ta historia sięga czasów wojny, to musi dotyczyć pani działalności w SOE. Ten temat budzi obecnie wielkie zainteresowanie. Pojawia się coraz więcej informacji...

– Z każdym kolejnym nekrologiem publikowanym w prasie.

– Ale i z otwieranych oficjalnych archiwów.

– Tej historii może nie być w archiwach, choć z zapisków Ellie wynika, że chciała tam szukać jakiegoś potwierdzenia – powiedziała Iris. – Mogą tu wchodzić w rachubę rzeczy nie do pomyślenia, może dla mnie, a może nawet i dla ciebie.

– Nie rozumiem.

– Na ile jesteś cyniczna, Anno?

– Mnie niewiele już dziwi.

– Z tego, czego dowiadujesz się o ludziach, ich pasjach, egoizmie, politycznych rozgrywkach i agencjach rządowych?

– Nie mam złudzeń.

– To dobrze. – Iris sięgnęła i podniosła dyktafon. – Warunek pierwszy. Może i jestem stara, ale nadal ostrożna. Proszę to wyłączyć. Teraz połóż to tak, żebym widziała, że nie pali się czerwona lampka. Oczywiście, możesz sobie notować. Warunek drugi jest taki, że nie opublikujesz nic bez mojej akceptacji. Zgoda?

– Tak właśnie zamierzałam zrobić.

– Świetnie. Teraz chętnie ci pomogę.

– Ta historia Xaviera w notatkach Ellie – zaczęła Anna. – Czy słusznie zgaduję, że dotyczy ona Xaviera Descoursa?

– Sądzę, że masz rację.

– Znała go pani?

– Tak – potwierdziła Iris. – Znałam. Najwyraźniej wiesz o nim sporo z różnych relacji dotyczących działalności SOE we Francji. Niektóre są bardzo trafne, inne nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Pewne elementy wydawały się kompletnie wydumane, póki nie odkryłam później, że były prawdziwe. – Uśmiechnęła się. – Zakochałam się w nim, ale nawet wtedy znałam go tylko trochę. Akceptowałam to. Przy tym, co robiliśmy, lepiej było nie wiedzieć o sobie wszystkiego. Ale później, oczywiście, przez te nasze przykrywki i udawanie, podwójnie trudno było dotrzeć do prawdy.

Anna skinęła głową. Szybko notowała.

– Po wojnie Xavier nie pojawił się w Paryżu jak inni agenci, którzy przeżyli. Nie było po nim śladu i na południu. Trzeba było przyjąć, że albo trafił do niewoli, albo został zabity. Robiłam, co w mojej mocy, by go odnaleźć, ale na próżno.

– Na pewno i inni go szukali?

– Jeśli tak, to trzymali mnie w nieświadomości swoich działań. Ale masz rację, inni też go szukali i wyobrażam sobie, że niektórym ogromnie ulżyło, kiedy tak przepadł bez wieści.

– A dokładnie kogo ma pani na myśli?

Iris westchnęła.

– Służby wywiadowcze. Wszystkie. Brytyjskie, francuskie i resztki tych niemieckich. Nie wiem, na ile jesteś zorientowana w szerszym obrazie tych służb, w małostkowych rozgrywkach pomiędzy nimi i w tym, co się naprawdę działo.

Anna skinęła głową.

– Czytałam dość, by wiedzieć, że inne służby, jak SIS czy MI6, traktowały SOE jak kulę u nogi. Nie było większej wymiany informacji. Możliwe, że podkopywano jego pozycję.

„Wszyscy kłamiemy, to jedyna prawda”. To właśnie jej mówił. Może czas najwyższy, by o tym powiedzieć.

– Teraz myślę – rzuciła ostrożnie Iris – że Xavier pracował nie tylko dla SOE, jako koordynator akcji lotniczych, ale i dla brytyjskiego wywiadu i że tam miał prawdziwego szefa. Raz natknęłam się na niego nieoczekiwanie w Bignor na imprezie zorganizowanej dla załogi Tangmere. Udawał, że widzi mnie po raz pierwszy. Wtedy tego nie rozumiałam. Ale najwyraźniej znał dobrze Bignor Manor i Bertramów. A oni pracowali dla MI6, nie dla SOE.

Odchrząknęła.

– To brzmi przerażająco, ale możliwe, że cała Sekcja F była wykorzystywana jako przykrywka dla prawdziwej pracy wywiadu SIS czy MI6 i że decyzja, by poświęcić agentów paryskich i siatkę Prosper, zapadła na bardzo wysokim szczeblu.

Anna przerwała pisanie.

– Oczywiście słyszałam o tym, ale uznałam to za teorie spiskowe.

– Mówię tylko, że to „możliwe”. SIS miał siatkę trudnych do wykrycia agentów. Głównie biznesmenów na emigracji, którzy od lat działali na kontynencie już przed wojną. Charakterystyka Xaviera, przedsiębiorstwo produkujące sprzęt radiotelegraficzny, kontakty międzynarodowe, to wszystko lepiej pasuje do SIS niż SOE.

– I co z tego wynika?

– Bardzo dobre pytanie – powiedziała Iris. – Jeśli to prawda, pewnie wykorzystywał mnie, by trzymać rękę na pulsie i wiedzieć, co się dzieje w SOE.

Nie byłoby to radosne odkrycie. Po raz pierwszy zdradziła to podejrzenie komuś poza Nancy.

– Nie uważaj mnie za ostatnią naiwną – zaznaczyła. – Byłam młoda, ale zaangażowana w sprawy bezpieczeństwa narodowego. Myślałam trzeźwo. Sądziłam, że zainteresował się mną, bo... mogłam mu w czymś pomóc. Może taki był powód albo po prostu łatwiej mu było być ze mną niż szukać innej kobiety, która mogłaby skomplikować mu życie jeszcze bardziej. Poza wszystkim, był żonaty.

– Ale próbowała pani dowiedzieć się o nim prawdy po wojnie.

– Nie traktowano mnie poważnie. Panna Acton sądziła, że nie patrzę trzeźwo, bo jestem w nim zakochana. Dlaczego tak trudno im było zaakceptować, że miałam potrzebę poznania końca tej historii właśnie dlatego, że kochałam tego człowieka? Chciałam poznać prawdę, nie ją naginać, tak jak ci, którzy kryli swoje plecy. I musiałam być ostrożna, nie tylko ze względu na Milesa, ale i żonę Xaviera. Na pewno nie chciałby, żebym zrobiła jej przykrość, a ja też bym tego nie chciała. To byłoby okrutne, a ja zawsze starałam się nikogo nie krzywdzić. Byłam bardzo samotna, przez długi czas.

\* \* \*

Laurent de Fayols czekał na nie w Le Train Bleu. Skąd wiedział, że właśnie ta restauracja w Paryżu zawsze przypominała jej czasy wojny i działającą wtedy siatkę? Ponad rojącą się od tłumów halą dworca była to kapsuła czasu, czysta Belle Epoque: lustra w złoconych ramach, mosiężne wykończenia, białe obrusy, ogromna katedra ku chwale podróży koleją i wytwornych posiłków sprzed stu lat. Wysoko na ścianach i sklepieniu namalowano zdobione kwiatowymi ornamentami, skąpane w słońcu widoki celów śródziemnomorskich podróży – Tulonu, Marsylii, Nicei, Montpellier, Perpignan, Cassis, Hyères.

Iris myślała o wszystkich tych spotkaniach z Mavis Acton i ich francuskimi kontaktami po wojnie, o tropach, które wydawały się obiecujące, a prowadziły donikąd. Tyle nazwisk, miejsc.

Laurent był eleganckim drobnym mężczyzną, miał na sobie ciemny garnitur i krawat. Jego włosy były podejrzanie ciemne jak na kogoś po sześćdziesiątce, a opalenizna nie kryła cieni pod oczami. Butelka białego burgunda chłodziła się w srebrnym wiaderku na stole.

Po przedstawieniu się sobie (uprzejmie, choć z pewnym zakłopotaniem), złożeniu zamówień (które kelner zapamiętywał bez żadnych notatek) Laurent de Fayols całą uwagę skupił na Iris. Był stremowany.

– Rozumiem, że znała pani Xaviera Descoursa, madame?

– Tak.

– Czy wiedziała pani, skąd pochodzi, kim był?

To pytanie mogłoby się wydać niedelikatne, ale mówił cicho, życzliwie.

Iris próbowała zaśmiać się ironicznie.

– Wiedziałam tylko tyle, ile mi powiedział... co mówił nam wszystkim. Że prowadził przedsiębiorstwo produkujące radia i sprzęt elektroniczny.

– To prawda – potwierdził Laurent. – To było w Tulonie. Zarobił na tym mnóstwo pieniędzy przed wojną. Na południu Francji znany był w ruchu oporu jako Inżynier, choć nie była to całkiem prawda. Jeśli chodzi o wszystko poza tym, najwyraźniej potrafił w imponujący sposób zacierać za sobą ślady. – Popatrzył na Iris. – Czy kiedykolwiek poznała pani jego prawdziwe imię? – spytał łagodnie.

– Nie. Gdyby został zwerbowany przez Sekcję F, tobym je znała, ale nie w innym przypadku. Nigdy nie pytaliśmy o takie rzeczy. Musi pan rozumieć, że...

– Nie wolno było pytać, rozumiem.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

– Nazywał się Gabriel de Fayols.

Iris podniosła dłoń do ust.

– Był synem lekarza z Porquerolles. Kuzynem mojego ojca.

Dzieciństwo na wyspie, głębokie błękitne wody, które jej opisywał. Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość.

– Gabriel? – Anna wyciągnęła ze swojego notatnika portret naszkicowany ołówkiem. – Czy to on?

Laurent zmrużył oczy, pewnie zbyt próżny, by szukać okularów do czytania. Iris wzięła kartkę z jego dłoni.

– To Xavier... taki, jakim go znałam – powiedziała, na nosie miała już okulary.

Przesunęła po jego pięknej twarzy palcem, który podobnie jak jej chwiejne nogi zdawał się już jakby nie należeć do niej, ale do jakiejś obcej staruszki, która zawładnęła jej ciałem.

– Skąd to masz? – spytała zirytowana, że dziennikarka wcześniej jej tego nie pokazała.

– To fotokopia – wyjaśniła Anna. – Oryginał jest w notatniku Ellie. Nie

widziała pani?

Iris nie znalazła tego portretu.

– Szkic jest tam. Wśród pustych kartek na końcu. Tak jakby otworzyła sobie notatnik na chybił trafił i zaczęła rysować. Na dole napisała imię Gabriel i datę, siódmy czerwca.

– Nie rozumiem.

Anna była bystra, to trzeba jej przyznać.

– To oznacza, że Ellie dowiedziała się o Xavierze, o tym, kim naprawdę był, zaledwie trzy dni przed... tym, jak znaleziono ją martwą. Ostatniego dnia, kiedy widziano ją żywą, siódmego czerwca – powiedziała i zwróciła się do Laurenta: – Niech mi pan przypomni, gdzie ona tego dnia była. W ogrodzie w pańskiej posiadłości?

– Nie, nie było jej u nas. To znaczy rano. Pojawiła się dopiero pod wieczór.

– To jak mogła dowiedzieć się czegoś o Xavierze? – wtrąciła się Iris.

Laurent wydawał się wyraźnie zakłopotany. Po raz pierwszy pogubił się mimo zewnętrznej ogłady.

– Pewnie od mojej matki. Sądzę, że ją też pani знаła, dawno, dawno temu, pani Corbin.

Kelner przyniósł małe przekąski z foie gras z galaretką z pigwy i cienkimi grzankami. Iris nie była pewna, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

– Pana matkę? Kim jest pańska matka, monsieur?

– Kim była... – Opanował się szybko. – Z przykrością muszę powiedzieć, że dwa tygodnie temu zmarła.

\* \* \*

Najwyraźniej żadne z nich nie było w stanie jeść. Anna aż dostała wypieków, podekscytowana odkrywając historię, choć może i przez wino. Iris była zdenerwowana, czuła, że zaraz dowie się więcej. Anna położyła swój notebook na stoliku. Iris darowała jej to *faux pas* dla dobrej sprawy, żeby nic im nie umknęło. Miała wrażenie, że sama nie potrafi się skupić, jej myśli niebezpiecznie wirowały pomiędzy obecnymi i dawnymi lękami.

Laurent de Fayols był zdecydowany, by na wstępie ustalić pewne fakty.

– Pani Corbin, rozumiem, że pracowała pani dla SOE podczas wojny – powiedział. – A tamta kobieta, nazywana panną Acton, rekrutowała młode kobiety do tajnych misji we Francji.

– Wielu bardzo ją podziwiałło – podkreśliła Iris, z jego tonu odgadując, że on do tego grona nie należy.

– Moja matka jej nienawidziła.

– Nie wszyscy ją lubili – przyznała Iris. – Werbowwała kobiety do SOE. Miały być agentkami we Francji, a nigdy przedtem nie powierzano kobietom takich

zadań. Koordynowała ich misje, a po wojnie niestrudzenie starała się ustalić, co spotkało te, które nie wróciły. Prowadziła poszukiwania z ogromną determinacją, wbrew oporom tych, którzy najchętniej zamietliby niewygodną najnowszą historię pod dywan.

Ta przemowa poszła jej gładko, miała ją wyćwiczoną. Panna Acton była imponująca pod wieloma względami i Iris zawsze by jej broniła, gdyby ktoś pytał ją o zdanie na temat dawnej szefowej. Nauczyła się trzymać dla siebie, co naprawdę myśli. „Twarda sztuka”, mówiła o panie Acton. Silna, władca osobowość. W tamtych czasach to było konieczne, prawda? Mavis Acton nie mogła zrobić nic więcej, po wojnie szukała wszystkich swoich dziewczyn. Wielka szkoda, że Iris nie zdołała nakłonić jej, by równie wytrwale starała się odnaleźć mężczyzn.

– Więc utrzymywała pani z nią kontakt również po wojnie?

– Tak. Byłam jej asystentką.

– Przyjaźniły się panie?

– Tego bym nie powiedziała. Dobrze się nam razem pracowało.

Od czasu herbatki w Fortnum and Mason Iris widziała się z panną Acton tylko jeden raz. Przy okazji pogrzebu pułkownika Tyndale’a w Londynie. Iris poszła na tę ceremonię nie tyle z uszanowania, co w nadziei, że to ostatnia szansa, by wśród zgromadzonych sygnatariuszy zobowiązania do zachowania tajemnicy zakończyć to, co zaczęła przed laty. Ale panna Acton zmierzyła ją tylko jak zwykle przenikliwym wzrokiem i wyraźnie dała do zrozumienia, że jej poszukiwania spełzły na niczym już dawno temu. Sięgnęła po swojego mocnego papierosa i odprawiła ją tym samym gestem, jakim zgasila zapałkę.

To zezłościło Iris. Jeśli ktokolwiek powinien rozumieć, co czuła, to właśnie Mavis Acton, ale nie, Acton nie miała w sobie ani krztyny empatii. Nie okazywała nikomu serca, choć przecież musiała je mieć.

– Nie udało mi się znaleźć wielu odtajnionych dokumentów na temat kobiet z SOE – powiedział Laurent.

– Przypuszczam, że niewiele takich dokumentów ocalało – stwierdziła Anna. – Miały zostać przekazane do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale był pożar.

– Bardzo wygodny pożar.

Poprawił sztucę przy swoim nakryciu, wygładził serwetkę. To mężczyzna, który z rozkoszą zapaliłby papierosa, jak to zwykł robić w restauracji, pomyślała Iris. Trafił na jej spojrzenie.

– Jak się pani czuła, kiedy po raz pierwszy zorientowała się pani, że prawdziwymi agentami manipulowało gestapo, że ich przetrzymywano, a SOE bezwiednie uzgadniała działania bezpośrednio z nazistami? – zapytał Iris.

Jak my się z tym czujemy? Zawsze to samo pytanie, banalne pytanie



o emocje. Niezmiennie zadawano je w radiu i w telewizji, zamiast dociekać faktów. Iris odepchnęła od siebie setki myśli, w których mogła utonąć bez reszty. Czy popełniła błąd, przychodząc tu? Jednak kto jak kto, ale ona wiedziała, że nie da się nic osiągnąć bez podejmowania ryzyka.

– Byłam wściekła. Uświadomiłam sobie, że szefostwo nie traktuje poważnie takich kobiet jak ja.

Wiedziały, a przynajmniej niektóre wiedziały. Tamte kobiety, które spotykały się na plotkach w toalecie na półpiętrze w Norgeby House, zdawały sobie z tego sprawę, ale rozmawiały o tym tylko między sobą, nie zdradziły nic zwierzchnikom, bo nie powinny były wiedzieć.

– To się wydaje zdumiewające, ale pozycja kobiet tak diametralnie zmieniła się od tamtej pory, że wprost trudno w to uwierzyć – kontynuowała Iris. – W tamtych czasach jednak tak właśnie było.

– I pozostawiono w rękach dwóch kobiet dochodzenie, co się stało z tymi, które nigdy nie wróciły.

– To prawda. Było ważne, by poznać prawdę, ze względu na rodziny tych, które przepadły, nawet jeśli ich losy okazywały się wstrząsające... Niektórzy przez lata żyli w niepewności i na swój sposób to mogło być jeszcze gorsze...

– I była pani usatysfakcjonowana, kiedy udało się pani dowiedzieć dokładnie, co je spotkało? – spytał Laurent.

– Tak.

Anna nic nie mówiła, ale słuchała uważnie.

– Czy imię Rose coś pani mówi?

Iris wyprostowała plecy i udawała, że je. Po chwili odłożyła sztućce.

– To był pseudonim.

– Co się stało z Rose, kiedy ją tu wysłaliście?

– Była radiotelegrafistką w Paryżu. Aresztowano ją. Kilka miesięcy spędziła w areszcie gestapo, zanim pomogli jej w ucieczce razem z inną agentką.

To dziwne, jak szybko przypominała sobie te fakty, kiedy szczegóły innych, mniej odległych, zdarzeń umykały jej tak łatwo.

– Ta druga kobieta, Thérèse, wróciła samolotem do Londynu. Rose pojechała na południe z Xavierem. To on zorganizował jej ucieczkę. Potem mieliśmy z nią jedynie sporadyczny kontakt.

– Dlaczego?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym RAF i amerykańskie siły lotnicze miały bazy w Afryce Północnej, na Korsyce i we Włoszech. Większość wiadomości od ruchu oporu do tych baz przekazywano z południa Francji. Najprawdopodobniej znów została aresztowana. Są poszlaki, choć nie do końca potwierdzone, które wskazują, że wysłano ją do Natzweiler, obozu koncentracyjnego w Alzacji. Tam zginęła, skazano ją na śmierć jako szpiega.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

– Nie – powiedział wreszcie Laurent. – Rose nie umarła w obozie.

Iris zmarszczyła brwi.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Znał ją pan?

– Rose była moją matką.

\* \* \*

Laurent skinął na kelnera, by dolał im wina.

– W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Rose nadal pracowała jako radiotelegrafistka dla mężczyzny znanego jako Xavier Descours. Był człowiekiem, który zawsze podejmował największe ryzyko... a ona dotrzymywała mu kroku. Ale ją porzucił. Zostawił na łaskę losu po tym, jak wielka akcja lotnicza w głębi Prowansji spaliła na panewce. Rose miała się ukryć i czekać na niego, ale on już się nie pojawił.

Gestapo aresztowało ją, kiedy szła na płaskowyż ponad Manosque, gdzie są uprawy lawendy. Miała nadajnik, w każdym innym czasie Niemcy zastrzeliliby ją na miejscu jako szpiega, ale teraz wiedzieli już, że wszystko się zmienia. To było zaledwie kilka dni przed wyzwoleniem. Zabrali ją na północ do Digne. Grozili jej. Starali się wydobyć z niej, ile się tylko da, ale jej nie zabili. W nocy jakiś młody niemiecki oficer pomógł jej uciec. Może zresztą chciał tylko w ten sposób ratować własną skórę, jednak przy okazji ocalił i Rose.

– Dlaczego nigdy nie skontaktowała się z nami w Londynie? – spytała Iris. Zbyt wiele niepokojących myśli tłukło się jej po głowie. Zbyt wiele pytań.

– Czuła się strasznie zawiedziona. Może nie miała po co wracać. Spróbowała ułożyć tu sobie życie od nowa.

– Wielu tak robiło po wojnie. Przez długi czas myślałam, że tak właśnie było z Xavierem.

– Wszystko zawsze sprowadza się do Xaviera. Czy pani wie, że to przez niego moja matka poznała mojego ojca? Charles'a de Fayols, pseudonim Maurice. Był jednym z tych, którzy pomogli jej podczas tej pierwszej ucieczki w Paryżu. Rose spotkała Charles'a po raz drugi jakiś czas po ucieczce z Digne. Musiała pojechać na południe, pewnie nadal szukała Xaviera. W każdym razie wyszła za Charles'a w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym i stała się panią na włościach w Domaine de Fayols. Ja urodziłem się dwa lata później. Mama zachowała imię Rose, podobało się jej.

Iris zacisnęła palce na lnianym obrusie. W uszach jej szumiało, z powodu zbyt wielu walczących ze sobą o pierwszeństwo wspomnień nie potrafiła zebrać myśli. Rose i jej schludna robótka ręczna w łazience w Orchard Court, jej milkliwość i pewność siebie, historia, która stale musiała być pisana od nowa.

– To pewnie ona opowiedziała Ellie historię, która znalazła się w notesie –

stwierdziła wreszcie Iris. – Ale... skąd Rose wiedziała, kim jest Ellie, że jest związana w jakikolwiek sposób ze mną?

– Z tego artykułu w gazecie, jak sądzę.

– To by wyjaśniało słowa *wiadomość dla Iris* – podsunęła Anna.

– Pewnie tak.

Iris próbowała zachować spokój, ale w głowie aż jej huczało. Kiedy Xavier przekazał Rose wiadomość przeznaczoną dla niej? Tuż przed swoim zniknięciem? Rose nigdy się do niej nie odezwała. Czy to możliwe, żeby teraz opowiedziała o wszystkim Ellie? To wydawało się bez sensu, a jednocześnie było jedynym logicznym wyjaśnieniem.

Laurent obracał nóżką swojego kieliszka.

– To moja matka namówiła mnie do wypróbowania przy rekonstrukcji ogrodu angielskiej projektantki. A właściwie konkretnej osoby. Ellie Brooke. Nalegała i nie można jej było tego wyperswadować. Pomyślałem, że może to dobry pomysł, coś ją wreszcie ucieszy. Nie czuła się dobrze. Już od wielu lat... Była nieprzewidywalna... miała epizody manii...

Niespodziewanie sięgnął przez stół i złapał Iris za rękę.

– Powiem pani teraz, co według mnie stało się z pani wnuczką... nawet to, czego nie wyjawiałem policji, kiedy Rose jeszcze żyła.

Czas się zatrzymał, gdy spojrziała mu w oczy, tak bardzo podobne do piwnych oczu Xaviera.

– Tego ostatniego wieczoru moja matka była w bardzo złej formie. Przez cały dzień dręczył ją epizod manii. Była przekonana, że widzi Xaviera, że wreszcie po nią przyszedł. Krzyczała, że coś jej grozi, że jeszcze nigdy nie była w takim niebezpieczeństwie, że Jeanne i ja musimy jej pomóc. Była tak roztrzęsiona, plotła coś o złych duchach, kuląc się na fotelu i płacząc, że w końcu zrobiliśmy, jak chciała, i wezwaliśmy księdza, który zgodził się przyjechać i pobłogosławić dom. Nie wiem, czy to były prawdziwe egzorcyzmy, czy nie, ale kadzidła i modły uspokoiły ją trochę. Po południu się zdrzemnęła i wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Trochę po szóstej przyjechała Ellie po swój telefon. Przykro mi to przyznać, ale moja matka zabrała i schowała komórkę Ellie, zostawioną przez zapomnienie w naszej bibliotece. Piliśmy aperitif, Ellie i ja, kiedy nadeszła Rose. Z początku wydawało się, że czuje się lepiej, ale potem jej nastrój gwałtownie się zmienił. Wyciągnęła stary pistolet. Nie miałem pojęcia, że posiada taką broń. Może należał do mojego ojca. Nawet kiedy go zobaczyłem, myślałem, że nie jest prawdziwy, nie sądziłem, by mógł być naładowany. Ale wypalił. Ostrożnie podkradałem się do niej od tyłu, żeby go jej zabrać, ale nagle strzeliła. Dwa razy. Jedna kula trafiła w podłogę, druga w gablotę z okazami motyli. Szkło rozprysło się na kawałki. Ellie wybiegła. Uciekła na taras i schodami w dół do ogrodu. Muszę pani powiedzieć, że tego dnia była zdenerwowana, dziwnie podminowana. Nie przypominała tamtej

pewnej siebie młodej kobiety, którą była, kiedy ją poznałem. Próbowałem ją gonić, przekonać, że nic jej nie grozi. Matka rzuciła broń zaraz po strzałach. Była w szoku. Jeanne ją uspokajała. Ale Ellie biegła bardzo szybko. Rozpętała się burza. Padał deszcz. Ścieżka do *calanque* jest stroma, śliska, łatwo się potknąć o kamień. Trudno nią iść nawet za dnia, a już w nocy, kiedy jest mokro...

Iris zapatrzyła się w górę na freski przedstawiające nadmorskie sceny, na malowany sufit, słyszała brzęk sztućców i szmer rozmów nad nakrytymi na biało stolikami. Trzymając uczucia na wodzy, ostrożnie wróciła wzrokiem do Laurenta. I dopiero w tej chwili dostrzegła tamtych mężczyzn przy sąsiednim stoliku. Zauważyła sposób, w jaki siedzieli, czujni, a jednocześnie w nieostentacyjny sposób pewni swojej władzy. Laurent de Fayols nie przyszedł sam, żeby jej to opowiedzieć, eskortowała go policja.

– Jest jeszcze jedna, ostatnia, rzecz, którą powinna pani wiedzieć. Jak mówiłem, Rose była agresywna i nie zrównoważona. To było bardzo trudne. Dopiero kiedy zmarła, dowiedzieliśmy się czemu. Likier mirtowy, który piła, był skażony brugmansją, piękną, ale bardzo toksyczną rośliną o właściwościach halucynogennych. Możliwe, że choroba mojej matki i jej zachowanie tamtego wieczoru miały związek ze stałym popijaniem tej nalewki.

– Przebadano jej skład po śmierci Rose – wyjaśnił. – Zawierała niebezpiecznie wysokie stężenie trucizny z brugmansji. Nie sądzę, by matka dodała jej rozmyślnie, a przynajmniej nie chcę w to wierzyć. Ta część ogrodu była zaniedbana od wielu lat i brugmansja rozpleniła się niesamowicie wzdłuż mirtowego żywopłotu, gdzie matka zwykle zbierała jagody. W końcu ta nalewka ją zabiła. Z przykrością przyznam, że Ellie pewnie też trochę tego wypiała.

Laurent sprawiał wrażenie zawstydzonego.

– Tak strasznie mi przykro. Póki matka nie powiedziała mi, kim jest Ellie, nie miałem pojęcia o tych wszystkich dawnych relacjach. Pod koniec życia Rose plotła trzy po trzy, ale kiedy odzyskiwała trzeźwość myśli, stale wracała do przeszłości. Umierając, powtarzała imię Xaviera. I że mam panią od niej przeprosić. Dałem jej słowo.

Nastąpiła długa chwila milczenia, po czym Laurent obrócił się do mężczyzn przy sąsiednim stoliku.

– Poruczniku Meunier? Dziękuję. Jestem gotowy.

\* \* \*

Susie czekała, aż Eurostar wtoczy się na Ebbsfleet. Niedługo miała skończyć siedemdziesiąt lat, nie do wiary, ale wyglądała dużo młodziej. Podobieństwo rodzinne było wyraźne, szczególnie ten wzrost, ciemnoblonde włosy, teraz farbowane na platynowy blond. Miała uważne piwne oczy ojca i oliwkową cerę. Nawet teraz jej twarz nie była poorana zmarszczkami jak u większości Angielek

w jej wieku, jednak śmierć Ellie odebrała jej naturalną pogodę ducha i pewność siebie.

Odwiozła Iris do domu, skupiając się na drodze, jak zwykle zręcznie przeskakując z pasa na pas. Nie zadawała pytań, świadoma podskórnych wibracji, czekała na właściwy moment i uparła się, by najpierw matka kilka godzin odpoczęła.

Późnym popołudniem usiadły przy herbatce, w milczeniu, jak to bliscy sobie ludzie, a Iris podziwiała opanowanie córki, choć jednocześnie niepokoiła się o nią.

– Chodź ze mną – powiedziała. – Przejdźmy się po ogrodzie.

Zrobiły rundkę pomiędzy liśćmi i płatkami, obrywając co niepotrzebne, bo im szybciej, tym lepiej. W ogródku warzywnym dojrzało kilka pomidorów i Iris zerwała je z krzaka, żeby Marion wykorzystała je do kolacji. Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie.

Iris opowiedziała Suzie wszystko tak dokładnie, jak tylko mogła, uważnie dobierając słowa, kiedy mówiła o Rose de Fayols i o tym, jak zginęła Ellie. Mówiła, jak Laurent i jego lojalna gospodyni początkowo ukrywali rolę, którą w historii tamtego wieczoru odegrała jego matka, bo obawiali się, że strzał z pistoletu może zostać uznany za usiłowanie zabójstwa. A ich zeznanie nic by już nie zmieniło, mogło co najwyżej pogorszyć stan starszej pani. Iris opowiedziała, jak po śmierci Rose sprawdzono skład chemiczny likieru, który zawsze robiła.

– Brugmansja może powodować groźne objawy. Anna poszukała trochę w internecie, kiedy czekałyśmy na pociąg. Może działać nasennie, ale i wywoływać halucynacje. W pewnych okolicznościach stany odurzenia mogą powracać nawet tydzień po spożyciu. Czasami wystarczy ją powąchać albo nawet o niej pomyśleć, by ponownie stracić kontakt z rzeczywistością. To nie reakcje fizjologiczne, jak przyspieszone bicie serca, są zagrożeniem dla życia, ale iluzja, że ścieżka jest prosta albo że morze to ogród, gdzie można położyć się i zdrzemnąć.

Siedziały na ławce przy jabłoni. Dostrzegły suche liście i pierwsze zrudziałe trawy. Nigdy nie dowiedzą się dokładnie, co się stało Ellie tej nocy. Rozmawiały więc o tym, jaka była żywiołowa i jak wielką pozostawiła po sobie pustkę, o jej pasjach i determinacji.

– To, co zapisała w notatniku o Xavierze... – zaczęła Suzie. – Czy sądzisz, że właśnie to się zdarzyło? Jego samolot wpadł do morza?

Tyle lat, tyle wersji tego snu: samolot przebijający się przez ciemność, wznoszenie się na nocne niebo. Morze chmur, kontrolki, które nie reagują, początek najdziwniejszej podróży, jaką odbył kiedykolwiek ten pilot. Przerazenie, które zawsze wyrywało ją ze snu, samolot pędzący w nicość, nie było już czasu, tylko sam początek, a potem ta dziwna bliskość, gdy leżała w ciemności. Pewnego razu poczuła delikatny pocałunek na policzku, tak ciepły i realistyczny, że miała wrażenie, jakby naprawdę był przy niej. To stało się dawno temu, ale pamiętała

wyraźnie, choć przekonywała się, że musiała być wtedy na granicy jawy i snu.

– Mam wrażenie, że tak.

– A ten portret Gabriela... jak to możliwe, zrobiła go z fotografii?

– Laurent przysięgał, że nigdy nie widział takiego zdjęcia, w rzeczach jego matki nie było nic podobnego.

– Może z jakiejś książki.

– Ten policjant, Meunier, powiedział coś dziwnego – przypomniała sobie Iris. – Ellie uparcie twierdziła, że na promie był jeszcze jeden świadek tamtego samobójstwa, ale nie mogli go odnaleźć. Ten szkic pasuje do jej opisu.

– Może starała się pomóc i narysowała im jego podobiznę.

– A na dole napisała imię, Gabriel? – nie ustępowała Iris.

Suzie zapatrzyła się na pola.

– Ty rozumiałaś tę wiadomość, prawda?

– Zrozumiałam.

– Powiesz mi, co ona znaczy?

Iris zastanowiła się chwilę. *Twoje słowo jest światłem dla moich kroków i światłem na mojej ścieżce.* Nie potrafiła wyjaśnić, jakim cudem dostała tę wiadomość ani tego rysunku. Nie było to dziwniejsze od tamtych snów, ale równie nieprawdopodobne. „Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak kochałem ciebie. Byłaś dla mnie światłem wśród tych ciemności”.

To były słowa Xaviera w ostatnich sekundach, jakie spędzili razem, zanim poleciał z powrotem do Francji. Nigdy nie miała pewności, ale teraz tak.

– On mnie naprawdę kochał – powiedziała Iris do córki. – I ciebie też by kochał.

## Epilog

Nad ranem czwartego listopada w 2013 roku, na południowy wschód od Marsylii, mały kuter rybacki wyłowił skręcony kawałek metalu wielkości i kształtu rekina. Łódź miotała się wśród ulewy i ciemności, a dwaj rybacy klęli, że ostre krawędzie porwały im sieć, i już mieli wyrzucić żelastwo za burtę, kiedy jeden z nich, poluzowując sieć i odgarniając wodorosty, dostrzegł srebrzysty błysk.

Po dokładniejszych oględzinach okazało się, że to stalowa plakietka z odcisniętym numerem serii. Zanotowali położenie według GPS-u. Metalowy rekin trafił do portu wraz z połowem skorpen, wargaczy i lucjanów.

Obrośnięty skorupiakami metal został zidentyfikowany jako fragment obudowy silnika caudrona C270, lekkiego samolotu budowanego w latach trzydziestych i znanego pod nazwą Luciole, robaczek świętojański. Szczątki samolotu zostały wydobyte przez archeologów morskich z zagłębienia w dnie między Żłotymi Wyspami a Marsylią, gdzie osiadł prawdopodobnie podczas drugiej wojny światowej, sądząc po śladach ostrzału w podwoziu.

## Od autorki

Znam dobrze Prowansję jako rejon, gdzie podczas drugiej wojny światowej francuski ruch oporu był bardzo silny. To wiejskie tereny, których mieszkańcy są dumni ze swojej przeszłości i opowiadają o niej w codziennych rozmowach. Do wspomnień z lat walki powraca się – szczególnie przy gościach z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych czy Kanady – z wielką dumą i w poczuciu wspólnoty losów.

Od dawna intrygowały mnie historie przerzutów broni i agentów przez RAF, a także tajnych lądowań samolotów w czasach niemieckiej okupacji Francji. Kiedy zaczęłam zagłębiać się w ten temat, trafiłam na poruszający przypadek we wspomnieniach jednego z najlepszych pilotów Operacji Specjalnych pułkownika Hugh Verity'ego, *We Landed by Moonlight* (Lądowaliśmy w świetle księżyca). Na prowizoryczne lądowisko zwane Spitfire w lawendowym regionie Sault tuż przed inwazją aliantów na południowe wybrzeże w sierpniu 1944 roku przyleciała dakota z ważnymi francuskimi działaczami. W drogę powrotną miała zabrać grupę ukrywających się we Francji amerykańskich lotników. Ale obciążenie okazało się zbyt duże, a pas do startu zbyt krótki. Kiedy samolot nabierał prędkości, podwozie zahaczyło o szeroki pas lawendy, którą posiano, by zamaskować długość pola przed czujnym okiem okupanta. Zanim podjęto kolejną próbę startu, niektórzy amerykańscy lotnicy musieli wysiąść. Obiecano im, że wróci się po nich następnej nocy, ale było za późno. Nieudana operacja trwała zbyt długo, Niemcy i podlegająca służalczym rządowi Vichy milicja zorientowali się, co się dzieje, i zaczęły się brutalne represje. Kiedy następnej nocy dakota wróciła, nie czekał na nią zespół członków ruchu oporu, który by dał znaki, gdzie lądować.

To pasmo lawendy zainspirowało pierwszą część mojej powieści *Lawendowe pole*. Jej bohaterką jest niewidoma perfumiarka Marthe Lincel, która pojawia się też w mojej powieści *Latarnia*, opowiadając o swoich prawdziwych losach podczas wojny, kiedy zaczynała terminować w fabryce perfum w Manosque. Muszę tu zaznaczyć, że główne postaci i historie w mojej książce są całkowicie fikcyjne, choć oparte na autentycznych faktach.

Dla historycznego tła książki nieocenione były wizyty w muzeum ruchu oporu w Fontaine de Vaucluse, a także w Muzeum Lawendy w Coustellet i nadal czynnych destylarniach w Les Coulets w Rustrel i Les Agnels w Buoux.

Sporo wiedzy zawdzięczam pracom francuskiego poety René Chara, który był podczas wojny bardzo szanowanym i operatywnym przywódcą podziemnego ruchu oporu, działał pod pseudonimem Alexandre, w Céreste na wschodnim krańcu doliny Luberon. Relacja jego przyjaciela Georges'a-Louisa Roux, *La Nuit d'Alexandre*, jest pełna lokalnych szczegółów. Bardzo wnikliwi czytelnicy, którzy zwracają uwagę na takie rzeczy, mogą dojść do wniosku, że w swojej historii



wspominam o godnym zaufania policjancie Cabocie, w dowód wdzięczności dla mojej agentki literackiej Stephanie Cabot (i rzeczywiście), ale dobry żandarm Cabot istniał naprawdę. Pomagał odzyskać skradzioną biżuterię, która miała być sprzedana, by zapewnić jedzenie nie tylko dla Chara i rodziny jego gospodarzy, ale też całej rzeszy ukrywających się na wzgórzach bojowników ruchu oporu, za których „Capitaine Alexandre” był odpowiedzialny.

W *Tajnym życiu* kolejna młoda kobieta doświadcza innego aspektu wojny. W gnębnym nalotami szarym Londynie Iris Nightingale pracuje dla SOE, Kierownictwa Operacji Specjalnych, utworzonego przez Churchilla do organizowania akcji sabotażowych w okupowanej Francji. Iris ma do czynienia z kulisami rekrutacji i przygotowywaniem wysyłanych agentów, a także z ocenianiem ich wiadomości nadawanych drogą radiową z terytorium wroga.

Punktem wyjściowym tej historii jest prawdziwa postać Vera Atkins, wyższego rangą oficera francuskiej sekcji SOE w Londynie (w powieści to Mavis Acton). Mocna kobieta, budząca często skrajne emocje, dowiodła wielkiej siły charakteru, kiedy z determinacją próbowała odkryć, co stało się z tymi agentami SOE, którzy nie wrócili po zakończeniu wojny. Szczególnie uparcie poszukiwała zaginionych kobiet, które sama rekrutowała. Bardzo wiele zawdzięczam tu świetnej i niezwykle wciągającej książce Sarah Helm *A Life in Secrets: The Story of Vera Atkins and the Lost Agents of SOE* (Życie pełne tajemnic. Historia Vera Atkins i zaginionych agentów SOE).

Pierwowzorem postaci Xaviera Descoursa był Henri Déricourt, pilot (w życiu cywilnym), a podczas wojny oficer łącznikowy między RAF-em i francuskim ruchem oporu. Po wojnie było wiele wątpliwości co do motywów jego działania, zastanawiano się, czy był podwójnym agentem i pracował dla Niemców, czy też potrójnym agentem, działającym na rzecz aliantów. Te kwestie nigdy nie zostały rozstrzygnięte.

Całkiem przypadkiem zyskałam dodatkowy wgląd w tę tematykę, kiedy poproszono mnie o przyłączenie się do projektu charytatywnego Authors for Autistica (Pisarze dla autyzmu), w którym pisarze zobowiązują się do wymienienia w swojej nowej książce zwycięzcy licytacji na rzecz dotkniętych autyzmem. Może to być też nazwisko kogoś wskazanego przez zwycięzcę. Zaproszono mnie do radia BBC Kent, żebym opowiedziała o tej akcji, na co pokornie przystałam, a podczas rozmowy mówiłam i o tym, że staram się dowiedzieć jak najwięcej o organizowanych przez RAF i SOE księżycowych lotach, podczas których przetrucano agentów specjalnych do Francji. Nie podałam żadnych szczegółów czy nazwisk. Dopiero zaczynałam o tym pisać, chociaż miałam już zarys fabuły. Jedną z moich bohaterek była Nancy, młoda kobieta, pracująca dla RAF-u. Dziwne, że zwyciężczyni aukcji poprosiła, bym w swojej książce nazwała jakąś postać Nancy Bateman, dla uhonorowania jej dziewięćdziesięcioletniej matki, która

podczas wojny pracowała dla RAF-u... Rozmawiałam z rodziną tej pani i dostałam zdjęcie ich Nancy. Niektóre z jej doświadczeń wplotłam w fabułę powieści.

Muzeum lotnictwa, które było niegdyś siedzibą RAF-u w Tangmere w Sussex, okazało się fascynującą kopalnią wiedzy. Samoloty lecące z pasażerami na teren okupowanej Francji wyruszały właśnie z tamtejszego lotniska i zachowało się tam wiele pamiątek z okresu wojny. Kustosze David Coxon i jego pracownicy z wyraźną przyjemnością opowiadali mi niesamowite, jeżące włos na głowie historie, szczególnie o samolocie straconym w Bitwie o Anglię, który został złożony na nowo ze szczątków wykopanych w miejscu katastrofy. Mówili mi też o oderwanej od ciała ręce ubranej w mundur RAF-u, która uprzejmie otwiera drzwi sprzątaczkom nad ranem...

Barbara Bertram to kolejna postać wzięta z życia, niestrudzona gospodyni Bignor Manor. Nie zmieniłam jej imienia i czerpałam wiele szczegółów z jej wspomnień *French Resistance in Sussex* (Francuski ruch oporu w Sussex).

Wyspa Porquerolles leżąca u południowego wybrzeża Francji to miejsce akcji pierwszej części *Nadmorskiego ogrodu*. Na początku lata, zanim przybędą tu jak zwykle chmury letników, nurkowanie w skalistych zatoczkach to coś fantastycznego. Na dnie leżą wraki statków, które stały się domem dla ławic ryb i koralu.

Niektóre z tych okrętów zatoniły w czasach drugiej wojny światowej, kiedy wyspa była okupowana, najpierw przez Włochów, a potem Niemców. Z Francuzów pozwolono zostać na Porquerolles jedynie latarnikowi, panu Pellegrino, i jego pomocnikowi. W 1944 roku Pellegrino uratował latarnię przed wysadzeniem przez Niemców. Za ten bohaterski czyn został odznaczony francuskim krzyżem Legii Honorowej. Te zdarzenia stały się podstawą pierwszej części powieści, choć pozwoliłam sobie podejść do faktów historycznych dość swobodnie.

Wszystkie te opowiadania łączy temat komunikacji lub jej braku. Kodowane przekazy radiowe, znaki dawane latarkami, promień światła z latarni morskiej, brajl, zmysły ludzkie, zwłaszcza zapach, informacje skrywane, dezinformacja, różnice językowe, symbole. Struktura powieści jest odbiciem skomplikowanych relacji pomiędzy działającymi w podziemiu komórkami, gdzie bezpieczeństwo jest sprawą nadrzędną, a najlepsza linia obrony to ograniczona wiedza na temat tego, co robią inni.

Z bardzo wielu książek, które czytałam, żeby przygotować się do pisania tej powieści, najwięcej dały mi te wymienione niżej. Polecam je bez wahania każdemu, kto by chciał dowiedzieć się więcej o prawdziwych historiach ukrytych za tymi fikcyjnymi.

Hugh Verity, *We Landed by Moonlight*, wydanie poprawione, Crécy Publishing, 2000.

Antoine de Saint-Exupery, *Wartime Writings 1939–1944*, Harcourt, 1986;

wydanie polskie pod tytułem – *Zapiski z czasu wojny*, Wydawnictwo W drodze, 1998.

Matthew Cobb, *The Resistance*, Pocket Books, 2009.

Sarah Helm, *A Life in Secrets: The Story of Vera Atkins and the Lost Agents of SOE*, Little Brown, 2005.

Jean Overton Fuller, *Déricourt, The Chequered Spy*, Michael Russell, 1989.

Barbara Bertram, *French Resistance in Sussex*, Barnworks Publishing, 1995.

John Nesbitt-Dufort, *Black Lysander*, Whydown Books, 2002.

Anne Marie Walters, *Moondrop to Gascony*, wydanie poprawione, Moho Books, 2009.

Robert Mencherini, *Resistance et Occupation (1940–44). Midi Rouge, ombres et lumières.3*, Editions Syllepse, 2011.

Patrick Marnham, *The Death of Jean Moulin, Biography of a Ghost*, John Murray, 2000.

Georges-Louis Roux, *La nuit d'Alexandre: René Char, l'ami et le résistant*, Grasset, 2003.

René Char, *Feuillets d'Hypnos*, Folioplus, 2007.

René Char, *Selected Poems*, pod red. Mary Ann Caws i Tiny Jolas, New Directions, 1992.

## Podziękowania

Chciałabym serdecznie podziękować mojej agentce literackiej Stephanie Cabot, a także Willowi Robertsowi, Rebecce Gardner, Annie Worrall i Ellen Goodson z The Gernert Company w Nowym Jorku oraz mojej cudownej redaktorce Jennifer Barth, a także Davidowi Watsonowi i Katherine Beitner z HarperCollins w Nowym Jorku. Dziękuję też mojej londyńskiej agentce Aramincie Whitley wraz z Sophie Hughes i fantastycznemu zespołowi: Kate Mills, Susan Lamb i Juliet Ewers.

Louise Cummins, projektantka ogrodów z wielokrotnie nagradzanej firmy Garden Makers w Londynie i Surrey, wspaniałomyślnie wprowadziła mnie w świat projektowania krajobrazu i pracy dla prywatnych klientów, a także opowiadała mi o Chelsea Flower Show.

Peter Coxton, kustosz z muzeum lotnictwa wojskowego w Tangmere, i cudowna grupa jego entuzjastów pomogli mi bardziej, niż mogłabym sobie wymarzyć. Chciałabym też podziękować Authors for Autistica i Philippie Stannard za przedstawienie mnie jej mamie, Nancy Bateman, i użyczenie mi jej imienia i nazwiska wraz z niektórymi z jej wspomnień związanych z RAF-em.

Moja własna matka, Joy Lawrenson, była, jak zwykle, moją nieocenioną pierwszą czytelniczką, razem z Robertem Reesem.

